Colin

FORBES



AMBER

Rok Złotej Małpy

Ali-Baba

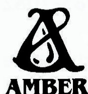
Dla Jane

FORBES

Rok złotej małpy

Przekład: Lidia Drapińska

Tytuł oryginału: Year of the Golden Ape



AMBER

Część pierwsza
Terroryści

W styczniu na Bliskim Wschodzie doszło do dwóch poważnych zamachów. Trzydziestoletni król Arabii Saudyjskiej został zamordowany w czasie gdy kochał się z jedną ze swych licznych żon.
Ugodzono go bestialsko długim nożem w plecy, także ostrze przeszyło ciało dziewczyny leżącej pod nim i przebiło jej serce. Rzekomy kuzyn natychmiast mianował się władcą i wydał oświadczenie, że nie spocznie dopóty, dopóki wojska arabskie nie będą kontrolować ulic Jerozolimy.
Oświadczenie miało uspokoić wszystkich mieszkańców ziem na wschód od Suezu, dowodząc, że serce króla jest po właściwej stronie, to znaczy że uparcie dąży do zagłady państwa Izrael.
Znaczącą postacią tego dramatu był jednak człowiek, który go zaplanował. Szejk Gamal Tafak natychmiast przejął teki ministerialne dwóch najważniejszych resortów: ropy i finansów. Poprzedni minister - jak wielu ludzi o umiarkowanych poglądach - opuścił kraj, by ratować życie. Tafak, genialny fanatyk, był absolutnie przekonany, że aby przywrócić Palestynę Arabom, należy w sposób bezwzględny używać broni naftowej, którą los ich obdarzył. Właśnie od tej chwili siła szejków zwróciła się w całym tego słowa znaczeniu przeciwko Zachodowi.
Kurek z ropą naftową zakręcono w styczniu - u szczytu ostrej europejskiej zimy. Sam Gamal Tafak wizytował zachodnie stolice i informował mocno zaniepokojonych gospodarzy, że tym razem, w odróżnieniu od roku 1973, nie będzie żadnych ustępstw...
- Zachodowi nie wolno dłużej wspomagać Izraela nawet szklanką wody - informował europejskich ministrów spraw zagranicznych. - Dopóki ten warunek nie zostanie spełniony, zredukujemy dopływ ropy naftowej do Europy i Ameryki o pięćdziesiąt procent.
Ogłaszamy stan blokady...
Tafak przebywał właśnie w Londynie, gdy dokonano zamachu na szacownego męża stanu, prezydenta Egiptu. Podczas snu został pobity na śmierć kolbami karabinów. Odpowiedzialna za zamach była bojówka żołnierzy pod dowództwem pułkownika Selima Sherifa, który osobiście opróżnił magazynek swego rewolweru, strzelając do konającego prezydenta. Po kilku godzinach ogłoszono, że pułkownik

Sherif jest nowym prezydentem Egiptu. Rozproszył wątpliwości kairskiego tłumu, wygłaszając mowę z balkonu.
- Zdrajca, który zasiadał przy stole z naszymi wrogami nie żyje.
Na Zachodzie nazywają nas małpami - teraz pokażemy im, co te małpy potrafią...
Aluzja Sherifa odnosiła się do artykułu napisanego przez zirytowanego waszyngtońskiego korespondenta, który nazwał pewnych autokratycznych szejków „Złotymi Małpami siedzącymi na stosach złota w swych skarbcach, podczas gdy ich ludy nadal wędrują po pustyni..." i Sherif potraktował to zdanie propagandowo, celowo wyrywając z treści artykułu i rozszerzając jego znaczenie na wszystkich Arabów.
Stało się to, czego Zachód obawiał się najbardziej. Umiarkowani przywódcy arabscy, którzy uparcie starali się przecierać drogę ku współpracy z resztą świata, zostali odsunięci. Jak zwykle, gdy w grę wchodzi wszechwładza, zaczęli brać górę ekstremiści. W Londynie, wkrótce po balkonowej mowie pułkownika Sherifa, szejk Gamal Tafak wygłosił przemówienie podczas bankietu w City - ku niemałej konsternacji swych gospodarzy..
- *„Tym razem nie będzie żadnych krajów uprzywilejowanych, jak w roku 1973. Cały Zachód musi cierpieć, tak jak my cierpimy w Palestynie; ludzie innej rasy pozbawiają nas ziemi, uciskają nasz lud, przekształcają go w uchodźców, bezpaństwowców bez nadziei i ojczyzny..." Nastał Rok Złotej Małpy.*
Do marca ta pięćdziesięcio procentowa redukcja dostaw ropy naftowej sparaliżowała życie Europy, Ameryki i Japonii. Cena baryłki wzniosła się na wyżyny trzydziestu dolarów. Cena złota osiągnęła niemal pięćset dolarów za uncję, co było zwiastunem międzynarodowej katastrofy. Szejk Gamal Tafak wracał do Dżiddy z Waszyngtonu, gdzie powiedział Amerykanom, że nie mogą mieć żadnej nadziei na zawieszenie arabskich decyzji.
Rozpad Izraela dla jednych był koszmarem, dla innych snem o potędze. Dla Gamala Tafaka, przystojnego mężczyzny z ciemnymi włosami i takąż brodą, było to marzenie bliskie spełnienia. Już za kilka miesięcy wojska arabskie pod dowództwem pułkownika Sherifa posuną się naprzód i zmiażdżą przeciwnika, zajmując jego ojczyznę.
Okupacja miała nieść z sobą surowe obostrzenia, w celu przekonania trzech milionów Izraelczyków, by raz na zawsze opuścili Palestynę.
Kluczem do planu Tafaka było sparaliżowanie gospodarki Zachodu w

takim momencie, by nie mógł zapewnić dostaw broni Izraelowi, który właśnie wtedy miał ulec zagładzie. Lecąc odrzutowcem nad Morzem Egejskim, Tafak spojrzał w dół i pomyślał, że to niezmiernie interesujące, iż powodzenie planu, który miał go uczynić najsłynniejszym Arabem dwudziestego wieku, zależy w tym momencie od dwóch Europejczyków: Anglika i Francuza.
Jean Jules LeCat miał czterdzieści dwa lata. Był człowiekiem z brutalną przeszłością, nieciekawą teraźniejszością i przyszłością bez żadnej nadziei. Wrodzona inteligencja pozwalała mu zdawać sobie z tego sprawę. Gdy więc w Algierze zaczepił go pewien człowiek -prawa ręka szejka Gamala Tafaka - Ahmed Riad, odczuł coś w rodzaju ulgi. Zdarzyło się to w tydzień po nagłym zwolnieniu go z więzienia Sante w Paryżu. Riad zaproponował LeCatowi dwieście tysięcy dolarów za spowodowanie masakry na wielką skalę.
- Formalnie tą operacją będzie kierował pewien Anglik - niebieski ptak, poszukiwacz przygód, nazwiskiem Winter - wyjaśnił Riad - ale ty będziesz tym, który zabije zakładników. Winter nie jest do tego zdolny.
- Rzeczywiście nie - odparł LeCat. - Pracowaliśmy razem przez dwa lata na Morzu Śródziemnym, zanim zostałem zdradzony i wylądowałem w Sante. Znam Wintera. Jest dość subtelny.
Przeciętnemu człowiekowi ta propozycja mogłaby się wydać bestialska, ale dla LeCata była po prostu zwykłą ofertą. Bardzo niebezpieczną operacją, w której należało wziąć udział ze względu na wysokie wynagrodzenie. W przeszłości był za pan brat z przemocą, co sprawiło, że podchodził do tej transakcji z dużą dozą cynizmu.
LeCat był owocem krótkiego związku pomiędzy arabską dziewczyną i francuskim kapitanem. Zdarzyło się to przed drugą wojną światową. Kiedy w Konstantynie, w Algierii przyszło na świat dziecko, LeCat ojciec odebrał swego syna dziewczynie. Była zadowolona z otrzymania kilkuset franków i zgodziła się nigdy więcej nie widzieć dziecka. Ojciec zabrał niemowlę do Francji.
Jego narodziny zostały zarejestrowane w Tulonie, gdzie LeCat namówił swoją przyjaciółkę, by udawała jego żonę. Wyznające kosmopolityczne poglądy dziewczę było rozbawione tym szachrajstwem, zwłaszcza że odsunięta „od łask" żona LeCata mieszkała w tym czasie w Bordeaux. Przekupiony lekarz dostarczył potrzebne dokumenty i mały Jean Jules LeCat stał się obywatelem francuskim.

Chłopaka wychowywała w Algierze ciotka, której nigdy nie ujawniono prawdy (rzeczywista żona Julesa LeCata zginęła w wypadku motocyklowym w niedługim czasie po zarejestrowaniu narodzin dziecka). W wieku siedemnastu lat, w roku 1950, zaciągnął się do wojska. Awansował po wielu latach, podczas zaciekłych walk w Algierii, gdy Arabowie walczyli o niepodległość.
Były to wydarzenia odpowiadające jego naturze. W wieku dwudziestu siedmiu lat umiał już tropić terrorystów, zastawiać na nich pułapki i wydobywać torturami zeznania. Szybko awansował na kapitana, czyli do stopnia, jaki miał jego ojciec. - Żeby schwytać terrorystę w zasadzkę, trzeba starać się myśleć tak jak on, trzeba się z nim identyfikować - to jedna z jego ulubionych maksym. Później dorzucił do tego nową: - Trzeba samemu stać się terrorystą...
Jego ojciec zmarł w najgorętszym okresie tej zażartej wojny i na łożu śmierci popełnił fatalny błąd. Powiedział Jeanowi Julesowi prawdę o jego pochodzeniu. - Twoja matka była arabską dziewczyną z Casbah...
Nie powiedział już niczego więcej, ponieważ Jean Jules, dumny ze swego francuskiego obywatelstwa, gardzący ludźmi, których chwytał, „ torturował i traktował jak zwierzęta, uderzył umierającego człowieka grzbietem dłoni.
Jean Jules nie spał od czterdziestu ośmiu godzin, a na jego kurtce jeszcze widniała krew po bezlitosnej walce na wzgórzach.
Kiedy minął szok wywołany słowami ojca, stary człowiek już nie żył.
Wezwał lekarza, który bez namysłu wypisał świadectwo zgonu; w końcu pacjent od dawna ciężko chorował...
Okrucieństwo LeCata w walce z terrorystami jeszcze się wzmogło.
Odtąd wykorzystywał swe umiejętności eksperta od materiałów wybuchowych i umieszczał na zboczach wzgórz pułapki. Nie można już było bezpiecznie dotknąć żadnego budynku gospodarczego, szopy czy nawet koryta z wodą dla zwierząt. Jego dowódca był przerażony okrucieństwem swego podwładnego.
- LeCat, zdaje się, że postanowił pan zabić wszystkich Arabów w północnej Afryce...
- Ale wtedy, mon colonel, nie będzie już żadnych terrorystów - odparł LeCat.
Kiedy De Gaulle postanowił przyznać Algierii niepodległość, a OAS - tajna organizacja założona w celu utrzymania Algierii w rękach Francuzów - podniosła bunt, LeCat przyłączył się do niej.
Jego maksyma: „trzeba samemu stać się terrorystą" urzeczywistniła

się. Stał się nim. Gdyby w Algierii było choć dwudziestu ludzi jemu podobnych, wygrana De Gaullea nie byłaby wcale taka pewna. LeCat przekształcił pół Algierii w pola minowe. Ale tylko pół. Gdy walki się zakończyły, uciekł do Egiptu, ratując swe życie.
LeCat, mówiąc płynnie po arabsku, francusku i angielsku, wtopił się w nowe egipskie otoczenie, zmienił nazwisko i opowiadał o swym zaangażowaniu w walkę z OAS. Zarobił trochę pieniędzy i zyskał przyjaźń niektórych Arabów, na przykład niejakiego Ahmeda Riada, jeżdżąc do Tel Awiwu w roli szpiega. Zyskał także reputację człowieka, który nadaje się, by go wysłać na „zabójcze przyjęcie".
Przez dziesięć lat LeCat wędrował; mieszkając na Bliskim Wschodzie, w Quebecku, w Ameryce. Angażował się w rozmaite afery kryminalne, ale nigdy nie zostawał w jednym miejscu tak długo, by dać się złapać. W 1972 roku wrócił nad Morze Śródziemne, gdzie dołączył do Anglika Wintera w czasie akcji przemytniczej. Przez dwa lata wiódł dostatni żywot, aż został aresztowany w Marsylii, osądzony za przemyt i groźną napaść na policję. Wyrok brzmiał: „skazany na długoletni pobyt w więzieniu Sante w Paryżu".
Zwolniony po jakimś czasie w tajemniczych okolicznościach, spotkał się z pewnym Algierczykiem, który wręczył mu bilet lotniczy do Algieru, pieniądze i adres kawiarni, w której poznał Ahmeda Riada.
Riad wyjaśnił, że celem tej szeroko zakrojonej akcji ma być spowodowanie wypadku, który wprawiłby w szok cały Zachód. Riad nie wyjaśnił jednak ostatecznego planu. Ogólnie projekt zakładał, że szejk Gamal Tafak, wykorzystując oburzenie Zachodu, miał przekonać wszystkich Arabów, producentów ropy naftowej, by ponownie zredukowali dostawy ropy - tym razem do zera. Wtedy, w sytuacji patowej Zachodu, otworzy się droga ku ostatecznemu atakowi unicestwiającemu Izrael.
Był marzec roku znanego jako Rok Złotej Małpy, kiedy LeCat wcielił w życie pierwszą część planu, polegającą na spowodowaniu straszliwej katastrofy, mającej wywołać przerażenie Zachodu. Zaczął organizować produkcję pewnego urządzenia nuklearnego.
10 marca, kiedy gospodarka Francji, podobnie jak wielu innych krajów, była na wpół sparaliżowana znaczną redukcją dostaw arabskiej ropy, Jean - Philippe Antoine, niski, powściągliwy mężczyzna w wieku trzydziestu pięciu lat kroczył pewnie jedną z ulic w Nantes, w zachodniej Francji. Zatrzymał się, rozejrzał w obie strony, po czym nacisnął przycisk dzwonka u frontowych drzwi domu,

gdzie mieścił się gabinet dentystyczny. Drzwi uchyliły się i ze szczeliny wyjrzała para oczu.
- Na miłość boską, proszę mnie wpuścić... - pewność siebie Francuza już nie była tak oczywista.
Oczy zniknęły, a drzwi otworzyły się szerzej, akurat tyle, by mógł wejść do środka. Stojąc w korytarzu, Antoine zamrugał w ciemności.
o godzinie dziesiątej marcowego poranka w tym starym domu nadal panował półmrok; nie zapalono światła, by zaoszczędzić energię.
Drzwi frontowe zamknęły się za nim, a klucz przekręcono w zamku.
Usta Antoinea drżały, kiedy wpatrywał się w niskiego, barczystego mężczyznę, który wpuścił go do środka., - Z pewnością powinniśmy się śpieszyć? - spytał Antoine.
- Którędy mam pójść? - Jest pan zdenerwowany? - LeCat zapalił gitana i przez kilka sekund Antoine widział jego twarz w świetle zapałki; to była okrutna twarz, o rysach zaostrzonych przez ponure doświadczenia, będące udziałem niewielu ludzi. Wąsy opadały mu w dół prawie do kącików szerokich ust, oczy, półprzymknięte z powodu płomyka zapałki, spokojnie badały Antoinea, gdy nie odpowiedział na pytanie.
- Qui, jest pan zdenerwowany, mon ami. Proszę pójść korytarzem i dalej przez drzwi. Człowiek, który tam czeka, weźmie pana do samochodu.
- Zmieniłem zdanie... - Wysiłek, jaki musiał włożyć Antoine, by wykrztusić te słowa, sprawił, że zabrzmiały niemal histerycznie. - Nie dam sobie z tym rady.
- Ależ musi pan - LeCat wypuścił dym przez nos. - Widzi pan, oni już są martwi, - tam...
Wskazując półprzymknięte drzwi prowadzące na korytarz, LeCat chwycił Antoinea za ramię. - Niech mi pan da wszystko, co pan ma w kieszeniach, i naprzód! - Wyciągnął kartę identyfikacyjną Antoinea, chwycił portfel i wsadził do niego kartę. Zabrał kółko z kluczami, notes, długopis. - A teraz tę obrączkę z palca...
- Muszę mieć ten portfel... - Antoine zdejmował obrączkę z palca, protestując - podporządkowując się jednocześnie. - Moja obrączka jest ze złota, w portfelu jest tysiąc franków i zdjęcia...
- Złoto może nie ulec zniszczeniu - LeCat wziął obrączkę. - Po eksplozji portfel może wylecieć w powietrze nawet sto metrów. Jeśli to by się stało, jeśli portfel by przetrwał, pana tożsamość zostałaby potwierdzona. Byłoby to wspaniałe, prawda?

- Twarz zbliżyła się w ciemności, podczas gdy Antoine drżał z zimna w hallu. - Mówię panu, mój przyjacielu, że oni sąjuż martwi. No, dalej!
LeCat zaczekał, aż Antoine zniknie, a potem wszedł do pokoju.
Gabinet dentystyczny. Na fotelu siedział pacjent w płaszczu, niski, szczupły mężczyzna, mniej więcej takiego wzrostu i takiej budowy jak Jean - Philippe Antoine. LeCat zbliżył się do fotela i ostrożnie włożył I obrączkę na palec bezwładnej dłoni, spoczywającej na kolanach pacjenta. Głowa mężczyzny opadła w przód, z tyłu czaszki widać było plamę krwi.
Pielęgniarka w zmiętym białym fartuchu leżała na podłodze z twarzą obróconą w dół i podkurczonymi nogami. W gabinecie było zimno, a szyba okna wychodzącego na ogród ż tyłu budynku miała obwódkę ze szronu. Od dwóch tygodni nie było dostaw ropy i zbiornik na zewnątrz był pusty. LeCat skończył umieszczać rzeczy Antoinea w kieszeniach nie żyjącego człowieka, które to kieszenie wcześniej opróżnił. Potem, po raz ostatni, rozejrzał się po pokoju.
Dentysta, w białej marynarce i ciemnych spodniach, leżał u podstawy fotela. Podobnie jak pielęgniarka i pacjent, on także nie żył.
Kwadrans przed przyjściem Antoinea ta sceneria tętniła jeszcze życiem. Dentysta leczył nowego pacjenta, zupełnie nieświadom tego, że ten nie znany mu człowiek, który umówił się na wizytę tuż przed przyjściem Antoinea, był nieszczęsnym paryskim kieszonkowcem.
LeCat przeszukał cały Montmartre, żeby znaleźć odpowiedniego człowieka, który miałby mniej więcej ten sam wzrost, tę samą posturę i był w tym samym wieku co Antoine. I który nie byłby zbyt rozgarnięty. Należało go przekonać, żeby umówił się na wizytę i.., u dentysty w zamian za niewielką sumkę. Ów nieszczęśnik dowiedział się od LeCata, że dentysta zabawia się w mamusię i tatusia ze swoją pielęgniarką, która akurat jest żoną LeCata, no i potrzebny jest świadek. Broń Boże nie dla jakiejś paskudnej sprawy sądowej, w której ujawniono by przestępstwa kieszonkowca - jak go zapewnił LeCat -jedynie po to, by dać lekcję wiarołomnej żonie.
- Teraz wszystko jest jak trzeba - stwierdził LeCat. - Spojrzał na kartę pacjenta. Leżała w na pół wysuniętej szufladzie szafki z dokumentacją. Sprawdził w wewnętrznej kieszeni swojej marynarki karty dentystyczne pacjenta. Wszystko było w największym porządku. Wrócił da ponurego korytarza, schylił się i nacisnął przycisk znajdujący się na dużym pudełku. Trzy minuty do detonacji. Zerknął na swój zegarek. Wskazówka powoli okrążała podświetloną tarczę.

Szybko przeszedł przez korytarz, przedpokój i opuścił dom tylnym wyjściem. Potem zaczął biec, schylając się poniżej górnej krawędzi muru otaczającego ogród. Wybiegł przez otwartą furtkę na oszronioną drogę, do samochodu zaparkowanego za kępą zimozielonych krzewów.
Silnik renaulta był włączony, Antoine siedział z tyłu obok innej ledwo widocznej postaci. LeCat usiadł za kierownicą, cicha zamknął drzwi i spojrzał na zegarek. Sześćdziesiąt sekund... Gwałtownie ruszył z miejsca, oddalając się od domu osłoniętego wiecznie zieloną roślinnością. Skręcał na główną drogę, kiedy usłyszał huk eksplozji.
Antoine na tylnym siedzeniu wydał krótki okrzyk przerażenia, który LeCat zlekceważył. Fala eksplozji uderzyła w bok samochodu, ale to także zignorował.
Bomba zegarowa, dziewięćdziesiąt kilo nitrogliceryny, zupełnie zniszczyła dom, a ze zwłok niewiele pozostało do zidentyfikowania.
Sześcioro ludzi w Nantes wiedziało, że Jean - Philippe Antoine miał wizytę u dentysty o dziesiątej tego ranka - zadbał, żeby przekazać tę informację - było więc jasne, że zginął podczas wybuchu. Bomba o wielkiej mocy rozerwała ciało pacjenta na kawałki, czyniąc niemożliwym ustalenie jego tożsamości, chociażby przez porównanie z dokumentacją dentystyczną. Nie odnaleziono żadnych zębów, a nawet gdyby tak się stało, karta dentystyczna Antoinea znajdowała się w kieszeni marynarki LeCata.
Zastosowanie przez LeCata tych środków ostrożności było w pełni uzasadnione. Francuski kontrwywiad nie lubi, kiedy ważny pracownik służby bezpieczeństwa ryzykuje wyjazd za granicę, by. Złożyć jakąś sekretną wizytę. A Francja właśnie straciła jednego ze swych najbardziej obiecujących fizyków nuklearnych...
Pod fałszywymi nazwiskami i z takimiż dokumentami LeCat i Antoine przybyli na lotnisko Dorval w Montrealu w czasie śnieżnej zamieci. Nie ma nic niezwykłego w tym, że dwóch Francuzów przylatuje do Montrealu, miasta, w którym niemal wszyscy mówią po francusku. Czekał już samochód, by odwieźć ich, gdy tylko przejdą przez kontrolę paszportową i dokonają odprawy celnej.
LeCat przekazał Antoinea Andre Dupontowi, który miał go eskortować w drodze do motelu, gdzie fizyk nuklearny spędzi noc. Dupont i Antoine nie zatrzymywali się długo we wschodniej Kanadzie; następnego ranka pociągiem CPR pojechali do Vancouver na wybrzeżu Pacyfiku. Tam poszli prosto do domu na Dusquesne

Street.
LeCat też nie zabawił długo. W samochodzie, który wyjechał po nich na lotnisko Dorval, znajdował się Amerykanin, Joseph Walgren, pięćdziesięcioletni były księgowy, którego LeCat poznał dość dobrze Gdy mieszkał w Denverw 1968 roku. Walgren, człowiek
o okrągłej twarzy i czujnych oczach, porzucił przed laty księgowość, kiedy namieszał coś z pieniędzmi swojego klienta. Odtąd zarabiał na życie w sposób niekoniecznie legalny. Dobę po przybyciu LeCata do Montrealu Walgren odwiózł go do granicy ze Stanami.
Zmierzali do Illinois, czyli tego stanu Ameryki w którym Walgren czuł się jak w domu. Już mieli człowieka, który wykona urządzenie nuklearne.
Teraz potrzebowali materiałów.
Dr John Gofman: *Przypuszczam, że każdy odpowiednio zdolny fizyk, powiedzmy z tytułem doktora, byłby w stanie w krótkim czasie wykorzystać pluton do skonstruowania bomby...*
Fragment programu „Sześćdziesiąt minut" telewizji Columbia
Broadcasting z 10 sierpnia 1973 roku.
Carole Bannermann prowadziła samochód zbyt beztrosko jak na tę drogę, tę pogodę i jej własne bezpieczeństwo. W Illinois, kilkanaście kilometrów od Morris, autostrada była zalana wodą po gwałtownej ulewie. Ogromne strugi deszczu sunęły w świetle reflektorów jak ruchome zasłony. Jechała około setki, ponieważ była już spóźniona na przyjęcie.
o dziewiątej wieczorem w marcu autostrada wyglądała jak pustynia.
Niewiele osób jeździło wieczorem samochodem, odkąd zaczęto racjonować benzynę. Jasnowłosa Carole - matka nazwała ją tak na cześć Carole Lombard - była zniecierpliwiona tymi niedoborami paliwa. Dwadzieścia lat ma się tylko raz i dziewczyna postanowiła maksymalnie korzystać z młodości. Niech diabli wezmą kryzys energetyczny. Wcisnęła pedał gazu, szybkościomierz powędrował w górę, a reflektory jej samochodu wierciły dziury w ciemności.
Carol była lekkomyślna, ale miała błyskawiczny refleks i bacznie obserwowała drogę. Jeszcze jakieś światło, oprócz jej reflektorów, przesuwało się w górę i w dół, jakby ktoś dawał nerwowe sygnały latarką. Jasna cholera, to jakiś głupi autostopowicz stoi pośrodku autostrady!
Wyhamowała, gotowa znów zwiększyć prędkość, gdy ominie tego człowieka w ciemności, jak tylko go zlokalizuje. Nie może przecież

zabrać do samochodu faceta
- tej porze pośrodku pustkowia? Chyba postradał zmysły... Źrenice Carole zwęziły się, zmniejszyła prędkość do mniej niż pięćdziesięciu, i oczom jej ukazała się sylwetka opancerzonego wozu stojącego w poprzek autostrady. Niewątpliwie wpadł w poślizg, obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni, a potem zatrzymał jak barykada.
Reflektory oświetliły kierowcę lub strażnika ubranego w hełm, skórzany mundur i- takie same buty, co nadawało mu wojskowy wygląd. Nie odczuwała lęku, kiedy się zatrzymała. Człowiek podszedł do niej w smugach deszczu i stanął w świetle reflektorów.
Widok takiego pojazdu gwarantuje bezpieczeństwo - tak jak widok strażnika lub patrolu drogowego. Mężczyzna trzymał wciąż w ręku zapaloną potężną latarkę. Podszedł bliżej, a strużki deszczu spływały po szybce hełmu zasłaniającego górną część jego twarzy.
Carole uspokoiła się, ale nadal była na tyle ostrożna ze względu na pustkowie, że nie wyłączyła silnika. Opuściła szybę, gdy mężczyzna podszedł do niej z boku, oparł się łokciem o dach samochodu i spojrzał na nią z góry. Zauważyła, że zerknął na tył jej dodgea.
Deszcz z szybki jego hełmu spłynął na klatkę piersiową tego niskiego, barczystego mężczyzny, kiedy patrzył w dół.
- Uderzyła w nas zasłona gwałtownej ulewy - wyjaśniał. - Joe zahamował zbyt ostro, no i tak wylądowaliśmy - odwróciło nas w jednej chwili, jak pani widzi. Ponieważ silnik przestał pracować...
Mówił z akcentem, którego nie potrafiła zidentyfikować. Zmarszczyła niespokojnie brwi. Czego od niej oczekiwał? Słyszała, iż w wozach służby bezpieczeństwa jest łączność radiowa, dlaczego więc potrzebował jej pomocy? Nadal czuła się niepewnie, ale nie wiedziała dlaczego.
Wtedy mężczyzna wykonał gwałtowny ruch. Opierając się na dachu samochodu, uderzył latarką, zadając dziewczynie miażdżący cios.
Latarka osiągnęła jej skroń z taką siłą, że śmierć nastąpiła natychmiast.
Przyjrzawszy się postaci leżącej na siedzeniu, LeCat otworzył drzwi dodgea, wyciągnął ciało dziewczyny do połowy z samochodu i oparł jej głowę o kierownicę. Potem wyprostował się i trzykrotnie dał znać błyskiem latarki w stronę zaparkowanej ciężarówki.
Druga opancerzona ciężarówka poruszała się po autostradzie z prędkością około dziewięćdziesięciu kilometrów, przestrzegając dozwolonej szybkości i rozgarniając reflektorami ciemność w

strugach deszczu. Kierowca, Ed Taglia nie miał na głowie hełmu - spoczywał on na siedzeniu obok, co było wbrew przepisom. Na tym samym siedzeniu znajdował się także Bill Gibson, który nie ruszał się bez hełmu.
- Wnerwią mnie to ograniczenie szybkości - powiedział Taglia, gapiąc się w mrok autostrady. - Po co budować drogi szybkiego ruchu, a potem kazać nam się czołgać? Kurwa mać z tymi Arabusami...
- Jest kryzys energetyczny...
- Olewam to. Chcę dostać się do domu... dość duża prędkość - zauważył starszy mężczyzna. - Jeżeli się wywalimy i ciężarówka się wybebeszy...
Taglia był zmęczony i nie odpowiedział. Starość nie radość. Zwalniasz z kobietami, z samochodami też. Gibson miał już pięćdziesiąt lat. Że też, kurwa, zgodził się wziąć udział w tej wyprawie! Sam Taglia nacisnąłby gaz do dechy i miałby wszystko w dupie. Spojrzał z ukosa przez przednią szybę, gdzie wycieraczki próbowały dać sobie radę z ulewą.
- Kłopoty - powiedział cicho Gibson. - Nie zatrzymuj się, po prostu jedź powoli, dopóki nie zorientujemy się, o co chodzi...
- Zejdź ze mnie - wiem co robić...
Podobnie jak Carole Bannermann, zwolnił dojeżdżając do światła latarki. Jedną ręką wcisnął hełm na głowę i zapiął pas pod szyją.
Gibson sięgnął po mikrofon i włączył go. - Anioł Jeden wzywa Roosevelta... Anioł Jeden wzywa Roosevelta... - Kilkakrotnie powtórzył wezwanie do bazy w Morris, potem chrząknął zdegustowany: - To pewnie przez burzę. Cholerne pudło, pełno zakłóceń...
Taglia jechał teraz powoli, zbliżając się do tego, co było przed nimi, z największą ostrożnością. Gwizdnął przez zęby. - Jeden z naszych... - W światłach reflektorów ukazała się przerażająca scena. Opancerzona ciężarówka była ustawiona w poprzek autostrady, a jej maska wczepiona w tylne drzwi zielonego dodgea. Przednie drzwi samochodu były otwarte, a jasnowłosa dziewczyna leżała połową ciała na zewnątrz samochodu, na plecach, a głowę miała opartą o kierownicę.
Ta scena natychmiast wzbudziła podejrzenia Gibsona - typowe ustawienie pojazdu w celu dokonania uprowadzenia. Po pierwsze, rzekomy wypadek samochodowy z leżącą dziewczyną, najwyraźniej ranną. Ustawienie klasyczne, ale nie zgadzały się dwa elementy:

druga opancerzona ciężarówka, której widok do pewnego stopnia uspokoił Gibsona, oraz wygląd dziewczyny.
- Podjedź trochę bliżej - polecił, pochylając się bardziej ku przedniej szybie. Reflektory oświetliły dziewczynę i Gibson zobaczył jej twarz. Powiedział Taglii, żeby się zatrzymał, i wtedy zza drugiej ciężarówki wychynęła postać w hełmie.
- Co o tym myślisz? - spytał Taglia.
- Myślę, że jest w porządku. Spójrz na jej twarz, na miłość boską. Wzywaj dalej Roosevelta - dodał otwierając drzwi.
Strażnik w hełmie z szybką czekał na niego w deszczu. Jedną rękę trzymał z tyłu, kiedy Gibson zeskoczył.
Siedzący za kierownicą Taglia miał zakłócenia w połączeniu radiowym. Strażnik, którego twarzy Gibson nie mógł dostrzec, mówił drżącym głosem. - Jechała ponad setkę na godzinę, przysięgam na Boga, że tak było. Pojawiła się po prostu znikąd...
- To nic nowego - powiedział Gibson, a fala deszczu omiotła mu twarz.
- I kończą też nigdzie. Z pewnością nie żyje.
- Nie jestem pewien... - Głos strażnika brzmiał, jakby był on w szoku. - Chyba wyczuwałem tętno na jej szyi. Kłopot w tym, że nie możemy uzyskać połączenia z bazą - dziś wieczorem są cholerne zakłócenia.
- Mamy ten sam problem - Gibson spojrzał przez ramię, żeby zobaczyć, co robi Taglia, i wtedy poczuł silne uderzenie w brzuch.
Spojrzał w dół i zobaczył colta kalibru 45. Człowiek w hełmie nacisnął spust. Potężny pocisk odrzucił Gibsona na szoferkę, a mężczyzna cofnął się i uniósł rewolwer. W kabinie Taglia, wciąż z mikrofonem w dłoni, patrzył z niedowierzaniem na Gibsona i na człowieka z coltem. Mężczyzna, którego twarzy nigdy nie ujrzeli, dwa razy strzelił do Taglii, opuścił pistolet i jeszcze raz strzelił do Gibsona. Obaj wyzionęli ducha w piętnaście sekund.
Drugi człowiek w mundurze strażnika wyłonił się zza ciężarówki, która rzekomo uderzyła w dodgea, i pobiegł przed siebie. - Kontrolowałem ich radio, nie przebili się przez hałas...
- Przestań bełkotać, Walgren i otwórz to.
LeCat znalazł kluczyki w kieszeni Gibsona i otworzył tył ciężarówki.
Wewnątrz, wzdłuż obu boków znajdowały się rzędy stalowych pudeł, a każde z nich miało wykonany szablonem napis na pokrywie. LeCat przystąpił do trudnego zadania: musiał wyłamać kluczem zabezpieczenie przy jednym z pudeł. - Miej oko na tę cholerną drogę -powiedział Walgrenowi, zmagając się z potężną kłódką. Gdy

zamknięcie trzasnęło, LeCat ponownie zapalił latarkę, ostrożnie uniósł pokrywę i zajrzał do środka. W pudle znajdowały się dwa duże stalowe pojemniki, każdy osłonięty gumową pianką, by zamortyzować wstrząsy w czasie jazdy.
LeCat podniósł jeden z pojemników za uchwyt, uśmiechając się cierpko, gdy zobaczył, że Amerykanin wycofuje się z ciężarówki.
- Przestraszony, mon ami? To świństwo jest tak bezpieczne jak mleko, dopóki nie zajmie się nim nasz wspólnik, Antoine. Jeden pięciokilogramowy pojemnik wystarczyłby aż nadto...
Wsunął ostrożnie puszkę do wzmocnionego kartonu, który Walgren przygotował na podłodze ciężarówki. Karton miał odpowiednią wielkość, ponieważ Amerykanin wiedział już wcześniej, jakie są rozmiary pojemnika. Był na nim taki sam napis ostrzegawczy, jak na stalowych pudłach. GEC, MORRIS, ILLINOIS. NIEBEZPIECZNY ŁADUNEK - PLUTON.
Tego samego wieczora, kiedy LeCat zaatakował opancerzoną ciężarówkę w Illinois, pluton został przetransportowany przez granicę amerykańską na pokładzie samolotu Beechcraft, pilotowanego przez Walgrena, który służył w czasie wojny w amerykańskim lotnictwie.
Gdy na południe od granicy zorganizowano potężną obławę, pojemnik z plutonem jechał już samochodem przez terytorium Kanady, do Vancouver. Gwoli jeszcze większej ostrożności, LeCat trzymał pojemnik przez kilka dni w pewnym domu w Winnipeg. Dopiero kiedy się wyjaśniło, że Kanadyjska Policja Konna nie zorganizowała własnej obławy, kontynuował podróż.
Antoine musiał czekać dwa tygodnie na pluton, ale dla tego francuskiego fizyka były to pracowite dni. W dużej piwnicy urządził laboratorium, używając sprzętu, który LeCat kazał tam dostarczyć.
Dla człowieka z doświadczeniem Antoinea nie było to trudne; Walgren, używając arabskich pieniędzy, już wcześniej znalazł warsztat mechaniczny, po prostu przeglądając ogłoszenia w prasie. Było w czym wybierać.
Wiele małych firm bankrutowało z powodu kryzysu energetycznego.
Fizyk nuklearny właśnie zakończył przygotowania, kiedy pewnego wieczora pod koniec marca LeCat dostarczył pluton.
Budowa urządzenia nuklearnego zajęła Antoineowi siedem miesięcy.
W tym czasie ani razu nie opuścił domu przy Dusquesne Street.
Pracował po dwanaście godzin dziennie, wyłącznie we własnym towarzystwie. Jedynie były inżynier z OAS, Varrier, wykonał

odpowiednią metalową obudowę i niektóre części według wskazówek Antoinea. Jeszcze jeden mężczyzna, czterdziestocztero letni Andre Dupont był mieszkańcem domu przy Dusquesne Street. To on wraz z Walgrenem spotkał się z nimi, kiedy przybyli do Montrealu.
Dupont spełniał podwójną funkcję: kucharza i sprzątaczki. Był to reżim jakiego większość mężczyzn nie byłaby w stanie znieść, ale Antoine był naukowcem, który żył tylko po to, aby pracować i czytać powieści Marcela Prousta. Kuchnia Duponta była znakomita - w młodości praktykował w Paryżu u Ritza, zanim odkryto, że próbuje szantażować bogatą kobietę w pewnym wieku, gościa tego hotelu.
LeCat dostarczył Antoineowi ni mniej, ni więcej tylko pięć kilogramów ponownie przetworzonego plutonu - zużytego paliwa przywróconego do swego pierwotnego stanu w zakładach GEC w Morris, w stanie Illinois. Pluton ten znajdował się w drodze powrotnej do elektrowni jądrowej, gdy został porwany przez LeCata.
Zadaniem Antoinea było wykonać urządzenie nuklearne i umieścić wewnątrz niego ładunek. Społeczeństwo, pamiętające czasy, że do skonstruowania pierwszej bomby atomowej potrzebne były ogromne zakłady, nadal wyobrażało sobie, że coś o podobnej skali jest konieczne do budowy urządzenia nuklearnego. Ogromna fabryka była potrzebna, żeby przetworzyć pluton, Antoine zaś miał już w rękach produkt końcowy.
Ustalone wynagrodzenie Antoinea za to niebezpieczne zadanie wynosiło pięćdziesiąt tysięcy nie opodatkowanych dolarów oraz paszport, umożliwiający mu rozpoczęcie nowego życia w prowincji Quebec. Z natury samotnik, był prawdopodobnie zadowolony z tych siedmiu miesięcy, jakie mu zajęło wykonanie zadania.
Zgodnie ze szczegółowymi wskazówkami LeCata, skonstruował przedmiot wielkości sporej walizki. Gdy urządzenie było gotowe, umieścił je wewnątrz specjalnie wzmocnionej walizki i nakleił na wierzchu hotelowe nalepki z różnych części świata dostarczone przez Duponta. Skrzynia była bardzo ciężka - ładunek plutonu znajdował się w grubej stalowej osłonie, by zmaksymalizować siłę detonacji -i ważyła prawie dziewięćdziesiąt kilo. Ale wyjątkowo silny mężczyzna, jakim był LeCat, mógł nieść ją na niewielką odległość jakby była zwykłą walizką.
Antoine zakończył swą pracę pod koniec października i poinformował o tym LeCata, który przyleciał z Londynu prosto do Vancouver liniami BOAC.

- Pokaż mi, jak to działa - poprosił LeCat, stojąc w piwnicznym laboratorium przed leżącą na ławce otwartą walizką.
- To uruchamia spust...
- Będę potrzebował przy tym mechanizmu zegarowego...
- Sugerowałbym...
LeCat słuchał tylko pierwszej części wyjaśnień. Będąc specjalistą od materiałów wybuchowych i pułapek, Francuz wiedział bez wskazówek Antoinea, jak sobie z tym poradzić. Pragnął tylko potwierdzenia, że będzie postępował właściwie. Fizyk nuklearny wyprodukował bombę tak potężną, że mogła zniszczyć średniej wielkości miasto.
Antoine rozważnie nie pytał, w jakim celu zostanie użyte to urządzenie; wierzył, że będzie ono sprzedane Izraelowi albo któremuś z państw arabskich za wielkie pieniądze. Francuzowi udało się przekonać fizyka, że ma zamiar wejść do tego biznesu jako producent broni. Taki był porządek rzeczy, a pięćdziesiąt tysięcy dolarów to suma, jakiej nie zobaczyłby nigdy w życiu, gdyby nadal służył swemu rządowi.
- Wyjeżdżasz dziś wieczorem - powiedział nagle LeCat.
-Zostaniesz stąd odwieziony o zmierzchu.
Antoinea zaskoczyła ta nagła decyzja. Obawa, jaką nosił w sobie od jakiegoś czasu, dała o sobie teraz znać.
-- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów...
- Przyniosę je tu za kilka godzin. Nie chcemy, żebyś wracał tą samą drogą, którą przybyłeś - przez Kanadę. Odwiozę cię do Stanów okrężną drogą, do Seattle. Stamtąd złapiesz pociąg do Chicago i znów dostaniesz się do Kanady z Ameryki. Wtedy zakończy się nasze wspólne przedsięwzięcie.
Antoine, dość sprytny w swym fachu, nie zrozumiał w pełni celu tej szarady. Skomplikowany plan jednak zrobił na nim wrażenie.
- Mogę wjechać do Ameryki bez wizy? - zapytał.
- Oczywiście! Zapominasz, że jesteś teraz obywatelem kanadyjskim, masz nowy paszport. Kanadyjczycy mogą przekraczać granicę ze Stanami wedle własnego uznania - muszą tylko okazać paszport.
Zobaczymy się dziś wieczorem.
LeCat opuścił dom wraz z walizką i pojechał na przystań promową, skąd popłynął do Victorii. Podjechał taksówką na nabrzeże, gdzie stał zacumowany trawler Pecheur, i spędził trochę czasu na pokładzie tego statku, gawędząc z kapitanem. Mijały godziny, a on rozkoszował się cudowną francuską kuchnią. Już po zmierzchu wrócił do domu przy

Dusquesne Street z całkiem inną walizką.
- Możesz przeliczyć, jeśli chcesz - powiedział LeCat - ale przed nami długa droga..
Pięćdziesiąttysięcy dolarów. Antoine otworzył kilka paczekstudolarowych banknotów i sprawdził pliki pieniędzy z uczuciem zażenowania i ulgi, co rozbawiło LeCata. Potem zamknął walizkę na klucz, który umieścił w portfelu.
- Przypuszczam, że lepiej będzie, gdy będę je zanosił do banku w niewielkich ilościach? - zauważył niepewnie.
- Tak jest - powiedział uprzejmie LeCat. - Resztę trzymaj jako depozyt w bezpiecznym miejscu. A teraz, jeżeli jesteś gotów...
LeCat zaproponował, by włożyć walizkę do bagażnika, ale Antoine stwierdził, że wolałby jechać na tylnym siedzeniu i mieć ją przy sobie.
LeCat wzruszył ramionami, usiadł za kierownicą i odjechali.
Pozostawili w laboratorium Duponta i inżyniera Varriera, by usunęli sprzęt, który Antoine rozłożył i popakował. Pojechali w kierunku wschodnim, opuścili miasto pogrążone w ciemności i dotarli do gór.
LeCat strzelił trzy razy w pierś Antoinea, gdy zatrzymali się nad brzegiem jeziora. Obciążył ciało łańcuchami, które uprzednio ukrył pod płótnem w bagażniku, ułożył je na małej łódce przycumowanej do brzegu i powiosłował daleko. Fizyk został wrzucony do jeziora, które w tym miejscu miało ponad trzydzieści metrów głębokości. LeCat wrócił do samochodu i walizki z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów.
Nie wziął tych pieniędzy dla siebie: była to część planu ustalonego z Ahmedem Ria- dem, który wynajął LeCata w Algierze. Sumę tę otrzyma załoga francuskiego trawlera Pecheur: jedną trzecią od razu, a pozostałe dwie trzecie, gdy trawler osiągnie ostateczny cel.
Kiedy wrócił na pokład Pecheura, Andre Dupont już na niego czekał. Duża motorówka wypływała właśnie w środku nocy w morze, wioząc skrzynie ze sprzętem laboratoryjnym. Podobnie jak człowiek, który używał tego sprzętu, skrzynie miały zostać wyrzucone za burtę na głęboką wodę. LeCat, perfekcjonista w dbaniu o szczegóły, upewnił się, czy Dupont czegoś nie przeoczył.
Jego podwładny nie przeoczył niczego. Gdy LeCat odjechał z fizykiem nuklearnym, Dupont starannie odkurzył pokoje, usuwając wszelkie odciski palców. Podobnie potraktował odkurzaczem piwnicę i inne pomieszczenia, by usunąć wszelkie drobinki lub nitki z ubrań, które mogłyby się wydać interesujące policji. Policyjny sprzęt, jeśliby się taki w ogóle pojawił, też użyłby specjalnego odkurzacza, żeby

odnaleźć ślady. Ale Dupont starannie wszystkie usunął. Odkurzacz też powędrował za burtę, razem ze sprzętem laboratoryjnym.
Nie było też prawdopodobne, że policja pojawi się w domu przy Dusquesne Street przez następne sześć miesięcy, ponieważ LeCat wynajął go na rok i zapłacił z góry. LeCat sprawdził to miejsce osobiście następnego ranka, zamknął dom na klucz i wrócił
z Dupontem na trawler.
Koniak został dostarczony.
Telegram tej treści nadał pod pewnym adresem w Paryżu, skąd okrężną drogą przekazano wiadomość szejkowi Gamalowi Tafakowi, który był wtedy w Arabii Saudyjskiej w mieście Dżidda. Zamiast słowa „koniak", Tafak odczytał „urządzenie nuklearne". Wcześniej otrzymał dwie inne podobnie zaszyfrowane wiadomości od LeCata: pierwsza donosiła o „śmierci" Antoinea w Nantes, a następna potwierdzała zdobycie pojemnika z plutonem. W dniu, w którym wysłał swą ostatnią wiadomość, LeCat wrócił do, Europy.
Był październik i nadszedł czas, by sprowadzić Anglika, Wintera, żeby przeprowadził swoją część operacji.
Winter.
Pochodzenie tego angielskiego poszukiwacza przygód, z którym LeCat już pracował uprzednio dwa lata, było zupełnie nieznane.
Pojawił się pewnego dnia nad Morzem Śródziemnym, jakby się zmaterializował. Poszukiwał dobrze płatnej pracy i wynagrodzenia wolnego od podatków, zajęcia dającego odrobinę ekscytacji.
Pragnął odegnać od siebie nudę, która zawsze próbowała go dopaść. Po raz pierwszy spotkał się z LeCatem w Tangerze.
Nikt nigdy nie poznał jego prawdziwego nazwiska i nie zbliżył się do niego na tyle, by być z nim po imieniu. W śródziemnomorskim podziemiu, gdzie zarabiał na życie, znany był po prostu jako Winter.
Mierzył ponad metr osiemdziesiąt, był trochę po trzydziestce. Miał szczupłą sylwetkę i sprężysty krok. Z poważnych brązowych oczu bił jakiś chłód, który koledzy uważali za niepokojący. Pewien rodzaj rezerwy zniechęcał do jakiejkolwiek zażyłości. Ale po kilku minutach ludzie nabierali przekonania, że ten lodowaty Anglik jest przebiegły.
Jego osobowość wywierała nieokreślony, hipnotyzujący wpływ; był poszukiwaczem przygód i wydawało się, że zawsze dokładnie wie, co robi.
W owym czasie LeCat szukał partnera, któremu mógłby zaufać, co automatycznie wykreślało wszystkich jego poprzednich

współpracowników. Winter w mig zorientował się, o co LeCatowi chodzi. - Chcesz przemycić papierosy z Tangeru do Neapolu? Zapomnij o motorówkach i jachtach - wszyscy ich używają. Bądź oryginalny - użyj trawlera.
- Trawlera? - zdumiał się LeCat, gdy pili wino w barze przy tangerskim porcie. - To szaleństwo - trawler się wlecze. Każdy może cię złapać.
- Jeżeli cię szuka...
Winter wyjaśnił LeCatowi w ciągu dziesięciu minut nową strategię przemytu papierosów. Włoska policja i strażnicy dokładnie wiedzieli, jakiego typu statku mają szukać. Było tak, jak powiedział LeCat: używa się przecież motorówki lub szybkiego jachtu. Winter zaproponował zdobycie tysiąctonowego trawlera, w którym duży ładunek papierosów, powiedzmy sto ton, z łatwością może zostać ukryty pod ośmiuset tonami ryb.
Nie próbowano by transportować w ciemności ładunku na brzeg z małych łodzi - co robi się zazwyczaj - ale popłynięto by do Neapolu w biały dzień, udając normalny statek rybacki. Kto by tam miał podejrzenia w stosunku do trawlera? Wszyscy przecież wiedzą, że do przemytu potrzebna jest szybka łódź...
Gdy Winter spytał o finanse, LeCat przyznał, że jest agentem pewnego francuskiego syndykatu, grupy biznesmenów z Marsylii, którzy nie przejmują się zbytnio przestrzeganiem prawa. W bardzo krótkim czasie LeCat kupił 100- tonowy trawler Pecheur - za pieniądze dostarczone przez francuski syndykat, a także przekupił załogę niby - rybaków, składającą się głównie z dawnych kumpli LeCata - terrorystów z OAS. Przemyt okazał się złotym interesem, dopóki włoski syndykat nie zaczął robić szumu wokół całej sprawy.
- Pewnego wieczora ci ludzie spotkają się z nami z dala od wybrzeża Neapolu - ostrzegł LeCat. - Uważają, że polujemy na ich terenie.
A włoska metoda zniechęcania konkurencji może być szybka i skuteczna.
I znów Winter opracował pewien plan, gdy siedzieli przy stoliku w tangerskim porcie. Pomysł został przedstawiony francuskiemu syndykatowi, którego władze jeszcze raz znalazły się pod wrażeniem planu Wintera. Pod zbyt dużym wrażeniem, jak na gust LeCata...
Tymczasem Anglik zorganizował - w drodze powrotnej z Włoch do Tangeru - przemyt cennych dzieł sztuki skradzionych we Włoszech. Obrazy te osiągały wysokie ceny u niektórych amerykańskich i

japońskich milionerów.
Winter kazał usunąć z trawlera fokmaszt i zbudować platformę nad jedną z ładowni. Z platformy tej mógł łatwo startować i lądować na niej helikopter Alouette. LeCat narzekał na koszty, ale szefowie francuskiego syndykatu zlekceważyli jego uwagi, co nie zwiększyło sympatii Francuza do Wintera.
Pecheur odbył kolejne rejsy do Neapolu bez żadnych kłopotów. Nikogo nie niepokoiła obecność helikoptera na głównym pokładzie statku, po tym jak Winter wspomniał od niechcenia włoskiemu celnikowi, że maszyna służy do wyszukiwania znad powierzchni wody ławic ryb. Wtedy właśnie konkurencyjna organizacja przemytnicza -włoski syndykat - uderzyła.
Pecheur płynął dwadzieścia mil od włoskiego wybrzeża, kiedy Winter dojrzał przez lornetkę zbliżającą się do nich z dużą prędkością motorówkę. Była pełna uzbrojonych ludzi i nie odpowiadała na sygnały radiowe z Pecheura. Winter, utalentowany pilot - nikt się nigdy nie dowiedział, gdzie nabył tę umiejętność - wystartował helikopterem z najbystrzejszym z dawnych kumpli LeCata z OAS, Andre Dupontem.
Przelatując nad statkiem włoskiego syndykatu po raz pierwszy, Dupont zrzucił na jego pokład bombę dymną. Przy drugim nawrocie, gdy Winter utrzymywał maszynę nieruchomo zaledwie około piętnastu metrów nad przesłoniętym dymem pokładem, Dupont zrzucił dwie bomby termitowe. W ciągu kilku sekund łódź stanęła w płomieniach; uzbrojeni przemytnicy przesiedli się szybko na szalupy. Gdy Winter ponownie wylądował na pokładzie Pecheura, musiał użyć całej swej umiejętności przekonywania, żeby powstrzymać LeCata od zaatakowania łódek pełnych bezradnych ludzi. Francuz wydawał właśnie polecenie kapitanowi Pecheura, kiedy Winter wrócił na mostek kapitański.
- Zmień kurs! Kieruj się prosto na nich! Walnij w nich! - nakazał LeCat.
- Utrzymuj poprzedni kurs - cicho powiedział kapitanowi Winter. - Celem tej akcji - poinformował LeCata - jest uświadomienie im, że wojna z nami nie popłaca. Ci ludzie to Sycylijczycy - gdy ich zabijesz, rozpocznie się wendeta. I tak będą mieli dość kłopotów, kiedy wrócą do domu w tym stanie. - Schodząc z mostka odwrócił się w drzwiach: - Jeśli nie będziesz utrzymywał poprzedniego kursu - powiedział uprzejmie do kapitana - złamię ci rękę...

Wypadek ten był ważki z dwóch powodów. Stworzył precedens, który Winter wykorzystał później na dużo większą skalę, oraz podkreślił ogromną przepaść, jaka istniała między LeCatem a nim, jeśli wchodziło w grę ludzkie życie. Dla Anglika zabijanie to czyn odrażający i należy go unikać za wszelką cenę, chyba że jest absolutnie konieczne. Dla Francuza była to normalka, tak jak na przykład mycie zębów.
Kilka miesięcy później, mając świadomość, że takie sukcesy nie mogą trwać wiecznie, Winter wycofał się z przemytnictwa. Osiadł w Tangerze i jął rozkoszować się korzyściami, jakie dzięki niemu osiągnął; zatrzymawszy się w jednym z najlepszych hoteli, dzielił luksusowy apartament najpierw z młodą Angielką, potem z Kanadyjką.
Na samym początku wyjaśnił obu dziewczynom, że małżeństwo jest świetnym układem, ale dla innych ludzi.
Właśnie wtedy, gdy tak sobie odpoczywał, wybuchł pierwszy naftowy kryzys na świecie.
Był rok 1973.
Winter obserwował z pewną dozą cynizmu sposób, w jaki arabscy szejkowie niezwykle bezczelnie wydawali rozkazy Europie, mówiąc ministrom spraw zagranicznych, jak mają postępować. Nie mógł natomiast nadziwić się reakcji świata, że pożera ropę bez względu na cenę. Winter zupełnie inaczej poradziłby sobie z tymi nuworyszami.
Ocena Wintera, że przemyt nie może trwać w nieskończoność, okazała się słuszna. LeCat - po rozszerzeniu operacji na południowe wybrzeże Francji - został złapany z ładunkiem w Marsylii. Aresztowano go, ale dopiero po pościgu ulicami miasta, w czasie którego zdążył złamać jednemu żandarmowi nogę, drugiemu zaś rozbić czaszkę.
Został skazany na długoletnie więzienie i osadzony w Sante w Paryżu.
Winter słyszał potem, że Francuza zwolniono w tajemniczych okolicznościach. Nie spodziewał się, że kiedykolwiek znów spotka LeCata.
Anglik, który wiedział, co się dzieje na wybrzeżu Morza Śródziemnego, słyszał, że Pecheur wypłynął w morze przed aresztowaniem LeCata i udał się przez Cieśninę Gibraltarską w nieznanym kierunku. Nie wiedział natomiast, że LeCat, używając tym razem funduszy arabskich, kupił statek od francuskiego syndykatu. Trawler odbył długą przeprawę przez Atlantyk do Wysp Karaibskich,

przepłynął przez Kanał Panamski, a potem popłynął wzdłuż wybrzeża Kalifornii do portu Victoria w Kanadzie. Stał tam zakotwiczony przez niecały miesiąc, zanim skontaktowano się z Winterem.
Od kilku tygodni Anglik wiedział, że ktoś go obserwuje. Zasięgnął poufnych informacji, a niewielka suma pieniędzy zmieniła właściciela. Dowiedział się, że ludzie, którzy go śledzą, są Arabami. Ponieważ nigdy nie zrobił niczego takiego, co mogłoby podpaść Arabom, zakładał, że rozważają złożenie mu jakiejś propozycji. Zostało wymienione pewne nazwisko. Ahmed Riad. Winter słyszał, że ma on powiązania z szejkiem Gamalem Tafakiem, chociaż nigdy nie widziano ich publicznie razem.
Do tej pory Anglik zdołał sobie wyrobić prostą i brutalną opinię na temat Zachodu: stracił wolę życia. Gdy szejkowie po raz pierwszy odcięli dostawy ropy, od których zależał dosłownie byt Zachodu, przywódcy europejscy wpadli w panikę. Podejmowali desperackie próby zgarnięcia całej ropy, jaką udało im się znaleźć. Płacili każdą cenę, jaką szejkowie zechcieli ustalić w OAPEC, przyjmując wschodnich władców w różnych stolicach jak swoistych panów stworzenia. Wtedy Winter podjął decyzję: dokona jednego wielkiego numeru za forsę i wyrwie się z tego na zawsze.
Postanowił, że sprzeda swe umiejętności za milion dolarów - nawet przy inflacji powinno mu to wystarczyć do końca życia. W latach siedemdziesiątych taka kwota mogła pochodzić tylko z jednego źródła - od szejków arabskich. Gdy więc Ahmed Riad spotkał się z nim w listopadzie, Winter powitał go z przesadnym zadowoleniem.
Jednak po trzydziestu minutach rozmowy z Riadem na jednym z tangerskich dachów, Winter znalazł się daleko od swojej wymarzonej krainy szczęśliwości.
- Prosicie mnie o zorganizowanie operacji, którą większość ludzi uznałaby za niemożliwą - powiedział Winter wyraźnie zniecierpliwiony.
Riad był zażywnym, niskim mężczyzną o surowym wyrazie twarzy.
Był ubrany w zachodnie ubranie. Na jego lnianym garniturze pod pachami widoczne były plamy potu. Siedział zwrócony twarzą do słońca. Takie usytuowanie przygotował Winter przed przybyciem Araba. Nie tylko upał powodował, że Riad się pocił: czuł się nieswojo w obecności Anglika.
Wcześniej Winter skłonił go, żeby udzielił mu wszelkich wyjaśnień, odmawiając ustalenia warunków, zanim dowie się dokładnie, na czym

będzie polegało jego zadanie. Riad kłamał przekonująco, zapewniając Wintera, że będzie miał absolutne zwierzchnictwo nad operacją.
LeCat, z którym już się skontaktowano, będzie jego podwładnym.
- Celem tego planu - mówił - ma być wywarcie nacisku na Amerykę i Wielką Brytanię, by przestały uzbrajać Izrael.
Planowano uprowadzenie brytyjskiego statku z Zachodniego Wybrzeża i doprowadzenie go do jednego z amerykańskich portów. Wtedy miano przedstawić żądanie przerwania dostaw broni do Izraela.
Członkowie brytyjskiej załogi statku byliby zakładnikami do czasu spełnienia żądania.
Winter szybko pojął, że to będzie sprytna gra sił.
Amerykanie będą się wahać przed podjęciem ostrych środków, tam gdzie będzie wchodziło w grę życie obcokrajowców.
- Oczywiście, nie ma mowy, żeby wyrządzić krzywdę zakładnikom - kontynuował Riad.
To też miało sens: niektórzy arabscy politycy próbowali wbić klin pomiędzy Wielką Brytanię a Amerykę, ostatnią więc rzeczą, jakiej by pragnęli, byłoby zwrócenie Wielkiej Brytanii przeciwko sobie.
- Wasz pomysł, to znaczy LeCata, co do sposobu porwania statku jest oczywiście do bani - od razu podkreślił Winter.
Przedstawił w zarysie własny plan, który przyszedł mu do głowy w trakcie rozmowy. Błysk w oku Riada oznaczał, że właśnie zdobył duży punkt.
- Prosicie mnie, żebym zorganizował operację, którą większość ludzi uznałaby za niemożliwą, a więc opłata musi być rozsądna -oznajmił Arabowi.
- Rozsądna? - Riad zmrużył oczy od słońca. Mówiono, że ten człowiek jest twardym negocjatorem.
- Z mojego punktu widzenia - oświadczył chłodno Winter.
-Inaczej nie jest to warte ryzyka. Za kierowanie tą akcją żądam milion dolarów.
- To niemożliwe! - Riad uniósł się w swym krześle.
- Odchodzisz? - spytał Winter wyraźnie już zniecierpliwiony.
- To zupełnie niemożliwe - powtórzył Riad, opadając powoli na krzesło. - Nie możemy nawet dyskutować o podobnej sumie.
- Zgadzam się. Ja też nie jestem przygotowany na jakąkolwiek dyskusję o pieniądzach. Albo przyjmujecie moją propozycję, albo zapomnijcie o tym całym pomyśle.

- Obrażasz mnie... -- Riad siedział na brzegu krzesła, jakby miał zamiar zaraz odejść. - Jesteś taki, jakimi byli wszyscy ludzie z Zachodu, zanim odkryli, że nie mogą się obejść bez naszej ropy...
- To nie jest wasza ropa. Tak się akurat złożyło, że wasi przodkowie rozbili namioty we właściwym miejscu. To my musieliśmy jej szukać i wiercić szyby za was. - Winter nalał sobie kubek kawy i postawił dzbanek na środku stołu. - Jeśli chcesz jeszcze kawy, jest trochę w dzbanku...
Muszą mnie strasznie potrzebować, pomyślał. Arabowie stawali się coraz bardziej pyszałkowaci i aroganccy; osiągnęli taki stan ducha, szczególnie chodzi tu o szejków, że nie istniało nic prócz pychy. To niebezpieczne połączenie - największa potęga ekonomiczna świata i niepohamowana duma. Czy Zachód nie dostrzega tej mieszanki wybuchowej?
- Jesteśmy przygotowani, żeby zapłacić fortunę za twoją współpracę - powiedział sztywno Riad. - Możemy dać ci sześćset tysięcy dolarów. Ani centa więcej.
- Jeśli uważacie, że moja propozycja podlega negocjacjom, to zapomnijcie o tym.
- Sposób bycia Wintera mroził krew w żyłach.
Riad, który wpatrywał się w jego nie zmrużone, brązowe oczy, musiał odwrócić wzrok. Ponieważ uchodził za człowieka bystrego, zaczęło to w końcu do niego docierać: Winter mówił serio.
- Nie możesz tak po prostu ustalać tej kwoty - powiedział Arab w przebłysku intelektu. - To my cię zatrudniamy! To od nas zależy, jaką opłatę zaoferujemy.
- Zgadza się.
- Słucham?
- Rzeczywiście od was zależy podjęcie decyzji, na co was stać.
Anglik przerwał, ponieważ Arab aż zamrugał powiekami słysząc taką sugestię. Podejrzewano go wyraźnie, że ma za mało pieniędzy.
- Z drugiej strony dla twoich mocodawców milion jest taką sumą, którą mogliby zgubić po drodze do banku i niekoniecznie po nią wracać...
- To przecież fortuna!
- Może dla ciebie, Riad.
- Znowu mnie obrażasz.
- Więc wynoś się do diabła z tego dachu i daj mi spokój - sarknął Winter zjadliwie.

- Zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle chcę się w to pakować - ryzyko jest olbrzymie.
Ten nie kontrolowany wybuch złości przestraszył Araba. Miał wrażenie, że za chwilę Winter sam opuści dach. A Riadowi ciągle brzmiały w uszach ostatnie słowa Gamala Tafaka.
„Potrzebujemy tego Anglika, Ahmed. On może działać na Zachodzie nie wzbudzając podejrzeń. Nasi szpiedzy w przemyśle naftowym są wszędzie obserwowani przez zachodnie służby specjalne.
Także wchodzi tu w rachubę statek pod brytyjską banderą. Nawet jeśli musiałbyś prowadzić negocjacje przez tydzień, musisz go przekonać, i w końcu zaproponuj mu kwotę, jakiej zażąda".
Tydzień! Siedzieli na tym dachu nieco ponad pół godziny, a już Riad dygotał wewnętrznie z wściekłości i obaw. Był wzburzony, że Anglik traktuje go tak oschle, a jednocześnie obawiał się, że może go stracić.
- Mogę podwyższyć do siedmiuset tysięcy - rzekł.
- Z pewnością. - Winter zgasił papierosa na spodeczku. - I możesz złapać pierwszy powrotny samolot do Dżiddy i oświadczyć swoim mocodawcom, że ci się nie udało.
- To ja prowadzę te negocjacje.
Anglik spojrzał na niego bez słowa, okazując gestem, że tę sugestię uważa za absurdalną.
- Muszę się skonsultować z pewnym komitetem... Winter spojrzał na zegarek, wyjął portfel i położył pieniądze za kawę na stoliku.
- Nie możesz się spodziewać, że decyzja zapadnie w ciągu godziny...
Anglik wstał, zapinając marynarkę.
- Milion. To jest najwyższa suma...
Negocjacje trwały dokładnie trzydzieści pięć minut. Ustalono, że milion dolarów zostanie wpłacone do banku w Bejrucie; Winter był przekonany, że żaden bank na Zachodzie nie będzie bezpieczny po zakończeniu tej operacji. Otrzymał sto tysięcy dolarów na bieżące wydatki oraz paryski numer telefonu, pod którym mógł się kontaktować z LeCatem. Do Paryża poleciał następnego dnia.
Trzeciego listopada ranek w mieszkaniu na lewym brzegu Sekwany z OAS.
Nie wziął pod uwagę planów LeCata i zastąpił je. Własnymi. LeCat, sprytny i pomysłowy, gdy działał według czyjegoś planu, nie był w stanie wymyślić własnego.
- To zabawa w piratów - stwierdził kategorycznie Winter, gdy Francuz przedstawił mu własną koncepcję uprowadzenia brytyjskiego

frachtowca. - Twój pomysł kolizji z innym statkiem na morzu to czysta fantazja. W każdym razie statek, który uprowadzimy, musi być tankowcem przewożącym ropę. Ma niewielką załogę - około trzydziestu ludzi, wystarczające zapasy paliwa, a przede wszystkim platformę, na której może lądować nasz helikopter, gdy statek znajduje się na morzu...
Winter sprawdził grupę terrorystów zebraną przez LeCata. Było tam wielu ludzi znanych mu jeszcze z czasów przemytu na trawlerze Pecheur. Nie był zachwycony niektórymi z nich, ale było już za późno na dokonywanie zmian: Godzinę Zero wyznaczono na styczeń.
- Tylko upewnij się, że potrafisz nad nimi zapanować - powiedział Winter Francuzowi. - Zakładnikom nie może się stać żadna krzywda.
- Riad już mi to powiedział - odrzekł Francuz z na wpół przymkniętymi oczyma.
Winter opuścił Paryż następnego dnia i poleciał do Londynu. Najpierw sprawdził transfer dwudziestu pięciu tysięcy dolarów z banku paryskiego do banku w City, którą to przesyłkę zorganizował przed opuszczeniem Paryża. Pieniądze były. Odebrał książeczkę czekową i uzbrojony w nią pojechał taksówką na Mount Street, gdzie znajdowała się agencja sprzedaży nieruchomości Mayfair. Na wystawie znalazł ogłoszenie dotyczące posiadłości, jakiej szukał. Reklama z błyszczącym zdjęciem głosiła: „Wspaniała rezydencja we Wschodniej Anglii. Do wynajęcia na pół roku". Po krótkiej dyskusji z agentem wynajął samochód i pojechał do Wschodniej Anglii, gdzie zatrzymał się na noc w hotelu Kings Lynn.
Następnego dnia miejscowy subagent pokazał mu posiadłość, dokładnie taką, jakiej potrzebował.
Rezydencja Cosgrove otoczona była parkiem. Dwadzieścia akrów ogrodzonego terenu kryło ją zupełnie przed niepożądanymi oczami.
Od razu ubił interes, wyjaśniając, że jego rodzina przyjedzie z Australii za kilka tygodni. Półroczny czynsz zapłacił z góry czekiem z londyńskiego banku, wystawionym na nazwisko George Bingham.
Następnego ranka wrócił do Londynu, zarezerwował pokój w hotelu Brown przy Albemarle Street - znów posługując się nazwiskiem Bingham. Pojechał taksówką do Lloyda, znanej firmy zajmującej się transportem morskim i ubezpieczeniami. Ubrany w tweedowy garnitur, w okularach bez oprawki, wyglądał jak autor książki zbierający materiały do publikacji o kryzysie naftowym.
Zasięgnął pewnych informacji o przemieszczeniach statków, zajrzał

do znakomitej Shipping Register - codziennej publikacji odnotowującej bieżące pozycje wszystkich pływających jednostek. Sprawdzenie statków pływających po zachodnim wybrzeżu Ameryki zajęło mu kilka godzin, ale gdy stamtąd wychodził, był niemal pewien, że znalazł odpowiedni obiekt. Następnego dnia poleciał liniami Polar Route prosto do Los Angeles i tam złapał samolot do San Francisco.
Joseph Walgren, pięćdziesięcioletni były księgowy, który przed ośmioma miesiącami pomógł LeCatowi porwać opancerzonąciężarówkę w Illinois (o czym Winter nie wiedział), już na niego czekał.
Zawiadomiony telegramem przez LeCata Amerykanin oczekiwał Wintera na międzynarodowym lotnisku. Od razu doszło między nimi do nieporozumienia z powodu niezbyt wykwintnego hotelu, jaki Walgren zaproponował Anglikowi.
- Jest za tani - zdecydował Winter,. Gdy Amerykanin wiózł go do miasta. - Jeśli zatrzymujesz się w kosztownym hotelu, policja w każdym kraju zakłada, że jesteś kimś ważnym. Wynajmę pokój w hotelu Huntingdon na California Street.
Przez trzy dni poruszyli niebo i ziemię, byli niemal wszędzie.
Winter w nieustannym ruchu okrążał miasto, by zapoznać się z jego planem, dojechał aż do Oleum, terminalu naftowego, i zbadał hrabstwo Marin na północ od miasta. Jakby tego nie było dość, wynajął łódź motorową i spenetrował wybrzeże Zatoki San Francisco. Zanim opuścił miasto i nieco osłabionego Walgrena, Winter zostawił mu pewne instrukcje. - Amerykanin miał się udać na krótki wypad do Meksyku. Dał mu też sporą sumę pieniędzy.
Czwartego dnia Winter opuścił San Francisco i wyjechał do Kanady.
Odwiedził też trawler Pecheur, nadal zakotwiczony w doku portu Victoria. Mimo iż wizyta była krótka, zdążył się upewnić, że zarząd portu jest usatysfakcjonowany obecnością statku i stwierdził, że LeCat zrobił, co do niego należało. Występując w roli agenta i używając arabskich pieniędzy, nie tylko odkupił Pecheura od francuskiego syndykatu, lecz także utworzył Światową Radę Badań Biologicznych Morza z siedzibą przy ulicy St. Honoře w Paryżu. Formalnie przewodził jej Francuz, Bernard Oswald.
Badania morza były najnowszym naukowym hitem, świadczyły o postępie, należało się więc w nie zaangażować. Władze kanadyjskie nie zastanawiały się zbytnio nad przybyciem trawlera i jego pobytem w porcie Victoria. Było zupełnie tak jak wtedy, gdy Winter

przekonywał włoskiego celnika w Neapolu, że używa helikoptera Alouette na pokładzie Pecheura do wyszukiwania z powietrza ławic ryb. Podobne argumenty zastosowano na użytek urzędników kanadyjskich.
- Wyląduje tu helikopter Sikorsky, zanim udamy się na Galapagos. Do pewnych miejsc, które chcemy zbadać, można dotrzeć tylko tą maszyną...
Urzędnik portowy uznał Georgea Binghama, brytyjskiego badacza morza za sympatycznego faceta i stało się dla niego zupełnie jasne, dlaczego Pecheur nadal przebywa w porcie: czeka na przybycie helikoptera.
W czasie pobytu w San Francisco Winter znalazł dość czasu, by zorganizować z Wal- grenem zakup i dostawę helikoptera Sikorsky.
Miał przylecieć do Kanady pilotowany przez znajomego człowieka, który latał kiedyś beechcraftem, ale niekoniecznie musiał umieć latać helikopterem...
Dwadzieścia cztery godziny po przybyciu do Kanady Winter znajdował się już w drodze na Alaskę. Spędził trzy tygodnie w Anchorage. Największe miasto Alaski, położone nad Zatoką Cooka, było miejscem pierwszego odwiertu ropy w tym stanie. Gdy dzisiaj ludzie mówią o ropie z Alaski, mają na myśli wielkie zagłębie na Zboczu Północnym, ale teraz, gdy Winter przebywał w Anchorage, jedyna ropa, jaka płynęła z Alaski do Kalifornii, dwa tysiące mil na południe, pochodziła z Zatoki Cooka. Tankowce
- jeden z nich brytyjski -kursowały wahadłowo w tę i z powrotem, przewożąc rozpaczliwie potrzebną ropę do San Francisco.
Podczas swej długiej podróży Winter widział wiele oznak tego, jak dalece pięćdziesięcio procentowa redukcja dostaw ropy, sterowana przez szejka Gamala Ta- faka, sparaliżowała gospodarkę Zachodu.
Samoloty się spóźniały z powodu niedostatecznej ilości paliwa; po dziesiątej wieczorem Kalifornia tonęła w ciemnościach. A jednak nie podjęto żadnych skutecznych działań wobec szantażu szejków.
Był początek grudnia, gdy Winter wrócił do, Europy.
- Czy pojawiły się już jakieś pogłoski o naszej operacji? - To było pierwsze pytanie, jakie Amerykanin zadał LeCatowi po powrocie do Paryża.
- Jeszcze nie - odparł LeCat - ale zorganizowałem już nasłuch w różnych krajach.
Rozmawiali po francusku, w jednym z czterech języków, jakimi biegle

władał Winter. To pytanie miało nie byle jakie znaczenie.
Gdy organizuje się zadanie na tak wielką skalę, jest prawie pewne, że nastąpi przeciek informacji. Był to w pewnym sensie wyścig z czasem -należało rozpocząć operację, zanim pogłoski o niej wydostaną się na zewnątrz. Winter uważał, że te punkty, w których prowadzono nasłuch, powinny ostrzec ich, gdyby sprawa stawała się głośna. LeCat widział to zupełnie inaczej. Gdyby ktoś zaczął wypytywać, a on by o tym usłyszał, zastosowałby drastyczne środki. Prawdopodobnie oznaczałoby to czyjąś śmierć.
Larry Sullivan, człowiek trzydziestodwuletni, był w tym samym przedziale wiekowym co Winter i podobieństwo między nimi na tym się nie kończyło. Sullivan także prezentował typ samotnego wilka. Było to jednym z powodów, dla których jego kariera w wywiadzie marynarki wojennej dość nagle się skończyła; porucznik Sullivan nie znosił głupców - nawet jeśli byli w randze admirała. Gdy mu zasugerowano - nienawidził ludzi, którzy coś sugerowali, a nie mówili wprost -że jego wspinaczka po szczeblach kariery będzie stale blokowana, jeśli nie stanie się bardziej ustępliwy, on powiedział, co o tym myśli zupełnie wprost: - Możecie sobie wsadzić tę robotę w dupę. Tak powiedział swojemu zwierzchnikowi.
Miał duży zasób wiedzy i doświadczenia więc nie miał, kłopotów ze znalezieniem zajęcia. Zatrudnił się jako specjalista od roszczeń w biurze Lloyda. W odróżnieniu od marynarki wojennej czasów pokoju, metody działania tej unikalnej instytucji dalekie są od skostnienia; cieszy się ona sławą firmy niezależnej i kultywującej tradycje. Takie jej oblicze zna społeczeństwo, gdy tymczasem zakulisowo łamie ona wszelkie prawa, jeśli jest to jedyny sposób osiągnięcia celów. Tylko Brytyjczycy mogli stworzyć taką instytucję, która - jakże zasłużenie - słynie na świecie ze swej uczciwości. I Sullivan świetnie do niej pasował.
Ten uśmiechnięty człowiek o pociągłej twarzy i szczupłej sylwetce miał metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i bujne ciemne włosy. Uważany był przez kobiety za tak interesującego, że z roku na rok odkładał wszelkie plany małżeńskie. Jego praca była równie unikalna, jak organizacja, dla której pracował. Prowadząc dochodzenia w sprawach podejrzanych roszczeń ubezpieczeniowych - a były to niebagatelne sumy, nawet dwadzieścia milionów funtów w przypadku jednego statku - sam nic nie znaczył dla świata zewnętrznego. Żył z dnia na dzień.

Nie umiał się na nikim oprzeć ani nikomu wydawać rozkazów, ale to zahamowanie miało swoje zalety. Nie stosował też zbytnich ograniczeń co do metod działań. Kombinował jakoś dzięki kontaktom i przyjaźniom, także dzięki ludziom spoza świata żeglugi.
Uwielbiał znać urzędników policji na całym świecie, by móc telefonować do ludzi z Interpolu, być z nimi na „ty", a także uczestniczyć w konferencjach tej instytucji, na których i mówił, i słuchał. Był też jednym z najbardziej upartych ludzi, jacy stąpali po powierzchni ziemi. - Zróbcie z nim coś, zwalcie go nam z pleców - to zdanie często można było usłyszeć za jego plecami. „Wypożyczony" przez Lloyda jego klientowi, firmie Harper Tankships, zaczął w styczniu zasięgać informacji w sprawie pewnych pogłosek.
Piątego stycznia wieczorem Sullivan był w Bordeaux, sprawdzając najlepiej działającą pocztę pantoflową w świecie żeglugi: bary na nabrzeżu, gdzie spotykali się i wymieniali informacje marynarze.
Nie był ubrany elegancko: miał niezbyt czysty sweter i poplamione spodnie, na to narzucił wyświechtany płaszcz. Taki dobór ubrania miał pomóc ludziom, z którymi rozmawiał, by czuli się mniej zakłopotani.
„Cafe Bleu" był marnym barem usytuowanym frontem do nabrzeża, jakich pełno w każdym portowym mieście. Chmury niebieskawego dymu krążyły na różnej wysokości jak stratocirrusy, lampy też były zasnute oparami, nieprzyjemny odór alkoholu, dymu i ludzkiego potu słał się wokoło.
Sullivana zawsze zdumiewało to, że ludzie żyjący na statkach całymi tygodniami w gromadzie, z chwilą wyjścia na ląd znów pędzą, żeby przebywać razem w atmosferze, w której tlen występuje w szczątkowych ilościach.
- Koniak - powiedział do barmana, Henriego. - Za trochę informacji mogę też stracić trochę pieniędzy...
- Dawno pana nie widzieliśmy panie Sullivan... - Henri, tęgi mężczyzna o niskim czole i w białej, zadziwiająco czystej marynarce, przesunął kieliszek koniaku w jego kierunku.
- Harper Tankships - sprzęt brytyjski. Możliwe, że... czeka ich z trochę kłopotów. Tak przynajmniej głosi plotka.
- Nic nie wiem o tym... - Henri pochylił się do przodu, żeby wytrzeć kontuar tuż przy łokciu Sullivana, i ściszył głos: - Proszę spytać Georgesa, to ten w berecie, w końcu baru...
- Ty go spytaj.

Henri wzruszył ramionami, skończył pucowanie i poszedł ze ściereczką do samego końca zatłoczonego baru. Siedział tam niski mężczyzna w czarnym berecie.
- Georges też nic nie wie o tej pogłosce.
- I dlatego tak szybko się zmywa? - Może jego statek odpływa, a może jego kobieta czeka... Kto by tam znał problemy innych ludzi?
Henri zaczekał, aż Sullivan wyjdzie z baru, a potem zadzwonił. Nie był pewien, ale chyba zna człowieka, który płaci od czasu do czasu za wiadomość o tych, co węszą po nabrzeżu...
Sullivan obserwował dzwoniącego Henriego zza uchylonych drzwi toalety. Opuścił bar innym wyjściem. Być może nic to nie znaczyło, ale po wyjściu szedł na wszelki wypadek blisko witryn zamkniętych sklepów, jak najdalej od nabrzeża. W mglisty wieczór łatwo wbić nóż w plecy człowieka, gdy trzy metry niżej kotłuje się woda przysłonięta oparami mgły. Tak łatwo można do niej wrzucić ciało. Tego wieczora odwiedził jeszcze dziewięć barów.
Sullivan dzień po dniu posuwał się na północ wzdłuż wybrzeża Atlantyku, przemierzając drogę od portu do portu, grasując po barach i burdelach, i co wieczór zadając te same pytania. Zawsze otrzymywał te same negatywne odpowiedzi. Wprawdzie kilka razy marynarze mówili, że być może coś wiedzą, ściszali głos i ostrożnie rozglądali się wokół.
Ustalano kontakt, zwykle następnego ranka, ale nikt nigdy nie przyszedł na umówione spotkanie.
Bordeaux... La Rochelle... Brest... Hawr... Ostenda... Antwerpia.
Byli tacy, którzy obserwowali przemieszczanie się Sullivana na północ wzdłuż wybrzeża, śledzili jego trasę na mapie zachodniej Europy, wyrwanej ze szkolnego atlasu i przypiętej do ściany paryskiego mieszkania na lewym brzegu Sekwany.
Zadzwonił telefon.
Bordeaux.
Anglik... Sullivan. Wypytuje o Harper Tankships...
Czterdziestocztero letni Andre Dupont, ten sam, który pomógł Winterowi unieszkodliwić motorówkę włoskiego syndykatu, zrzucając na nią bombę termitową, przekazał tę wiadomość starszemu mężczyźnie, niskiemu i barczystemu, którego twarz z wąsami była widoczna jedynie jako cień w półmroku pokoju.
- Paryż przeżywał kolejne zmniejszenie napięcia w sieci. LeCat odebrał telefon.

- Następnym razem nie wymawiaj nazwy tej firmy - nie chcesz chyba skończyć w jakiejś alejce z czerwonym półksiężycem na gardle? Siedź go... La Rochelle... Brest... Hawr...
Nazwy miejscowości zaznaczono kółkami na mapce z atlasu, a daty wizyt Sullivana w każdym porcie starannie notowano. - Wróci do domu do Belgii - przewidywał LeCat.
- Zrezygnuje i złapie prom z Ostendy. Niczego się nie dowiedział.
- Co to za człowiek, ten Sullivan?
- Agent z Lloyda. Usłyszał jakąś plotkę, nic więcej. Winter mówił, że jest to nieuniknione. Jak myślisz, po co wydajemy te wszystkie pieniądze, żeby uciszyć tych, co za dużo gadają? Ja bym załatwił taniej - za pomocą noża. Ale nasz Winter...
Ostenda... Antwerpia...
- Nie wraca do domu - powiedział Andre. - Jak na człowieka, który nie uzyskał żadnej odpowiedzi na swoje pytania, jest bardzo wytrwały. A jeśli pojedzie do Hamburga?
Hamburg...
9 stycznia Sullivan przybył do Ostendy. 9 stycznia Ross przybył do Hamburga.
Arnold Ross, dyrektor firmy Ross Tankers Ltd., Zarejestrowanej na Bermudach, był człowiekiem, który robił imponujące wrażenie.
Mierzył ponad metr osiemdziesiąt, był szczupły, nosił melonik i miał ciemny wizytowy garnitur jak z "Savile Row". Jego czarne buty lśniły jak powinny, złote spinki do mankietów połyskiwały dyskretnie, gdy zdejmował swój kosztowny płaszcz. Z pewnością zrobił wrażenie na Paulu Hahnemannie, dyrektorze do spraw konstrukcji hamburskiej stoczni Wilhelm Voss.
- Jesteśmy zainteresowani zbudowaniem w naszej stoczni tankowca o wyporności pięćdziesięciu tysięcy ton - zwrócił się do Rossa.
- Koszt, termin dostawy i wszystkie sprawy zasadnicze nie uległy zmianie - odparł Ross, wyglądając za okno na stocznię. - Ta oferta jest bardzo niezobowiązująca, a ponadto dość poufna na tym etapie.
- Oczywiście, panie Ross. Zapewniamy dyskrecję. Czy może pan podać jakieś szczegóły dotyczące statku, o jaki panu chodzi?
- To ma być coś bardzo podobnego do Cheftaina, statku, który zbudowaliście dla Harper Tankships.
Wszyscy w Wilhelm Voss byli pod wrażeniem Arnolda Rossa, bardzo charakterystycznego Anglika. Gdy mówił, robił krótkie przerwy między wyrazami, gładząc przy tym od niechcenia wypielęgnowane

ciemne wąsy. Wydawało się, iż Ross ma rację, że statek Chieftain jest bardzo. Podobny do statku, o jaki mu chodzi. Rozłożono na stole kreślarskim rysunki techniczne tankowca, a Ross spędził mnóstwo czasu studiując je i zadając pytania na temat linii i konstrukcji statku.
Hahnemann, człowiek zbudowany jak stodoła, który zaczynał pracę codziennie
o siódmej rano, a dobrze było, jeśli zdołał wyjechać do domu w Altonie o dziewiątej wieczorem, zrozumiał powód konieczności zachowania tajemnicy.
- Przez dziesięć lat budowaliśmy statki w Japonii. Prezes uważa, że powinniśmy kontynuować tę politykę. Chciałbym dobrze przygotować cały ten projekt, zanim mu powiem, o co mi chodzi - wyjaśnił Ross Hahnemannowi.
Ross rozluźnił się nieco przy obiedzie, opowiadając o swoim domu w Yorkshire,
o posiadłości w Belgravii, do której wyjeżdżał na weekendy, i o swej pasji strzeleckiej. Wszystko to mieściło się w wyobrażeniach Hahnemanna o trybie życia bogatych Anglików.
Po południu zadzwonił telefon z siedziby Ross Tankers w Londynie.
I znów zachowano dyskrecję: kobieta, która telefonowała, przedstawiła się jako panna Sharpe. Hahnemann podał słuchawkę Rossowi, pochylonemu nad kolejnym planem Chieftaina. Ross kilka razy bąknął tak", i "nie", a w końcu powiedział "do widzenia".
- Zawsze musi się coś zdarzyć, gdy mnie nie ma w firmie - zauważył cierpko i wrócił do oglądania rysunków.
Opuścił stocznię o szóstej wieczorem i wrócił do zajazdu Atlantic, najdroższego hotelu w Hamburgu.
- Chcę przemyśleć w samotności pańskie propozycje - rzekł do Hahnemanna, kiedy dyrektor zaproponował mu spędzenie wieczoru w mieście. - Muszę zrobić trochę notatek, a ponadto nie jestem zapalonym bywalcem klubów nocnych.
Wszystko to pasowało dokładnie do wyobrażeń Hahnemanna o raczej surowych zasadach postępowania Anglika, który wprawdzie podróżuje po świecie, ale naprawdę dobrze czuje się jedynie w swej posiadłości w Yorkshire.
- Proszę nie robić na razie żadnych kosztorysów - powiedział Ross, gdy podawali sobie dłonie. - Proszę się ze mną nie kontaktować, zanim nie zorientuję się we wszystkim. Gdy już będę gotów, kosztorysy będą pilnie potrzebne.

- Sam pan nam wyznaczy czas - powiedział z uśmiechem Hahnemann. - Dużo nocnej pracy i mocnej czarnej kawy. Nawiasem mówiąc, zbudowaliśmy bliźniaczy statek, tankowiec Chaflenger.
- Odezwę się prawdopodobnie za... dwa lub trzy miesiące.
Ross wsiadł do swego samochodu. Nie pomachał na do widzenia ani nie obejrzał się. Ostatnim wizerunkiem eleganckiego Anglika był tył jego głowy, gdy samochód szybko mijał bramę.
Dyrektora Hahnemanna niełatwo było wyprowadzić w pole. Zaintrygowało go zastrzeżenie Rossa, gdy zadzwonił do niego po raz Pierwszy z Londynu, by Hahnemann w żadnym wypadku nie próbował się z nim kontaktować. Mówił, że sprawa jest wyjątkowo poufna.
Zachowanie w tajemnicy zapytania ofertowego to nic niezwykłego, ale Hahnemann był człowiekiem ostrożnym i nie łatwowiernym. Sprawdził wszystko tuż przed przybyciem Rossa do jego biura.
Zadzwonił do Ross Tankers w Londynie i poprosił o rozmowę z panem Arnoldem Rossem. Telefon odebrała panna Sharpe, asystentka Rossa. Wyjaśniła, że pan Ross jest za granicą i zaoferowała ewentualną pomoc. Kto mówi? Hahnemann powiedział, że to sprawa, osobista i odłożył słuchawkę. Oczywiście że pan Ross był za granicą - jest w Hamburgu i właśnie opuszcza hotel Atlantic, by udać się do stoczni firmy Wilhelm Voss.
Judy Brown odłożyła słuchawkę po wykonaniu telefonu do Hamburga i oglądała krytycznie swoje paznokcie. Będzie musiała jeszcze raz je pomalować przed wyjściem z Rossem tego wieczora.
Rozejrzała się po mieszkaniu na Maida Vale; co za nudny facet z tego Rossa; wszystko tu jest takie zwykłe: meble, dekoracje. Bezduszne.
Czy nie było to jedno z mieszkań, które wynajmuje się na tygodnie, żeby zabawić się z dziewczyną w czasie nieobecności żony? I kim, u diabła, jest ta panna Sharpe?
Robota była trochę dziwna, ale Judy Brown miała swoje zdanie na ten temat. Jako sekretarka podejmująca prace dorywcze, zdążyła się już przyzwyczaić do dziwacznych zajęć, komicznych ludzi, ale to obecne było z pewnością najśmieszniejsze. Jeszcze raz spojrzała na pytania, które zadawała przez telefon, a które podyktował jej Ross.
Dotyczyły statku o nazwie Mimosa, płynącego z Latakii do jakiegoś Milford Haven. Nawet nie wiedziała, gdzie to jest.
Miała zadawać te pytania telefonując do Hamburga, czekać na odpowiedź Rossa i zadawać kolejne pytania. I przedstawić się jako

panna Sharpe. Idiotyzm. Dzieciak by to potrafił. Ale wynagrodzenie było godziwe.
Ross zatrudnił jąza pośrednictwem agencji, po czym obiecał dodatkowe dwadzieścia funtów, jeżeli zrobi dokładnie to, o co ją poprosił. Pieniądze miały przybyć pocztą następnego dnia, w piątek, jeśli dobrze wykona swoje zadanie.
- Będzie tu pani przychodzić codziennie o dziewiątej trzydzieści i wychodzić o czwartej trzydzieści po południu przez cały tydzień -powiedział Ross. - Mogą być telefony
- proszę je zanotować i zostawić kartkę na stole. Jeśli przyjdzie moja żona, może coś chcieć pani podyktować.
- I to wszystko? - zapytała Judy.
Ross, wysoki i szczupły, pochylił się i zawahał. - Proszę nie mówić żonie o mojej podróży do Hamburga. Ona nie wie, że tam będę. Jadę w interesach... - dorzucił tajemniczo.
Judy rozumiała. Wyglądało na to, że ma jakąś dupę za granicą.
Ale nadal nie rozumiała, jak do tej układanki pasuje ten hamburski telefon. To było w czwartek. Przychodziła codziennie, ale telefon nie zadzwonił ani razu. Pani Ross też się nie zmaterializowała. W piątek, dzień po telefonie do Hamburga, zadzwonił do niej Ross.
- Jeśli chodzi o te dodatkowe pieniądze, proszę zajrzeć do książki Burkes Peerage"... i przerwał połączenie, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. Znalazła dużą czerwoną książkę, otworzyła ją i wyjęła zza okładki nowiutki dwudziestofuntowy banknot.
Do wieczora nadal nie było żadnych telefonów ani pani Ross.
Porządna stara torba, pomyślała Judy. Odebrała wynagrodzenie z agencji i kupiła sobie nowy lakier do paznokci.
Antwerpia... Rotterdam... Brema... Hamburg.
- Dotarł do Hamburga - powiedział Andre Dupont, odkładając słuchawkę w paryskim mieszkaniu na lewym brzegu Sekwany.
-Zatrzymał się w hotelu Berlin. Mam numer i adres. Przejechał pół Zachodniej Europy - od granicy hiszpańskiej niemal aż po Bałtyk...
- Nie bądź pozerem - rzekł LeCat. - Mapa mówi sama za siebie. On jest w Hamburgu. Teraz zadzwoń jeszcze raz do Gastona, którego wysłałem wcześniej - tak na wszelki wypadek. Sullivana trzeba zabić.
- Winterowi się to nie spodoba...
Andre przerwał, ponieważ drugi mężczyzna spojrzał na niego ponuro, zaciskając usta. Andre przestraszył się i sklął w duchu za to, że w ogóle otworzył usta. Nie czuł się bezpiecznie, gdy przebywał z tym

mężczyzną nawet w tym samym pokoju, a byli razem już prawie od tygodnia, śledząc trasę, którą przemierzał Sullivan.
- Sullivana trzeba zabić - powtórzył. - Jest teraz w Hamburgu.
A Winter nie musi o tym wiedzieć. Trzeba zainscenizować wypadek, oczywiście. Bójka marynarzy w jakimś barze... Ten Angol lubi przecież odwiedzać bary. Zorganizuj to.
LeCat mówił tak, jakby załatwiał dostawę mięsa na weekend. Nie odbiegało to wiele od prawdy. Był właśnie sobotni wieczór.
Tego dnia w hotelu Berlin Sullivan poczuł się doskonale po kąpieli.
A jeszcze lepiej po wypiciu drinka w barze, w którym nie było ani jednego marynarza, bardzo niewiele dymu i z pewnością żadnego wyczuwalnego odoru ludzkiego potu. Po raz pierwszy od tygodnia był odprężony. Jeszcze lepiej poczuł się po zjedzeniu posiłku w jadalni, w kształcie koła, gdzie obsługa była świetna, a dania wyśmienite.
Polędwica na przepyszny stek pochodziła z północnych Niemiec.
Rozpływał się w ustach. Sullivan przysłuchiwał się dwóm biznesmenom, którzy rozmawiali po niemiecku przy sąsiednim stoliku o kryzysie naftowym.
- Te arabskie świnie znowu przykręcają śrubę...
- Nie, znowu zakręcają kurek. To ten łajdak, Tafak. Chyba mają zamiar jeszcze raz uderzyć na Izrael...
Czuł się tak znakomicie po kolacji, że postanowił znów zabrać się do roboty. Poszukiwania do tej pory nie przyniosły żadnych rezultatów. Jednak czegoś się przecież dowiedział. Istnieje coś, czego warto szukać. Nie można przejechać wzdłuż
całego wybrzeża Atlantyku, od Bordeaux do Hawru, a potem dalej, do Belgii i Holandii aż po Niemcy, proponując zapłatę za informacje, i nie być przy tym narażonym na próby oszustwa w postaci oferowania jakichś zmyślonych informacji.
Niby nie można, ale to właśnie spotkało Sullivana.
Skończył pić kawę i odtworzył w myślach przebieg ostatniego tygodnia. Nikt nie próbował go oszukać, nikt nie miał zamiaru wykorzystać jego oferty, a co ważniejsze
- nikt nawet nie zapytał, ile zapłaci za informacje. Sullivan, który dobrze znał brać marynarską, znał tylko jeden powód: strach.
Znowu sprawcą był kryzys energetyczny. Sullivan musiał czekać godzinę na przybycie taksówki, która zabrała go spod hotelu Berlin do Reeperbahn. Przybył do dzielnicy nocnych klubów tuż po północy.
Podczas swojej ostatniej bytności w Hamburgu widział tu jarzące się

blaskiem neony, teraz było to inne miasto.
Reeperbahn to hamburskie Soho; nocne kluby rozmieszczone po obu stronach ulicy, a w ich witrynach prowokujące fotografie dziewcząt. Spelunki marynarskie ukrywały się w wąskich bocznych uliczkach, teraz jeszcze ciemniejszych, kiedy wyłączono uliczne latarnie.
Sullivan zatrzymał się przed barem New Yorker i odetchnął głęboko. Znów ta sama atmosfera: dym, pot i ścisk.
Dym wewnątrz tego baru na uboczu Reeperbahn był o północy tak gęsty, że jego klienci marynarze stanowili niewyraźne szare sylwetki. Tytoń z rozmaitych krajów zatruwał atmosferę, a w tle słychać było obcojęzyczną paplaninę. Barman Max Dorf nigdy nie słyszał o Harper Tankships. - Dzisiaj się nie słyszy tak wiele, panie Sullivan -wyjaśnił. - Ludzie nie mówią już tak dużo...
- Nawet za pięćset dolarów?
- To dużo pieniędzy, panie Sullivan. Chyba nie ma ich pan przy sobie?
- Czy wyglądam na idiotę?!
Tęgi marynarz we francuskim berecie, siedzący na stołku obok Sullivana, kołysał się na boki, wymawiając niemieckie słowa z silnym obcym akcentem.
- Wyglądasz na cholernego idiotę, bracie... i właśnie wywaliłeś mojego drinka... - Niemal zrzucił Sullivana ze stołka. Anglik zachwiał się, ale jakoś odzyskał równowagę i cofnął się między ludzi. - Więc zamów mi innego - prawił dalej marynarz, stając przed Sullivanem zanim wbiję ci zęby do gardła...
Tęgi mężczyzna z grubą szyją krzyczał i kołysał się na krótkich, grubych nogach. Bełkot głosów klientów baru za plecami Sullivana ucichł. Nie musiał się rozglądać, by wiedzieć, że jest ośrodkiem zainteresowania, i wyczuwał kłopoty. Zanosi się na trochę rozrywki: ktoś tu ma oberwać...
- Chcesz się bić? - pytał marynarz.
- Nie wysilaj się, Francuziku - głos Sullivana kipiał gniewem.
Dłoń Francuza wysunęła się, obnażając krótki nóż o szerokim ostrzu.
Ludzie cofnęli się, robiąc wolne miejsce. Pijany marynarz przestał się kołysać, wytrzeźwiał w mgnieniu oka i rzucił się do przodu. Ktoś wydał odgłos, jakby w przewidywaniu dźgnięcia nożem. Przez dym widać było jakiś ruch, tym razem poruszył się Sullivan.
Kopnął marynarza w prawe kolano, doskoczył do jego boku, złapał za nadgarstek, wykręcił go i przygniótł do krawędzi drewnianego kontuaru. Złamane palce wypuściły nóż, a marynarz wydał jęk.

Sullivan, który zazwyczaj był łagodnym człowiekiem, wpadł teraz w szał. Marynarz z okaleczonymi palcami nadal szarpał się przy barze.
Sullivan podciął mu nogi, poczekał aż upadnie, po czym złapał mężczyznę za kostki i pociągnął na tyły baru. - Zjeżdżajcie stąd -wrzasnął. Usunęli mu się z drogi, gdy ciągnął zwrócone twarzą w dół ciało po ziemi. Otworzył nie domknięte drzwi na tyłach baru i pchnąwszy je plecami, zaciągnął marynarza do biura Maxa Dorfa.
Pomieszczenie było prawie puste. Stał tam segregator, krzesła i stół z rozrzuconymi papierami. Sullivan puścił kostki marynarza, dźwignął Francuza na stół i złapał go za długie włosy. Max Dorf wszedł do biura, ale zatrzymał się. - Wołaj policję albo spadaj
- wrzasnął do niego Sullivan. - Dorf ulotnił się, zamykając za sobą drzwi.
Sullivan zakręcił włosy Francuza wokół swojej dłoni. - Potrzebuję informacji - powiedział kategorycznie - i ty mi ich dostarczysz, chyba że chcesz mieć złamane palce drugiej ręki.
- Ja nic nie wiem...
- Nie będziesz używał swoich rąk przez sześć miesięcy. - Sullivan szarpnął i niemal wyrwał połowę włosów Francuza. - Teraz, kurwa mać, lepiej dobrze mnie słuchaj. Przez tydzień jeździłem wzdłuż wybrzeża Atlantyku, wypytując ludzi, i ty dobrze o tym wiesz.
Teraz musisz mi udzielić odpowiedzi...
- Ja nic nie wiem...
Marynarz wrzasnął, bo Sullivan wyrwał mu garść włosów i chwycił następną. - Kto stoi za tankowcem firmy Harper? Kto macza palce w całej tej sprawie? Musi to być ktoś potężny - takie pieniądze, które muszą wydawać, żeby zamknąć ludziom usta, nie rosną na drzewach. Czyje to pieniądze?
- To arabskie pieniądze... - Twarz marynarza przybrała barwę popiołu, z trudem łapał powietrze. - Tak słyszałem. Baryłki pieniędzy idą na tę operację...
- Jaką operację? I który to tankowiec?
- Nie wiem... - Marynarzowi niemal kurczył się mózg. - Biorę Boga na świadka, że nie wiem. Jakiś Anglik, Winter, kieruje tym wszystkim...
- Kto to jest Winter?
- Nigdy go nie spotkałem. Znam tylko nazwisko... - W jego oczach pojawił się nagle chytry wyraz. Zaczął odzyskiwać zimną krew. - Mogę dostać drinka? - wymamrotał półgębkiem.
- Jasne... - Sullivan sięgnął na półkę i złapał wypełnioną do połowy

butelkę wina.
Rozwalił ją o kant stołu i machnął wyszczerbioną szyjką przed oczyma Francuza, który wlepił w niego przerażony wzrok. - Nie mówisz całej prawdy - powiedział Sullivan dziwnie cichym głosem. - Jeżeli nie chcesz, żebym tego użył, mów dalej.
Próbowałeś mnie zabić...
- Byłem pijany...
- Byłeś trzeźwy jak Świnia - powiedział cicho Sullivan. Widziałem jak na mnie skoczyłeś z tym nożem. Kto cię wynajął, żebyś mnie uśpił na zawsze? - Przesunął rozbitą butelkę do przodu.
Marynarz podniósł lewą, nie uszkodzoną dłoń, żeby odparować cios.
- Na miłość boską, przestań... Zadzwonił do mnie z Paryża jakiś człowiek, nazywa się Dupont. Czasem robię różne rzeczy dla niego... próbował gestykulować prawą dłonią. - Mam złamaną rękę - zaskomlał.
- Mnie by wynieśli stąd nogami do przodu. Kto kieruje tą operacją?
- Paryż... tak słyszałem. - Twarz wykrzywiła mu się z bólu, gdy spojrzał żałośnie na swoje bezwładne palce. - Nie wiem kto. Po prostu Paryż...
Francuz zemdlał, opadając ciężko na kolana i zsuwając się po krawędzi stołu. Jego głowa spoczęła na stosie papierów jak na poduszce.
Rankiem w niedzielę 12 stycznia Sullivan zadzwonił pod domowy numer telefonu Pierrea Voisina z Interpolu. Francuski policjant miał prywatne dochody, w związku z czym nie był tak bardzo przekupny.
Mieszkał przy ulicy Bac. Tak się złożyło, że jego mieszkanie znajdowało się zaledwie o rzut kamieniem od domu, w którym LeCat i Dupont śledzili wędrówkę Sullivana po francuskich portach.
- Jak się masz, przyjacielu? - spytał Voisin.
- Omal mnie nie zamordowano ubiegłego wieczora. Zaległa cisza, a potem policjant stwierdził: - Zadajesz zbyt dużo niebezpiecznych pytań.
Sullivan chwycił słuchawkę nieco mocniej. Nigdy nie było wiadomo, czego się spodziewać po Voisinie; lubił czasem robić aluzje. - Co masz na myśli? - spytał.
- To jest twój zawód - jeździsz i zadajesz pytania, a czasem są one niebezpieczne. Nic ci nie jest?
- W porządku. - Sullivan nadal nie był przekonany. - Przepraszam, że cię niepokoję w domu, ale to dla mnie pilne. Słyszałeś kiedykolwiek o

Angliku nazwiskiem Winter? Winter, czyli zima, tak jak pora roku...
- Nie, nigdy. - Tym razem nie nastąpiła już cisza. - Ale mógłbym to dla ciebie sprawdzić, właściwie nawet dziś rano. Mamy lekkie zamieszanie, jak mawiają twoi rodacy, więc muszę iść do biura.
Będą tam też ludzie od kartotek. - Voisin zachichotał. - To niesłychane, prawda
- Francuzi pracują w weekend? Nadeszły trudne czasy, i ci nasi arabscy przyjaciele są kłopotliwi...
Sullivan podał mu numer w hotelu Berlin i odłożył słuchawkę. Puścił mimo uszu tę aluzję Voisina, ale jego tak naprawdę nigdy nie można było do końca zrozumieć... Tu wzmianka o "naszych arabskich przyjaciołach", tam wynajęty francuski zamachowiec wspomina o "arabskich pieniądzach"...
Było to mniej niż trzcinka na wietrze, ale zaczął się już rysować pewien obraz: Arabowie, Paryż to już jest jakaś nitka. Poczuł ulgę, że jego stary znajomy, Francois Messmer z francuskiego kontrwywiadu miał przyjechać nazajutrz do Hamburga. To także było dziwne.
Zadzwonił do paryskiego mieszkania Messmera przed telefonem do Voisina. Ku zdumieniu Sullivana, Messmer przerwał natychmiast rozmowę, mówiąc że będzie w hotelu Berlin w poniedziałek rano.
Stało się to po tym, gdy Sullivan wymienił nazwisko "Winter". Chyba Messmer też coś o nim słyszał.
Voisin zatelefonował tuż przed obiadem. - Nie mamy żadnych danych o tym angielskim przestępcy, o którym wspominałeś. - Voisin był oschły i bardziej urzędowy niż rano. - Oficjalnie nic o nim nie wiadomo - dodał.
- A nieoficjalnie?
- Wspomniałem o tym nazwisku moim przyjaciołom, którzy nie zajmują się polityką
- ciągnął nieco sarkastycznie. Mówił o ludziach, o których wiedział, że nie mają żadnych ambicji politycznych i dlatego można było sądzić, że są prawdomówni. - Żaden z nich nigdy nie słyszał o tym człowieku. Przykro mi.
- Dziękuję za telefon.
- Uważaj na siebie, Larry. Zawsze zadajesz te swoje pytania, których pewni ludzie nie chcą słyszeć. Au revoir!
Nieco później, w niedzielne popołudnie 12 stycznia, gdy Sullivan czekał w Hamburgu na przybycie Francoisa Messmera, a Winter przyjechał do rezydencji Cosgrove we wschodniej Anglii - szejk Gamal

Tafak odbywał tajne spotkanie na skraju syryjskiej pustyni, ponad trzy tysiące kilometrów od Hamburga.
- Teraz mogę wyjawić plan - mówił cicho Tafak - zamysł, który straszliwie wstrząśnie naszymi przyjaciółmi z Zachodu...
Przerwał, spoglądając wzdłuż stołu ustawionego w namiocie. Siedziało przy nim pięciu mężczyzn o surowych rysach twarzy, w tradycyjnych strojach arabskich - pięciu przywódców najbardziej ekstremistycznych grup terrorystycznych na Bliskim Wschodzie. Na zewnątrz wiał wiatr od góry Hermon, wprawiając w drżenie płótno namiotu. Odgłos ten brzmiał jak trzepot skrzydeł sępa.
- Zanim nasze wojska wciągną Izrael w ostateczną wojnę -mówił Tafak - musimy najpierw unieruchomić Zachód, by nie mógł"" zapewnić żadnych nowych dostaw broni do Izraela, tak jak w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim. W związku z tym musimy mieć pretekst, by odciąć dostawy ropy na Zachód. Całej ropy - powtórzył dobitnie. - Ich gospodarkę dotknie całkowity paraliż. Przewiduję jednak, że trudno będzie przekonać wszystkie państwa arabskie, by przyzwoliły na tę redukcję. Musimy więc stworzyć atmosferę, która będzie sprzyjała takiej zgodzie. Musimy spowodować, by kraje zachodnie oburzyły się na nas, podniosły krzyk i nazwały nas znów Złotymi Małpami. Wtedy wszystkie kraje arabskie zgodzą się na nasz plan.
- Jak tego dokonamy? - spytał człowiek o pokerowej twarzy, siedzący na prawo od Tafaka.
- Doprowadzając do niewyobrażalnej katastrofy. Jeśli to nie spowoduje arabskiej jedności, jeśli na przykład Kuwejt nie zechce z nami współpracować, to grupy sabotażowe, które utworzyliście, polecą tam i wysadzą szyby naftowe w powietrze.
Gamal Tafak był na swój sposób otwartym człowiekiem. Smutkiem napawała go myśl, że uświęcone miejsca Arabów w Jerozolimie znajdują się w rękach znienawidzonych Izraelczyków. Ale był też człowiekiem, który bez żadnej litości jest zdecydowany doprowadzić Zachód do ruiny w celu osiągnięcia zamierzonych założeń. Nie przepadał za tymi pięcioma Arabami, z którymi się tu spotykał.
Przewidział nawet dzień, w którym zostaną zgładzeni, gdyby nowi władcy Arabii Saudyjskiej i Egiptu mieli się utrzymać przy władzy.
Jest to wieczny dylemat ekstremisty - spogląda przez ramię i widzi jeszcze większych ekstremistów niż on. Terror to eskalacja działań.
- A w jaki sposób - mężczyzna o poważnej twarzy obrzucił

spojrzeniem Tafaka
- możemy wzbudzić oburzenie Zachodu uprowadzając ten brytyjski tankowiec? Nie dowiedzieliśmy się żadnych szczegółów, nawet nie wiemy, gdzie się ten incydent wydarzy-
- Szczegóły podam przy naszym następnym spotkaniu - odparł Tafak.
- Ale już teraz mogę uchylić rąbka tajemnicy: ma to związek z pokaźną bombą, która zniszczy miasto. - Tafak coraz częściej lubił posługiwać się teatralnymi gestami. Wstał. - Mówię
o San Francisco.
- Kiedy rok temu Gamal Tafak przybył do Paryża, zażądał zwolnienia przestępcy Julesa LeCata z więzienia Sante. Myślę, że to wszystko zaczęło się właśnie wtedy, Larry...
Framcois Messmer, pracownik francuskiego kontrwywiadu, zatrzymał się nad brzegiem jeziora, by zapalić znów gauloisa.
Jezioro Aussen - Alster w Hamburgu jest większym z dwóch jezior w centrum miasta i właśnie tutaj, w dużym parku można było porozmawiać bez ryzyka podsłuchu.
W poniedziałek 13 stycznia w Hamburgu było zimno. Ostra zima, ostrzejsza niż w ubiegłym roku - nawet natura wydawała się być po stronie szejków - zmroziła Łabę i pokryła jezioro warstwą lodu. Obaj mężczyźni byli w ciepłych paltach, a północny wiatr mroził ich twarze.
- Z pewnością wykracza to poza granice możliwości... nawet szejka - sugerował Sullivan. - Musimy gdzieś przystanąć.
- Tak sądzisz? - spytał Messmer z nutą sarkazmu w głosie. Był niskim, krępym mężczyzną po pięćdziesiątce, z twarzą o małpich rysach. - Myślę, że to lekcja, którą Brytyjczycy muszą sobie jeszcze przyswoić: nie ma kresu i żadnych ograniczeń tam, gdzie zaczynają działać Złote Małpy. Trzymają zachodnie cywilizacje za gardło i mają zamiar to gardło ścisnąć, aż zaczniemy dyszeć, łaknąć ropy jak powietrza. W krajach, gdzie wchodzi w grę władza absolutna, ekstremiści ruszają, by zabić. Zabili już, w całym tego słowa znaczeniu, króla Arabii Saudyjskiej i prezydenta Egiptu. Tafak jest fanatykiem... i może go zastąpić jeszcze większy fanatyk. Kiedy więc zagroził, że jeszcze bardziej zredukuje dostawy ropy, nasz rząd ustąpił.
- Wypuścił przestępcę?
- Nieoficjalnie. Oficjalnie LeCat, którego aresztowano w Marsylii za nielegalną działalność, nadal przebywa w Sante, ale w odosobnieniu.
Oznacza to, że nikt go nie widuje - Messmer uśmiechnął się kwaśno.
-To tak jak z tym człowiekiem w żelaznej masce z powieści Dumasa.

W odosobnieniu przebywa jakiś biedny frajer, którego nazywają LeCatem, ale z tego, co słyszę... - Messmer wzruszył ramionami.
- Co to ma wspólnego z Anglikiem o nazwisku Winter?
- Winter jest wspólnikiem LeCata...
Szli powoli po śniegu wzdłuż brzegu jeziora. Na skutej lodem powierzchni usiadła mewa; w oddali, na drugim brzegu widać było bloki mieszkalne i hotele. Pobliską autostradą przejechało kilku rowerzystów. Żadnych samochodów.
- Powiedz mi coś o tym człowieku, o Winterze - poprosił Sullivan.
- Nic o nim nie wiem - znam tylko nazwisko. Nie ma żadnych danych, zdjęć ani odcisków palców. Funkcjonuje jak duch...
- Wobec tego opowiedz mi o LeCacie. I o wszystkich powiązaniach z Harper Tankships, o jakich słyszałeś.
- Nic mi nie mówi ta nazwa. Jeżeli chodzi o LeCata, to krążą pogłoski, że zmontował grupę terrorystów ze swoich byłych współpracowników z OAS. Oczywiście miał duży wybór z tej całej ferajny, tych, którzy potrzebują dużych pieniędzy i nadal śnią o czasach, kiedy życie było przygodą. Wybierał tylko z elity - wziął do tej operacji specjalną grupę kompletnych łajdaków.
- Domyślasz się, co to może być za operacja?
- Nie. Wszyscy nabrali wody w usta. Zawiadomiono mnie oficjalnie, że LeCat jest w Sante. Zapomnij o nim. - Messmer - przekrzywił swoją małpią twarz, żeby dym nie dostał mu się do oczu. -Widzisz, mój przyjacielu, wszyscy są zakłopotani tym, co się stało z LeCatem i mają nadzieję na rychły koniec. Słyszałem, że to ogromna i bardzo kosztowna operacja, że potrzeba na nią wielkich pieniędzy, kto wie, może arabskich. Teraz to oni mogą sobie na to pozwolić, nie my.
- Chyba nie chcesz powiedzieć, że Paryż, że rząd francuski stoi za tą operacją? - spytał ostrożnie Sullivan.
- Nie sądzę, żeby wiedzieli, co się szykuje. Słyszałem, że wysłali tajniaka za LeCa- tem, ale on się go pozbył. No pewnie.
Ale nie ingerowali w jego próby montowania zespołu tych łobuzów. Wiesz dlaczego nalegałem, kiedy zadzwoniłeś do mnie wczoraj wieczorem, żeby porozmawiać z tobą tutaj?
- Nie wiem, ale byłem zaskoczony.
- Mój telefon jest na podsłuchu. - Messmerznów uśmiechnąłsię krzywo. - We Francji niedługo wyjątkiem stanie się telefon bez podsłuchu. Stajemy się krajem policyjnym, a ja jestem przecież policjantem. Myślę, że niedługo przeniosą mnie na emeryturę.

Byłem na tyle nierozsądny, żeby zaprotestować w sprawie Tafaka, odtąd jestem pod stałą obserwacją. I właśnie dlatego przyjechałem do Hamburga. Pomyślałem o tobie, Larry. Ktoś powinien wiedzieć, co się szykuje, choć podałem ci niewiele informacji.
- Dzięki - Sullivan spojrzał na miasto. - Wiesz, Francois, przejechałem wzdłuż całego atlantyckiego wybrzeża, zadając pytania, i nikt nigdzie nie próbował mnie powstrzymać. Dopiero tutaj. Myślę, że coś jest tu, w Hamburgu, ale gdzie?...
- To twój problem. Powiedz swojemu rządowi, że nie możemy wszyscy w nieskończoność ulegać potędze arabskiej. Chociaż, obawiam się, że oni zrealizują swoje groźby...
Nie chodzi wyłącznie o przydział arabskiej ropy, ale także o pieniądze. Mamy do czynienia z sytuacją bez precedensu w historii, a gdzie powstaje sytuacja bez precedensu, która może zrujnować finanse Zachodu, tam musimy rozważyć przedsięwzięcie bezprecedensowej akcji...
Wystąpienia premiera na posiedzeniu rządu brytyjskiego w listopadzie ubiegłego roku.
W poniedziałek 13 stycznia Sullivan spacerował wzdłuż brzegu jeziora Aussen - Alster, rozmawiając z Francoisem Messmerem. Tego samego ranka Winter był w rezydencji Cosgrove, którą wynajął przed dwoma miesiącami, w czasie gdy odwiedzał Londyn. Dom otaczało dwadzieścia akrów ziemi i pasował on idealnie do jego planu. Był tam też LeCat z piętnastoosobową grupą terrorystów z OAS. Ostatni etap operacji poprzedzający akcję - szkolenie - był niemal zakończony.
Plan ataku na brytyjski tankowiec Challenger opracowano bardzo starannie. Winter odtworzył z pamięci szkice dotyczące bliźniaczego do Challengera tankowca Chieftain, którego plany dobrze obejrzał w biurze Paula Hahnemanna. Każdy z terrorystów musiał przestudiować te szkice, by doskonale poznać rozkład tankowca. Winter osobiście przeegzaminował każdego członka grupy, zdecydowany sprawić, by poruszali się po tym statku w swojej wyobraźni, jakby byli już na jego pokładzie.
- Wejście do koferdamu jest przez luk przy prawej burcie - wskazał Andre Dupon- towi podczas jednej z odpraw.
- Nie! Jest przy lewej burcie! Miejsce lądowania helikoptera jest przy prawej burcie...
- To znaczy, że poprzestawiałeś wszystko na głównym pokładzie. - Winter rozłożył swój szkic i pokazał go Francuzowi.

-Weź ten rysunek, zacznij od początku i zrób własny...
Winter kazał wynieść z głównego salonu, który miał około 10,5 metra długości - czyli prawie jedną dwudziestą całkowitej długości pięćdziesięcio tysięcznika - wszystkie meble i dywany. Polecił dobrze wyszorować podłogę i przy użyciu różnokolorowej kredy odtworzył na niej główny pokład. I znów Winter szkolił każdego z mężczyzn z osobna, oprowadzając po pokoju i wbijając do głowy rozmieszczenie: pomostu roboczego, fok- masztu, rur, falochronu, miejsca lądowania helikoptera, żurawi masztowych.
Najwięcej czasu poświęcił głównemu pokładowi, bo tam miał lądować helikopter. Jak było do przewidzenia, ludzie nienawykli do takiej dokładności zaczęli się niecierpliwić.
Każdego wieczora Winter urządzał więc przyjęcia z mnóstwem drinków. Sam pił mało, zostawiał przeto LeCata, który mógł wlać w siebie ogromne ilości alkoholu i nadal trzymać się na nogach, by kontrolował przebieg tych pijackich sesji. LeCat też się niecierpliwił. - Czy to wszystko jest konieczne? - spytał zaczepnie pewnego ranka, gdy czekali na powrót zespołu z codziennych biegów wokół posiadłości.
- Nad Morzem Śródziemnym po prostu robiliśmy naszą robotę...
- Ale nie taką robotę - stwierdził chłodno Winter. - Gdy wylądują na pokładzie tego tankowca, muszą się poczuć, jakby już na nim kiedyś byli. W ciągu pięciu minut od wylądowania helikoptera musimy opanować statek - inaczej przegramy. Jutro muszą pojąć, jakie są rozmiary tego statku...
Pojemniki na ropę - tu kłania się ranga symbolu - zostały rozstawione w pewnych odstępach na dużym trawniku, ciągnącym się od drzwi frontowych w głąb posesji. Ustawiono je w dwóch szeregach pod kątem prostym w stosunku do domu. Odległość między rzędami wynosiła około 33,5 metra - czyli tyle, ile szerokość Challengera.
Wcześniej Winter odmierzył krokami odległość około 228 metrów od stopni schodków domu aż do starego dębu, gdzie wyznaczono "dziób" statku. Kilku mężczyzn już pomrukiwało na temat skali jego wielkości.
Od schodków domu aż do odległego dębu ustawiono podwójny rząd słupków, co symbolizowało pomost roboczy. Paliki przedstawiały żurawie przymasztowe i fok- maszt; okrąg utworzony z liny przy "prawej burcie w części dziobowej" oznaczał miejsce lądowania helikoptera. Następnie Winter zaprowadził grupę na dach domu,

który znajdował się około 15 metrów nad ziemią. Stali teraz na "mostku kapitańskim", patrząc na oddalony dąb jak na dziób statku.
- Jest większy niż myślałem - przyznał LeCat, patrząc na drzewo.
- Dość wysoko nad pokładem - skomentował ze zdziwieniem jeden z młodszych członków zespołu, Armand Bazin, patrząc w dół ponad krawędzią dachu.
- Wyżej niż myślisz - ostrzegł Winter. - Jesteśmy jakieś piętnaście metrów nad "pokładem", a na Challengerze jest ponad osiemnaście. Teraz niech wszyscy zejdą na dół na trawnik i przejdą się po "głównym pokładzie", żeby się zorientować, jak to będzie naprawdę.
I spójrzcie na ten dach jak na mostek kapitański. To będzie jak spoglądanie w górę na skalną ścianę...
Zbierali się już do odjazdu, ale Winter zarządziłjeszcze operację wielkiego sprzątania. Pojemniki na ropę zakopano w lesie. Słupki i paliki, które reprezentowały żurawie masztowe i fokmaszt połamano i spalono. Winter osobiście nadzorował dokładne szorowanie podłogi w salonie, by się upewnić, że nie zostały na niej żadne ślady kredy, którą rysowano kontury głównego pokładu. Meble i dywany zajęły swoje pierwotne miejsca.
Pozostałości po posiłkach i pijackich balangach - puszki i butelki zakopano w głębokim dole w lesie, do którego wrzucono też niedopałki francuskich papierosów. Nikomu nie pozwalano palić poza domem. Te środki ostrożności zyskały uznanie w oczach LeCata - pamiętał jak sam troszczył się o to, by odkurzono dokładnie wszystkie pokoje w domu przy Dusquesne Street w Vancouver. Ale o tym, oczywiście, Winter nic nie wiedział, podobnie jak nie miał pojęcia o tym, że na pokładzie Pecheura leżało sobie spokojnie urządzenie nuklearne.
Późnym wtorkowym popołudniem 14 stycznia Winter przeliczył szkice tankowca, po czym je spalił. Jutro mieli odlecieć na Alaskę.
Harpera nie było w mieście, Sullivan musiał więc poczekać i dopiero we wtorek zadzwonił do biura prezesa Harper Tankships w Londynie przy Leadenhall Street. Oznaczało to, że kiedy Winter pakował manatki w rezydencji Cosgrove, Sullivan był nadal w Hamburgu.
- Właściwie nie dowiedziałem się niczego powiedział Sullivan Victorowi Harperowi.
Jedynie zastanawiające jest to, że jakiś wynajęty zbir próbował mnie zabić w barze, kiedy wypytywałem o twoją firmę.
Ale to miało miejsce w Hamburgu, jakby tam właśnie było coś, o czym

nie powinienem się dowiedzieć. Jakie powiązania ma twoja firma z Hamburgiem?
- Nie widzę nic takiego, co mogłoby mieć związek z tym, o czym mówimy - zwykle precyzyjny Harper wydawał się czymś zirytowany. - To wszystko wydaje się daremnym trudem. A kim jest ten przyjaciel, o którym mówisz tak tajemniczo, ten, który ci opowiedział tę historyjkę o francuskich terrorystach?
- Nie mogę nawet wspominać o nim, a z pewnością nie przez telefon.
- Jestem skłonny dać sobie z tym wszystkim spokój.
- Nigdy nie mieliście żadnych powiązań z Hamburgiem nalegał Sullivan.
- Zbudowaliśmy tam parę statków, to wszystko.
- Jakie to były statki?
- Parę pięćdziesięcio tysięczników - najpierw Challenger, a potem bliźniaczy Chieftain. Oba w stoczni firmy Wilhelm Voss.
Paul Hahnemann jest tam szefem - porządny facet, typowy Niemiec - wszystko u niego jak w zegarku. Oba statki dostarczono idealnie na czas, oczywiście. Nie wiem, jak on mógłby pomóc...
- Szczerze mówiąc, ja też nie. Gdzie są teraz te statki?
Na Bliskim Wschodzie - Nie. Chżeftain stoi w suchym doku w Genui, gdzie przechodzi remont: Challenger jest w rejsie Alaska - San Francisco. Wracaj do domu, Larry. Dość na dzisiaj.
- Może zobaczę się z tobą jeszcze dziś po południu. Sullivan odłożył słuchawkę i ziewnął. Przegadał całą noc z Messmerem. Francuz dopiero rano odjechał do Paryża. Paul Hahnemann z pewnością nic Sullivanowi nie powie, po co więc się tu obijać?
Ziewając zaczął pakować torbę.
Wiadomość przekazana przez telefon okrężną drogą dotarła do Gamala Tafaka, do ambasady Arabii Saudyjskiej w Damaszku.
Informacja powstała pierwotnie w Paryżu, odebrał ją jakiś człowiek z Aten, który zadzwonił do Bejrutu. Stamtąd Ahmed Riad przekazał ją telefonicznie do Damaszku. Tafak kończył właśnie obiad, kiedy Riad zadzwonił do niego ze stolicy Libanu.
- Ekscelencjo, samolot linii lotniczych KLM, lot numer 401 z Amsterdamu do Paryża został właśnie uprowadzony przez terrorystów. Będą z tym kłopoty...
- Dlaczego?
- Na pokładzie samolotu są wyżsi urzędnicy Royal - Dutch Shell, włącznie z dyrektorem...

- Informuj mnie o rozwoju wydarzeń.
Tafak odłożył słuchawkę. Jeśli ktokolwiek przysłuchiwał się tej rozmowie - co było mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe, biorąc pod uwagę podsłuchy amerykańskich służb wywiadowczych, mogłaby się ona wydawać dość niewinna.
Ale z tego telefonu Tafak dowiedział się, że operacja rozpoczęła się. Był to pomysł Wintera, podobnie jak wybranie odpowiedniej pory.
Podczas gdy LeCat organizował punkty nasłuchowe, by sprawdzić ewentualne przecieki informacji, Winter zaproponował bardziej przemyślany plan. W celu zamaskowania uprowadzenia statku, zasugerował, żeby kilka dni przed tym wydarzeniem porwać samolot. To dostarczyłoby materiału prasie i odwróciło uwagę od tego, co naprawdę miało się zdarzyć.
Porwanie zorganizował mężczyzna o poważnej twarzy, który siedział po prawej stronie Tafaka na niedawnej konferencji na syryjskiej pustyni. Samolot linii KLM miał teraz krążyć od lotniska do lotniska, w czasie gdy będzie przeprowadzana główna operacja.
Uprowadzenie samolotu wciąż wydawało się łatwe; Tafak miał nadzieję, że równie
łatwe okaże się uprowadzenie wielkiego tankowca przewożącego ropę.
- Przyszło mi na myśl, że gdyby ktoś chciał dokonać sabotażu na jednym z tankowców Harpera, mógłby próbować sprawdzić rysunki techniczne tego statku. Czy może mi pan powiedzieć, panie Hahnemann, czy ostatnio ktoś próbował obejrzeć plany tankowca?
W ostatniej chwili przed opuszczeniem Hamburga wrodzona wytrwałość Sullivana kazała mu zostać. Umówił się z Paulem Hahnemannem bardzo późno tego popołudnia, tak późno, że na dworze było już zbyt ciemno, żeby widzieć padający śnieg. List polecający od Victora Harpera z nagłówkiem "W celu przedstawienia odnośnym władzom" - umożliwił mu wejście na teren stoczni Wilhelm Voss.
Jego identyfikator firmy Lloyds of London przekonał Niemca, że powinien się zobaczyć z tym Anglikiem. Hahnemann był ostrożnym człowiekiem.
- To dziwne pytanie - zauważył sucho Niemiec. - Twierdzi pan, że słyszał jakieś pogłoski... o firmie Harper. Świat żeglugi uwielbia plotki. Z pewnością to już pan wie?
- Cofam to pytanie. - Sullivan uśmiechnął się uprzejmie.
-Mówiłem już panu, co robiłem przez ostatni tydzień - podróżowałem

wzdłuż atlantyckiego wybrzeża. Dwa dni temu ktoś próbował mnie zabić w hamburskim barze. Dlatego myślę, że coś się dzieje tu, w Hamburgu. Coś, do czego za bardzo się zbliżyłem.
- Nie wiem, jak mógłbym panu pomóc - odparł Niemiec. -Nie mamy tu nic podejrzanego. Bardzo uważamy na to, kogo wpuszczamy na teren stoczni - pan sam musiał okazać swój identyfikator przed wejściem.
Sullivan był w trudnej sytuacji. Zdał sobie sprawę, że Hahnemann jest zbyt przebiegły, że chce jakiegoś dowodu, a takiego dowodu nie było. Sullivan nie był nawet pewien, co sam chciałby usłyszeć.
- W tę całą sprawę może być wmieszany pewien Anglik - zasugerował.
- Może pan podać nazwisko? - spytał Hahnemann.
- Winter.
- Nigdy o nim nie słyszałem ani go nie spotkałem. - Niemiec założył ręce na brzuchu i patrzył w sufit. - Może gdyby mi pan opisał jego wygląd...
- Nie mam pojęcia, jak on wygląda.
Sullivan słyszał siebie wypowiadającego te słowa. Boże, czyż można mówić bardziej niejasno? Za minutę lub dwie Niemiec zacznie przekładać papiery na swoim biurku i może nawet spojrzy znacząco na zegarek. To było beznadziejne.
- Napije się pan kawy? - Hahnemann zamówił kawę przez interkom, po czym przeprosił na chwilę. Nie było go pół godziny i Anglik zastanawiał się, czy nie poszedł zadzwonić po policję. Wrócił do biura, a za nim weszła atrakcyjna dziewczyna, niosąc tacę z kawą. - Ja naleję - powiedział Hahnemann. Zaczekał, aż zostali sami. - Przepraszam, że mnie tak długo nie było, ale postanowiłem zadzwonić do pana Harpera, do Londynu. Mam nadzieję, że nie ma mi pan tego za złe - w dzisiejszych czasach tak łatwo sfałszować dokumenty.
- Rozsądny środek ostrożności - Sullivan był zdumiony.
Dlaczego Hahnemann zadał sobie ten trud, skoro nie miał mu nic do powiedzenia? Niemiec wyjął fotografię, którą położył na biurku odwróconą do dołu. Nalał kawy.
- Panie Sullivan, przypuszczam, że zna pan większość bossów w branży żeglugowej w Londynie?
- Tak - to mój zawód. - Sullivan, zachowując ostrożność, nie patrzył na odwrócone zdjęcie, gdy Hahnemann cofnął się i usiadł przy biurku.
- Charlesa Mandersa?

- To stary znajomy...
- Williego Smethwicka?
- Kolejny znajomy...
- Arnolda Rossa?
- Jadłem z nim obiad przed kilkoma miesiącami. Hahnemann odwrócił fotografię
i przesunął ją po blacie biurka. -Czy zna pan tego człowieka? A konkretnie: czy to Inlanders, Smethwick czy Ross?
- Nie, to nie jest...
- To nie jest Arnold Ross?
- Zdecydowanie nie. Ross jest niskim, krępym mężczyzną o twarzy sympatycznego gargulca. O tej porze roku przebywa zwykle w rejsie do Zachodnich Indii.
- Ten człowiek był u mnie przed pięcioma dniami, podając się za Arnolda Rossa z firmy Ross Tankers.
Sullivan zafascynowany przyglądał się zdjęciu, pierwszemu, jakie w ogóle zrobiono Winterowi, nie licząc fotografii do paszportów, na których podobieństwo zmieniało się równie często jak nazwiska.
Zdjęcie przedstawiało dystyngowanego mężczyznę w meloniku i kosztownym płaszczu, wchodzącego po schodach. Zdawał się spoglądać prosto w obiektyw aparatu fotograficznego, nie widząc go.
Wygląda jak oficer Gwardii Królewskiej - pomyślał Sullivan. Wypielęgnowane wąsy, wyprostowana postawa, ostry zarys twarzy.
Stereotyp. Boże, nawet ma pod pachą ciasno zwinięty parasol. Idealnie uosabiał pogląd, jak powinien wyglądać Anglik z City. Takich Anglików można spotkać codziennie rano o dziewiątej trzydzieści, gdy mijają Bank of England. Patrząc na tę fotografię, Sullivan odnosił nieodparte wrażenie, że ten człowiek to Winter.
- Jak pan zrobił to zdjęcie? - spytał.
Hahnemann był zakłopotany, ale roześmiał się. - Wyjawiam tajemnice swojej firmy. Bezpieczeństwo to moje hobby, przyznaję.
Ale żyjemy w niebezpiecznym świecie i pewnego dnia ktoś, kto jest wrogiem moich klientów, może spróbować dokonać sabotażu na statku, który buduję. Tak więc każdy, kto wchodzi do tego budynku, jest fotografowany z ukrycia. Mamy też pana zdjęcie, panie Sullivan.
Mam nadzieję, że pana nie zaszokowałem - Watergate i to wszystko...
- Bogu dzięki, że używa pan ukrytej kamery. Robi pan tylko jedno zdjęcie?
- Nie, kilka. - Hahnemann wyjął kopertę z wewnętrznej kieszeni

marynarki
i rozsypał na biurku błyszczące fotografie. - Pokazałem panu najlepsze, chociaż tutaj mam zdjęcie zrobione bardziej z bliska.
Winter zbliżył się do kamery prawdopodobnie wtedy, kiedy skręcał na półpiętro - jego głowa była odwrócona i widoczna z profilu. Miał bardzo zimne i czujne spojrzenie.
- Kim jest ten człowiek? - spytał Hahnemann.
- Prawdopodobnie niebezpiecznym terrorystą.
- Trudno mi w to uwierzyć - był przecież w moim biurze, siedział tam, gdzie pan teraz.
- To prawdopodobnie jego tajemnica - skomentował sucho Sullivan. - Nie wygląda na terrorystę. Czy mógłbym przed wyjazdem z Hamburga dostać trzy odbitki tego zdjęcia z profilu i jedno tego, które pokazał mi pan na początku - Nie ma problemu, jak mawiają Amerykanie. - Podniósł słuchawkę, po czym powiedział Sullivanowi, że odbitki będą gotowe za pół godziny.
- Ten człowiek spędził cały dzień ślęcząc nad szkicami Chieftaina i zadając pytania na temat tego statku. Udawał, że chce zamówić statek o szczegółach odpowiadających tamtemu tankowcowi.
- Tankowcowi Chieftain? Nie zainteresował się w ogóle bliźniaczym tankowcem, który zbudowaliście dla Harpera, Challengerem.
- Zupełnie nie. Wspomniałem raz o tym statku, ale on nie wykazał zainteresowania.
A więc teraz wiemy - pomyślał Sullivan. Chodziło mu o statek Chieftain, znajdujący
się w suchym doku w Genui - idealnym miejscu dla dokonania aktu sabotażu. Unieruchomiony statek jest pozbawiony możliwości odparcia ataku. Zamierzał polecieć jutro
z powrotem do Londynu i dać znać Harperowi, by zwiększył ochronę statku we Włoszech.
Lotnisko Heathrow, Londyn, środa 15 stycznia.
Godzina 12.15 po południu.
Samolot rejsu numer BA 601 odlatuje do Montrealu w Kanadzie.
Na pokładzie boeinga 707 znajduje się trzynastu spośród piętnastki byłych terrorystów OAS. Mało prawdopodobne, żeby taka duża grupa Francuzów wzbudzała jakieś zainteresowanie, ponieważ lecą do miasta, gdzie po francusku mówi się na każdej ulicy. Po dotarciu do Montrealu - przewodzi im Andre Dupont - mają tam zostać na noc; następnego dnia złapią kolejny samolot, do Vancouver, miasta w

pobliżu portu Victoria, gdzie zakotwiczony jest trawler Pecheur. Dupont poprowadzi ich prosto na jego pokład, gdzie będą czekać - nie ruszając się z miejsca - na przybycie Wintera z Alaski.
Winter osobiście obserwuje ich, gdy zmierzają do hali odlotów w Terminalu Pierwszym, a następnie śpieszy, by zdążyć na własny samolot, którym odleci z LeCatem
i dwoma innymi terrorystami: Armandem Bazinem i Pierrem Goussinem.
Godzina 12.45 po południu. Samolot rejsu BA 850 leci do Anchorage na Alasce. Na pokładzie boeinga 707 jest Winter, LeCat i dwóch Francuzów. Czeka ich dziewięciogodzinny lot non stop trasą polarną.
Podróżują oddzielnie; Winter i LeCat zajmują miejsca oddalone od siebie, tak jakby nie mieli ze sobą nic wspólnego. W innej części samolotu Bazin i Goussin podróżują razem, siedząc obok siebie. Wszyscy mają bilety w klasie turystycznej, chociaż przy tak ogromnych pieniądzach, jakimi dysponował Winter, mógł on z łatwością nabyć bilety w pierwszej klasie. Na tym etapie zmienił swoje zwyczajowe podejście stosowane w przypadku hoteli: zatrzymuj się w najlepszych hotelach, a policja będzie zakładać, że jesteś człowiekiem godnym szacunku. Natomiast w samolocie, tym pasażerem, którego się nie zauważa, jest pasażer klasy turystycznej. Podczas gdy pozostali trzej mężczyźni jedzą, próbują czytać czasopisma i znów jedzą, Winter śpi przez prawie cały czas lotu, budząc się dopiero pół godziny przed, lądowaniem.
Godzina 1.15 po południu. Samolot rejsu numer BE 613 przylatuje z Hamburga. W pierwszej grupie pasażerów wysiadających z tridenta jest Sullivan.
Po przybyciu na lotnisko Heathrow Sullivan zadzwonił do swojego mieszkania w Battersea i od razu tego pożałował. Jego gospodyni, pani Morrison podała mu numer telefonu, pod który miał pilnie zadzwonić. Już wiedział, że to admirał George Lindsay Worth z Floty Królewskiej, człowiek, który był odpowiedzialny za to, że Sullivan opuścił wywiad marynarki wojennej. Worth pracował teraz w Ministerstwie Obrony. Żeby mieć to z głowy, Sullivan zadzwonił od razu i sekretarka Wortha umówiła go na spotkanie w Royal Automobile Club w Pall Mail. O 3.00 po południu.
- Ale chyba nie dzisiaj - zaprotestował Sullivan.
- Mówił, że to bardzo pilne. Proszę pytać o pana Wortha. Nic nie wspominać o randze... Sullivan prosto z lotniska udał się do Pall Mail,

klnąc siebie w duchu podczas jazdy taksówką; ciągle go traktowali jak porucznika marynarki wojennej. Dlaczego, u diabła, nie powiedział "nie"?
Worth, szorstki, nieduży mężczyzna w wieku sześćdziesięciu lat już na niego czekał w sali klubowej - dużym, pustawym pokoju z wysokimi oknami. Było w nim zimno, jakby go w ogóle nie ogrzewano.
Ale to nie zrażało admirała, który stykał się wiele razy na północnym Atlantyku z huraganowym wiatrem. Worth siedział przy ścianie, na tak zwanym krześle umarlaka, dużym, niskim fotelu zajmowanym często przez tych członków klubu, których pojawienie się sugerowało natychmiastową konieczność obecności grabarza.
- Woli pan tam usiąść? - spytał Worth, wskazując jeden ze stołów. - Myślałem, że wolałby pan... - Podniósł się. - Jak tam Peggy? To ostatnia narzeczona, czy dobrze kojarzę?
- Tak. - Sullivan zastanawiał się, jak Worth to robi, że udaje mu się wyprowadzić go z równowagi w pierwszej minucie rozmowy.
- O co w ogóle chodzi? Właśnie przyleciałem z Europy i przydałaby mi się lekka drzemka..., Worth spojrzał ponad stołem, jakby zauważając tę nutę niezależności.
- Wiem - powiedział cicho. - To zadawanie pytań, robienie zamieszania aż do francuskiego wybrzeża...
- Skąd pan to wie?
- Kawy? Nie? Może i dobrze - i tak już trochę wystygła.
A wracając do pana pytania, to przecież mój zawód wiedzieć o różnych rzeczach. Zaprosiłem pana tutaj, żeby poprosić, by pan przestał robić zamieszanie.
- A to dlaczego? - żachnął się Sullivan.
Usta admirała Wortha wykrzywiły się lekko w grymasie, co Sullivan przyjął za namiastkę jego uśmiechu.
- Nie mogę odpowiedzieć na pańskie pytanie, sam pan powinien to wiedzieć. Oczywiście, to wszystko tylko do pana wiadomości.
Ustawa o zachowaniu tajemnicy i wszystko, co z nią związane...
- Powinien był mi pan to powiedzieć, kiedy tu wszedłem. Chyba już pójdę...
- Niech pan wytrzyma ze mną jeszcze parę minut - zaproponował Worth. - Nic się pan nie zmienił. A więc chodzi o Harper Tankships, czyż nie?
- Powiedział pan, że pańska praca polega na tym, żeby wiedzieć różne rzeczy. - Sullivan zaczynał się denerwować, ale nie dawał tego po

sobie poznać. - Jeżeli poda mi pan rozsądny powód, może go rozważę - mam na myśli zaniechanie całej sprawy. Powiedziałem: rozważę.
- My też słyszeliśmy pogłoski o jakimś uprowadzeniu czy sabotażu. To zasłona dymna, by ukryć coś innego, o co chodzi naszym arabskim przyjaciołom. Niech pan kupi popołudniówkę.
- Mogę spytać, o czym pan mówi? - zainteresował się Sullivan.
- Mówię nie o statku, a o samolocie. Rejs 401 samolotu linii KLM z Amsterdamu do Paryża. Faceci weszli na pokład na lotnisku Schiphol. Co jest szczególne w tej sprawie
- w tym samolocie znajduje się trzech ważnych gości z Royal - Dutch Shell, włącznie z dyrektorem.
- I to jest takie szczególne?
- Tak myślę. Ogłoszono już przez radio żądania. Jakieś bzdury, że Royal - Dutch musi zrobić to, a nie wolno im zrobić tamtego, albo ich dyrektorzy "wylecą z roboty". - Worth patrzył ponuro na Sullivana. - Ta plotka, za którą pan gonił, była czystą zmyłką
- chodziło im o zakamuflowanie porwania tego samolotu. Jest to oczywiście kolejne ostentacyjne demonstrowanie potęgi arabskiej.
- I znowu się poddajemy?
- To się już stało sposobem życia. - Worth wrócił do swojego ordynarnego kapitańskiego słownictwa: - Trzymają nas za jaja i sprawia im przyjemność ściskanie ich. Nie można nic na to poradzić - rząd brytyjski przystał na arabskie kolonizowanie Zachodu na tak długo, jak tylko możemy sobie wyobrazić. - Spojrzał na wstającego Sullivana. - Możemy na pana liczyć?
- Nie sądził pan, że możecie, kiedy się widzieliśmy ostatnio.
Muszę się nad tym zastanowić. Proszę mi wybaczyć, ale, tak jak mówiłem, dopiero wysiadłem z samolotu...
Sullivan kipiał gniewem, kiedy opuszczał klub. Przed spotkaniem z Worthem postanowił rzucić to wszystko - gdy już ostrzeże Harpera, żeby lepiej zabezpieczył Chieftaina w Genui. Chociaż, w głębi duszy, nadal nie miał pewności. Gdyby się teraz wycofał, wyglądałoby to tak, jakby uległ dziwnej prośbie Wortha. Nie opuszczała go wściekłość, gdy poszedł na spotkanie z Victorem Harperem.
Pogląd admirała Wortha dotyczący postawy rządu brytyjskiego nie do końca odpowiadał prawdzie, jeśli chodzi o najwyższy szczebel władzy. We wrześniu ubiegłego roku nastąpiła niespodziewana zmiana na stanowisku premiera - poprzedni zrezygnował ze względów zdrowotnych.

Nowy premier, który w czasie drugiej wojny światowej dosłużył się stopnia generała brygady, natychmiast podjął decyzję, która przeszła nie zauważona w brytyjskiej prasie. Duży obszar zachodniego wybrzeża Szkocji został uznany za strefę wojskową. Krążyły pogłoski, że tworzy się tam nowy poligon artyleryjski. Farmerzy z przybrzeżnej wyspy nie słyszeli jednak żadnych odgłosów wystrzałów; zamiast tego obserwowali skoczków spadochronowych - niektórzy skakali z helikopterów.

Kolejnym wydarzeniem, które przeszło bez echa, było tajne spotkanie premiera z generałem Lancem Villiersem, szefem Sztabu Generalnego. Villiers, cieszący się sławą najsprawniejszego i najbardziej bezwzględnego szefa Sztabu od trzydziestu lat, miał tylko jedno oko - lewe pozostawił w Korei w 1952 roku. Nosił czarną przepaskę i poruszał się jakoś sztywno, ale posiadał jeden z najbystrzejszych umysłów w Zjednoczonym Królestwie. Jego wcześniejsza kariera związana była z wojskami powietrzno
- desantowymi.

Sullivan spotkał się z Harperem o piątej i rozmawiali przy świetle świeczki, gdy tymczasem na zewnątrz padało coraz więcej śniegu.

Prezes Harper Tankships, niespokojny, energiczny, pięćdziesięcio-letni mężczyzna o nieco przerzedzonych włosach, postanowił pojechać nazajutrz do Włoch, by zająć się zabezpieczeniem Chieftaina.

- Oczywiście - zastrzegł Sullivan w pewnym momencie - równie dobrze może wcale nie chodzić o Chieftaina...

- Skąd ci to przychodzi do głowy? - warknął Harper.

- Winter - jeśli to Winter był w biurze Hahnemanna - przedstawił to w sposób zbyt oczywisty, biorąc pod uwagę, że studiował szkice Chieftaina. A coś mi się wydaje, że ten jegomość jest sprytny i nie pytaj mnie dlaczego.

- Dlaczego?

- Po pierwsze, jest w pewnym sensie przestępcą - może poszukiwacz przygód byłoby lepszym określeniem. Jednak nikt nie ma o nim żadnych danych. Przed przyjazdem tutaj zadzwoniłem do jednego gościa ze Scotland Yardu, ale on nigdy nic o nim nie słyszał. - Sullivan pochylił się nad biurkiem. - Nikt go nie ma w aktach, na litość boską! Jak trzeba być sprytnym, żeby utrzymać tak czyste konto!

Uzgodniono, że Harper pojedzie jednak do Genui. Uzgodniono też, że jeśli Sullivan natrafi na coś nowego, podczas gdy Harper będzie w

podróży, będzie mógł odebrać czek z kolejnymi funduszami od Vivien Herries, sekretarki Harpera.
Prawdopodobnie fakt, że Sullivan nie chciał, by się wydawało, iż podporządkowuje się prośbie admirała Wortha o porzucenie dotychczasowych działań, kazał mu następnego dnia pracować ze zdwojoną siłą. Odświeżony, po dobrze przespanej nocy, sprawdził wszelkie znane mu źródła informacji. Gdzieś ktoś musiał słyszeć o Winterze...
Najpierw spróbował skontaktować się z Wydziałem Specjalnym. Człowiek, z którym rozmawiał, oddzwonił jeszcze tego samego dnia.
-Nigdy nie słyszeliśmy o tym twoim Winterze. To nazwisko kompletnie nic nam nie mówi. Przykro mi...
Sullivan wrócił do Scotland Yardu, gdzie jego znajomy, główny inspektor Pemberton powiedział mu, że zaintrygowało go to pytanie, więc sprawdził dokładniej. Ani słychu, ani widu.
Kompletna biała plama.
Zirytowany Sullivan rozszerzył sieć poszukiwań i zaczął dzwonić za granicę. Zatelefonował do FBI w Waszyngtonie i po godzinie uzyskał odpowiedź: - W Stanach nic. Mając na względzie to, co się teraz wszędzie dzieje, sprawdziłem w jednej z agencji wywiadowczych.
Nie ma nic o człowieku nazwiskiem Winter. Próbował pan w Interpolu? - Tak, Sullivan próbował w Interpolu. Zadzwonił do dobrego znajomego, Petera van der Bylla z policji południowo afrykańskiej.
Odpowiedź też była negatywna. Późnym popołudniem wrócił, by zobaczyć się z człowiekiem, z którym rozminął się, gdy złożył wizytę w firmie Lloyds of London przed wyruszeniem do Bordeaux.
- Zdaje się, że mi odbiorą tę robotę dla Harper Tankships - powiedział MacGilli vrayowi. - Wszędzie cholerna biała plama.
Zaczyna mnie to wkurzać.
Jock MacGillivray miał powiązania z zarządem firmy Lloyd. Pytany o to, czym się zajmuje, lubił odpowiadać: "Pomagam funkcjonować tej firmie, a może to ona pomaga funkcjonować mnie. Nigdy nie jestem pewien, kto komu". - Oparł się plecami na obrotowym krześle i rzucił Sullivanowi papierosa. - Więc w czym problem?
- Rozminąłem się z tobą, gdy byłem tu na początku roku.
A jeżeli chodzi o problem, to nie widzę właściwie żadnego problemu.
Sprawdziłem już niemal wszędzie i wiem słodkie nic.
- Nie zapukałeś do źródeł mojej mądrości. - MacGillivray,

czterdziestoletni piegus wyszczerzył zęby w uśmiechu.
- Potrzeba mi choćby strzępu jakichkolwiek pogłosek o Harper Tankships, jakie słyszałeś w ciągu ostatnich sześciu lub ośmiu tygodni.
- Żadnej plotki...
- No widzisz.
- Naprawdę nic... - MacGillivray przeglądał swój notatnik.
-Z wyjątkiem tego faceta, który tu przyszedł w ubiegły piątek. Pisał artykuł o kryzysie naftowym dla jakiejś amerykańskiej gazety. Był już tu przed kilkoma miesiącami, pracując najwidoczniej nad ich poprzednią serią. Pytało statek Harpera Chieftain, który przebywa w suchym doku w Genui. Powiedział, że może pojedzie i popatrzy na niego.
- Czy to był on? - Sullivan położył fotografię Wintera przed MacGillivrayem, który przyglądał się jej niepewnie.
- Zastanawiam się, jak on wygląda bez wąsów?
- O tak... - Sullivan pokazał mu zdjęcie z profilu, nad którym pracował wczoraj wieczorem w swoim mieszkaniu, eliminując wąsy Wintera białą farbą. - Wątpię też, żeby miał wtedy melonik...
- Nie miał - odpowiedział natychmiast MacGillivray. - Był ubrany w coś tweedowe- go. To on. Kto to jest?
- Pan X. Czy wspominał o jakimś innym statku Harpera?
- Tak. O Challengerze. Interesowało go, czy jest dokładnie taki sam jak Chieftain, czy może istnieją jakieś różnice między tymi dwoma statkami? Powiedziałem, że są bliźniacze, i to wszystko, o ile pamiętam.
Teraz, gdy to rozważam, sądzę, że zadawał dość dużo pytań dotyczących tego statku.
- Co to znaczy: dość dużo?
- Interesowała go liczba członków załogi, czy na pokładzie statku jest jeden czy dwaj radiooperatorzy. Jakim człowiekiem jest kapitan? Znam Mackaya, więc przedstawiłem mu jego zwięzły portret.
Odniosłem nieodparte wrażenie, że on wiedział już większość tych rzeczy, tylko się upewniał. Jak wiesz, ten statek krąży wahadłowo -z Alaski do San Francisco i z powrotem.
- I oto kawałek historii - brytyjski tankowiec przewożący ropę z jednego amerykańskiego portu do drugiego...
- No cóż, zniesiono Ustawę Jonesa z 1920 roku, która mówiła, że tylko jankeskie statki mogą przewozić ładunki pomiędzy amerykańskimi

portami. Zorientowali się, że strasznie im brakuje tankowców na Zachodnim Wybrzeżu. Ale, ale, co z tym panem X?
- Prawdopodobnie wszystko. - Sullivan wstał i zabrał z biurka oba zdjęcia Wintera. - Muszę zrobić mnóstwo rzeczy przez najbliższą godzinę - wziąć trochę pieniędzy, zarezerwować miejsce w samolocie...
- Jedziesz na urlop?
- Tak. Na Alaskę.
Prawie w tym samym czasie szejk Gamal Tafak odbywał swe drugie tajne spotkanie z szefami terrorystów na syryjskiej pustyni.
Towarzyszyła mu kawalkada trzech samochodów, a on jechał w ostatnim obok swego kierowcy. Dwa samochody jadące z przodu -wszystkie były czarnymi mercedesami - również miały szoferów, a jeden pasażer siedział na przednim siedzeniu. Dla czekających na nich szefów terrorystów zrozumiały był powód tych środków ostrożności: jeśli ktokolwiek zaczaił się, by rzucić bombę w Tafaka, nie mógł być pewien, w którym samochodzie jedzie Gamal. Prawdziwa przyczyna zmontowania tej kawalkady samochodów była bardziej złowróżbna.
Tafak nie cierpiał tych ludzi, ale obawiał się ich i na razie musiał utrzymywać przy sobie. Pewnego dnia może stać się konieczne pozbycie się terrorystów. I wtedy, w takiej samej kawalkadzie trzech samochodów, będą jechali inni pasażerowie, ludzie z automatami, którzy zrobią swoją robotę. Tymczasem niech się przyzwyczajają do tego, że Tafak przybywa w asyście sznura samochodów.
Tafak chciał jak najszybciej stąd odjechać, wyjaśnił więc, co ma się wydarzyć w tak niewielu słowach, jak tylko było możliwe. Już wcześniej napomknął im, że ten plan ma na celu eskalację przerażenia i wściekłości, które poruszą Zachód do tego stopnia, że prasa i inne środki przekazu będą wyrażać gniew i oburzenie na cały świat arabski. To z kolei stworzy atmosferę pozwalającą Tafakowi wywrzeć nacisk na wszystkie kraje produkujące ropę, żeby całkowicie wstrzymały jej dostawy. Wtedy będzie można dokonać ostatecznego ataku na Izrael -warunkiem jest całkowite sparaliżowanie gospodarki Zachodu. Wszystko zależy od tego, co stanie się na pokładzie brytyjskiego tankowca po jego uprowadzeniu.
- Winter nic nie wie o ostatecznym celu - wyjaśnił Tafak - ale jest nam potrzebny do uprowadzenia tankowca. Jest lepszym organizatorem niż LeCat. Będąc Anglikiem, lepiej poradzi sobie z brytyjską załogą.

Przed ostatnim etapem wycofamy go z tej operacji i kierownictwo obejmie LeCat.
- A potem? - spytał człowiek o pokerowej twarzy siedzący z prawej strony Tafaka.
- Negocjacje pomiędzy LeCatem a władzami amerykańskimi nie doprowadzą do żadnego kompromisu. Dojdzie do totalnego nieporozumienia. Rozejdzie się wieść, że amerykańska piechota morska próbuje szturmem wziąć statek.
- A potem? - nie ustawał w dociekaniach ten sam człowiek. Tafak wstał, szykując się do odejścia. - Zdarzyło się to już tak wiele razy w historii. Przez wzgląd na naszych braci, którzy tak bardzo pragną wrócić do Palestyny, będzie trochę ofiar. Zakładnicy -brytyjska załoga - wszyscy zostaną zabici.

Część druga
Uprowadzenie

W Stanach Zjednoczonych, podobnie jak w Europie, kryzys energetyczny zaczynał przybierać wszelkie znamiona wojny. Ropa we wszystkich postaciach była jak amunicja, którą wróg pragnął bezwzględnie zniszczyć. Światła przygasały na całym kontynencie. Nawet w Teksasie, skąd ropę transportowano na znękany restrykcjami naftowymi północny wschód, nie starczało jej na pokrycie własnych potrzeb. Ostatni wielki sabotaż na wenezuelskich polach naftowych nad jeziorem Maracaibo przekształcił tę napiętą sytuację niemal w katastrofę.

Nikt nie wiedział, kim byli sabotażyści, kto umieścił i zdetonował ładunki nad Ma- racaibo, kto wysadził w powietrze fragment rurociągu ze Zbocza Północnego na Alasce zbudowanego dla Valdeza, a także kto wysadził największe rafinerie w Delaware

i Teksasie. Nie wiedział tego nikt ani w Wielkiej Brytanii, ani w Niemczech, ani nawet we Włoszech. Podejrzewano oczywiście arabskich terrorystów, ekstremistów zatrudnionych i zdalnie sterowanych przez szejków, którzy pragnęli podwyższyć wartość swoich produktów. Z każdym dniem ropa stawała się dobrem coraz rzadziej dostępnym, a jej cena osiągnęła już pięćdziesiąt dolarów za baryłkę.

W Stanach Zjednoczonych FBI rozpracowywało teorię, według której sabotażowi patronowały dopiero co reaktywowane grupy dysydentów, choćby takie jak "The Weatherxnen". Prasa podziemna publikowała hasła typu: "Rzuć kapitalistycznego kolosa na kolana!

Spal ropę!" Nie było to zawołanie, które spodobałoby się zmotoryzowanym szukającym dodatkowych kilku litrów benzyny, potrzebnych chociażby na powrót do domu. Niezależnie od tego, kto był za to odpowiedzialny, sytuacja stawała się coraz bardziej rozpaczliwa.

Europa, a także Ameryka, już niemal padły na kolana.

Sabotaż w szybach naftowych nad Maracaibo sprawił, że poza innymi szkodami Ameryka potrzebowała dodatkowych dziesięciu procent dostaw ropy ze źródeł zagranicznych tylko po to, by podtrzymać

funkcjonowanie machiny państwowej. Tych dziesięciu procent nie było skąd wziąć, w grę wchodziły tylko źródła arabskie. O tym szejk Gamal Tafak wiedział doskonale.
Ropa stała się cenniejsza niż złoto - i strzeżono jej bardziej od złota. Mafia uprowadzała cysterny na drogach i autostradach. By temu przeciwdziałać, zorganizowano system konwojów niewiele się różniący od alianckich konwojów okrętowych w czasie drugiej wojny światowej. Normalnym obrazkiem stały się potężne sznury cystern z benzyną i ropą, poruszające się nocą w kawalkadzie ciężarówek z uzbrojonymi strażnikami na początku i na końcu sznura pojazdów. Na dachach pociągów towarowych przewożących ropę umieszczano strzelców z karabinami maszynowymi. Wyposażeni w reflektory badali otoczenie, gdy pociąg zatrzymywał się na jakimś pustkowiu. Tak jak w Europie, gdzie musiano zastosować podobne środki, w Stanach Zjednoczonych rozpoczęły się "warunki oblężenia".
Rafinerie i rurociągi pełniły rolę punktów strategicznych. Strzeżono ich dzień i noc przed zamachami bombowymi. Spychacze niezwłocznie wytyczyły szlaki wzdłuż rurociągów, po których mogły się poruszać jeepy z patrolami uzbrojonych mężczyzn. A jednak gospodarka Ameryki powoli, ze zgrzytem hamulców, zmierzała do kompletnej blokady. Zima właśnie się zaostrzyła, śnieżyce objęły środkowo zachodnie stany i dotarły na południe aż do Florydy. "Wyjątkowo niska temperatura na północnym wschodzie" - donosił Instytut Meteorologii Stanów Zjednoczonych.
W zamkniętym archiwum Białego Domu spoczywała szczegółowa prognoza, dotycząca szacowanej różnicy pomiędzy potrzebami paliwowymi a dostawami, przy założeniu, że ta syberyjska zima będzie trwała dalej. Przewidywała, że Ameryka wytrzyma z wielkim trudem do wiosny, pod warunkiem że Arabowie utrzymają redukcję dostaw ropy na poziomie tych okrutnych pięćdziesięciu procent. W przypadku kolejnej redukcji, prognoza dla Stanów Zjednoczonych i Europy zawierała się w jednym bardzo obrazowym słowie: KATASTROFA.
Niemal 10000 kilometrów dalej, na Bliskim Wschodzie, terroryści czekali na dalsze instrukcje od Gamala Tafaka. Mieli zniszczyć szyby naftowe, gdyby znaleźli się tacy szejkowie, którzy odmówiliby zredukowania dostaw ropy do zera, gdy nadejdzie odpowiedni moment.
Padał śnieg, gdy Winter przybył do Anchorage na Alasce na pokładzie

samolotu rejsu BA 850. Z powodu działania różnic stref czasowych, mimo iż wyruszył z Londynu
o 12.45 po południu, przybył do Anchorage o 11.45 przed południem i nadal była środa
15 stycznia.
W Londynie była w tym czasie 8.45 wieczorem i ten sam dzień. Sullivan właśnie wrócił do swego mieszkania w Battersea.
Część wieczoru spędził na pakowaniu, przygotowując się do odlotu do Anchorage następnego dnia.
Na międzynarodowym lotnisku w Anchorage Winter okazał swój paszport. Nazwisko: Robert Forrest, zawód: geolog. Urzędnik kontroli paszportowej, zanim jeszcze obejrzał fałszywy dokument, który podał mu niedbale Winter, domyślił się, że ma on coś wspólnego z ropą ze Zbocza Północnego.
Wskazywał na to w sposób oczywisty egzemplarz czasopisma wydawanego przez British Petroleum, wystający z kieszeni kożucha Anglika. Pasażer miał także przewieszone przez ramię urządzenie do rejestrowania wstrząsów sejsmicznych. Przyrządu tego, typowego w profesji geologa, używa się po detonacjach ładunków wrzucanych do otworów. - Zbocze Północne? - spytał z uśmiechem kontroler. - Potrzebujemy was tu, żeby dać mata tym arabskim łajdakom.
- Do tego nie wystarczy tylko Zbocze Północne - odparł dyplomatycznie Winter. - Są jakieś taksówki na zewnątrz?
- Jeśli pan pobiegnie - oczywiście po dokonaniu odprawy.
Niewiele teraz taksówek, będzie pan musiał dzielić ją z innymi pasażerami...
Winter przeszedł przez odprawę celną szybko i w dobrym humorze.
Jego walizkę oznaczono kredą bez sprawdzania zawartości, jakby nie chciano go zatrzymywać ani chwili dłużej, niż to było konieczne.
Dzielił taksówkę z LeCatem i dwoma innymi ludźmi, ale Francuz nie dał po sobie poznać, że zna Wintera. Dwaj inni francuscy uczestnicy akcji jechali drugą taksówką.
Westward miał sylwetkę jak przystało na typowy amerykański hotel: wysoki, z restauracją na dachu, wyglądał jak postawione na sztorc pudło. W głównym hallu paliła się tylko połowa świateł, chociaż na dworze już zmierzchało; ciężkie chmury wisiały nad miastem, a ulice pokrywała śnieżna breja. Nie było też zbyt ciepło w hallu tego hotelu, który znajdował się w stanie Alaska i pewnego dnia miał zostać wprost "zalany" ropą. Przestrzegając odgórnych nakazów, kierownik

hotelu nastawił termostat na około 17C.
Winter miał rezerwację na nazwisko Forrest. Rzucił torbę na podłogę pokoju na szóstym piętrze i natychmiast wyszedł z hotelu. Przy krawężniku już czekał na niego wynajęty chevrolet. Za kierownicą siedział Joseph Walgren, Amerykanin, którego Winter spotkał ostatnio w San Francisco przed dwoma miesiącami. Na tylnym siedzeniu rozsiadł się LeCat - Walgren podrzucił go wcześniej z innego hotelu.
- Zawieź mnie do domu Swana - wydał niespodziewane polecenie Winter. - Chcę sprawdzić czas...
- Już sprawdziłem - sprzeciwił się pięćdziesięciopięcio letni Walgren.
- Podałem ci czas w liście, który wysłałem do rezydencji Cosgrove...
- Zawieź mnie do domu Swana - powtórzył Winter. - Sam chcę to sprawdzić.
Pierwszy etap operacji był najtrudniejszy i można było tu popełnić najwięcej błędów.
Najważniejszym członkiem załogi na każdym statku jest radiooperator. To człowiek, który utrzymuje łączność z brzegiem.
Trzeba było porwać Charliego Swana, radiooperatora Challengera, by Winter mógł podstawić na jego miejsce swojego człowieka, Kinnairda, zanim tankowiec ponownie wyruszy do San Francisco.
- Challenger będzie w doku terminalu naftowego Nikisiki o szóstej dziś wieczorem
- powiedział Walgren, kiedy wyjechali z miasta. -Już ci to napisałem w zaszyfrowanym liście. Kapitan Challengera, Mackay, nocuje też w hotelu Westward. Swan, facet od radia, jedzie do domu i zostaje tam na noc. Wróci na lotnisko jutro, wyjeżdżając, z domu
o 3.30 po południu. Spotka się tam z Mackayem, który na lotnisko przyjedzie taksówką. Potem obaj polecą do terminalu naftowego cessną, pilotowaną przez kumpla Mackaya.
- Czy któryś z nich kiedykolwiek zmienił te rutynowe działania? - spytał Winter.
- Jestem tu i obserwuję ich od miesiąca - śnieg przestał padać, więc Walgren wyłączył wycieraczki. - Były trzy rejsy Challengera -w tę i z powrotem. Harmonogram tych dwóch jest jak rozkład jazdy pociągów - nigdy się nie zmienia. Spędzają tak mało czasu na lądzie, że mają te same nawyki. Kinnaird zamelinował się w śródmieściu, w Madison - na tej kartce masz numer jego telefonu oraz numer Swana. - Walgren ścisnął kierownicę nieco mocniej. - Cieszę się, że już się skończyło to

obijanie. Jutro porywamy Swana i do roboty...
Zaniemówił, kiedy ujrzał wyraz twarzy Wintera. Jezu, ten Angol jest jak góra lodowa. Nie ma to jak ten Francuzik, który siedzi z tyłu.
Lubi usiąść i napić się z człowiekiem jak każdy normalny facet.
Walgren zacisnął pełne usta i skoncentrował się na kierownicy. Za trzydzieści tauzenów może wytrzymać nawet z Winterem...
Ciężkie szare chmury wisiały nad doliną Matanuska, gdy mknęli autostradą na północny wschód. Na wzgórzach leżała warstwa śniegu.
A te chmury oznaczają jeszcze więcej śniegu - pomyślał Walgren.
- Przekraczasz dozwoloną prędkość - syknął lodowato Winter. Klnąc w duchu, Walgren zwolnił do niecałych dziewięćdziesięciu.
Wszyscy przekraczali dozwoloną szybkość, gdy nie było przed nimi żadnego patrolu. Zaczęło padać - jednostajna, przygnębiająca mżawka przesłoniła otaczający krajobraz. Walgren włączył wycieraczki i zgarbił się nad kierownicą. Nie cierpiał ciszy w samochodzie.
Jechali tak prawie godzinę.
- Dojeżdżamy do domu Swana - oznajmił Walgren.
- Jesteś prawie dziesięć minut przed czasem, który sam wyliczyłeś - warknął Anglik.
- No i co z tego, tylko trochę przekroczyłem dozwoloną prędkość.
Swan przez cały czas jedzie osiemdziesiąt osiem. A przynajmniej tak robił te trzy razy, kiedy jechałem tu za nim z lotniska.
Winter nic nie odrzekł, ukrywając rozdrażnienie. Niezależnie od narodowości - Brytyjczycy, Amerykanie czy Francuzi - wydawało się niemożliwe znalezienie bezbłędnie precyzyjnych ludzi. Sam miał podobny kłopot z LeCatem. Każdą cholerną rzecz musiał sprawdzać sam.
Walgren skręcił z pustej autostrady na drogę prowadzącą przez pokryty śniegiem jodłowy zagajnik. Tam wykręcił, zataczając półkole.
Byli teraz odwróceni przodem do kierunku, z którego przyjechali.
Między ośnieżonymi drzewami wyraźnie rysował się dom Swana -odosobniony dwupiętrowy budynek z własnym podjazdem, oddalony o jakieś trzysta czy czterysta metrów od autostrady. Za domem znajdowała się stara alaskańska stodoła, przed którą zaparkowany był czerwony ford. W tym ponurym, przysypanym śniegiem krajobrazie można było dostrzec jeszcze tylko jeden budynek.
- Czy ten samochód nie zamarznie? - spytał Winter, opuszczając szybę i nastawiając lornetkę na ostrość.
- Podłączony jest kabel elektroenergetyczny - odparł Walgren. - To

sprawia, że pod maską ciągle działa grzałka. Jeśli zapomnisz podłączyć kabel, za dwie godziny masz bryłę lodu zamiast silnika.
W samochodzie Walgrena już zaczęło się robić zimno; żeby zaoszczędzić benzynę, wyłączył silnik. Z komina domu Swana unosił się niebieskawy dym, tworzący pionową spiralę. Deszcz przestał padać, a ołowiane chmury jak chorobliwe wyziewy wisiały nad
doliną Matanuska.
- Tamten dom w oddali, za domem Swana, wiesz coś o nim? - spytał Winter.
- Należy do Thompsonów, przyjaciół Swanów. - Walgren zapalił papierosa. - Czasami, kiedy Charlie Swan jest w domu, te dwie pary widują się - zrobili tak ostatnio.
- To znaczy wychodzą gdzieś razem? - zapytał ostro Winter.
- Nie, odwiedzają się wzajemnie. Swanowie poszli do Thompsonów. Jeśli jest się w domu raz na dziesięć dni, tak jak Charlie Swan, to nie jeździ się do miasta. Człowiek spotyka się z sąsiadami.
- Jak się tego wszystkiego dowiedziałeś? - spytał zaciekawiony Winter.
- Kiedyś byłem prywatnym detektywem. Mam swoje sposoby.
i nie wiem - powiedział Walgren z trudem ukrywając złość - po co tu przyjechaliśmy
- porwanie ma być jutro...
- Jazda próbna - odparł obcesowo Winter. Nie było sensu wyjaśniać, że była to kolejna próba, podobnie jak w rezydencji Cosgrove odbyto próbę uprowadzenia statku.
Popatrzył na dom jeszcze przez minutę czy dwie, po czym rzekł do Walgrena: - Jedź z powrotem do miasta.
15 stycznia o 3.00 po południu w Anchorage było już ciemno. Walgren podrzucił Wintera w pobliże hotelu Westward, gdzie Anglik zjadł obiad w bistro. Chcąc, by jak najmniej go zapamiętano, zjadł tylko jedno danie w hotelowej restauracji. Walgren, który jadł bardzo niewiele - miał paskudną nadwagę i raczej się odchudzał - podrzucił LeCata pod jego hotel. Potem pojechał po Armanda Bazina i wybrał się w długą podróż do terminalu naftowego Nikisiki na półwyspie Kenai.
Była szósta wieczorem. Walgren znów przyjechał po Wintera do hotelu Westward, gdy tylko odwiózł Bazina do jego hotelu.
Wyjechali za miasto, do odludnego miejsca, gdzie na polanie wśród wiecznie zielonej roślinności stała stara szopa.

- Wszystko jest w największym porządku - powiedział do Wintera, gdy zaparkowali przed budynkiem. - Naprawdę nie musiałeś odbywać tej podróży.
- Lubię wszystkiego sam doglądać.
Winter obejrzał szopę, która przez tydzień miała być więzieniem Swana i jego żony. Jak powiedział Walgren, wszystko wydawało się w porządku. Szopa była dobrze zabezpieczona, przy wszystkich oknach i drzwiach wisiały nowe kłódki, wewnątrz znajdował się piecyk, na którym można było gotować. Kupiono także odpowiednie zapasy żywności, także mleka i soków owocowych w puszkach. Swanowie powinni tu mieć wygodnie, jak na te warunki. Pięć grzejników olejowych i paliwo powinny im wystarczyć na miesiąc. Winter nie pytał Amerykanina czy ukradł ropę, czy kupił ją na czarnym rynku.
- Usatysfakcjonowany? - spytał oschle Walgren, gdy opuszczali to miejsce.
- Może być. Zawieź mnie szybko z powrotem do hotelu, wkrótce powinien przyjechać Mackay. Ale trzymaj się dozwolonej prędkości...
Gada od rzeczy - pomyślał Walgren, uruchamiając silnik i kierując się z powrotem na autostradę. To jest cholernie długi dzień, który w żadnym wypadku jeszcze się nie skończył. Gdy tylko odwiezie Wintera do jego hotelu, musi pojechać na lotnisko, zaczekać na przylot cessny z Mackayem i Swanem - radiooperatorem Challengera przycumowanego w Nikisiki, po czym podążyć za Swanem aż do jego domu w dolinie Matanuska.
- Czy to naprawdę konieczne? - narzekał.
- Swan jest kluczem do tej części operacji - musimy upewnić się, że bezpiecznie dotarł do domu - odparł Winter.
Winter wysiadł z samochodu Walgrena w niewielkiej odległości od hotelu Westward i resztę drogi przebył pieszo. Klucz do swojego pokoju miał w kieszeni, żeby nie pojawiać się zbyt często w recepcji, i poszedł prosto do windy. Gdy znalazł się w pokoju, spojrzał na zegarek i szybko prześledził w myślach miejsca pobytu wszystkich osób wmieszanych w tę sprawę.
Godzina 7.00 wieczorem: Mackay wyląduje cessną na lotnisku za piętnaście minut; Walgren będzie tam czekał, żeby pojechać za Swanem do jego domu. Winter biorąc prysznic odtwarza w pamięci informacje o miejscach pobytu uczestników akcji. LeCat jest w swoim hotelu dziesięć przecznic dalej i prawdopodobnie obejmuje dłońmi butelkę koniaku. Armand Bazin i Pierre Goussin, którzy będą

pilnować przetrzymywanych w szopie Swanów, są pewnie w swoim hotelu i jedzą kolację, którą dostarczyła im do pokoju obsługa.
Oni w tym czasie udają, że ślęczą nad stosem papierów. Nikt tego wieczora nie ma prawa opuszczać swojego hotelu - Winter nie mógł ryzykować, że ktoś na przykład upadnie na oblodzonym chodniku i złamie nogę. Tylko on jeden będzie jeść w restauracji. Zakręcił prysznic. Kinnaird, zastępczy radiooperator, siedzi zamelinowany w hotelu Madison.
Dziesięć tysięcy funtów. Każdy człowiek marzy o jakiejś kwocie, która uwolniłaby go od trosk i niepokojów. Dla "Shepa" Kinnairda dziesięć tysięcy funtów stanowiło tę sumę. Uchyliwszy nieco zasłonkę w oknie swojej sypialni w Madison, wyjrzał na zewnątrz. Było spokojnie: opustoszała, ośnieżona ulica, oświetlona słabym światłem latarń, które zostaną wyłączone o dziesiątej. Żadnego samochodu zaparkowanego w miejscu, z którego ktoś mógłby obserwować hotel.
Kinnaird, trzydziestosiedmio letni mężczyzna, dwukrotnie rozwiedziony - żadna z dwóch żon nie była w stanie znieść jego hazardowych nawyków - był radiooperatorem, którego Winter zatrudniał na trawlerze Pecheur jeszcze w czasie przemytniczych operacji na Morzu Śródziemnym. Wcześniej Kinnaird był związany z kartelem radiooperatorów Marconi i pływał na linii Zatoka Perska - Zachodnie Wybrzeże. Teraz w zasięgu jego ręki było dziesięć tysięcy funtów -takązapłatę miał otrzymać za zastąpienie Swana, radiooperatora Challengera.
Około półtora kilometra od tego miejsca James Mackay, pięćdziesięciopięcio letni kapitan Challengera jadł właśnie kolację w restauracji na dachu hotelu Westward. Ten potężnie zbudowany mężczyzna o rumianej twarzy, który poruszał się zaskakująco żywo, pływał w wahadłowych rejsach pomiędzy Alaską a San Francisco od pięciu miesięcy. Było to dziecinnie łatwe jak na jego gust: Nikisiki leży w odległości około 2000 mil od San Francisco. Challenger, płynąc z przeciętną prędkością 17 węzłów, odbywał podróż do terminalu Oleum na wschodnim brzegu San Francisco Bay w nieco ponad cztery dni.
Rozładowywał cenną alaskańską ropę w dwanaście godzin i znów wracał do Nikisiki. Jeden i ćwierć dnia trwało ładowanie kolejnego transportu ropy z Zatoki Cooka - czas przebywania w doku mógłby być krótszy, ale Mackay pamiętał o huraganach szalejących nad tymi wodami i nalegał na skrupulatną konserwację statku. Jeden rejs trwał

więc dziesięć dni, i tak w kółko - rejsy wahadłowe. Teraz - myślał Mackay przeglądając listę dań - chodzi o ropę z mało znanego zagłębia naftowego w rejonie Zatoki Cooka. Co też, u licha, będzie, gdy zacznie się eksploatacja Zbocza Północnego?
- Befsztyk, frytki i szklankę piwa - zamówił Mackay. Zawsze przeglądał menu, a potem zamawiał takie samo jedzenie. Od dziesięciu lat Mackay był wdowcem i miał swoje przyzwyczajenia.
Zawsze nocował w tym samym hotelu i zawsze opuszczał go o 4.00 po południu następnego dnia, by wrócić na statek. Tankowiec wypływał do Kalifornii o północy. - Najważniejsza jest rutyna - lubił mawiać Mackay do swojej załogi - wtedy nigdy nie zapomina się o istotnych sprawach...
Czekając na befsztyk, rozglądał się po prawie pustej restauracji.
Cztery stoliki dalej jakiś chudy mężczyzna w okularach z rogową oprawką czytał z zainteresowaniem gazetę. Gdy podano posiłek, Mackay spożył go po cichu - co było marynarskim nawykiem - i prawie nie zwrócił uwagi na to, że mężczyzna w okularach z rogową oprawką wyszedł z restauracji jeszcze zanim skończył kolację.
W głównym hallu na dole Winter przeglądał jakieś broszurki, gdy Mackay wyszedł z windy i udał się do baru. Znów była to część rutyny z relacji Walgrena: po kolacji Mackay zawsze szedł na drugie piwo do baru, a niedługo potem udawał się na górę do swego pokoju. Zdjęcie Mackaya przysłane przez Walgrena do rezydencji Cosgrove było bardzo wyraźne.
Winter zastanawiał się, jak Walgren wykonał tę fotografię nie będąc zauważonym. Podszedł do wejścia baru, zdjął okulary w rogowej oprawce i wsadził je do kieszeni. Mackay siedział odwrócony plecami i czytał czasopismo. Barman spojrzał zza kontuaru wprost na Wintera.
Ten zerknął w bok, jakby zmienił zdanie, i podszedł do kabiny telefonicznej.
Winter czekał na połączenie z hotelem Bazina, dzwoniąc pod podany mu przez Walgrena numer. Była to ostatnia czynność, na jaką musiał zwrócić uwagę tego wieczora. Bazin podszedł do aparatu i ostrożnie potwierdził, że jest gotów. Oznaczało to, iż zapoznał się z topografią terminalu naftowego Nikisiki, do którego Walgren zawiózł go dziś po południu, i że Walgren przekazał mu, czego powinien użyć: bomby termitowej.
o 3.00 po południu 16 stycznia Winter skręcił na podjazd prowadzący do domu Swanów i powoli podjechał w ciemności pod sam budynek;

żadnego pośpiechu, nic, co mogłoby zaniepokoić Swanów, gdyby zauważyli nadjeżdżający samochód. Zmarznięty śnieg skrzypiał pod kołami.
LeCat siedział obok niego, a Pierre Goussin z tyłu. Winter dotarł do budynku, objechał go, stając po tej stronie, po której zaparkowany samochód nie był widoczny z okien domu Thompsonów. Reflektory oświetliły stojącego przed domem niebieskiego ramblera z podłączonym kablem elektroenergetycznym; Swan jeździ ramblerem.
Winter po cichu wysiadł z samochodu i zbliżył się do drzwi frontowych. Jego prawa dłoń znajdowała się w kieszeni kożucha, trzymając pistolet marki Skorpion w kaburze. Od razu stało się coś nieoczekiwanego. Światło w podcieniu frontowego wejścia zapaliło się i Swan, który miał wyjść później, otworzył drzwi zanim Winter zdążył nacisnąć dzwonek. Był ubrany w angielski płaszcz i trzymał w ręku torbę.
- Pan Swan? - spytał Winter.
- Tak...
- Proszę się nie denerwować, nikomu nie stanie się krzywda.
-Winter wycelował pistolet w pierś Swana. - Chcemy tylko skorzystać z telefonu, a potem zostawimy pana w zamkniętym pokoju...
Mówił szybko, mierząc wzrokiem stojącego przed nim mężczyznę.
Domyślał się, co czuje, gdy groził mu pistoletem i uspokajał wzmianką o telefonie.
- Dokąd on idzie? - spytał niespokojnie Swan.
LeCat przepchnął się obok niego i zniknął we wnętrzu domu, gdy tymczasem Winter mówił dalej, absorbując jego uwagę. - Wejdźmy do środka i sprawdźmy... Niech się pan nie śpieszy - nie potrzeba nam tu żadnego strasznego wypadku... - Winter podążył za Swanem, korytarzem do dużego salonu w kształcie litery L.
Ciemnowłosa kobieta po trzydziestce dotykała dłonią swojej szyi, a jej oczy były ogromne ze strachu - LeCat trzymał ją jedną ręką za szyję, a drugą przystawiał do piersi nóż. Swan ruszył w jej stronę przez pokój i zatrzymał się, kiedy napastnik przyłożył czubek noża do gardła kobiety. - Trzymaj się z daleka, albo ona zginie - ostrzegł LeCat.
- Odsuń nóż od jej gardła. Tak lepiej... - Winter miał ochotę przywalić temu Francuzowi. Głupi kretyn mógł doprowadzić do rzezi!
W salonie panowała atmosfera szoku i niedowierzania, którą Winter przewidział i był zdecydowany wykorzystać. Przeciwstawiając się oczywistej gafie LeCata, Anglik zaczął zachowywać się szorstko, jakby

urzędowo. Położył dłoń na ramieniu Swana i posadził go na krześle: siedzący człowiek jest mniej skłonny do gwałtownych reakcji. - Niech pani Swan usiądzie - powiedział do LeCata - i skończ z rękoczynami...
- Czekamy na przyjaciół, którzy przyjdą lada moment - ostrzegł Swan.
- Już mogli wejść przez frontowe drzwi...
- I dlatego ubrał się pan do wyjścia - zauważył chłodno Winter. - Wychodził pan, żeby wrócić na swój statek, więc proszę przestać opowiadać bajki... - Ocenił Swana: bystry, zdecydowany mężczyzna, który próbuje ich przechytrzyć, chociaż ma tylko pięćdziesiąt procent szans. W tej chwili znajdował się w stanie głębokiego szoku: pobladł i nie mógł oderwać wzroku od żony, która siedziała z rękami złożonymi na kolanach.
- Czego chcecie? - spytała cicho pani Swan. Odzyskała już zimną krew. Szybciej od swego męża zadała to podstawowe pytanie.
Czego od nas chcecie?
- Chcemy zastąpić pani męża w pracy przez tydzień. - Żeby załagodzić sytuację, Winter usiadł na krześle w skandynawskim stylu, gdy tymczasem z głębi domu nadszedł Goussin. - Wszystko w porządku z tyłu? To dobrze. Swan, ty nie masz dla nas żadnego znaczenia - martwy ani żywy, a bohaterowie zwykle zostawiają wdowy na tym najstraszniejszym ze światów. Chcę, żebyś zadzwonił do kapitana Mackaya, do hotelu Westward w Anchorage. Powiedz mu, że jesteś chory, że złapałeś straszną grypę. Powiedz też, że znalazłeś zastępstwo, radiooperatora z kartelu Marconi, który jest akurat na urlopie w Palmer. Odwiedza swoją siostrę. Ten zastępca nazywa się Kinnaird - będzie płynął zamiast ciebie w najbliższym rejsie Challengera do San Francisco.
- A co się stanie z nami? - spytał Swan. - Nadal był blady, ale jego głos był mocny.
- Przez tydzień będziecie trzymani pod strażą osiemdziesiąt kilometrów od tego miejsca. Przez ten czas Challenger dotrze do San Francisco. Potem zostaniecie uwolni
- To się nie uda. Mackay się nie zgodzi.
- Zgodzi się - przerwał ostro Winter. - Za godzinę opuści hotel Westward, żeby wrócić na statek. Kiedy usłyszy, że jesteś chory, będzie przerażony, ale gdy mu powiesz, że znalazłeś zastępcę, odczuje ulgę i od razu będzie gotów przyjąć Kinnairda. Chcesz, żebym ci powtórzył, co masz mu powiedzieć?
- Nie - Swan był zdenerwowany i niezdecydowany. - A jeżeli ja nie... -

Spojrzał na żonę i urwał. Popatrzył na LeCata stojącego za jej krzesłem. Miał zamiar zapytać, co się stanie, jeżeli odmówi, ale potem stwierdził, że nie chce, by jego żona usłyszała odpowiedź.
- A co z moją żoną, Julią?
- Będzie z tobą przez cały czas. Daję ci na to słowo...
- Na wiele się ono zda...
-. Charlie... - Julia pochyliła się do przodu, a jej zaciśnięte dłonie zbielały z napięcia.
- Zrób, jak oni mówią. - Spojrzała na Wintera. - Człowiek, który stoi za mną, nie zostanie z nami, prawda - Nie - odparł Winter obojętnie. - Mam trochę ludzkich uczuć.
- To niech mu pan każe przestać się na nią gapić - wybuchnął Swan.
- Stań przy oknie - powiedział Winter do Lesata. Wycelował pistolet w Swana, kiedy rozmawiał z Julią. - Niech pani mu powie, pani Swan, żeby nie próbował ostrzec Mackaya o tym, co się dzieje - dla dobra wszystkich...
- Rób dokładnie to, co on mówi, proszę cię, Charlie - powiedziała Julia Swan. - Dla mojego dobra - dodała. Miała na myśli: dla dobra mojego męża.
Swan spojrzał na telefon. - Mackay będzie zadawał pytania...
- Jesteś chory - powtórzył Winter - więc szybko się wyłączysz.
Musisz przekonać Mackaya w możliwie krótkich słowach, że Kinnaird jest okay, że znasz go od dawna; papiery ma w porządku - bo tak będzie...
- Ten człowiekjest dobrym fachowcem? - spytał Swan ze smutkiem. Bezpieczeństwo statku może zależeć od radiooperatora.
- Jest absolutnie kompetentny i kiedyś rzeczywiście pracował dla kartelu Marconi. Mackay będzie w sytuacji podbramkowej - powtórzył Winter. - Wypływa o północy, więc da się przekonać.
Winter z góry wiedział, iż problem będzie polegał na tym, by Swan był przekonany, że na nic mu się zda, jeśli będzie postępował niezgodnie z poleceniami. Powtórzył swoje wcześniejsze ostrzeżenie. - Gdyby przypadkiem przyszła ci do głowy jakaś sprytna wzmianka, która pomogłaby Mackayowi rozszyfrować nas, to pamiętaj, że będziemy mieli ciebie i twoją żonę jeszcze tydzień po tym telefonie.
- Na jakich statkach pływał Kinnaird? On na pewno mnie o to zapyta...
- Na liniach Ellesmere - Luckman - odrzekł szybko Winter.
-Spędził trzy lata na tankowcu Maltese Cross, a przedtem przez dwa

lata pływał na statku White Cross. To było kilka lat temu, ale powiedz tak, jakby to było ostatnio. Statki, o których mówię, kursują między Zatoką Perską a Zachodnim Wybrzeżem.
- Wiem - Swan patrzył prosto w oczy Wintera. - Co zamierza zrobić Kinnaird?
- Charlie! Na miłość boską, rób to, o co on cię prosi - wybuchnęła Julia.
- To rozsądne pytanie - odparł Winter. - Musimy przewieźć pewnego człowieka, który jest już znany amerykańskiej policji.
Najbezpieczniej jest ulokować go na statku jako członka załogi i wysadzić w miejscu docelowym. Kinnaird to nie jest jego prawdziwe nazwisko, oczywiście...
- To będzie trudne...
- Do roboty! - Winter spojrzał na zegarek. - Połącz się teraz z hotelem Westward
ccviii spraw, żeby ten numer się udał - dla dobra Julii.
Minęło mniej niż pięć minut od ich wejścia do chwili, gdy Swan zadzwonił: dość czasu, by Winter przekonał Swana, ale nie dość czasu dla Swana, by mógł się nad tym zastanowić. Winter celowo zaplanował, żeby Swan wykonał ten telefon, kiedy jeszcze znajdował się w szoku. Swan świetnie sobie poradził z telefonem do Mackaya. Nawet mówił przez nos, udając chorego na grypę. Rozmowa trwała niecałe trzy minuty. Swan odłożył słuchawkę i zwrócił się do Wintera.
-Połknął wszystko - haczyk, żyłkę i ciężarek...
- Przepraszam... - Winter przeniósł telefon przez pokój, postawił na kredensie
i odwrócony plecami do Swana wykręcił numer. - Tu Forrest. Dzwoń. Teraz! - Przerwał połączenie i wykręcił nowy numer. I znów telefon po drugiej stronie odebrano natychmiast. - Tu Forrest. Jedź - wszystko w porządku...
Ważne było zgranie w czasie tych rozmów. Pierwsza była rozmową z Walgrenem, który czekał w budce telefonicznej przed hotelem Westward. Teraz Walgren dzwoni do Armanda Bazina, który czeka w terminalu naftowym Nikisiki z bombą termitową. Walgren miał zaczekać pięć minut, a później zadzwonić do kapitana Mackaya do hotelu Westward. Drugi telefon zawiadamia Kinnairda, który już jechał z Anchorage do Nikisiki.
Winter odłożył słuchawkę i zobaczył, że Swan stoi, a tuż przy nim LeCat z pistoletem wycelowanym w serce radiooperatora. Teraz

Francuz wykazywał rozsądek: celując w męża, nie trzeba było pilnować Julii Swan.
- Zostawcie moją żonę tutaj - błagał Swan Wintera. - Ona nic nikomu nie powie, jeżeli pójdę z wami...
- To niemożliwe - Winter pokręcił głową. - Troska o to, co się z tobą dzieje, byłaby dla niej zbyt dużym stresem.
- Ja bym wolała pójść razem z nim - Julia Swan wstała.
-Winter zaczął podziwiać tę dzielną kobietę. - Chciałabym zabrać trochę rzeczy, kosmetyków...
- Jezu Chryste! - wrzasnął LeCat.
- Tego faceta już nigdy nie spotkacie - zapewnił Winter. - Idź z nią i sprawdź, co zabiera - żadnych pilników do paznokci. Weź też Swana. - Zaczekali, aż zostali sami z Goussinem, który cały czas stał milcząc z tyłu pokoju. Nie lubił ani Goussina, ani Bazina - dwóch mężczyzn, którzy mieli zostać ze Swanem, ale obaj mieszkali w Quebecu po ucieczce z Algierii i mieli tę zaletę, że dobrze mówili po angielsku.
Spojrzał na Francuza, mężczyznę o groźnym wyglądzie, mniej więcej w wieku LeCata. - Pozwól, że ci przypomnę: razem z LeCatem zawieziecie ich ramblerem Swana do szopy...
- Już to wszystko słyszałem...
- To usłyszysz jeszcze raz. Weźcie ramblera - byłoby zabawne, gdyby znalazł go tu jakiś ciekawski sąsiad. Swan miał przecież jechać na lotnisko. Od dziś za tydzień zostawicie ich samych zamkniętych w szopie. Polecicie do Kanady i zadzwonicie na policję, mówiąc, gdzie znajdują się Swanowie. Jeżeli coś im się stanie, przyjadę i będziecie mieć ze mną do czynienia...
- Co może im się stać... - Goussin nie mógł wytrzymać spojrzenia Wintera i Anglik odczuł cień wątpliwości. Wtedy właśnie LeCat wrócił ze Swanami i kolejna sprawa do załatwienia zaprzątnęła uwagę Wintera.
- Jeszcze jeden telefon - powiedział do Julii Swan - tym razem pani go wykona. Ma to tak wyglądać: śpieszy się pani - Charlie właśnie pani powiedział, że Mackay złagodził swoją zasadę, iż na pokładzie jego statku nie mogą podróżować kobiety. Więc płynie pani na pokładzie Challengera w najbliższym rejsie do San Francisco. To wyjaśni pani nieobecność w domu. Mam na myśli waszych sąsiadów, Thompsonów...
- Miałam się spotkać z Madge... z paniąThompson dziś wieczorem...
- Więc teraz dzwoni pani, by powiedzieć, że nie będzie pani mogła

tego zrobić.
- Winter przywołał wzrokiem LeCata. - Zabierz Swana do samochodu. Zaraz do was dołączymy. - Zaczekał aż wyszli.
- Pani Swan - powiedział cicho - musi pani dobrze udawać dla dobra pani męża.
- Dobrze mi to wyjdzie...
Obserwował, gdy pewnie wykręca numer. Miała zdrowe nerwy ta amerykańska dziewczyna. Dlaczego tak często się zdarzało, że kobiety szybciej potrafiły objąć myślą mrożące krew w żyłach sytuacje niż mężczyźni, zdając sobie sprawę z tego, że jedynym sposobem, by przeżyć, jest konieczność współpracy?
Julia Swan doskonale poradziła sobie z tą rozmową; udało jej się nawet nadać odcień ekscytacji swemu głosowi, gdy mówiła o perspektywie podróży na pokładzie tankowca wraz z mężem. O ile Winter mógł się zorientować, pani Thompson nie podejrzewała niczego.
- To było dobre - zapewnił Julię, kiedy odłożyła słuchawkę.
-Jeśli będzie pani tak dalej postępować, wszystko dobrze się ułoży.
- Naprawdę? - spojrzała na niego przez ramię, zakładając ciepłe palto.
- Jest pan Anglikiem, prawda? Czy może nie powinnam pytać?
- Nie powinna pani pytać. - Chwycił ją za ramiona, gdy już przygotowała się do wyjścia i zauważył, że usta kobiety się zaciskają.
-Będzie dobrze pod warunkiem, że pani mąż nie zrobi czegoś głupiego.
Jeszcze dzisiaj przyjedzie inny strażnik i zastąpi tego mężczyznę, którego pani się obawia. Ale proszę pamiętać - ludzie, którzy z wami zostaną, będą uzbrojeni.
- Mój mąż za bardzo się o mnie troszczy, żeby zrobić coś głupiego, jak pan raczył to określić - warknęła. Głos jej się załamał. -To nie jest nic dobrego - boję się...
- Od dziś za tydzień będziecie wolni.
- Modlę się, żeby już był ten ósmy dzień.
Kapitan James Mackay, w ciepłej kurtce z kapturem, którą pośpiesznie włożył,
i z torbą, do której wrzucił parę drobiazgów, opuścił hotel Westward i ruszył w ciemność
o 3.30 po południu. Latarnie uliczne przesłaniała mgła, kiedy biegł do miejsca przy par- kometrze, gdzie stał jego samochód.
Po mniej niż pięciu minutach od telefonu jego radiooperatora, Swana,

który powiedział, że jest chory, ale znalazł zastępcę, Kinnairda telefon zadzwonił znowu. Stało się to w odpowiedzi na pierwszy pilny telefon, jaki Winter wykonał z domu Swanów.
Głos Walgrena z amerykańskim akcentem narzekał na złe połączenie, mówiąc, że ledwie słyszy Mackaya i że strasznie się śpieszy.
W terminalu naftowym w pobliżu Challengera wybuchł pożar. - Lepiej niech pan tu szybko przyjedzie - ostrzegł Mackaya rozmówca i rozłączył się, zanim kapitan zdążył zadać jakiekolwiek pytanie.
Mackay, nie zdając sobie z tego sprawy, był poddawany przez Wintera terapii wstrząsowej, która miała spowodować, by wyjechał z Anchorage i przestał myśleć - zastępczym radiooperatorze, który również był w drodze do terminalu.
Mackay dotarł do zaparkowanego samochodu i zaklął głośno: - Cholerne bachory... Kabel elektroenergetyczny, który podłączył do grzałki pod maską, został wyciągnięty z gniazdka i leżał bezużyteczny w zamarzniętym śniegu. Zupełnie bezużyteczny. Chłodnica i miska olejowa zamarzły, akumulator nie działał. Klnąc na czym świat stoi, wysiadł z samochodu i właśnie go zamykał, gdy podjechał jakiś wóz.
Walgren zaparkował i wystawił głowę przez okno. - Kłopoty?
- Ktoś wyciągnął kabel.
- To się zdarza - życzliwie skomentował Walgren. - Wszystko zależy od ludzkiej życzliwości. Dokąd pan się wybiera?
- Na lotnisko...
- Już tam jesteśmy - proszę zapiąć pasy, będziemy startować...
Mackay usiadł na tylnym siedzeniu, a Walgren pomknął w ciemności przez miasto z prędkością dużo większą od przepisowej. Kapitan myślał tylko o jednym: żeby wrócić na statek i zorientować się w sytuacji. Miał wypłynąć o północy, by dotrzeć na czas do San Francisco.
Pseudotaksówkarz próbował rozmawiać z Mackayem, ale dał spokój, ponieważ ten odpowiadał monosylabami. To Walgrenowi odpowiadało: nie zależało mu szczególnie na rozmowie z pasażerem, którego Winter kazał mu podrzucić, gdy kapitan odkryje, że jego samochód - unieruchomiony przez Walgrena - nie działa. Winter wiedział, że ważne było, by od chwili, gdy Swan zadzwonił do Mackaya, mieć kapitana na oku. I to się udawało - Mackay nie myślał o niczym innym poza własnym statkiem
- wypłynięciem z Alaski.
Pożar w terminalu naftowym wywołany bombą termitową

zdetonowaną przez Armanda Bazina w pobliżu nowej rafinerii spowodował powstanie ogromnych chmur czarnego dymu. Zrobił to, gdy Walgren zadzwonił do niego do pobliskiej budki telefonicznej. Władze były poruszone, ale nie zaskoczone. Ot, po prostu kolejny zamach z serii ataków bombowych, zdarzających się w Całej Europie i Ameryce.
Zwykle przez kilka godzin poprzedzających rejs kapitan statku jest zaabsorbowany sprawdzaniem, czy wszystko jest gotowe, by wyruszyć o czasie. Tym bardziej jest zaaferowany, kiedy kilkaset metrów od miejsca przycumowania jego statku szaleje pożar. Nieważna jest zmiana radiooperatora.
- Jestem Kinnaird...
Kiedy Mackay śpieszył wzdłuż falochronu w kierunku schodni, zbliżył się do niego schludnie ubrany mężczyzna około czterdziestki, o szczupłej twarzy, czujnym, bystrym spojrzeniu - Mackay zdążył to wszystko momentalnie zauważyć. Majtek przy schodni przedstawił Mackayowi Kinnairda, który miał walizkę i był ubrany w ciepłą kurtkę z kapturem i futrzaną papachę.
- Proszę na pokład - odparł energicznie Mackay. - Niech się pan zgłosi do drugiego oficera Walsha. Pomówimy później...
W swojej kabinie Mackay wysłuchał pierwszego oficera Sandyego Bennetta, który zdał mu krótki raport: - Zbiorniki powinny zostać napełnione za siedem godzin. Myślę, że wyruszymy przed północą...
- Może wyruszymy wcześniej, jeśli nam się uda. Lepiej niech pan uprzedzi szefa portu. Możliwe, że nie napełnimy wszystkich zbiorników, jeśli to świństwo się rozszerzy...
Mackay patrzył przez okienko w lewej burcie ponad labiryntem rur i falochronów, gdzie przez zasłonę czarnego dymu unoszącego się w górę przeświecała czerwona łuna. Odnosił - miał nadzieję zwodnicze - wrażenie, że cały terminal ogarnęły płomienie. - Co było tego powodem? - spytał.
- Za wcześnie, by coś o tym powiedzieć, panie kapitanie. Dobrze, że tak szybko znalazło się zastępstwo za Swana. - Bennett przerwał. - Jak to się stało, że mieliśmy takie szczęście, panie kapitanie?
- Tylko Swan to wie. A propos, on właśnie przyszedł. Jest z kartelu Marconi - akurat odwiedzał swoją siostrę w Anchorage... Mackay mówił ze, zniecierpliwieniem, chcąc już przejść do innych tematów.
Pierwszy oficer, Sandy Bennett miał dwadzieścia osiem lat; był mężczyzną średniego wzrostu i przeciętnej budowy, z krótkimi

włosami w kolorze piasku i takimiż krzaczastymi brwiami; pod nimi znajdowało się dwoje przenikliwych, czujnych oczu, które rzadko oceniały coś lub kogoś na ich pierwszy rzut. Mackay uważał, że Bennett trochę przesadzał z tym swoim nawykiem pytania o wszystko.
- Widział się pan ze Swanem, panie kapitanie? - spytał. - To on przedstawił panu tego Kinnairda?
- Nie. - Mackay zasłonił zasłonkę i odwrócił głowę od tego zatrważającego widoku.
- Zadzwonił do mnie ze swojego domu w pobliżu Palmer, kiedy byłem w hotelu Westward. Czy coś pana niepokoi?
- Nie, nie, panie kapitanie. Tylko to taki zbyt szczęśliwy zbieg okoliczności - Swan łapie chorobę i akurat pod ręką jest zastępca, i to właśnie tu, na Alasce. Każdy taki zbieg okoliczności wydaje się podejrzany. Sprawdzę jego dokumenty, zanim odpłyniemy...
- Walsh już to robi. Może pan to powtórzyć, jeżeli pan musi.
A teraz, panie Bennett, może przejdziemy do spraw związanych z funkcjonowaniem, statku...
Był nadal czwartek 16 stycznia, gdy kapitan Mackay wszedł na pokład swego statku na Alasce. Poprzedniego dnia wszystko poszło gładko na londyńskim lotnisku Heathrow. Przyloty i odloty odbywały się zgodnie z rozkładem. Był to wyjątkowo szczęśliwy traf; w czasach drugiego kryzysu energetycznego drukowane rozkłady lotów miały niewielki albo wręcz żaden związek z rzeczywistością. Dla Sullivana był to niemal powrót do normalności.
Nie ma żadnych połączeń lotniczych z Londynu do Anchorage we wtorki i czwartki, tak więc w czwartek 16 stycznia Sullivan musiał polecieć na Alaskę inną trasą. O 9.30 rano czasu londyńskiego opuścił lotnisko Heathrow na pokładzie samolotu rejsu BE 742, zmierzającego do Kopenhagi. Ze stolicy Danii samolot Scandinavian Airlines, rejs numer SK 989 miał odlecieć o 3.30 po południu i przybyć do Anchorage o 1.15 po południu czasu obowiązującego na Alasce.
To oznaczało, że Sullivan dotarłby do Anchorage blisko dwie godziny przed planowanym porwaniem Swana. Bez wątpienia poszedłby od razu do hotelu Westward, by się spotkać z Mackayem; byłby tam w momencie, gdy dzwonił Swan. Nie byłby sobą, gdyby to nie wzbudziło jego podejrzeń. Niestety, tak się nie stało.
Z powodu niedostatków paliwa, samolot z Kopenhagi
wystartował z ponad dziesięciogodzinnym opóźnieniem. Gdy

Kinnaird dotarł do schodni prowadzącej na Challengera, Sullivan znajdował się nadal na wysokości ponad 9000 metrów nad ziemią, siedem godzin lotu od Anchorage.
- Więcej kłopotów. To nie jest nasz dzień, Bennett... Mackay przekazał wiadomość, jaką otrzymał z kabiny radiooperatora swemu pierwszemu oficerowi i stał teraz na mostku kapitańskim z rękoma założonymi do tyłu. Patrzył na przebłyskującą w ciemności czerwoną łunę pożaru. Bennett odczytał wiadomość, która właśnie nadeszła z biura londyńskiego.
Proszę z całym szacunkiem traktować paniąBetty Cordell, dziennikarkę amerykańską, która weźmie udział w rejsie Challengera do terminalu Oleum, rozpoczynającym się 16 stycznia. Cordell przylatuje na lotnisko w Anchorage o szóstej dziesięć po południu na pokładzie samolotu North West Airlines z Seattle. Sama dotrze na statek.
Harper.
- To kobieta - wycedził Mackay stojąc na przodzie mostka kapitańskiego.
- Tak należałoby przypuszczać, panie kapitanie - odparł Bennett - chyba
że Amerykanie zaczęli w jakiś dziwny sposób nadawać imiona.
- Próbuje pan być zabawny?
- Po prostu czynię pewne spostrzeżenie, panie kapitanie - odrzekł z szacunkiem Bennett. - Lepiej uprzedzę Wrigleya, żeby przygotował kabinę...
- Żadnych falbanek - warknął Mackay. - Będzie musiała mieszkać tak jak my wszyscy i polubić to. Czy nie ma na świecie dość dziennikarzy mężczyzn, którzy mogliby popłynąć? Jeżeli zażyczy sobie śniadanie do łóżka, to go nie dostanie. Lepiej niech pan już pójdzie i powie Wrigleyowi...
Bennett opuścił mostek kapitański, zanim kapitan zdążył wyrazić swoje myśli w bardziej marynarski sposób. Nie jest to takie niezwykłe, że kobieta podróżuje na pokładzie tankowca przewożącego ropę; wiele firm pozwala oficerom zabierać od czasu do czasu swoje żony na pokład, ale Mackay - będąc wdowcem - nie zezwalał na to.
- Jeżeli mężczyzna spędza noc ze swojążoną, korzystając z normalnych małżeńskich uciech, nie jest zdolny do służby w przypadku huraganu - lubił mawiać. I dobrze zrozumiał formułę tej wiadomości, która nie zostawiała mu żadnej swobody decyzji. Harper

po prostu kazał mu wziąć tę przeklętą babę na pokład.
Brian Walsh, drugi oficer popełnił błąd, przychodząc na mostek kapitański zaraz po wyjściu Bennetta.
- Mamy kobietę w tym rejsie - warknął Mackay do swojego drugiego oficera.
- Naprawdę, panie kapitanie?
Być może Walsh, zdeklarowany kawaler, zareagował nieco zbyt żywiołowo na to przykre stwierdzenie. Mackay odwrócił się powoli i zmierzył Walsha wzrokiem wyrażającym zupełny brak entuzjazmu.
- Amerykańska dziennikarka. Pewnie będzie miała krzywe nogi, zapadniętą klatkę i okulary w rogowej oprawce ze szkłami grubymi jak dna butelek po coca - coli.
- Tak jest, panie kapitanie. - Walsh, dwudziestosześcio latek o chłopięcej urodzie, zamrugał oczyma usłyszawszy, jak jego kapitan wyobraża sobie przeciętnądziennikarkę.
- Jakieś szczególne środki ostrożności, panie kapitanie?
- Środki ostrożności? - głos Mackaya podniósł się o oktawę.
-Co pan, u diabła, przez to rozumie?
- Jakieś wydzielone obszary? - Walsh wracał pamięcią do opowiadań ojca o życiu na pokładzie transportowca, na którym pływały też kobiety w stopniach oficerskich, służące w żeńskich oddziałach marynarki wojennej WREN. - Gdzie będzie jadła, panie kapitanie?
- Razem z nami. Może nie zdąży na rejs? - Mackay miał jeszcze cień nadziei. Wydał już rozkazy, żeby Challenger odpłynął o 10.00 wieczorem - dwie godziny przed zwykłym terminem.
-Londyńskie biuro prosi, żeby traktować ją z całym szacunkiem -dodał ponuro. - Ona pewnie pisze jakiś głupawy artykuł o morskich przygodach...
- Czy mam uprzedzić majtków? Ten ich język...
- Nie! Nie zamierzam zmieniać mojej załogi w zniewieściałą bandę tylko dlatego, że będziemy mieli kobietę na pokładzie. Musi zaakceptować ten statek taki, jaki on jest, bez żadnych upiększeń. -Mackay spojrzał na zegar na mostku kapitańskim. - Jeżeli w ogóle tu dotrze...
- Wydaje mi się, że właśnie idzie - zauważył Walsh, wyglądając przez okienko. - I, z całym szacunkiem, panie kapitanie, nie sądzę, by miała krzywe nogi...
Żeby utrzymać się poniżej poziomu i tak już niskich chmur, Winter leciał cessną zaledwie kilkaset metrów nad Zatoką Cooka. Było już

zupełnie ciemno, zegar na tablicy rozdzielczej wskazywał 10.30 i nie było łatwo pilotować w tych warunkach. Na fotelu obok Wintera LeCat przechylał się na boki, spoglądając w dół. - To chyba ten pożar - powiedział do mikrofonu w swoim hełmofonie.
Tego bardzo pochmurnego wieczora pod samolotem było dużo światła, więcej niż kiedykolwiek. Lecieli nad obszarem, gdzie kończy się Alaska i zaczynają potężne fale Pacyfiku, rozciągającego się aż po Japonię i Syberię. Benzyna płonąca w urządzeniach rafinerii jaśniała jak pioruny kuliste, jak ogromne pochodnie trzymane w górze przez jakiegoś olbrzyma. Dalej jeszcze większa jasność rozświetlała mrok.
Pożar rafinerii, zapoczątkowany przez bombę termitową Bazina, rozszerzał się na terminal, gdzie strażacy z Anchorage zmagali się, by go opanować.
- Tam jest Challenger...
Nawet w dole, w ciemnościach wieczoru, wydawał się przeogromny: miał 51332 tony wyporności, ponad 225 metrów długości i około 31 metrów szerokości - istna pływająca platforma ze stali, z mostkiem kapitańskim blisko rufy, mostkiem, na którego odpowiedniku ćwiczyli w rezydencji Cosgrove.
Winter wytracił nieco wysokość i skierował dziób samolotu w dół, tak by przemknąć tuż nad światłami pozycyjnymi. Oprócz nich tankowiec miał światła pokładowe; wiązka lamp przymocowanych do fokmasztu punktowo oświetlała część dziobową statku -
i właśnie ta część interesowała Wintera.
- Po lewej stronie bliżej przodu? - spytał LeCat.
- Przy lewej burcie - odparł Winter, kierując samolot w dół - Możesz teraz zobaczyć miejsce lądowania helikoptera - ten biały krąg z kropką pośrodku...
- To cholernie mały cel - pożalił się LeCat.
- Wystarczająco duży i następnym razem będzie oświetlony światłem dziennym.
- Winter pochylił się do przodu i wprowadził cessnę w płytki lot nurkowy. Wydawało się, że stalowa platforma w kształcie rombu wcale się nie porusza, gdy zniżyli lot nad tankowiec jak piloci nadlatującego bombowca. - Pośrodku jest pomost roboczy - zauważył Winter. - To jest ważne, więc nie zapomnij.
Poprowadzi nas prosto z lądowiska helikoptera na mostek kapitański... LeCat nic nie odrzekł, tylko pochylił się mocno do przodu.

Obserwował wszystko, fotografując w pamięci szczegóły. Ktoś na pokładzie, w pobliżu fokmasztu, patrzył w górę, gdy samolot się zbliżył, osłaniając oczy przed blaskiem świateł cessny. - Tu jest fokmaszt z bocianim gniazdem - wskazał Winter.
- Aha...
LeCat wykazywał maksymalną koncentrację, gdy obserwował ten olbrzymi tankowiec. Był jak żołnierz dokonujący rozpoznania twierdzy, która ma zostać zaatakowana. Winter uniósł dziób samolotu, by ominąć maszt radarowy, po czym zamachał skrzydłami maszyny.
Statek zniknął im z oczu. Do warkotu silnika dołączył słaby dźwięk.
To okrętowa syrena. Mackay, człowiek komunikatywny, choć nieco wyalienowany, zawsze doceniał oddawanie honorów.
- Teraz wiemy, jak będzie wyglądał z powietrza - stwierdził Winter. - To była próba generalna - następnym razem wszystko stanie się rzeczywistością...
Wprowadziwszy samolot w szeroki łuk nad Zatoką Cooka, Winter pomknął z dużą prędkością z powrotem do Anchorage. Po wylądowaniu zadzwonił z budki telefonicznej na lotnisku do otwartego ponownie konsulatu Zjednoczonej Republiki Arabskiej w San Francisco, pytając o pana Talaala Ismaila, który czeka na telefon. Wiadomość, jaką przekazał Winter, była prosta: Pomarańcza skrzynkowa została dostarczona.
Opuścili Alaskę trzydzieści minut przed północą na pokładzie samolotu North West Airlines, który miał ich zabrać do Seattle.
Walgren, siedząc z dala od nich, leciał tym samym samolotem; z Seattle miał udać się od razu do San Francisco.
Piętnaście minut przed północą mocno opóźniony samolot z Kopenhagi przybył do Anchorage. Sullivan wyszedł z niego pierwszy.
Pięćdziesięcio tysięcznik Challenger kołysał się lekko, sunąc w nocy z prędkością siedemnastu węzłów. Opuścił już Zatokę Cooka i zmierzał ku Pacyfikowi, udając się w daleką drogę do San Francisco. Była 6.00 rano i większość załogi spała, oprócz tych, którzy pełnili wachtę w przedziale maszynowym, dyżurnego oficera oraz sternika.
Z wysokości ponad osiemnastu metrów, na jakiej znajdował się mostek kapitański, ten potężny statek był jednym wielkim pokładem, platformą ze stali, długości 225 metrów od dziobu do rufy i szerokości ponad 30 metrów. Z pięcio - kondygnacyjnego mostka kapitańskiego ten nie kończący się główny pokład wyglądał jak labirynt rur i

zaworów, z falochronem przed częścią rozdzielczą u podstawy mostka. Do niej przyłączy się rury wysysające ropę, gdy statek dotrze do terminalu w pobliżu San Francisco.

Podwyższony pomost roboczy rozciągał się pośrodku głównego pokładu aż do odległego forpiku - mógł być przesuwany, gdy główny pokład zalewały potężne fale, co nie było rzadkością o tej porze roku.

Dwa duże żurawie masztowe znajdowały się przy lewej i prawej burcie, po obu stronach pomostu roboczego, w pobliżu mostka kapitańskiego; około 150 metrów dalej widniał fokmaszt z okrągłym bocianim gniazdem blisko wierzchołka. Te trzy pionowe konstrukcje były jedynymi formami masztowymi wznoszącymi się ponad główny pokład za mostkiem kapitańskim.

Challengera, podobnie jak wiele innych tego typu statków, zaprojektowano jako pływający zbiornik na ropę, podzielony na osiemnaście mniejszych segmentów - jeden rząd pośrodku i dwa rzędy po bokach, przy lewej i prawej burcie. Ten podział przestrzeni ładunkowej był bardzo ważny, zapewniał bowiem stabilność i bezpieczeństwo na wzburzonym morzu; przewożona w jednym wielkim przedziale ropa mogłaby zagrozić bezpieczeństwu statku, gdyby podlegała kołysaniu fal jako jedna wielka masa gęstego płynu. Sam jej ciężar stanowiłby zagrożenie nie do opanowania. Rankiem w piątek 17 stycznia prognoza meteorologiczna przewidywała, że rejs Challengera będzie spokojny
i bez żadnych niespodzianek.

Betty Cordell poruszyła się na swojej koi, zapaliła światło i zobaczyła, że jest prawie szósta. Nie spała od kilku godzin. To pierwsza noc na pokładzie, pomyślała. Ziewnęła, przeciągnęła się, po czym -jeszcze śpiąca - wstała. Byłoby ciekawe zobaczyć, jak statek wygląda o tej porze. Dobry tytuł artykułu: "Gdy statek śpi".

Miała dwadzieścia siedem lat i szczupłą sylwetkę, jasne włosy krótko przystrzyżone przy szyi. Jej spojrzenie wyrażało pewną srogość i obojętność. Wiedziała, że ludzie na pierwszy rzut oka uważają ją za niepokojącą i określają jako atrakcyjną, ale bez wewnętrznego ciepła. To jej odpowiadało: ludzie byli wtedy mniej skłonni wciągać ją w swoje rozgrywki. Podobnie jak Winter, Sullivan, a nawet Legat, Betty Cordell była samotnicą i wolała chadzać własnymi drogami.

Ubrała się szybko i bez większych starań: spodnie, sweter i podbita futerkiem kurtka z kapturem. Po namyśle postanowiła umyć zęby, wzięła aparat fotograficzny i cicho otworzyła drzwi kajuty. Statek

skrzypiał i kołysał się nieco, przechylając pusty o tej porze korytarz. Zamknęła drzwi i po cichu ruszyła przed siebie.
Pod szczeliną drzwi z napisem KABINA RADIOOPERATORA widać było palące się światło, co wydało się jej dziwne o tej porze.
Zatrzymała się, słuchając dobiegającego zza zamkniętych drzwi kodu Morsea, stukotu znanego z dziecinnych czasów. Ojciec Betty był radioamatorem, gdy mieszkali na pustyni kalifornijskiej.
Przeszła dalej obok następnych drzwi, pod którymi także paliło się światło. Wspięła się po zejściówce, przytrzymując poręczy. Bennett natknął się na nią na górze.
- Nie spodziewałem się zobaczyć pani na nogach o tej porze, panno Cordell...
- Proszę mi mówić Betty... - Podobał się jej Bennett: miał spokojny i surowy sposób bycia, który uważała za bardzo interesujący. - Pomyślałam, że będzie ciekawie uchwycić atmosferę statku, na którym wszyscy jeszcze śpią - wyjaśniła. - Przygotowuję serię artykułów o kryzysie energetycznym... chciałabym mieć jakieś niekonwencjonalne ujęcie tematu. - Uśmiechnęła się. - W każdym razie nie jestem jedyną osobą, która wcześnie wstała - radiooperator też już pracuje.
- Pracuje? - Bennett zmarszczył brwi. - Z pewnością się pani myli...
- Nie mylę się! - Jej wojownicze usposobienie dało o sobie znać. - Szczeliną pod drzwiami przesącza się światło.
- Pewnie nie może spać. Jest nowy na tym statku.
- Pracuje - upierała się Betty. - Słyszałam stukot alfabetu Morsea.
- O tej porze nie ma do przesłania żadnej wiadomości...
- On jakąś wysyła. Czy może coś jest nie tak?
Bennett znów zmarszczył brwi, jak gdyby nie rozumiał, dlaczego ona ciągnie ten wątek. - Idzie pani na mostek?
- Jeżeli można...
- W porządku - niech pani powie, że pozwoliłem. Ja przyjdę za kilka minut. Tam jest Walsh - on pełni tę wachtę.
- To dlaczego pan jest na nogach o tej porze, panie Bennett?
- Nie mogłem spać. - Uśmiechnął się jowialnie i po cichu zszedł na dół. Miała rację
- pomyślał. Światło sączyło się nie tylko spod drzwi kajuty Kinnairda, lecz także spod kabiny radiooperatora.
Zatrzymał się przy drugich drzwiach nasłuchując, ale nie usłyszał niczego, oprócz skrzypienia drewnianych konstrukcji i warkotu

silników. Otworzył drzwi.
Radiooperator o szczupłej twarzy aż podskoczył, obrócił się na krześle, ale spojrzał obojętnie na pierwszego oficera. Przed nadajnikiem leżał otwarty podręcznik, a obok niego notes i ołówek. - Powinien pan teraz nadrabiać zaległości w śnie, panie Kinnaird
- powiedział Bennett.
- Nie wiedziałem, że pan ma tę wachtę - zauważył radiooperator.
- A ja nie wiedziałem, że pan już wstał - odparował Bennett.
-W pana kajucie dzwoni dzwonek, kiedy pojawia się nasz sygnał wywoławczy.
- Wiem. Uczyłem się na pamięć, co trzeba robić. Im wcześniej poznam wszystkie czynności Swana, tym lepiej dla nas wszystkich.
- Jest pan starym znajomym Swana? - Bennett oparł się o gródź i obserwował tego nowego na pokładzie mężczyznę. Zaproponował mu papierosa, ale Kinnaird potrząsnął odmownie głową. Czekał na odpowiedź: radiotelegrafista ziewnął, zanim jej udzielił.
- Znam go od wielu lat. Mam nadzieję, że szybko się wyleczy. Grypa może wywołać powikłania...
- Kinnaird, jaką to wiadomość pan wysyłał?
Bennett zadał to pytanie szybko i nieoczekiwanie, zaraz po tamtym osobistym pytaniu, i uważnie obserwował reakcję Kinnairda. Wydawał się zdezorientowany. - Nie wysyłałem żadnej wiadomości...
- Panna Cordell słyszała, że pan wysyłał - wyjaśnił cierpliwie Bennett.
- Ona też nie może spać i usłyszała stukot kodu Morsea; przechodziła obok drzwi tej kabiny kilka minut temu.
- Pewnie słyszała to - Kinnaird podniósł ołówek i zastukał nim w stół w nieregularnym rytmie. - Robię tak, kiedy się koncentruję.
Niektórzy ludzie puszczają sobie muzykę - ja stukam ołówkiem.
- To nie za bardzo przypomina stukot aparatu Morsea.
- W jaki sposób ona może to odróżnić? - Kinnaird zamknął podręcznik. - Myślę, że wrócę teraz do łóżka. Prognoza meteorologiczna wygląda dobrze.
- Zawsze wygląda dobrze tuż przed rozpętaniem się piekła.
W kanadyjskim porcie Victoria obowiązuje czas o dwie godziny wcześniejszy od czasu w Anchorage. Była ósma rano, gdy Andre Dupont wszedł na mostek kapitański trawlera Pecheur z kartką w dłoni.
- Pierwszy sygnał dotyczący położenia statku właśnie nadszedł z Challengera - powiedział do francuskiego kapitana trawlera.

Kapitan starannie zaznaczył położenie i czas na wcześniej przygotowanej mapie morskiej. Od tej chwili mieli mieć ciągłość sygnałów z Challengera zbliżającego się z każdą godziną do punktu odległego o blisko 200 mil od wybrzeża Kolumbii Brytyjskiej. Gdy tankowiec osiągnie ten punkt, znajdzie się tam również trawler Pecheur. To będzie miejsce przechwycenia statku.
Samolot linii North West Airlines, na którego pokładzie znajdowali się Winter i LeCat, wylądował w Seattle, mieście w pobliżu granicy kanadyjskiej, o godzinie 4.25 nad ranem. Obaj mężczyźni byli zmęczeni - nie spali w nocy - wzięli więc taksówkę do terminalu autobusowego firmy Greyhound w Seattle. Odczekawszy piętnaście minut na dworcu autobusowym - skutecznie zmylili w ten sposób ewentualnych ciekawskich
- pojechali następną taksówką do Washington Plaza, najdroższego hotelu w Seattle.
Zrobili oddzielnie rezerwacje pokojów, udając, że się nie znają, i przespali większość dnia. Po szybkim posiłku w pobliskim bistro wrócili taksówką na dworzec autobusowy, poczekali tam kolejne piętnaście minut, po czym następną taksówką udali się na stację kolejową. Wsiedli do pociągu wyruszającego o 5.20 po południu do Kanady, dotarli do Vancouver o 10.00 wieczorem. Dupont czekał już w motorówce, która miała ich zabrać do Victorii.
Winter bardzo się śpieszył, by jak najszybciej wsiąść na pokład Pecheura. Zbliżała się północ; wkrótce miała się rozpocząć sobota 18 stycznia, a Godzina Zero zaplanowana była na sobotni ranek.
- Chcę, żeby ten statek wypłynął w morze przed północą - powiedział do LeCata.
- Powiedz swojej francuskiej załodze, żeby ruszyła tyłki...
- To chyba niemożliwe...
- Spraw, żeby było.
LeCat wrócił do maleńkiej kajuty Wintera po przekazaniu na mostek polecenia Anglika. - Kapitan mówi, że może się to uda specjalnie dla ciebie - dodał kwaśno. - Poinformował zarząd portu...
- Broń jest na pokładzie?
- W magazynie z materiałami wybuchowymi.
Winter wyszedł na pokład, żeby to sprawdzić. Badania biologiczne morza, w jakich rzekomo miał uczestniczyć ten statek, były dobrą przykrywką również pod względem możliwości ukrycia broni. Do pewnych badań używa się materiałów wybuchowych i LeCat kazał

wybudować ich magazyn. Do pokładu przymocowano stalową komorę; po obu jej stronach czerwoną farbą, przy użyciu szablonu, wykonano napisy MAGAZYN MATERIAŁÓW WYBUCHOWYCH.
- Otwórz - powiedział Winter do LeCata.
- Chcesz sprawdzać wszystko?
- Wszystko. Otwórz...
Wieczorem pojawiła się gęsta mgła. Marynarze poruszali się w mroku na pokładzie, przygotowując trawler do wypłynięcia o północy; u podstawy schodni majaczyła we mgle sylwetka strażnika.
Winter zapalił latarkę w otworzonym przez LeCata magazynie. Jego zawartość wyglądała niewinnie i standardowo, zważywszy miejsce, w którym się znajdowała - do chwili gdy LeCat podniósł kilka lasek materiałów wybuchowych, pod którymi ukazały się pistolety Skorpion.
- Pamiętałeś o szablonach i pistolecie natryskowym? - spytał Winter.
- Są pod spodem - warknął zirytowany LeCat. - Celnicy nie lubią się kręcić po takich pomieszczeniach, co też było niezłe, bo mogliby się zacząć zastanawiać, co my tu mamy, gdyby odkryli szablony napisów USCG.
Castguard - Straż Przybrzeżna Stanów Zjednoczonych.
- A co z kombinezonami do nurkowania? - zapytał Winter. LeCat musiał mu wszystko pokazać, włącznie z aparaturą ratunkową, potrzebną, by w odpowiednim momencie opuścić uprowadzony tankowiec. Po drodze do składziku stolarskiego pod wysokim pokładem dziobowym Winter wsiadł do helikoptera 5.58 Sikorsky, sprowadzonego tu przez znajomego pilota Walgrena i stojącego na platformie zbudowanej nad jedną z ładowni na ryby.
Kazał LeCatowi zaczekać, sam sprawdził wskaźniki paliwa i oleju.
Gdy nastanie sobotni świt, a Pecheur będzie już daleko na wodach Pacyfiku, Winter wystartuje helikopterem do lotu próbnego. LeCat poleci razem z nim, a także trzynastoosobowa grupa terrorystów, która przybyła z Londynu do Montrealu pół godziny przed podróżą Wintera do Anchorage przed trzema dniami. Ludzie ci znajdowali się teraz na pokładzie trawlera, a przedostali się tu w grupkach dwu - i trzyosobowych po dotarciu do Victorii. I znów Winter postanowił urządzić próbę następnego etapu operacji
- porwania Challengera.
Zeskoczył z powrotem na główny pokład i spojrzał na maszynę. Była pomalowana na jasnoszaro, kolor typowy dla helikopterów Straży

Przybrzeżnej. W nocy Andre Dupont miał użyć ukrytych szablonów i pistoletu natryskowego, by namalować odpowiednie oznakowania; nad ranem Pecheur będzie miał na pokładowej platformie idealną kopię helikoptera amerykańskiej Straży Przybrzeżnej.
Winter poprowadził LeCata we mgle do składziku stolarskiego na pokładzie dziobowym.
LeCat pocił się sięgając do pokrywy luku i klnąc w duchu Anglika, który musiał wszystko sam zobaczyć i wszystkiego dotknąć. Pocił się ze strachu, ponieważ w składziku stolarskim ukrył rzecz, której Winterowi nie wolno było zobaczyć.
Francuz pierwszy zszedł po drabinie do ciasnego pomieszczenia, którego podłogę zaśmiecały drewniane strużyny; w powietrzu unosił się ich zapach. - Tutaj - powiedział LeCat. - Usatysfakcjonowany?
Winter ostrożnie rozejrzał się wokół. Do grodzi przymocowana była liną duża nadmuchiwana łódź gumowa Zodiac z przyczepnym silnikiem; silnik w obudowie stał w kącie. W kilku dużych walizkach - każdą LeCat musiał otworzyć Winterowi - znajdowało się piętnaście kombinezonów do nurkowania z maskami i butlami. Przy innej grodzi do pokładu przymocowano dużą ławę ze świeżego drewna, w kształcie skrzyni. - Tego tu przedtem nie było - zainteresował się Winter. - Co to jest?
- Kapitan zdecydował, że stolarzowi potrzebne jest jakieś siedzisko, żeby miał swoje miejsce i nie kręcił się po pokładzie - odparł LeCat..
Wstrzymał oddech, czekając na reakcję Anglika. - Dobry pomysł. - Winter wrócił na górę po drabinie, a za nim Francuz, pocący się teraz na odmianę z ulgi. Zamykając pokrywę, LeCat spojrzał w dół na ławę stolarza. Była ona na tyle duża, by ukryć urządzenie ze stali w kształcie walizki, długości 60 centymetrów i szerokości 30, ważące ponad dziewięćdziesiąt kilogramów. Jego płócienna osłona była oblepiona hotelowymi nalepkami z całego świata. Urządzenie nuklearne Jean - Philippea Antoinea.
Nowy sygnał od Kinnairda potwierdzający ostatnie położenie Challengera nadszedł wkrótce po tym, gdy Winter przybył na pokład Pecheura. Andre Dupont dodał kolejny punkt na mapie morskiej, na której zaznaczano trasę brytyjskiego tankowca. Winter przyglądał się tej mapie, gdy Pecheur wyruszał w morze parę minut po północy.
Sunął powoli we mgle, wydając syreną pojedyncze długie gwizdy w przepisowych dwuminutowych odstępach przy mijaniu południowego krańca Vancouver Island. Anglik wskazał krzyżyk, jaki zaznaczył na

tej mapie. - Przypuszczam, że przechwycimy Challengera gdzieś tutaj - za jakieś trzydzieści sześć godzin. To znaczy, że trzeba się będzie trochę pokręcić po oceanie, ale to stwarza margines błędu...
Był już właściwie sobotni ranek 18 stycznia. Krzyżyk zaznaczony na mapie przez Wintera znajdował się na 47,10 szerokości geograficznej północnej oraz 132,10 długości geograficznej zachodniej - mniej więcej 250 mil na zachód od Vancouver Island.

***

Jest pewna granica.
Gdy garstka prymitywnych ludzi o wyobraźni i obyczajach gangsterów kładzie ręce na sprawach kluczowych dla całej ludzkości, to znaczy, że do takiej granicy dotarliśmy. I wtedy pora działać...
Fragment raportu z posiedzenia rządu brytyjskiego. Podczas którego 1 grudnia premier przemawiał do Gabinetu.
Nadzór satelitarny rejonu Oceanu Indyjskiego wykazuje, że dwa brytyjskie super- tankowce York i Chester opuszczają Kanał Mozambicki i kierują się na północny wschód w kierunku Zatoki Perskiej. Analiza fotograficzna ujawnia pokryte płótnem ładunki na tych dwustutysięcznikach, wyglądające jak transport broni (brak potwierdzenia). Mówi się, że Wielka Brytania być może wymienia z Abu Dhabi broń na ropę.
Raport Departamentu Wojny z 17 stycznia dla Narodowej Rady Bezpieczeństwa w Waszyngtonie.
Komentarz: nie doniesiono o żadnych brytyjskich transakcjach dotyczących kupna ropy w Abu Dhabi.
Piętnaście minut brakowało do północy w piątek 17 stycznia, gdy samolot Boeing 707, którego pasażerem był Larry Sullivan wylądował z przeszło dziesięciogodzinnym opóźnieniem na międzynarodowym lotnisku w Anchorage. Sullivan zadzwonił z lotniska do terminalu naftowego Nikisiki i usłyszał, że Challenger już wypłynął.
Dzieląc taksówkę z trzema amerykańskimi nafciarzami, został zawieziony do hotelu Westward i zaraz poszedł spać. Zrezygnował jednak z prób uśnięcia o trzeciej nad ranem, wstał, ogolił się i ubrał.
Odczuwał przykre skutki podróży samolotem - był dziwnie zdezorientowany wielogodzinnym lotem. Choć fizycznie wyczerpany, czuł się psychicznie rześki i podekscytowany, a jego zegar wewnętrzny próbował przystosować się do innej strefy czasu.
Gdy w południowej Alasce była trzecia nad ranem, w Londynie było południe - w Stanach obowiązywał czas letni. Sullivan zamówił

rozmowę z Harperem i czekając na nią usiadł na łóżku paląc papierosa.
Z perspektywy Londynu czuł, że jest ważny powód, by przybyć na Alaskę - Winter odwiedził przecież biuro Hahnemanna w Hamburgu, gdzie interesował się szkicami bliźniaczego w stosunku do Challengera statku Chieftain, a w biurze MacGillivraya zadawał szczegółowe pytania o samego Challengera. Ale to wszystko było z perspektywy Londynu.
Patrząc z perspektywy Alaski o trzeciej nad ranem, kiedy odczuwał dziwne skutki latania samolotem i zmiany czasu, przyczyny wyruszenia w tę podróż wydawały mu się mniej ważne. Tankowiec płynął sobie bezpiecznie; za blisko cztery dni będzie już w doku w San Francisco.
Rozległ się dzwonek telefonu przy łóżku.
- Larry, pan Harper jest za granicą - wyjaśniła Vivian Herries, asystentka Harpera.
- Nadal jest w Genui, więc nie można się z nim połączyć...
- Cholera! - zaklął Sullivan. - Przepraszam, to nie do ciebie -kręci mi się w głowie od tego latania samolotem.
Vivian, właśnie rozminąłem się o kilka godzin z Challengerem - jest już w drodze do San Francisco. Jak sądzisz, czy wszystko jest w porządku? Nic nie odbiega od rutyny?
- Na tyle w porządku, na ile może być w naszej branży w tych czasach - chodzi mi oczywiście o kryzys energetyczny. Chwileczkę, jedno odbiega od rutyny - w tym rejsie płynie kobieta. - Vivian zachichotała.
- Możesz to sobie wyobrazić, znając starego Mackaya?
On przecież uważa, że jego statek powinien być jak St. James Club -wyłącznie dla mężczyzn. Ale tym razem ma kobietę z krwi i kości, która paraduje po pokładzie.
- Kim ona jest? Żoną oficera?
- Pewnie tak. Pan Harper tylko wspomniał o tym wychodząc. Myślę, że ona może być żoną starszego mechanika - czekała na tę podróż od miesięcy...
Sullivan potarł czoło; przez chwilę czuł, że kręci mu się w głowie. -Vivian, czy przychodzi ci na myśl ktoś tutaj, w Anchorage, z kim mógłbym porozmawiać o Challengerze. Mam na myśli kogoś nie z terminalu naftowego...
- Pani Swan, żona radiooperatora - zaproponowała od razu Vivian. - Była tu w biurze przed trzema miesiącami i powiedziała mi, że

mieszka w Anchorage w domu za miastem. Podać ci adres?
Sullivan zapisał i powiedział, że być może zadzwoni do Harpera jutro. Dodał, że spróbuje się trochę przespać i odłożył słuchawkę. Pięć godzin później, po drugim śniadaniu, odnalazł w książce telefonicznej numer telefonu Swana i zadzwonił, ale nikt nie odebrał telefonu.
Postanowił wybrać się do Swanów.
Dom wyglądał na zamknięty. W górach za doliną Matanuska leżał śnieg, który pokrywał też jodłowy zagajnik po drugiej stronie autostrady. Sullivan ponownie nacisnął przycisk dzwonka u drzwi, po czym zaszedł dom od tyłu. Wyglądał na zupełnie zamknięty. Zajrzał przez okno do szopy i zobaczył kabel energetyczny przyłączony do czerwonego forda, zapobiegający zamarznięciu samochodu. Była to wyprawa na próżno - równie dobrze mógł teraz spać w hotelu.
Sullivan czuł, że teraz byłby w stanie zasnąć.
Wrócił właśnie przed dom do swego wynajętego samochodu, kiedy drogą nadjechał niebieski chevrolet, skręcając w kierunku autostrady. Stał obserwując jak samochód zwalnia i wjeżdża na podjazd domu Swanów. Rudowłosa kobieta koło trzydziestki, w wielkiej futrzanej czapce, opuściła szybę samochodu, zatrzymując się. - Szuka pan kogoś?
- Pani Swan. Dom wydaje się zamknięty.
- Wyjechali razem na statek Charliego. Jest pan znajomym? Moja firma ubezpiecza Challengera. - Sullivan uśmiechnął się. - Jestem najlepszym znajomym, jakiego mają. Myślałem, że kapitan nie za bardzo lubi, gdy na pokładzie jego statku przebywają kobiety? - Wszystko było jasne. Wyjaśniła się też sprawa kobiety z pokładu Challengera,
o której wspomniała Vivian Herries. Pani Swan miała szczęście; wzięła udział w rejsie razem ze swym mężem.
- Jestem Madge Thompson - rudowłosa kobieta wyciągnęła rękę przez okno samochodu. Sullivan podał swoje nazwisko. - Julia, to znaczy pani Swan - wyjaśniła Madge Thompson - raczej się śpieszyła. Zadzwoniła do mnie jakiś kwadrans po trzeciej, tuż
przed wyjazdem. Kapitan pewnie zmiękł. Przypuszczam, że to wszystko zostało ustalone w ostatniej chwili. Wyczuwałam napięcie w jej głosie...
- Napięcie?
- Podniecenie. Od tak dawna chciała wziąć udział w rejsie... Gawędzili kilkanaście minut, po czym pani Thompson odjechała w kierunku

Anchorage. Sullivan miał kłopoty z uruchomieniem swego samochodu - silnik zaczynał już zamarzać - ale jakoś ruszył, kierując się z powrotem do miasta. Cała wyprawa na Alaskę okazała się fiaskiem - nikt nie zamierzał dokonać sabotażu na tym tankowcu.
Sullivan potrzebował trochę snu.
- O której wybuchł pożar terminalu naftowego?
Sullivan zadał to pytanie siedząc w barze hotelu Westward. Była 1.00 po południu, piątek 17 stycznia. Niemal zasypiając za kółkiem w drodze powrotnej z domu Swanów, ożywił się z chwilą wejścia do głównego hallu; kolejna reakcja po podróży samolotem. Teraz czuł się rześki i rozweselony, jak po narkotykach. Barman wspomniał mu o pożarze w Nikisiki.
- Mniej więcej trzecia piętnaście po południu - odparł barman, podając Sulliva- nowi drugą szkocką z lodem. - Uważają, że to sabotaż - mówił chętnie dalej. - Myślę, że za tym stoją Arabusy -jak w Wenezueli. Chcą, żebyśmy zamarzli na śmierć. A tutaj mogłoby się to zdarzyć... - Obrócił się za kontuarem. - Siedemnaście stopni - w tym klimacie, w stanie, który pławi się w ropie...
- Jeszcze nie - przypomniał mu Sullivan - dopóki nie odkręcono kurka ze Zbocza Północnego...
- Pan jest Anglikiem? - spytał barman. - Wielu ludzi bierze Anglików za Australijczyków, aleja zawsze potrafię odróżnić.
- Jestem Anglikiem.
- Ma pan samochód?
- Udało mi się wynająć - kosztuje to fortunę...
- Pamięta pan, żeby podłączać kabel elektroenergetyczny? Tu był wczoraj jeden facet, który zapomniał to zrobić, chociaż twierdził, że ktoś mu wyciągnął ten kabel. Też jest Anglikiem, kapitanem statku.
- Może kapitan Mackay?
- Zna go pan? Właśnie tak się nazywa. - Barman gawędził dalej. - Odebrał telefon, tu, w barze i podał swoje nazwisko.
Wyszedł w pośpiechu - pobiegł do pokoju, a potem widziałem, gdy wychodził z torbą, a właściwie nadal biegł. To było kwadrans po trzeciej...
- Mówi pan, że ktoś wyciągnął kabel elektroenergetyczny z jego samochodu?
- Podobno. Taki dobrze zbudowany facet, ten kapitan Mackay - z czerstwą twarzą i niebieskimi oczyma. Uważa się, że takie oczy mają marynarze, chociaż rzadko to się sprawdza. Mam pamięć do twarzy.

Nawet jeśli ktoś był tu w barze pięć lat temu, gdy przyjdzie znów jutro, to i tak go poznam. Jak tylko się pojawi w tym barze i go zobaczę, to już zapamiętam...
- To był Mackay - z roztargnieniem powiedział Sullivan. Tak się dziwnie składa, że wszystko miało miejsce o trzeciej piętnaście poprzedniego dnia. Swanowie opuścili dom o 3.15 po południu.
Mackay wybiegł w pośpiechu z hotelu około 3.15. Pożar w terminalu naftowym Nikisiki wybuchł też około 3.15. I był wynikiem sabotażu.
Zamrugał powiekami i poczuł się nagle tak zmęczony, że musiał się oprzeć, by nie upaść. Wyszedł z baru i poszedł na górę do pokoju, próbując sobie przypomnieć, co mu przyszło do głowy, gdy gawędził z barmanem. Coś o zapamiętywaniu twarzy... - Zamknął drzwi na klucz, padł na łóżko i zasnął.
Gdy w Anchorage była godzina 1.00 po południu i Sullivan słuchał wynurzeń barmana w hotelu Westward, w Damaszku była wtedy północ. Szejk Gamal Tafak delektował się filiżanką czarnej kawy.
Być może niezupełnie odpowiadało prawdzie stwierdzenie, że Tafak delektował się aromatem czarnej kawy, ponieważ trudno rozkoszować się dwiema rzeczami naraz. Siedząc w swoim pokoju w ambasadzie Arabii Saudyjskiej w stolicy Syrii, Tafak delektował
się wiadomością, którą otrzymał kilka godzin wcześniej. Pomarańcza skrzynkowa została dostarczona. Winter pomyślał, iż wszyscy przekazujący tę wiadomość będą sądzić, że została błędnie sformułowana, w rzeczywistości chodzi o to, iż zostały dostarczone pomarańcze w skrzynkach. Dla Tafaka oznaczało to: "Wszystko idzie dobrze, brytyjski tankowiec Challenger opuścił Alaskę z podstawionym radiooperatorem na pokładzie".
Spojrzał na zegarek. Wkrótce nadjedzie mercedes, żeby zabrać go do tajnej siedziby, gdzie będzie przebywał do czasu zakończenia operacji. Ma tam zostać do chwili, gdy LeCat zrobi swoją robotę, gdy wszyscy zakładnicy na pokładzie supertankowca zostaną zabici, a San Francisco zniszczone katastrofalnym wybuchem bomby. Potem wróci pośpiesznie do Damaszku na następne posiedzenie OAPEC. Na tym forum miał przekonać lub zmusić wszystkie kraje arabskie, by całkowicie zaprzestały dostaw ropy
na Zachód. Gdyby któryś nie wyraził na to zgody, miały doń wkroczyć grupy terrorystów z dynamitem i zniszczyć jego pola naftowe.
Ktoś zapukał nerwowo do drzwi. - Proszę - zawołał Tafak.
- Przybył samochód Waszej Ekscelencji...

Była 5.30 w piątkowy wieczór, gdy Sullivan wrócił do baru hotelu Westward. Zamówił szkocką z lodem. - Tak jest! - Barman spojrzał na Sullivana. - Zmienił pan ubranie. Jak już mówiłem, zauważam pewne rzeczy...
- Mówił pan, że zapamiętuje ludzi - przypomniał mu Sullivan.
- Nigdy nie zapominam żadnej twarzy...
- Proszę wypróbować swoją pamięć. - Sullivan położył na kontuarze fotografię Wintera z profilu, na której zamalowano wąsy, w jakie wystroił się odwiedzając Paula Hahnemanna. Podniósł drinka i zaczął go sączyć, podczas gdy barman, wczuwając się w rolę, przyglądał się zdjęciu.
- On nigdy nie był w moim barze. Ręczę za to moją robotą. W każdym razie nie wtedy, kiedy ja miałem zmianę...
- Rozliczę pana z tego...
- Rozczarowany? - Barman uśmiechnął się do Sullivana, a ten wzruszył ramionami. Szanse były naprawdę bardzo niewielkie. -Nie w moim barze - podkreślił Amerykanin. - Ale dwa dni temu stał przy wejściu do niego. Zajrzał do środka, zmienił zdanie i zniknął.
Wtedy był tu Mackay, pił piwo. Gdzieś tak o dziewiątej wieczorem.
Sullivan omal nie zakrztusił się drinkiem. - Jest pan pewien? Tak, oczywiście, że pan jest - dodał pośpiesznie. - Czy on mieszkał w tym hotelu?
- Nie mam pojęcia. Nigdy nie wrócił. To było w środę wieczorem.
Może pan spytać w recepcji...
Sullivan wypił resztę dużego drinka jednym haustem i nie poczuł smaku. Winter był na Alasce.
Sen był ostatnią rzeczą, o jakiej Sullivan mógł myśleć przez następne kilka godzin. Poruszył połowę Anchorage, zadając pytania, pokazując fotografię, sprawdzając, sprawdzając i jeszcze raz sprawdzając... Nocny portier z hotelu Westward rozpoznał człowieka na zdjęciu, potwierdzając, że Winter zatrzymał się tu na jedną noc, wtedy, kiedy przebywał tu Mackay: miał rezerwację na nazwisko Robert Forrest, posiłki zanoszono mu do pokoju - kopia rachunku zawierała pełne informacje. Winter wymeldował się następnego dnia, w czwartek 16 stycznia, wtedy, kiedy Challenger wypłynął z Nikisiki o dziesiątej wieczorem.
Szef policji w Anchorage, Jo Mulligan potraktował informacje Sullivana bardzo poważnie, kiedy zobaczył jego identyfikator firmy Lloyds of London. Już po godzinie - około północy - rozesłano do

wszystkich posterunków na Alasce ulotkę z nazwiskiem Roberta Forresta, jego rysopisem oraz reprodukcją fotografii dostarczonej przez Sullivana. A sam Sullivan został odwieziony wozem patrolowym do terminalu naftowego Nikisiki. Dotarł tam o drugiej nad ranem, z trudem utrzymując otwarte powieki.
Było to coś, czego Winter - pewny, że w żadnych aktach nie ma jego fotografii - nigdy nie mógł przewidzieć. Tego, że zdjęcie - potajemnie zrobione w biurze niemieckiej stoczni w odległym Hamburgu - zostanie przewiezione przez wytrwałego brytyjskiego dochodzeniowca na Alaskę i rozpoznane przez barmana, który umiał zapamiętywać ludzkie twarze.
Szef policji Mulligan działał bardzo energicznie, ponieważ natychmiast powiązał informacje o Winterze i jego obecność na Alasce z atakiem bombowym na terminal naftowy. Kto wie, może Mulligan będzie pierwszym policjantem na świecie, który przym- knie międzynarodowy gang lub nawet gangi terrorystów wysadzających w powietrze rurociągi i rafinerie od Kalifornii aż po Europę? Sam pojechał na międzynarodowe lotnisko.
Sullivan nie dowiedział się niczego w terminalu naftowym. Nikt nie widział Wintera w tej okolicy. Wypłynięcie Challengera odbyło się w sposób zupełnie normalny. - No tak
- poinformował Sullivana dyrektor terminalu - statek wypłynął dwie godziny przed planowanym terminem, z dwoma nie napełnionymi zbiornikami. Ale Mackay z góry zgłosił to wcześniejsze wypłynięcie - obawiał się, że pożar może się rozszerzyć na nabrzeże. A nikt nie może się dostać na pokład tego statku bez wiedzy Mackaya - on jest cholernie ostrożnym facetem. Przy schodni zawsze stoi majtek, do chwili, gdy wciągną ją na pokład.
Padając z braku snu, Sullivan został odwieziony przez radiowóz do hotelu Westward, gdzie zwalił się na łóżko o 6.00 rano i przespał cały dzień. Właśnie jadł duży stek, popijając mnóstwem mocnej kawy, gdy zadzwoniono do niego z siedziby policji o 7.00 wieczorem.
Mulligan coś odkrył.
- W czwartek koło północy Robert Forrest poleciał nocnym samolotem do Seattle. Wyruszył w chwili, gdy pan właśnie przybywał.
Dziewczyna z dworca lotniczego, która rozpoznała zdjęcie, wróciła na swoją zmianę przed godziną; stąd to opóźnienie. Jeszcze kawy?
Jo Mulligan był krępym pięćdziesięcioletnim mężczyzną o surowym spojrzeniu i wciąż ciemnych włosach przystrzyżonych krótko przy

skórze. Uśmiech rzadko rozjaśniał jego twarz. Mówił szybko. Sullivanowi podobało się jego poważne, służbowe podejście do obowiązków.
- Tak więc straciliśmy go - powiedział, gdy szef policji dolewał mu kawy. - To niesłychanie ciekawe - spędza tu dwadzieścia cztery godziny i już go nie ma.
- Wystarczająco długo, żeby zdetonować bombę na terenie terminalu. Być może to on dokonał również uszkodzenia rurociągu ze Zbocza Północnego przed kilkoma miesiącami. Przypuszczam, że on przybywa w krytycznym momencie, dopilnowuje zdetonowania bomb, po czym wyjeżdża. A moje kolejne przypuszczenie jest takie, że jest już w drodze do kolejnych ważnych urządzeń naftowych. - Mulligan oparł się na swoim krześle obrotowym. - Może w Teksasie. Jest tam parę niezłych obiektów dla niego. Prześlemy tę ulotkę do wszystkich posterunków na terenie całych Stanów - FBI już się zajęło tą sprawą.
- Więc nie sądzi pan, że Challenger - ma z tym coś wspólnego?
- Nie! - powiedział z naciskiem Mulligan. - Oni nie atakują tankowców. Przynajmniej na razie. Ci łajdacy dobierają się do samych bebechów - rafinerii przerabiających tak niezbędną ropę, i rurociągów, które rozprowadzają paliwo jak przemysłowe żyły.
Arabowie chcą, by zachodnia cywilizacja runęła - przynajmniej dopóki istnieje Izrael. Ekstremiści trzymają cały rejon Bliskiego Wschodu w garści. - Mulligan westchnął.
- Mogliśmy to przewidzieć już w 1973 roku.
- Nie mam tu nic do roboty. - Sullivan odsunął pustą filiżankę po kawie. - Jutro odlatuję.
- Wraca pan do domu. Do Londynu?
- Nie. Do Seattle...
Maszyna wylądowała z dużym łoskotem, silniki spowodowały wibrację wewnątrz samolotu. Ale sunęła zbyt szybko, jak na mającą nastąpić katastrofę. Krajobraz za oknem był zamglony. Sullivan wsunął czasopismo do kieszeni fotela przed nim i odprężył się, gdy Boeing 707 zaczął zwalniać. Po raz pierwszy w życiu był w Seattle.
Była 2.00 po południu, niedziela 19 stycznia, kiedy wysiadał z samolotu. Agenci FBI, Peters i Carmady, już na niego czekali i poprowadzili do osobnego pokoju. Anglikowi wydawało się, że wysłuchali jego opowieści o Challengerze bez zbytniego entuzjazmu.
- Może pan zapomnieć o tym tankowcu - poradził Peters. -Ten

człowiek dokonuje sabotażu w rafineriach. Po wyjściu z samolotu w ubiegły piątek spędził kilka godzin w tutejszym hotelu Washington Plaza. Recepcjonista, który dokonywał rezerwacji, też rozpoznał fotografię. Odnaleźliśmy taksówkarza, który podrzucił go do terminalu autobusowego. Potem ten człowiek zniknął.
- Założę się, że już go nigdy nie odnajdziemy - powiedział Sullivan. - W Europie nikt nic o nim nie wie - to zdjęcie, które dostałem z niemieckiej stoczni, jest jedynym, jakie istnieje, jak sądzę...
- Będziemy jeszcze próbować - dorzucił pocieszająco Peters.
- Interpol nic o nim nie wie, w naszych waszyngtońskich aktach też nie ma niczego. Ale pewnego dnia, w jakimś miejscu musi się pokazać...
Gdy odjechali, Sullivan usiadł w kafejce na lotnisku pijąc kolejną kawę. Trop zaprowadził go do nikąd, a teraz skłonny był zgodzić się z agentem FBI, że tankowiec nie ma z tym nic wspólnego. Po skończeniu kawy miał zadzwonić do Harpera i powiedzieć mu, że zamierza wrócić wieczornym samolotem do Londynu.
Patrzył za okno w kierunku północno - zachodnim, gdzie słońce przeświecało przez grubą warstwę chmur. Właśnie tam, ponad osiemset kilometrów stąd, Challenger płynął na południe w swój kolejny rejs.

***

47,50 szerokości geograficznej północnej 132,45 długości geograficznej zachodniej, godzina 1.00 po południu.
Helikopter Straży Przybrzeżnej Stanów Zjednoczonych nadlatywał na wysokości zaledwie 30 metrów ponad powierzchnią szarych fal. Na bocznym pokładzie od prawej burty Challengera kapitan Mackay nastawił na ostrość lornetkę i w polu jego widzenia, wypełniając je całkowicie, pojawiła się maszyna z oznakowaniem na jasnoszarym kadłubie "5421. USCG". Pierwszy oficer Bennett zbiegł z mostka nawigacyjnego na boczny pomost.
- Nagły wypadek, panie kapitanie. Ta maszyna ma kłopoty. Właśnie otrzymaliśmy z niej wiadomość - proszą o pozwolenie na lądowanie, zanim się rozbiją...
W obiektywie lornetki Mackaya obraz maszyny rozmazał się, ponieważ przesłoniła ją mgła, ale po chwili jej sylwetkę znów było wyraźnie widać. Unosiły się teraz ponad nią kłęby czarnego dymu i Mackay pomyślał, że to awaria silnika.
- Opróżnić główny pokład, panie Bennett... - rysy twarzy Mackaya

zaostrzyły się, kiedy zobaczył, że kłęby dymu powiększają się w złowieszczo wyglądającą chmurę. - Skręcić na wiatr. Zmniejszyć prędkość do czternastu węzłów. - Mackay wrócił szybko na mostek nawigacyjny; Betty Cordell zeszła mu z drogi, przemieszczając się na przód mostka. Mackay stanął za nią, a ona, zachowując ostrożność, nie wypowiedziała ani słowa. Maszyna zbliżyła się, wiatr porywał wydobywający się z niej dym.
- Środki przeciwpożarowe, panie Bennett...
Mackay miał ponurą minę: pożar był czymś, z czym można by sobie poradzić bez lądowania na pokładzie tankowca przewożącego pięćdziesiąt tysięcy ton ropy. Stanął wobec konieczności dokonania trudnego wyboru: albo pozwolić wylądować tej maszynie, albo dać jej sygnał, żeby trzymała się z daleka. Wtedy helikopter może zatonąć, zanim podpłynie do niego łódź.
Około osiemnastu metrów poniżej mostka, na którym Mackay stał przy oknie z amerykańską dziennikarką, ludzie już opróżniali główny pokład. Warkot silnika nieco ucichł. Potężny statek zaczynał skręcać na wiatr. Bennett wydał kolejne rozkazy, żeby przygotowano sprzęt przeciwpożarowy. - Mam zejść z mostka? - zaproponowała Betty Cordell. - Mackay pokręcił głową. - Może to panią zainspirować -jeżeli nie skończy się tragicznie...
Potężny tankowiec nadal wykonywał skręt. Mackay spojrzał na zegar. Była równo
1.- po południu, niedziela 19 stycznia.
-Wysłać wiadomość na ląd - wydał rozkaz. - Biorę na pokład wasz helikopter...
Bennett zadzwonił do kabiny radiooperatora, polecił Kinnairdowi natychmiast wysłać tę wiadomość, po czym wrócił na mostek.
- Zastanawiam się, skąd jest ten helikopter, panie kapitanie?
Jesteśmy ponad dwieście mil od kanadyjskiego wybrzeża...
- Pewnie z jakiegoś kutra służb meteorologicznych.
- Na mapie morskiej nie zaznaczono żadnego w promieniu pięciuset mil. Obawiam się, że nie do końca to rozumiem...
- Bogu dzięki za odrobinę łaski - mruknął Mackay. Dym znikał; już nie wydostawał się z maszyny, która zataczała teraz koło, kierując się w stronę dziobu statku. Mackay nie był przepełniony radością z powodu tego, co może się stać w ciągu kilku następnych minut. Posadzenie helikoptera na pokładzie statku płynącego pośrodku oceanu wymagało pewnych umiejętności. Czekali. Na mostku panowała cisza.

Wydano już wszelkie niezbędne rozkazy. Tankowiec, płynący pierwotnie z prędkością siedemnastu węzłów, łagodnie ją zmniejszył do czternastu i skręcił na wiatr.
Wyszkolony pilot nie powinien mieć kłopotów z posadzeniem maszyny w tych warunkach - zakładając, że silnik nadal działał. Powinien wylądować w ciągu trzech minut.
- Dać sygnał ostatecznego przyzwolenia na lądowanie? - spytał Bennett.
Mackay spojrzał na dół, na główny pokład. Nie było na nim żadnych członków
załogi, oprócz trzech marynarzy ze sprzętem gaśniczym w pobliżu miejsca lądowania helikoptera. Widoczność była dobra: okrąg namalowany białą farbą przy lewej burcie w części dziobowej, gdzie miał wylądować, był bardzo dobrze widoczny. -Pozwolenie na lądowanie - powiedział Mackay. Bennett przekazał tę wiadomość do kabiny radiooperatora.
Helikopter trwał teraz zawieszony w powietrzu, pozwalając by 5000-tonowy tankowiec zbliżył się w jego stronę. - Zdaje się, że teraz świetnie panuje nad maszyną
- sceptycznie skomentował Bennett. - Zastanawiam się, co z nim jest nie tak?
Winter utrzymywał helikopter zawieszony w powietrzu, tak by stalowa platforma w kształcie rombu, sunąca po wodach oceanu, zbliżyła się do niego. Zakręcił zawór, przez który do rury wydechowej dostawały się spaliny ciężkiego oleju, tworząc potężne chmury dymu widoczne z tankowca.
Chodziło o to, by wszystko dobrze zgrać z psychologicznego punktu widzenia. Najpierw Winter wypuścił dym, kiedy zbliżali się do Challengera, żeby zaniepokojony kapitan pozwolił im wylądować.
Potem zakręcił zawór, żeby Mackay zbytnio się nie przestraszył i nie wydał odmowy lądowania. Radio zatrzeszczało i rozległ się w nim sygnał od Kinnairda: - Pozwolenie na lądowanie...
- Wchodzimy...
Pecheur, z którego wystartował Winter, znajdował się około czterdziestu mil stąd, zbyt daleko, by Mackay mógł go zobaczyć nawet ze swego wysokiego mostka. To poszukiwanie tankowca, było denerwujące, mimo iż w regularnych odstępach przychodziły sygnały radiowe od Kinnairda określające położenie statku. Było to dość bezpieczne, bo o tej porze dnia zwykle Challenger wysyłał raport do

biura w Londynie. W końcu odnaleźli tankowiec.
LeCat, siedząc obok Wintera i patrząc na ocean, usłyszał ostatnie słowa w słuchawkach swojego hełmofonu: - Wchodzimy...
Żołądek podszedł mu do gardła. Zawsze tak było tuż przed atakiem -następował fizyczny i psychiczny wstrząs organizmu. Świadomość, że to naprawdę ma się zdarzyć. Tak jak w Algierii...
- Pamiętaj, co ci mówiłem - ostrzegł Winter. - Ja wychodzę pierwszy. Ty czekasz, aż znajdę się na pomoście roboczym tuż przy mostku kapitańskim. Inni zostają w środku - widok tylu mężczyzn wychodzących na pokład zaalarmowałby ich. Musimy przejąć kontrolę błyskawicznie...
LeCat wyjął swojego skorpiona i ważył go w dłoni. Ten zbyteczny gest wyrażał najwyższy stopień wzburzenia. Gdy już wkroczą do akcji, wszystko będzie w porządku
- tylko te ostatnie sekundy przed lądowaniem są takie denerwujące.
To Winter wybrał tę broń - czeski Skorpion 0.32, pistolet używany przez terrorystów. LeCat wolał broń większego kalibru.
Wersja mieszcząca się w kaburze noszonej na ramieniu miała dziesięć naboi; inna wersja, nie mieszcząca się w kaburze, miała ich dwadzieścia.
Był to prawie mały pistolet maszynowy. Winter wydał dokładne instrukcje, że nie powinno być żadnej strzelaniny, jednak gdyby coś takiego się zdarzyło, broń większego kalibru byłaby bardziej niebezpieczna; lądowali przecież na pływającym zbiorniku ropy.
- Schodzimy...
Ocean patrzył na nich pożądliwie - szary, z białą czapą fal, zimny i groźny. Winter schodził nad wodę, a tankowiec nadpływał z prędkością czternastu węzłów. Wydawało się, że grozi im zanurzenie, a ten masywny stalowy dziób przemknie nad nimi. LeCat, przechylając się na boki, obserwował zbliżające się ku nim niespokojne wody oceanu.
Miał negatywne odczucia, bo był zdany na łaskę umiejętności innego człowieka. Wsunął swojego skorpiona do kabury na ramieniu, zapiął kurtkę z kapturem, by ukryć broń. Za plecami LeCata tłoczyło się trzynastu ludzi, którzy też nie byli zachwyceni tym wszystkim i nawet nie spoglądali na siebie w obawie, że wzrok ujawni ich rozdrażnienie.
Wśród nich był Andre Dupont, który uczestniczył z Winterem w ataku na łódź motorową włoskiego syndykatu na Morzu Śródziemnym. Ten sam, który dzwonił na polecenie LeCata do Hamburga z poleceniem

zamordowania Sullivana. Był tam też Alain Blan- card, weteran z Algierii i wyszkolony snajper. Było też jedenastu innych.
LeCat, ignorując intensywne wibracje i głośne dudnienie śmigła nad głowami, przywarł policzkiem do okna. Gdzie ten cholerny tankowiec? Byli już prawie w morzu. Czy czasem Winter, mimo swej znajomości pilotażu, nie obliczył źle czasu? LeCata bolał żołądek od stresu i miał wilgotne ręce. Gdzie, do cholery, jest ten statek?
Szara stal przemknęła pod nimi tak blisko, że czuli, iż prawie jej dotykają.
Wstrząs. Lądowanie.
- Lądowaniejakz podręcznika - zauważył Bennett, kiedy helikopter opadł na pokład.
Pilot wyłączył silnik, świst śmigła umilkł i ukazały się jego łopaty.
Poruszały się najpierw szybko, potem coraz wolniej, by wreszcie się zatrzymać. Trzech marynarzy ze sprzętem gaśniczym zbiegło z pokładu dziobowego na główny pokład, gdy drzwi helikoptera otworzyły się i wyskoczył wysoki mężczyzna, który najpierw przykucnął, potem wyprostował się i od razu ruszył po pomoście roboczym w stronę mostka kapitańskiego.
- Nie traci czasu, co? - zauważył Bennett. - Długi facet, chyba z metr osiemdziesiąt...
Pilot miał wciąż na głowie hełm z szybką przesłaniającą oczy, co nadawało mu
groźny wygląd. Wbiegł po pomoście roboczym, spojrzał na mostek, zasalutował i zniknął. W oddali Bennett zauważył jeszcze dwóch mężczyzn wyskakujących z maszyny, którzy zaczynali rozmawiać z trzema marynarzami. Wszystko to wydawało się być zupełnie normalną, rutynową akcją ratowniczą. Mackay skierował się ku wejściu na mostek, gdzie - jak sądził - pojawi się pilot.
- Jeszcze pięciu ludzi wysiadło z maszyny - ostro zauważył Bennett. - Ilu to chol- erstwo może pomieścić?
Mackay poszedł szybko na przód mostka i spojrzał na główny " pokład. Naliczył jeszcze pięciu mężczyzn, którzy wyszli z helikoptera, ale nadal stali blisko miejsca lądowania, rozmawiając z trzema marynarzami. - Niech pan pośle tam na dół bosmana
- powiedział do Bennetta. - I niech weźmie radiotelefon...
- Zostańcie tam, gdzie stoicie, panowie. Jeśli ktoś się ruszy, kapitan nie dożyje starości...
Mackay obrócił się. Pilot stał nie w tym miejscu, gdzie powinien -przy

wejściu na mostek z bocznego pomostu przy prawej burcie.
Musiał przemknąć poniżej mostka. W prawej dłoni trzymał pistolet, którego lufa wycelowana była w brzuch Mackaya. Broń z wystającą jedynie na trzy centymetry lufą wyglądała na śmiertelną.
- To jest uprowadzenie - ostrzegł pilot. - Nie zawahamy się użyć broni...
- Kim, do cholery, jesteście? - domagał się odpowiedzi Mackay.
- "The Weathermen". Niech pan przestanie zadawać pytania.
A pan... - pilot wskazał na Bennetta - proszę stanąć z przodu mostka kapitańskiego, skąd mogliby pana widzieć moi ludzie. Proszę do nich pomachać - niech pan zatoczy koła ramionami jak wiatrak.
Sternik, mężczyzna nazwiskiem Harris, z Newcastle-upon-Tyne, chwycił koło sterowe i utrzymywał obrany kurs. Nie otrzymał żadnych nowych rozkazów od kapitana. Stojąca przy oknie Betty Cordell zdrętwiała. - Niech pan wypełni jego polecenia - powiedział cicho Mackay do Bennetta.
- Jazda! - pilot uniósł pistolet, mierząc w pierś Mackaya.
- Chce pan, żeby kapitan zginął?
Bennett ruszył z miejsca, podszedł do okna i zatoczył ramionami koła. Grupa mężczyzn zaczęła biec szybkim truchtem po pomoście roboczym, pozostawiając dwóch ludzi z tyłu, przy lądowisku helikoptera i przy marynarzach. Bennett naliczył dwunastu mężczyzn biegnących pomostem, wszystkich uzbrojonych, a człowiek z przodu wydawał się bardzo zwinny mimo niskiego wzrostu i barczystych ramion. Zniknęli pod mostkiem.
Pilot czekał. Trzymał nieruchomo pistolet i dwukrotnie spojrzał na zegar, jak gdyby chciał sprawdzić, czy upłynął już określony czas.
Sternik, niski, ciemnowłosy mężczyzna o bystrych oczach, trwał nieruchomo przy kole sterowym. Betty Cordell stała sztywno, a jej ręce zaciskały się nerwowo, gdy patrzyła w oczy za szybką hełmu.
Wszyscy trwali w oszołomieniu, może oprócz Bennetta, któremu Mackay rozkazał słuchać pilota jakby wyczuwając, że mógłby zrobić coś niebezpiecznego; tak łatwo szybko wykonać gest oporu i tak łatwo zostać zastrzelonym, kiedy przeciwnik trzyma w ręku broń.
Rozległ się odgłos kroków i dwóch mężczyzn nadeszło z tej samej strony co pilot
- z bocznego pomostu przy prawej burcie. Zajęli pozycje po obu stronach mostka, wycelowując pistolety tak, by móc wziąć swych więźniów w krzyżowy ogień. Pilot odezwał się do jednego z nich po

francusku i Mackay to zrozumiał. "LeCat poszedł prosto do przedziału maszynowego? Dobrze. Gdy opuszczę mostek, ci ludzie mają zostać dokładnie tam, gdzie stoją, kobieta też". - Spojrzał na Betty Cordell i odezwał się do niej po angielsku: - Skąd się pani wzięła na pokładzie?
- Nazywam się Betty Cordell, jestem reporterką. Piszę artykuł.
Zdaje się, że już mam temat...
Pilot przywołał lekki uśmiech na twarz. - Będzie pani gorzko żałować, że nie została pani w domu. Proszę pozostać na mostku, zanim zdecyduję, gdzie panią umieścić. To jest problem, którego nie przewidziałem. - Spojrzał na Mackaya. - Proszę znów skierować statek na właściwy kurs, kapitanie.
- Na właściwy kurs?
- Tak, do San Francisco. I niech pan bardzo uważa na to, jakie wydaje pan polecenia. Mam tu człowieka, który zna się na sekstansie i potrafi ustalić kurs równie dobrze, jak pana pierwszy oficer.
Mackay chrząknął. - Wie pan, jaka grozi kara za piractwo na pełnym morzu?
Pilot podszedł do kapitana i zatrzymał się kilka metrów od niego, tak by strażnicy po obu stronach mostka mieli wolne pole ostrzału.
Zdejmując hełm, spojrzał z góry na Mackaya, który przy wzroście 172 centymetry był niższy od szczupłego Anglika o ostrych rysach twarzy.
- Nazywam się Winter. Zdaje mi się, że prosiłem pana o wydanie pewnego rozkazu. - Jego głos był cichy, groźny i Mackay zdrętwiał. - Ceni pan życie członków swojej załogi, jak mniemam?
- Panie Bennett - powiedział szorstko Mackay. - Proszę skierować statek z powrotem na kurs do San Francisco. Zwiększyć prędkość do siedemnastu węzłów.
Bennett przekazał ten rozkaz Harrisowi, sternikowi i wtedy na mostku zadzwonił telefon. - To może być starszy mechanik z maszynowni, Brady - powiedział Winter do Mackaya. - W tej chwili w tamtej części statku znajduje się czterech uzbrojonych mężczyzn. Niech pan uprzedzi Bradyego, że ma wykonywać wszelkie polecenia, jakie mu wydadzą, i że nadal wszystkie rozkazy dotyczące nawigacji będzie otrzymywał od pana. - Obdarzył Mackaya wątłym uśmiechem. -Starsi mechanicy z maszynowni słyną z niezależnych umysłów...
Mackay nic nie odrzekł i podniósł słuchawkę, osobiście wydając rozkaz zwiększenia prędkości. Dodał też swoje własne ostrzeżenie: -Ci ludzie, którzy zeszli na pokład, są uzbrojeni i niebezpieczni, niech pan nie robi niczego, co mogłoby narazić na szwank załogę...

- Bardzo dobrze. - Winter zwrócił się teraz do Betty Cordell, która obserwowała go od kilkunastu minut, jak gdyby próbując dokonać oceny tego człowieka. - Powtarzam, panno Cordell - nie opuści pani tego mostka bez mojej osobistej zgody. Jest pani problemem, nad którym będę musiał się zastanowić...
- Ona jest Bogu ducha winną pasażerką - wybuchnął Mackay chrapliwym głosem.
- Jest też obywatelką amerykańską i radziłbym panu...
- Jak będę potrzebował pańskiej rady, poproszę o nią. Gdyby dał mi pan dokończyć, powiedziałbym, że niepokoję się o jej bezpieczeństwo. - Winter spojrzał na francuskich strażników, którzy nie rozumieli co mówił. - Niektórzy z tych mężczyzn nie są najlepszym towarzystwem dla kobiet, proszę więc nie robić nic nierozważnego. Później zadecyduję, czy powinna pani zostać w swojej kajucie do końca rejsu...
Winter opuścił nagle mostek, a Mackay spojrzał na swojego pierwszego oficera. - W ogóle nie rozumiem tego człowieka, Wintera.
I kim, u diabła, są ci "The Weathermen"?
- Nadzwyczaj okrutna banda amerykańskich terrorystów. Kilka lat temu wysadzili w powietrze wiele banków w Stanach. Myślałem, że oni wszyscy nie żyją...
- Ktoś ich wskrzesił - wymamrotał Mackay. - Mów ciszej. Nie jestem całkiem przekonany, że ci dwaj bandyci, którzy są tu z nami na mostku, nie rozumieją angielskiego. Nie rozumiem też, dlaczego z Winterem są Francuzi, skoro powiedział pan, że "The Weathermen" to Amerykanie...
- To samo przyszło mi na myśl.
Mackay spojrzał na smagłego, opalonego zbira, opartego o gródź od prawej burty. Nogi skrzyżował w kostkach i lufę pistoletu oparł o lewe przedramię. Wycelowana była w Bennetta, ale Mackayowi najbardziej niepokojące wydawało się to, z jakim rozbawieniem i bezczelnością ten Francuz przyglądał się sylwetce Betty Cordell. -Jedna rzecz mnie zdumiewa, Bennett - powiedział cicho. - Winter mówił, że to jest uprowadzenie, a jednak chce, żebyśmy kontynuowali rejs do San Francisco. To nie ma sensu.
- Niedługo powinni odkryć, że coś tu jest nie tak, panie kapitanie - mam na myśli ludzi na lądzie - wymamrotał Bennett.
-Kinnaird już wcześniej wysłał sygnał, zanim te bydlaki weszły na pokład - sygnał, że wzięliśmy na pokład helikopter Straży

Przybrzeżnej. Jeżeli Winter uprowadził też tę maszynę, to Straż Przybrzeżna powinna już wiedzieć, gdzie jej szukać.
- Więc może za kilka godzin zamajaczy na horyzoncie amerykański krążownik. Wtedy mielibyśmy za co dziękować panu Kinnairdowi...
Kwadrans od wylądowania na pokładzie Challengera - zaraz po opuszczeniu mostka - Winter podjął pewne środki ostrożności.
Kazał Bennettowi zejść z mostka i towarzyszył mu w krótkiej wycieczce dookoła statku. Najpierw udał się do apteczki przy kuchni. Szafka z lekarstwami była zamknięta na klucz, który Winter wsadził do kieszeni. - Nie chciałbym, żeby kucharz zaczął nam coś dodawać do jedzenia - powiedział do Bennetta.
Potem zażądał od niego klucza otwierającego drzwi wszystkich kabin na statku. Eskortowany przez strażnika pierwszy oficer poszedł do swojej kajuty i wziął z niej klucz. Winter włożył go do kieszeni, po czym udał się z Bennettem i strażnikiem na pokład łodziowy. Zaczekał aż strażnik wespnie się do dwóch dużych łodzi i wyrzuci z nich na pokład radionadajniki na korbę - część standardowego wyposażenia łodzi ratunkowych.
- Na miłość boską - zaprotestował Bennett - jeżeli coś się stanie z tym statkiem...
- Już coś się z nim stało - przypomniał mu Winter. - A nie chcę, żeby nadajniki walały się tam, skąd jakiś bystry marynarz wyśle sygnał SOS. Teraz chcę mieć wszystkie radiotelefony, jakich używacie komunikując się ze sobą w czasie dokowania statku...
Winter zajął też kajutę kapitana, żeby przetrzymywać w niej tych członków załogi, którzy nie pełnili wachty. To zmniejszy konieczną liczbę strażników, a i tak miał do dyspozycji niewielu. Tak jak Winter przewidział przed dwoma miesiącami, kiedy spotkał się w Tangerze z Ahmedem Riadem, najbardziej nadawał się do uprowadzenia duży tankowiec przewożący ropę. Nie było na nim żadnych pasażerów, miał załogę złożoną tylko z dwudziestu ośmiu ludzi, a kajuty i pomieszczenia robocze znajdowały się w jednej części statku, w pobliżu mostka kapitańskiego. To stopniowo zaczęło docierać do świadomości Bennetta. - Planowaliście to od dawna, jak widzę - skomentował ponuro, kiedy zamknięto radiotelefony w kajucie, którą Winter zarekwirował dla siebie.
- Opracowałem to wszystko w ciągu trzech dni - powiedział Winter. - Musi pan przyznać, że jesteśmy teraz dość dobrze zorganizowani. Nie możecie nas otruć, otworzyć ani jednej kabiny, nie możecie też

skontaktować się ze światem zewnętrznym. Czy
- czymś zapomniałem?
- Jeśli coś mi przyjdzie do głowy - odparł posępnie Bennett - i tak zatrzymam to przy sobie.
- Mówię z Seattle - powiedział Sullivan do Victora Harpera.
-Próbowałem zadzwonić do ciebie z Anchorage...
- Panna Herries mi mówiła. Rozmawiałeś z Mackayem - Nie.
Statek wcześniej wypłynął...
- Wiem - wtrącił zirytowany Harper. - Na terminalu naftowym wybuchł pożar
- Mackay się zmył z dwoma pustymi zbiornikami...
Och, jasny gwint! Zaczekaj chwilę... - Nastąpiła przerwa. - Właśnie przewróciłem tę cholerną świeczkę. Możesz mi wierzyć, ale brakuje nam nafty do lamp, a ja przecież robię w biznesie naftowym.
Oczywiście, wyłączyli tu prąd...
Kiedy w Seattle była 3.30 po południu, w domu Harpera w Sunningdale była 10.30 wieczorem.
- O co w ogóle chodzi z tym Challengerem? - spytał Harper.
- Przyszło mi na myśl, że on może być celem. Śledziłem pewnego człowieka prawie przez pół świata - od Hamburga do Londynu, a potem do Anchorage i Seattle. Teraz go zgubiłem. Jedna czy dwie rzeczy, na jakie się natknąłem, są zastanawiające, ale do niczego mnie nie doprowadziły. Podobnie jak sprawa radiooperatora, Swana.
Okazało się tylko, że zabrał swoją żonę w rejs Challengera...
- Zabrał ze sobą żonę? - głos Harpera zabrzmiał nieco zjadliwie. - Mackayowi aż nadto wystarczy to, że ma jedną kobietę na pokładzie, w dodatku dziennikarkę.
- O czym ty mówisz? - spytał Sullivan. - Kim jest ta kobieta?
- Moja znajoma, amerykańska dziennikarka Betty Cordell.
- I twierdzisz, że żony Swana nie ma na tym statku? Wydaje mi się, że się mylisz...
- Nie mylę się! Swana też nie ma na pokładzie, chociaż ty, jak mi się zdaje, uważasz, że jest. Nie wsiadł na statek. Jest chory.
- To znaczy chory w domu? - spytał ostrożnie Sullivan.
- A gdzież miałby być?
- Właśnie zaczynam się nad tym zastanawiać. W domu go nie ma, jego żony też.
Byłem tam. Oboje udali się na statek o trzeciej piętnaście w ubiegły czwartek.

- Widziałeś, jak wyjeżdżają?
- Nie - odpowiedział ostrożnie Sullivan. - Gdy tak o tym myślę, to nikt nie widział ich wyjeżdżających, ale jednak wyjechali...
- Słuchaj, Sullivan... - Harper niecierpliwił się coraz bardziej. -Na pokładzie jest zastępczy radiooperator. Facet nazywa się Kinnaird.
Więc Swan musi być w domu, chyba że jest w szpitalu.
- Wiesz, kiedy to się stało? I skąd akurat Mackay wytrzasnął tego Kinnairda? Przecież to Alaska, na miłość boską!
- Swan go znał i polecił. Akurat się zdarzyło, że tam przebywał.
Przypuszczam, że był bez roboty. A jeżeli chodzi o porę, to przeczytam ci telegram od Mackaya: Godzina 13.18. Radiooperator Swan zachorował. Polecony zastępca George Kinnaird. Kinnaird płynie z nami w tym rejsie. Mackay. Dość jasne...
- Nie, nie dość. O trzeciej piętnaście pani Swan zadzwoniła z domu do swojej sąsiadki mówiąc, że właśnie wyjeżdża w rejs ze swoim mężem. A zgodnie z tym telegramem o trzeciej osiemnaście Swan zachorował i znalazł kogoś innego na swoje miejsce. I to wszystko w ciągu trzech minut?
- Rzeczywiście, brzmi to dziwnie - przyznał Harper.
- Bardziej niż dziwnie, cholernie groźnie. Czy jest coś nietypowego w tym ostatnim rejsie Challengera? Cokolwiek?
- Nie - według Ephraima - i według rutynowych raportów od Kinnairda...
- Kim, u diabła, jest Ephraim? - spytał Sullivan.
- O, przepraszam, zdaje się, że cię tu nie było, kiedy włączyłem go do programu ubezpieczeń. Ephraim to automatyczne urządzenie kontrolne, które kazałem zainstalować w maszynowni. To jeden z tych mechanicznych mózgów, które kontrolują pracę silnika na statku.
Rzeczywiście, jest on dość niezależny od samego statku.
Wysyła sygnały radiowe do komputera w Centrum Morskim w Hadze.
Komputer rozszyfrowuje sygnały, a ja otrzymuję teleksem raport.
Cała operacja trwa mniej niż pół godziny - sekundy trwa przesyłanie sygnałów radiowych do Hagi, resztę czasu zajmuje przesłanie przetworzonych danych tutaj.
- I jak tam jest w świecie według Ephraima?
- Normalnie. Challenger płynie po spokojnym oceanie na południe z prędkością siedemnastu węzłów. Powinien na czas dotrzeć do terminalu naftowego Oleum w pobliżu San Francisco.
- A według Kinnairda?

- Też normalnie. Rutynowe raporty przychodzą na czas. Fascynujące jest to porównywanie wiadomości. Raporty Kinnairda o pogodzie odpowiadają dokładnie wysyłanym przez Ephraima...
Najnowsza zabawka - pomyślał Sullivan. Wkrótce się nią zmęczy. - Będę w kontakcie - powiedział. - Może zadzwonię do ciebie z San Francisco, bo tam właśnie się udaję.
- Myślałem, że wracasz do domu. Dlaczego do San Francisco?
- Tam będzie koniec rejsu Challengera.
Sullivan wykonał jeszcze jeden telefon, tym razem do Mulligana, szefa policji w Anchorage. Powiedział mu o Swanach - że nie ma ich na pokładzie Challengera. Byłoby dobrze, gdyby ktoś pojechał radiowozem do domu Swanów i porozmawiał z Madge Thompson, ich sąsiadką.
Mulligan zareagował z właściwą sobie energią. - Myślę, że posuniemy się dalej: wyślemy do wszystkich posterunków ulotki o Swanach. I radiowozy, żeby rozejrzeć się po całej okolicy doliny Matanuska. Oczywiście, możliwe, że Swan udaje, że go nie ma...
- Dlaczego?
- Może uważa, że ma za krótki urlop, a chce zabrać żonę gdzieś w góry na narty? Więc dogaduje się ze swoim kumplem, żeby go zastąpił, dzwoni do Mackaya i mówi mu, że jest chory. Potem wyrusza na narty. Jak ci to pasuje?
- Wcale...
- Mnie też. Sprawdzimy wszędzie.
Sullivan odłożył słuchawkę, a potem znów zadzwonił, by uzyskać informacje
- następnym locie do San Francisco. W żaden sposób nie mógł wtedy wiedzieć, że ten jego telefon do Mulligana będzie miał olbrzymie reperkusje, które poruszą połowę świata w ciągu kilku dni.
Winter zawładnął całym statkiem, sądził, że zupełnie go opanował.
Dwóch strażników stale znajdowało się na. Mostku kapitańskim. Tam Betty Cordell spędzała większość czasu. Jeszcze trzech przebywało w sercu statku - przedziale maszynowym. Szósty pilnował zamkniętej kabiny, w której przetrzymywano tych członków załogi, którzy nie pełnili wachty. Siódmy strażnik miał oko na kuchnię, gdzie steward Wrigley i kucharz Bates odprawiali tajemnicze rytuały sztuki kulinarnej.
Jeszcze inny uzbrojony człowiek stał przy kabinie radiooperatora: Włącznie z Winterem oraz LeCatem, pozostawało w rezerwie siedmiu

ludzi, którzy mogli odpoczywać
1- być w gotowości do zmiany.
- Przyznaję z przykrością, że jest cholernie dobrym organizatorem - szepnął na mostku Bennett do Mackaya. - Mam jeszcze więcej złych wiadomości.
Mackay chrząknął. - Zupełnie jak w domu. O co tym razem chodzi?
- Lanky Miller powiedział mi, że widział Kinnairda wchodzącego do kabiny radiooperatora.
- Właśnie tam spodziewałbym się zastać Kinnairda...
- Ale nie wtedy, gdy przy kabinie stoi uzbrojony strażnik.
- Jest pan pewien?
- Miller jest tego pewien. Rozumie pan, co to znaczy? Nigdy nie zostawiliby tam Kinnairda samego z nadajnikiem, chyba że współpracuje z nimi.
Mackay ciężko westchnął. - A więc miał pan rację - było w nim coś niepokojącego.
- Musiało być. Powinienem był zdać sobie z tego sprawę już wtedy, gdy terroryści weszli na pokład. W jaki sposób mogliby nas odnaleźć w samym sercu Pacyfiku, gdyby Kinnaird nie wysyłał im regularnych raportów o położeniu statku? Betty Cordell miała rację -którejś nocy słyszała stukot aparatu Morsea.
- Przynajmniej Winter pozwolił jej wrócić do kajuty. - Mackay zerknął na jednego ze strażników. - Nie podobało mi się, w jaki sposób jeden ze zbirów mierzy ją wzrokiem. Myślę, że będziemy musieli się przyzwyczaić do złych wiadomości, panie Bennett.
- Już mam kolejne...
- Tak właśnie przypuszczałem.
- Kinnaird pracuje dla nich, a to znaczy, że nigdy nie wysłał ostatniego sygnału, donoszącego Straży Przybrzeżnej o wzięciu na pokład ich helikoptera. Należy więc pożegnać się z nadzieją, że na horyzoncie pojawi się jakiś amerykański krążownik.
- Dotarło to do mnie przed chwilą - sarknął z irytacją Mackay. Ściszył swój głos niemal do szeptu. - Wydaje się, że Winter wszystko przewidział, prawda? Ale na szczęście nikt nie jest doskonały.
Jedyną rzeczą, o jakiej nie pomyślał, jest członek załogi nie figurujący na żadnej liście. Ephraim. Jak na ironię nasze życie może zależeć od cholernej zabawki Harpera, zamkniętej w przedziale maszynowym. To jedyny członek załóg i, który nadal ma swobodę działania.
Ephraim.

Engine Performance Remote Control Monitor - automatyczne urządzenie zdalnie kontrolujące pracę silnika, zwane Ephraimem, było niezależne od wszystkich innych funkcji maszynowni. Ten mechaniczny mózg zainstalowany na tablicy rozdzielczej przesyłał sygnały radiowe na wiele tysięcy kilometrów do głównego komputera w Hadze, donosząc o działaniu mechanizmów tankowca.
Ephraim notował wiele: kontrolował zużycie paliwa, temperaturę i ciśnienie w kotłach
oraz to, które kotły są rozpalone, a które nie, Informował o obrotach silników i
prędkości statku, co nie zawsze było równoznaczne, jeżeli jeden z silników nie funkcjonował prawidłowo.
Odnotowywał też stopień zanurzenia i kołysania się tankowca, co oznaczało, że przesyłał własne raporty o pogodzie.
W swym londyńskim biurze Victor Harper nie był pewien, czy zainstalował drogą zabawkę, czy też Ephraim przyniesie mu korzyści.
A Ephraim był drogi. Sygnały, które wysyłał bez przerwy, były przyjmowane i rozszyfrowywane przez główny komputer Międzynarodowego Centrum Morskiego w Hadze; potem informacje uzyskane z Challengera przesyłano teleksem do Londynu.
Kinnaird współpracował z Ephraimem, nie mając zielonego pojęcia, że to robi. Jedną z rutynowych czynności, która musiała być wykonywana, jeśli warunki na pokładzie miały się wydawać zewnętrznemu światu normalne, było wysyłanie przez Kinnairda w
regularnych odstępach sygnałów radiowych do Londynu. Każda taka wiadomość potwierdzała położenie statku i zawierała raport o pogodzie.
Wszystko przebiegałoby pomyślnie dla Wintera dopóty, dopóki Kinnaird "współpracował" z Ephraimem. Gdyby z jakiegoś powodu Kinnairdowi kazano sfałszować raport o pogodzie, wysłać do Londynu wiadomość, według której znajdowaliby się w zupełnie innych warunkach atmosferycznych niż w rzeczywistości, to znajdujący się głęboko wewnątrz statku Ephraim stałby się mechanicznym szpiegiem, jedynym członkiem załogi, który mógłby poinformować Londyn o tym, co naprawdę się dzieje.
Armalite 0.22, składany karabin z celownikiem teleskopowym 4x18, trzema dodatkowymi magazynkami i żółtą paczką pięćdziesięciu dodatkowych naboi leżał pod bielizną prawie na dnie walizki Betty Cordell. Na pierwszy rzut oka nie wyglądał na karabin, ponieważ była

to jakby kłoda koloru szylkretu, kryjąca w sobie rozmontowane części broni. Ta "kłoda" wykonana była z pianki plastikowej: wrzucona do basenu czy jeziora utrzymywała się na powierzchni.
Będąc sama w kajucie, Betty Cordell podniosła paczkę amunicji typu "hollow point" 0.22 i zważyła ją w dłoni. Dało jej to poczucie spokoju i przyćmiło niedawne chwile przerażenia. Zaczęła się już powoli przyzwyczajać. Potem odłożyła paczkę na miejsce, jeszcze raz spojrzała na "kłodę" i z powrotem spakowała walizkę, ułożywszy w niej równe stosiki bielizny. Znów przybrała niewinny wygląd kobiecego bagażu.
Od późnego dzieciństwa miała własną broń. W jej domu w pobliżu Pear Blossom na południu kalifornijskiej pustyni ojciec Betty - postać dziwna i niezależna - uczył ją władać bronią. - Żyjemy w świecie przemocy, kociątko - mawiał. - Popatrz, jak zginęła twoja matka w San Diego, a wszystko, co zdobył ten morderca, to był jej portfel. Dwadzieścia pięć parszywych dolarów...
Odkąd skończyła osiem lat, wychowywał ją ojciec, który był farmerem. Z biegiem czasu Betty Cordell doskonaliła swe umiejętności, aż stała się strzelcem wyborowym. Nigdy nie polowała ani nie brała udziału w żadnych zawodach, ale w wieku dwudziestu siedmiu lat nadal zawsze zabierała ze sobą broń, gdy oddalała się od domu. Jadąc przez pustynię, czasami zatrzymywała się, ustawiała rząd puszek i strzelała do nich, rozładowując w ten sposób swe frustracje. Każda puszka zawsze miała dziurę.
Zapaliła wykwintnego papierosa i paląc go stała pośrodku kajuty.
Potężny tankowiec kołysał się lekko, mknąc w kierunku San Francisco, odległego teraz już o mniej niż trzydzieści sześć godzin żeglugi.
Wiedziała, że te magazynki i paczka dodatkowych naboi wystarczą, by zabić wszystkich terrorystów. Problem polegał na tym, że Betty Cordell nigdy, nie zastrzeliła nawet ptaka. Obca jej była myśl o zabijaniu żywych istot.
Usłyszała, że otwierają się drzwi. W drzwiach ujrzała LeCata.
Stał w drzwiach, trzymając w ręku butelkę czerwonego wina. Zza jego ramienia łypał okiem uzbrojony strażnik. LeCat zamknął mu drzwi przed nosem i oparł się o nie.
Betty Cordell nadal stała pośrodku kajuty, patrząc na terrorystę chłodno, z pewną dozą arogancji. Czuła skurcz w gardle. Była przerażona i jednocześnie wściekła, ponieważ jej serce waliło, a nogi

się uginały.
- Nie ma się czego bać - rzucił szorstko LeCat. - Nie spodziewaliśmy się zastać kobiety na pokładzie. Ale to potrwa tylko kilka dni, więc może je pani jak najlepiej wykorzystać. Jak najlepiej -powtórzył, przyglądając się jej uważnie.
- Nie mam ochoty na rozmowę. Czy mógłby pan opuścić moją kajutę?
Zabrzmiało to pewnie, niemal zuchwale. Była zaskoczona, że jej głos brzmi tak
normalnie. Bogu dzięki. Muszę się go pozbyć - powiedziała sobie w duchu. I to szybko. LeCat postawił butelkę na stoliku przy drzwiach i podszedł do niej. Na jego górnej wardze, poniżej zakręconych wąsów, widoczne były kropelki płynu.
- Jestem kawalerem - wspomniał stając blisko niej. - Nazywam się LeCat. Znałem wiele kobiet, wiele pięknych kobiet...
Jego zaloty były tak śmieszne, tak niezdarne, że przez chwilę chciała mu się roześmiać w twarz. Dziwki z nabrzeża - pomyślała cynicznie - to jego upodobania i doświadczenia. A ze mną nie bardzo wie, jak postąpić, ale jego nieśmiałość nie będzie trwać długo. Nagle poczuła jego oddech. Przeniknął ją niepokój. Mój Boże, on jest pijany... i Mimo iż wypił trzecią część butelki koniaku, LeCat nie był pijany, jedynie jego ruchy były nieco spowolnione. Nadal mógł trafić w ruchomy cel z odległości nawet stu metrów. Betty Cordell przesunęła się od niechcenia w bok, stając plecami do dzwonka, przy pomocy którego wzywało się stewarda.
- Myślałam o tym, żeby wziąć kąpiel - oznajmiła. - Proszę wyjść z mojej kabiny. Natychmiast!
- Kąpiel? - spojrzał w kierunku przyległej łazienki. - Proszę wziąć kąpiel, a potem możemy się wspólnie napić...
- Niech się pan wynosi z tej kabiny, LeCat. Niech się pan wynosi albo poproszę strażnika, żeby zawołał Wintera...
- Podobnie jak ja, ten strażnik jest Francuzem. Otrzymuje rozkazy ode mnie - wyjaśnił spokojnie LeCat.
Rozszerzone znaczenie tej uwagi nie dotarło do Betty Cordell - była skoncentrowana tylko na jednym. Przeżyć. Uniosła w górę głowę i założyła ręce za plecy, przyjmując postawę pełną arogancji. Temu bydlakowi to się podoba - zauważyła w duchu.
Charakterystyczny błysk pojawił się w oku LeCata, pogładził wargę palcem. Odwróciwszy w ten sposób jego uwagę, przesunęła swój palec wskazujący w kierunku przycisku dzwonka na ścianie. - Winter chyba

pana zabije - rzekła.
- Jeżeli jeszcze raz wspomni pani o Winterze, uderzę panią... w jego oczach pojawił się błysk wściekłości, a w głosie niemal nienawiść. Wstrząśnięta tą jego dzikością, poczuła, że przestaje nad sobą panować. Cofnęła się o krok i mocno nacisnęła dzwonek.
- Niech już pani idzie wziąć tę kąpiel - sarknął urągliwie.
- I niech się pani nie fatyguje, żeby się potem ubrać...
Stał nadal blisko, więc nie mogła się przesunąć w stronę łazienki. Wtedy otworzyły się drzwi i do kajuty wszedł steward Wrigley. Ten wysoki, przygarbiony mężczyzna w średnim wieku i o energicznych ruchach niósł tacę z dzbankiem kawy, śmietanką, filiżanką i spodkiem. Zatrzymał się na chwilę; zmarszczył brwi, ponieważ LeCat gapił się na niego przez ramię.
Potem - jakby niczego nie zauważając - zaczął gawędzić.
- Świeżo zaparzona kawa, panno Cordell - dobra i mocna, taka, jaką piją Amerykanie... - Zaczął ustawiać naczynia na stole. -Lepiej niech pani tu podejdzie i wypije ją zaraz, kiedy jest jeszcze gorąca. Kawa pomaga utrzymać siły w trudnych okolicznościach... spojrzał na LeCata. - Lada moment może mieć pani gościa, panno Cordell. - Pan Winter był w kuchni i mówił, że wpadnie zobaczyć, jak sobie pani radzi. Zabawny facet...
Wrigley przerwał, ponieważ LeCat odwrócił się i wyszedł z kajuty.
Steward posłał groźne spojrzenie w stronę drzwi i ułożył palce w literę "V". - Przykro mi, panienko - przeprosił - ale czasami nerwy mnie ponoszą...
- Dziękuję panu, Wrigley - westchnęła podnosząc dzbanek.
- Nadszedł pan w samą porę...
Winterowi zrelacjonowano to zdarzenie po pięciu minutach. Wrigley spotkał się z nim w korytarzu, gdy wracał do kuchni eskortowany przez uzbrojonego strażnika. Bez wahania opowiedział mu o tym, co mogło się wydarzyć. Winter zareagował błyskawicznie.
Wezwał LeCata do swojej kajuty..
- Powiedziałem ci, że masz zostawić tę amerykańską dziewczynę w spokoju.
- Chcesz ją mieć dla siebie?...
Winter zrobił trzy duże kroki. LeCat - widząc wyraz jego twarzy - chwycił pistolet. Nadal trzymając kolbę pistoletu, ale nie zdążywszy go jeszcze wyciągnąć z kabury, poczuł, że jego dłoń jest jak sparaliżowana. Bezwładne palce uwolniły kolbę, ponieważ Winter

gwałtownie wykręcił mu rękę i zakręcił Francuzem, aż zgiął się wpół tyłem do Anglika. Ból w ramieniu był tak ostry, że LeCat nie śmiał się poruszyć w obawie o złamanie ręki.
- Złamiesz mi rękę - wysapał.
- Złamię kark...
Winter popchnął skulonego człowieka w przód, niemal na koję. Rozluźniając nieco uścisk, pozwolił LeCatowi unieść głowę o kilka centymetrów, a drugą ręką przycisnął głowę Francuza do koi, tak że jego gardło znalazło się tuż przy drewnianym brzegu. Twarda krawędź obcierała jabłko Adama ofiary Wintera. - Jeden gwałtowny ruch, a złamię ci kark, LeCat - powiedział cicho Winter. - Wiesz o tym, prawda?
- Na litość boską... Winter, proszę...
LeCat był przerażony. Dokładnie wiedział, co może się stać - sam to kiedyś zrobił pewnemu człowiekowi w Algierii w podobnej sytuacji.
Jeden ruch, jedno straszliwe szarpnięcie i jego kark mógłby trzasnąć.
Było mu słabo ze strachu.
- Jeśli zbliżysz się jeszcze raz do tej kobiety do końca rejsu, to cię zabiję - Winter mówił spokojnie, niemal jakby prowadził zwykłą rozmowę.
Chwycił w garść włosy LeCata, podniósł go z koi, obrócił i pchnął do przodu. Straciwszy równowagę, Francuz uderzył w gródź i upadł na podłogę. Oszołomiony podniósł się powoli i wyszedł z kajuty.
Został upokorzony i zawdzięczał to tej młodej Amerykance. Do dzikiej żądzy dołączyła się jeszcze gorzka nienawiść.
Niecałą godzinę przed zapadnięciem zmroku z Challengera wystartował helikopter, pilotowany przez jedynego - oprócz Wintera -terrorystę, który posiadał tę umiejętność. Naprowadzany nieustannymi sygnałami radiowymi z Pecheura, dotarł na trawler, który płynął w odległości stu mil od Challengera. Gdy helikopter wylądował, jego oznakowania zostały zakryte. Gdyby z jakiegoś statku lub samolotu dostrzeżono helikopter znajdujący się na pokładzie trawlera, nie byłoby to dziwne, wprost przeciwnie do tego, gdyby zobaczono go na pokładzie wielkiego tankowca.
Zanim maszyna odleciała z Challengera, LeCat i Andre Dupont rozładowali sprzęt ratunkowy - łódź Zodiac, przyczepny silnik i kombinezony do nurkowania zostały ukryte w składziku stolarskim pod pokładem dziobowym. Podczas tej czynności, wykonywanej daleko od mostka kapitańskiego, wyładowano również

dziewięćdziesięcio kilogramową stalową walizkę, którą przetransportowano z pewnym trudem i zniesiono po drabinie do tego ciasnego pomieszczenia.

***

Szejk Gamal Tafak przeniósł się do swojej tajnej siedziby na pierwszym piętrze budynku na obrzeżach Baalbeku w Libanie. Było to częścią planu, według którego saudyjski minister powinien był się ukryć, przebywać w ustronnym miejscu do czasu zakończenia operacji w San Francisco. Człowiek, którego nie można odszukać, nie może odpowiadać na żadne pytania, a niektórzy politycy na Bliskim Wschodzie byli bardzo zaniepokojeni ekstremistycznymi poglądami Tafaka.

Ale to była tylko jedna część uzasadnienia. Druga była prostsza i bardziej ludzka - Tafak obawiał się zamachu. Pojawiły się pogłoski o jakichś uzbrojonych izraelczykach; krążyła nawet plotka, że wywiad brytyjski i amerykański współpracuje z Mosadem.

W Baalbeku - nigdy nie był tu wcześniej - Tafak czuł się bezpieczny.

Pierwsza wiadomość w nowej siedzibie pochodziła od Wintera. Po trzydziestu minutach od porwania Challengera do konsulatu Arabii Saudyjskiej w San Francisco anonimowo przekazano przez radio krótkąwiadomość: Partia owoców awokado nadeszła. W zamkniętym pokoju w konsulacie Talaal Ismail podniósł słuchawkę i zadzwonił pod paryski numer. Stamtąd wiadomość przekazano do Aten, potem do Bejrutu. Człowiek, któremu Ahmed Riad polecił przebywać w pewnym bejruckim mieszkaniu popełnił pewną niezręczność językową, gdy dzwonił do Tafaka. Zwracał się do niego "ekscelencjo", kiedy przekazywał wiadomość potwierdzającą uprowadzenie tankowca. Żadnych tytułów - warknął Tafak i rzucił słuchawkę zaraz po wysłuchaniu tej wiadomości. Nie chciał nawet myśleć o tym, że telefon może być na podsłuchu...

Dziewczyna obsługująca centralkę telefoniczną w domu mieszkalnym przy ulicy Lafayette w Bejrucie zaczekała, aż słuchawki po obu stronach zostaną odłożone, po czym przerwała połączenie.

Denerwowała się. Po raz pierwszy podsłuchiwała rozmowy telefoniczne za pieniądze. Robienie tego dla spędzania czasu czy podsłuchiwanie czyichś potajemnych erotycznych konwersacji - to co innego.

Większość telefonistek to robi - pocieszała się Lucille Fahmy.

Ale podejrzewała, że to może być niebezpieczne. Kim był ten, kogo

nazwano "ekscelencją"?
Skończyła swoją pracę pół godziny później, rzucając tylko kilka słów młodemu człowiekowi, który objął nocną zmianę. Potem, mocno ściskając torebkę, poszła do Cafe Leon. Mężczyzna o ponurej twarzy niecałą minutę potem przysiadł się do niej przy narożnym stoliku.
- Dobry wieczór, Lucille... - przywitał się jak stary znajomy, pochylając ku niej głowę, by móc dobrze słyszeć. Od strony szafy grającej dobiegała hałaśliwa muzyka z najnowszej płyty Toma Jonesa.
- szóstej wieczorem lokal ten zaczynał się wypełniać bejruckimi nastolatkami. Pomimo chłodu na zewnątrz, w Cafe Leon było gorąco i duszno. Tutaj było dość ropy do ogrzewania - po prostu wylewała się Libańczykom uszami. Mężczyzna o ponurej twarzy zamówił kawę i ciastka.
- Zadzwonił... - Lucille musiała powtórzyć to, co już raz powiedziała, zapalając papierosa drżącą dłonią. - Po raz pierwszy od pięciu dni. Kiedy dostanę jakieś pieniądze?
- spytała.
Dotknął dłonią kieszeni na piersi. - Mam te pięćdziesiąt dolarów ze sobą. Czy to była rozmowa miejscowa?
- Nie. Pod numerem w Baalbeku. Mam go w torebce.
- Daj mi.
Zawahała się, po czym otworzyła torebkę, wyjęła złożony banknot z zapisanym wewnątrz numerem i podała mężczyźnie. Jeśli ktokolwiek to obserwował, pomyślałby, że zabrakło mu pieniędzy i żejego dziewczyna dzisiaj funduje. Wsunął złożony banknot do swojego portfela, tuż obok innego, który złożył wcześniej. Zapłaciłby tym banknotem
- tak na wszelki wypadek, gdyby ktoś go obserwował.
- Możesz ustalić, czyj to numer? - spytała.
- znów te nerwy... - mówiła tylko po to, żeby mówić.
Oczywiście że mógł ustalić, do kogo należy każdy numer telefonu w Libanie i odnaleźć adres - bo właśnie o adres mu chodziło. Zaczekała, aż kelner poda kawę i ciastka, po czym schyliła się ku niemu. - To było o jakichś owocach awokado - po prostu powiedział, że partia owoców awokado nadeszła. Aha, nazywał tego drugiego człowieka "ekscelencją"...
Człowiek, który powiedział jej, że ma na imię Albert, zdawał się być o wszystkim poinformowany albo celowo usiłował sprawić takie wrażenie. Teraz rozumiał jej rozdrażnienie. Bała się. Jak wielu ludzi

na Bliskim Wschodzie, obawiała się wpływowych ludzi. Dalej sączył kawę, ukrywając wstrząs i nadzieję.
Zdaje się, że odnaleźli Tafaka.
Jedna z gazet w Londynie przechwyciła "cień pogłoski", ale na notatce zaznaczono "wątpliwe". Nie można było tego zignorować, więc wiadomości nie opublikowano. Okazało się, że była prawdziwa.
Brytyjski premier udał się potajemnie do bazy lotniczej Lyneham w Wiltshire na odległe brytyjskie lotnisko w rejonie Salisbury Plain.
To była właściwa pora: gdy jego samochód mknął w stronę budynków lotniska, z ołowianych chmur wyłonił się trident, który po wylądowaniu zaczął kołować na pobliskim pasie startowym.
Gdy maszyna się zatrzymała, premiera podwieziono do samolotu - tak blisko, że zaparkowano u podnóża ruchomych schodków, które ustawiono w pośpiechu. Premier czekał w samochodzie, gdy na górze schodków pojawił się mężczyzna. Szybko zbiegł i wsiadł do samochodu na tylne siedzenie.
Gdyby sfotografowano człowieka wysiadającego z samolotu, można by go wziąć za generała Villiersa; miał czarną przepaskę na oku. Ale w tym momencie generał Villiers przebywał wiele tysięcy kilometrów od Wielkiej Brytanii. Ten tajemniczy gość musiał więc być kimś innym. Był zaiste bardzo podobny do innego generała, którego zdjęcie często pojawiało się na pierwszych stronach gazet na całym świecie.
Do pewnego izraelskiego generała.
Zdarzyło się to w niedzielne popołudnie 19 stycznia, w dniu ataku terrorystów na Challengera.
Wkrótce po incydencie z LeCatem Winter podjął decyzję zezwalającą Betty Cordell na swobodne poruszanie się po całym statku.
Był przerażony, gdy zastał na pokładzie kobietę, ponieważ wiedział, do czego zdolni są niektórzy spośród byłych terrorystów z OAS. Teraz przyszło mu do głowy, że będzie bezpieczniejsza mając swobodę, niż gdy będzie zamknięta w swojej kajucie. Przyszedł, żeby oznajmić jej swoją decyzję: - Może pani spacerować po statku, ile się pani podoba, ale co godzinę proszę się zgłaszać do oficera pełniącego wachtę na mostku. Czy to jasne?
Stała nieruchomo, przyglądając się jego niezwykłej twarzy: orlemu nosowi, szerokim pełnym ustom, spokojnym brązowym oczom, które były niepokojące i jakby nieobecne.
- Dlaczego pan to robi? - spytała cicho.
- To dla pani dobra.

- Mam na myśli pana udział w tym strasznym przedsięwzięciu?
- Pieniądze.
Zniknął nagle, a w kilka minut później zaczęła poruszać się po całym statku, który nadal płynął po spokojnym oceanie. Było to szalenie denerwujące doświadczenie, do którego ta jasnowłosa dziewczyna nie przywykła; wędrowała korytarzami, a strażnicy z pistoletami w dłoniach obserwowali ją z oddali. Gdy zmieniała kierunek, na przykład, żeby odnaleźć nie pilnowane - jak sądziła - zejście pod pokład, znajdowała tam kolejnego terrorystę. Była cały czas pilnowana przez ludzi z bronią, którzy śledzili każdy jej krok.
Umysł Betty Cordell pracował na dwóch płaszczyznach: wszystko to, co mogłoby się przydać do jej reportażu, który miała nadzieję kiedyś napisać: na przykład "Relacja naocznego świadka uprowadzenia przez terrorystów", ale zwracała też uwagę na umiejscowienie stanowisk strażników, której to informacji potrzebowała, by przy najbliższej okazji przemknąć się do Bennetta. Nic nie wskazywało na to, by brytyjska załoga zamierzała stawić opór; pozornie wydawali się zszokowani. Ale wyczuwała dziwną atmosferę, zwłaszcza w przedziale maszynowym.
Strażnik odsunął się na bok z obojętnym wyrazem twarzy, pozwalając Betty Cordell wejść do maszynowni. Winter, z właściwą sobie sprawnością, poinformował wszystkich terrorystów, że dziewczyna może się swobodnie przemieszczać po całym statku. Przeszła ponad zrębnicą i znalazła się na wysokiej platformie, skąd - nieco już spocona od pary i gorąca - spoglądała na "wnętrzności" statku.
Hałas był przerażający - burza młotów parowych i wszystko się tu poruszało: mlaskały tłoki - maszyneria zupełnie jej nie znana. Zeszła w dół po pionowej drabinie.
Stromy, niemal dziesięcio metrowy uskok nie przerażał jej -wspinała się już nad przepaściami w górach Sierra Nevada.
Ponadto widziała w maszynowni ludzi, których znała wcześniej i rozmawiała z nimi jeszcze przed uprowadzeniem tankowca. Monk, krzepki trzydziestocztero letni mechanik z maszynowni, w istocie bardzo groźnie wyglądająca postać - ciemne włosy oblepiały ogromną czaszkę skinął jej głową, wycierając ręce w zatłuszczoną szmatę. Wydawał się zamyślony, jakby jego umysł zaprzątnięty był czymś ważnym.
Bert Foley, niski, łysy czterdziestoletni mechanik odezwał się do niej, rozejrzawszy się uprzednio, by się upewnić, że strażnik stojący na

wysokiej platformie nie widzi go.
- Sprawy mogą się potoczyć lepiej, niż pani przypuszcza, Cierpliwości... - Poczuła się pewniej w obecności brytyjskich marynarzy i zaczęła dalej przemierzać statek. Czuło się coś nieuchwytnego, jakiś powiew konspiracji w powietrzu, a przecież wydawało się to niemożliwe: Winter zerwał wszelką łączność. Zobaczyła, że steward Wrigley schodzi po drabinie do maszynowni.
Trzymając tacę w jednej dłoni, drugą się podpierając, pośpieszył na platformę sterowniczą, skąd starszy mechanik Brady dyrygował różnymi czynnościami, Brady, krępy siwowłosy mężczyzna, wziął z tacy kubek z herbatą i z wahaniem sięgnął po kanapkę z szynką. Nic osobliwego się tu nie działo. Spojrzała na zegarek: wkrótce zgłosi się do oficera pełniącego wachtę i powie mu, gdzie w tej chwili znajdują się wszyscy terroryści. Nadal jednak wyczuwała jakieś napięcie. Wspięła się na platformę sterowniczą do Bradyego i wskazała czarne pudełko zainstalowane w tablicy rozdzielczej. - Co to jest, pewnie trzymacie w tym kanapki! - Uśmiechnęła się - chyba coś w tym było!
Mężczyzna obok Bradyego, w spodniach i nieskazitelnie białym podkoszulku, obejrzał się i na jego twarzy odmalowało się przerażenie.
- Nie przerywaj pracy, Wilkins - starszy mechanik uśmiechnął się szeroko do Betty.
- To standardowy sprzęt, panienko. - Poklepał się po swym dużym brzuchu. Swoje kanapki trzymam tutaj.
To była cholerna gafa. Czarne pudełko, które wskazała Betty, było jedynym dowodem istnienia Ephraima. Starszy mechanik zdążył już sobie uświadomić, że ten mechanizm zapewnia im jedyny kontakt ze światem - nawet jeżeli ta łączność jest tylko jednostronna.
- Zupełnie jakbym wrócił do obozu dla jeńców wojennych - zamruczał Mackay do Bennetta w kabinie nawigacyjnej. - Mój własny statek stał się klatką. Przynajmniej zorganizowaliśmy system porozumiewania się - to najważniejsze, kiedy jest się w takiej sytuacji...
System porozumiewania się Mackaya z załogą uzależniony był od stewarda Wrigleya, który - ciągle w ruchu - roznosił jedzenie i kawę członkom brytyjskiej załogi i strażnikom terrorystom. Winter przewidział problem związany z roznoszeniem pożywienia: polecił jednemu ze strażników stać bez przerwy przy kuchni i eskortować Wrigleya, gdy biega
po statku.

Nie przewidział jednak tego, że Bennett wykorzysta Wrigleya do przekazywania wiadomości każdemu, z kim Mackay zechce się skontaktować. Były to pośpiesznie zapisane małe skrawki papieru, które Wrigley ukrywał pod talerzami z kanapkami, dzbankami z kawą, pod różnymi przedmiotami, które akurat niósł na tacy. Inną sprawą, której Winter ani nie przewidział, ani nie zauważył, było zwiększone pragnienie mężczyzn przebywających na mostku: zamawiając dużo kawy, dostarczali Wrigleyowi więcej okazji do jego kurierskiej działalności.
Winter nie zauważył także częstszych niż dawniej dyskusji na temat prowadzenia statku i określania jego położenia. Mackay i Bennett wdawali się w nie w kabinie nawigacyjnej za mostkiem kapitańskim. Za pierwszym razem strażnik był podejrzliwy.
- Idziemy do kabiny nawigacyjnej - powiedział Mackay do strażnika, Duponta, który znał angielski. - Musimy sprawdzić na mapie nasz przyszły kurs...
Zeszli z mostka, a Dupont podążył ślad w ślad za nimi. Mackay stanął przy stole z mapami i spojrzał na Francuza z dezaprobatą. -Posłuchaj, omawianie kursu statku to skomplikowana sprawa i wymaga dużej koncentracji. Nie mogę pracować, kiedy ktoś stoi i we mnie celuje. Jeśli chcecie, żebyśmy doprowadzili ten statek do San Francisco, musisz zaczekać na zewnątrz...
- Przeszukaliście to miejsce - dodał Bennett - i drugie drzwi są zamknięte. Można się stąd wydostać jedynie z powrotem na mostek.
Jeżeli nie dacie nam spokoju, nie doprowadzimy tego statku do celu.
Dupont, który towarzyszył Winterowi na Morzu Śródziemnym i był z LeCatem w Paryżu, gdy śledzili Sullivana wzdłuż francuskiego wybrzeża, zawahał się. Mackay uniósł cyrkiel, a Bennett skoncentrował się na studiowaniu mapy. Upokarzająca sytuacja: obaj mężczyźni zachowywali się jakby był powietrzem. Wrócił na mostek i obserwował drzwi.
- Panie Bennett - ściszył głos Mackay - nasz system łączności działa dobrze. Nie mam jednak przekonania co do pańskiego pomysłu ze zniknięciem człowieka.
- Nie możemy stać z założonymi rękami i pozwolić, by im to uszło płazem - wymamrotał pierwszy oficer. - Chcę zorganizować masową ucieczkę. Nie licząc tego, który odleciał helikopterem, na czternastu terrorystów przypada dwudziestu ośmiu członków załogi - jest nas dwa razy więcej...

- Ale oni mają broń...
- Musimy więc zlikwidować tę przewagę, pozbywając się jednego lub dwóch prowodyrów. Wintera na razie można oszczędzić - jest jedynym, z którym można się porozumieć, i nie sądzę, żeby dał się łatwo zmylić. Proponuję zabrać się za LeCata - to straszny typ, a jest chyba zastępcą dowódcy tej akcji. - Bennett rozwinął kolejną mapę, bo Dupont zajrzał do kabiny nawigacyjnej, ale zaraz zniknął. - Udało mi się porozmawiać ze starszym mechanikiem w przedziale maszynowym - strażnik żłopał wtedy wino. Brady mówi, że Monk wprost marzy, by zająć się LeCatem - jeżeli uda mu się - oczywiście Monkowi - zniknąć.
- Nie podoba mi się to - sprzeciwił się Mackay. - Przemoc rodzi przemoc...
- Ten statek uprowadzono przemocą - argumentował Bennett. - LeCat zgwałciłby tę amerykańską dziewczynę, gdyby na czas nie pojawił się Wrigley. Niektórzy z tych ludzi to mordercy, a już z pewnością LeCat. Poza tym ludzie na morzu często wypadają za burtę...
- Jeszcze o tym pomyślę.
- Naszym sprzymierzeńcem byłaby paskudna pogoda, a myślę, że taka właśnie się zbliża.
- Tajfun powinien nas ominąć...
- Założę się, że nas nie ominie, panie kapitanie. Tajfuny mają brzydki zwyczaj zmieniania kierunku. Myślę, że powinniśmy się przygotować - to znaczy zorganizować "zaginięcie" Mońka.
- Może ma pan rację... - Kapitan patrzył w dół na mapę, rozważając wszystkie za i przeciw. Jeśli coś by się stało Winterowi i LeCat przejąłby dowództwo, Mackay nie dałby złamanego grosza za życie załogi.
- W porządku - zdecydował - spróbujemy, ale proszę ostrzec Mońka, żeby bardzo uważał...
- To będzie wyglądało na wypadek - odparł Bennett.
o dziesiątej wieczorem Challenger nadal płynął po spokojnym oceanie. Za dwie godziny rozpocznie się poniedziałek 20 stycznia.
Tajfun Tara nadciągnął znad północnego Pacyfiku - tam właśnie znajdowały się obszary o najgorszych warunkach atmosferycznych.
Amerykański satelita meteorologiczny pierwszy zanotował jego niebezpieczny rozwój; amerykański samolot służb synoptycznych potwierdził, że na północny wschód od Hawajów kształtuje się coś groźnego.

Winter pierwszy na pokładzie otrzymywał prognozy pogody docierające z lądu; po przekazaniu przez Kinnairda czytał je i szybko przekazywał Mackayowi. W końcu przecież to Mackay musiał doprowadzić tankowiec do San Francisco. Kiedy kapitan zapoznał się już z najnowszym raportem o pogodzie, donoszącym o tajfunie Tara, Winter zabrał go z powrotem do kabiny radiooperatora. Przed nadajnikiem siedział Kinnaird - coraz bardziej rozdrażniony z powodu roboty, której się podjął dla wymarzonych dziesięciu tysięcy funtów.
Była 5.00 rano, poniedziałek 20 stycznia.
- Kiedy następny rutynowy raport ma być wysłany do Harpera, do Londynu? - zapytał Winter.
- W ciągu najbliższej godziny...
- Przekaż im ten raport o pogodzie... - Winter napisał coś sprawnie i szybko. - Zmień tak, żeby zachować techniczny żargon, ale sens ma być właśnie taki.
Kinnaird spojrzał na notatkę. - Nie rozumiem...
- Jak wielu ludzi, nie umiesz wybiegać myślą w przód. Naszym największym problemem może być nakłonienie zarządu portu San Francisco, żeby pozwolił wejść Chal- lengerowi do Bay, gdy tylko tankowiec zbliży się do wejścia do Zatoki. Może to zostać opóźnione z wielu powodów - na przykład wiele statków w kanale, mgła...
Prawdopodobnie kierownictwo portu od razu nas wpuści, jeśli ich przekonamy, że jesteśmy w kłopotach, jeśli będziemy mieli na pokładzie ludzi, którzy zostali ranni w walce z tajfunem.
- Możesz mieć rację...
- Muszę mieć rację na dziewięćdziesiąt procent, jeżeli mamy przetrwać.
Wiadomość napisana przez Wintera była prosta i czytelna. Płyniemy w warunkach
tajfunu. Dwóch marynarzy rannych, niezdolnych do służby.
Główny pokład zalany wodą. Prędkość zmniejszona do ośmiu węzłów.
Siła wiatru około stu siedemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę.
Mackay.
A na dole, w maszynowni, około trzydziestu metrów od miejsca, w którym Winter podawał notatkę Kinnairdowi, "mechaniczny człowiek" - Ephraim - przesyłał sygnały radiowe do głównego komputera w odległej bazie, starannie rejestrując dane o warunkach rejsu. Prędkość siedemnaście węzłów...

Aby wzmocnić zabezpieczenie statku, Winter postanowił często sprawdzać stan brytyjskiej załogi. Zaczął realizować ten pomysł po trzydziestu minutach od wejścia na pokład; najbardziej był zaniepokojony maszynownią. W przepastnym przedziale maszynowym pracowało siedmiu ludzi - wliczając w to starszego mechanika, Bradyego.
W takich warunkach mógł ktoś się łatwo "zagubić".
Była 6.00 rano i niecałe dwadzieścia cztery godziny żeglugi do San Francisco, kiedy Brady dał znak Monkowi, mechanikowi z maszynowni, a ten zniknął za stalowymi drzwiami w ścianie.
Brady, stojąc na platformie, miałjakzwykleponurąminę: podejmował wykalkulowaną grę. Tym razem LeCat miał sprawdzać stan liczebny obsługi maszynowni. Chodziło o to, że Francuz spędził niewiele czasu w przedziale maszynowym; nie bardzo znał tamtejszą załogę. Ale ryzyko w tej grze polegało na tym, że LeCat osobiście miał przeliczyć członków załogi maszynowni. Brady obserwował, gdy LeCat schodzi po pionowej drabinie i miał płonną nadzieję, że terrorysta poślizgnie się, runie na dół i roztrzaska o stalową kratę. Ale rzeczywiście była to złudna nadzieja: LeCat zszedł szybko i zwinnie, po czym dał znak uzbrojonemu strażnikowi, żeby zszedł także.
- Przeliczymy załogę - oświadczył LeCat. Stanął i patrzył na starszego mechanika.
- Wszyscy pozostaną dokładnie tam, gdzie stoją... - Miał w dłoni pistolet Skorpion i z rozbawieniem wycelował go w duży brzuch starszego mechanika. - Jeśli ktoś się poruszy, on zginie.
Przekrzykując hałas maszyn, Brady wybuchnął. - Jeśli chcecie dotrzeć do San Francisco, to lepiej skończcie z tym swoim pieprzonym przeliczaniem i wynoście się do jasnej cholery z mojej maszynowni.
- Co ty powiesz? - LeCat celowo wspiął się na platformę obok Bradyego, gdzie w pobliżu stał zlany potem Wilkins. Nic dziwnego, w maszynowni wszyscy się pocą. LeCat też był cały mokry i sprawiało mu to przyjemność, bo przypominało lato w Algierii. Końcem lufy skorpiona dotknął brzucha starszego mechanika. - Jedno pociągnięcie mojego palca i jesteś mięsem dla rekinów...
Brady stał nieruchomo, spoglądając w dół na pistolet. - Jedno pociągnięcie twojego palca, a nigdy nie dotrzecie do lądu. To ja sprawiam, że ten statek się porusza - nawet kapitan nie ma o tym pojęcia.
LeCat uśmiechnął się krzywo i wycofał broń. - Masz rację, oczywiście -

zgodził się. - Ale jak dotrzemy do Kalifornii, to już cię nie będziemy potrzebowali, prawda? - Pozostawiając Bradyego z tą niepokojącą myślą, zaczął przeliczać załogę.
Jej członkowie znajdowali się w różnych częściach przedziału maszynowego, tak że LeCat musiał się przedzierać pośród różnych urządzeń, by ich odnaleźć. Nie przeszkadzało mu to; był przekonany, że jego groźba poskutkuje. Obiecał przecież, że zastrzeli każdego, kto się poruszy. Naliczył trzech mężczyzn, a potem za rogiem odnalazł Foleya, który w spodniach i podkoszulku pochylał się nad osłonąjakiejś maszyny. Jego łysa głowa lśniła od potu, gdy stał tyłem do Francuza. - Cztery...
LeCat poszedł dalej za strażnikiem, skręcił za róg i wtedy Foley się poruszył. Ściągnął swój podkoszulek, odkrył nagi tors, wyciągnął zza maszyny wilgotną czapkę
i wcisnął ją na głowę. Przeczołgał się na czworakach po kracie, aż znalazł się pod tablicą rozdzielczą. Brady, który stał na platformie i obserwował strażnika stojącego na pomoście roboczym, dał znak ręką. Foley wstał i zrobił pięć dużych kroków, stając obok Lanky Millera. Wyciągnął duże okulary w rogowej oprawce i założył je.
Pół minuty później LeCat wyszedł zza zakrętu i zatrzymał się, przyglądając uważnie dwóm mężczyznom. - Sześć... siedem. - Pełny komplet obsługi maszynowni. Zapalając papierosa, LeCat nadal patrzył na dwóch marynarzy. Lanky Miller był najwyższym wśród członków załogi, miał blisko metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Przy nim Foley wydawał się jeszcze mniejszy. LeCat obrzucił go uważnym spojrzeniem, marszcząc brwi.
Na górze, na platformie sterowniczej, Brady machnął ręką tak szybko, że nikt nie zauważył najmniejszego ruchu. W tle łomotu maszynerii LeCat usłyszał nagły, przeraźliwy krzyk. W maszynowni pojawiły się kłęby pary. - Wypadek! - wrzeszczał Brady. - Kocioł
się przegrzewa! - Rozległ się tupot nóg po kracie i członkowie załogi rozbiegli się po całym przedziale maszynowym. Miller i Foley przebiegli obok LeCata i zniknęli. Francuz rozejrzał się zirytowany, wzruszył ramionami i począł wspinać się po drabinie, opuszczając ten dom wariatów.
Starszy mechanik był człowiekiem pomysłowym i zdecydowanym. Zauważył, że LeCat wyszedł, ale na pomoście roboczym nadal stoi strażnik. Zwiększył wypływ pary i wkrótce cała maszynownia wypełniła się przesłaniającymi wszystko kłębami mgły. Wysłał

Wilkinsa do pomieszczenia magazynowego, gdzie ukrywał się Monk, który nie został policzony.
Strażnik na pomoście roboczym nie mógł niczego dostrzec w dole i to go niepokoiło. W tym wrzącym białym kotle mogły się zdarzyć różne rzeczy. Może nawet są na krawędzi katastrofy? Czy kotły mogły wybuchnąć? Czy powinien natychmiast ostrzec Wintera? Nagle tuż pod sobą usłyszał straszliwy wrzask, tak przenikliwy, że dotarł do niego mimo łoskotu maszyn i syku wylatującej pary.
Szybko zszedł na dół, gdzie otoczyła go biała mgła. On także nie był w ciemię bity. We mgle zamajaczyła przed nim sylwetka marynarza.
Złapał go, zmuszając, by szedł przed nim, przystawiając do pleców pistolet. Gdyby ktokolwiek spróbował go zaatakować w kłębach pary, marynarz by zginął. Poprowadził go do platformy sterowniczej. - Co się dzieje? - wrzasnął do Bradyego.
- Właśnie usiłujemy to opanować - huknął Brady. - Kocioł paskudnie się przegrzał... ale nie wygląda to groźnie.
Wydawało się, że Brady wie co robi. Para zaczęła się przerzedzać, a jej złowieszcze syczenie ustało. Strażnik wycofał się w stronę drabiny i wspiął po niej na pomost roboczy, który w tym czasie pozostał bez żadnej straży.
Stojący na platformie Brady przeciągnął po ustach grzbietem dłoni i z ponurą satysfakcją obserwował wychodzącego strażnika. "Próbna jazda" wypadła pomyślnie: mogli więc oszukać terrorystów przy okazji następnego przeliczania załogi. W gruncie rzeczy musieli ich oszukać. Bo następnym razem miało być tylko sześciu ludzi w maszynowni. Gdy drabina była przysłonięta kłębami pary, Monk wspiął się po niej
i ukrył w schowku, dość daleko od przedziału maszynowego.
Niektóre szczury lądowe pływały w oceanie codziennie, nawet w styczniu. Les Cord, student ze Stamford University zaparkował samochód i zszedł nad Ocean Beach. Pacyfik miał ołowianą barwę, ciężkie chmury wiszące tuż nad nim też były szare, a o brzeg uderzały potężne grzywy fal. Był poniedziałkowy ranek 20 stycznia.
Cord siedział na plaży i zdejmował buty, kiedy po raz pierwszy to zauważył. Odniósł niepokojące wrażenie, że zbliża się potężna siła.
Wsunął stopy z powrotem w obuwie, stał i patrzył w niebo. Chmury wyglądały na burzowe, ale już przedtem widział to ołowiane niebo.
Parę metrów dalej gigantyczne grzywacze waliły o plażę. Spojrzał na wody oceanu.

Były wzburzone. Daleko na horyzoncie, który niemal tonął w odmętach oceanu, tworzyły się potężne wały przeogromnych rozmiarów i pędziły w kierunku brzegu. Nadciągały z daleka i Cord zrozumiał teraz, dlaczego grzywacze z taką siłą biją o plażę.
Czuł wibracje pod podeszwami butów, a cała plaża aż dygotała od ich uderzeń. Niejasno zdał sobie sprawę, że właśnie to najpierw go zaniepokoiło - grzmot gigantycznych fal zwalających się na plażę.
Zmienił zdanie, choć nadal nie był pewien, co właściwie go tak zaniepokoiło; wrócił do samochodu i odjechał do miasta.
Złamał swoją zasadę codziennego pływania, ale jakoś go to zbytnio nie martwiło. Nawet się cieszył, że oddala się od plaży, od tego przerażającego zjawiska.
Les Cord nie zdawał sobie z tego sprawy, ale tym, co naprawdę go zaniepokoiło, był rytm uderzających fal z grzywami - zbliżały się do brzegu w rytmie czterech na minutę zamiast, jak zwykle, siedmiu.
Nie wiedział też, że w tym samym momencie sejsmografy na dalekiej Alasce rejestrowały potężne wstrząsy tych fal, jakby to były drgania ziemi. Zbliżał się tajfun Tara, wyciągając swe palce, by ostrzec amerykańskie plaże.
Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Les Cord postanowił zrezygnować z codziennego pływania przy Ocean Beach, kilka kilometrów dalej, po drugiej stronie półwyspu, Sullivan dzwonił do prezesa Harper Tankships.
Sullivan, który przybył do San Francisco z Seattle późnym niedzielnym popołudniem, z powodu niedostatków benzyny czekał godzinę na lotnisku międzynarodowym na taksówkę, po czym pojechał do hotelu St. Francis na Union Square. Gdy zadzwonił telefon, patrzył akurat w dół przez szybę w swojej sypialni na dach wagoniku "cable car" przesuwającego się w kierunku California Street.
- Tu Sullivan. Jestem w hotelu St. Francis, w San Francisco... podał Harperowi numer telefonu. - Kiedy tu przypłynie Challenger?
- W tej chwili przewiduje się jego przybycie na ósmą rano jutro - według twojego czasu. Ale, szczerze mówiąc, nie zakładałbym się, że tak będzie.
- Coś się stało?
- Nie wiem, Sullivan... - Harper wydawał się zakłopotany.
-To prawdopodobnie nie ma znaczenia, ale zdaje się, że Ephraim zwariował...

- Co to znaczy?
- Dostaliśmy rutynowe wiadomości od Kinnairda o położeniu statku i inne, oraz raport o pogodzie. Według Kinnairda, tajfun Tara dotarł do nich - chwileczkę, ty może nie wiesz, że zbliża się tajfun znad północnego Pacyfiku...
- Wiem - słyszałem w Seattle komunikat o pogodzie. Ale nie wiem, w czym rzecz...
- Wiedziałbyś, gdybyś mnie słuchał. Według Kinnairda, Challenger w tym momencie zmaga się z tym tajfunem - jest trochę szkód i kilku rannych ludzi...
- A według Ephraima?
- Statek nadal płynie z prędkością siedemnastu węzłów po spokojnym oceanie. Nie rozumiem tego. Poza tym Kinnaird doniósł nam o zredukowaniu prędkości do ośmiu węzłów.
- Skontaktowałeś się przez radio z Mackayem?
- Właśnie miałem zamiar to zrobić, kiedy zadzwoniłeś...
- Nie rób tego! Nie wysyłaj na statek żadnej wiadomości ze wzmianką o Ephraimie.
- Dlaczego, u licha? - w głosie Harpera pojawił się cień zniecierpliwienia.
- Jeszcze nie wiem, ale nie rób tego, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Tak po prostu czuję - powtórzył Sullivan. - Od jak dawna ten twój mechaniczny przyjaciel funkcjonuje na pokładzie?
- Od pół roku.
- Czy przez ten czas zdarzył się jakiś inny przypadek niezgodności pomiędzy raportami radiooperatora a Ephraima?
- Ani razu. Jednak i tym skomputeryzowanym systemom może się coś poplątać.
- Jaka jest różnica czasu pomiędzy raportami Ephraima a Kinnairda?
- Niewielka - sprawdziłem to...
- A więc, do cholery, te dwa raporty są niemal równoczesne? Harper, masz jakiś numer, pod który mógłbym zadzwonić do Międzynarodowego Centrum Morskiego w Hadze?
- Zaczekaj chwilę - Harper przeczytał numer telefonu.
-Możesz tam zastać kogoś teraz albo później. Pracują na okrągło całą dobę. Typowa holenderska wydajność. Naprawdę myślisz, że powinienem raczej odłożyć rozmowę z Mackayem?
- Tak, chcę sprawdzić, czy jest taka możliwość, że Ephraim coś przeoczył...

- Na pewno. Nie ma innego wytłumaczenia...
- Jest. Takie, że Ephraim nie dostał żadnej czkawki, a statek nadal płynie sobie po spokojnym oceanie. Kinnaird pewnie siedzi w ciasnej kabince radiooperatora sam pijany jak bela i myśli, że to statek jest pijany...
- Czy to jakiś dowcip? - spytał zjadliwie Harper.
- To może być bardzo ponury dowcip.
Panna Van der Ploeg, bardzo dokładna i rzeczowa osoba, wiedziała wszystko
o głównym komputerze i Ephraimie. Nie, nie było takiej możliwości, żeby Ephraim przekazywał błędne dane.
Mógłby wysłać nieprawdziwy meldunek, ale wtedy cały raport byłby nonsensowny -jeden wielki galimatias.
- Tak, panie Sullivan - sprawdziła wszystko, gdy czekał przy telefonie - system funkcjonuje idealnie. Jeśli Ephraim przekazywał, że statek porusza się z prędkością siedemnastu węzłów po spokojnym oceanie, to znaczy, że tak właśnie jest.
Sullivan odniósł wrażenie, że panna Van der Ploeg nie dowierzała, że można przypuszczać, iż zwykły radiooperator może być lepszy od Ephraima...
Sullivan podziękował, odłożył słuchawkę i zapalił papierosa.
Po raz pierwszy był na Zachodnim Wybrzeżu i nie miał tu żadnych znajomych. Może zadzwoni do Billa Berridgea z zarządu portu w Nowym Jorku, żeby mu podał jakieś nazwiska. Osamotniony w tym dziwnym mieście Sullivan był teraz w swoim żywiole. Miał już niewielką wskazówkę, że coś niepokojącego dzieje się na pokładzie Challengera. Problem polegał na tym, żeby przekonać innych ludzi.
Do 3.00 po południu Sullivan spróbował wszystkiego, co mu tylko przychodziło do głowy. Bill Berridge z zarządu portu w Nowym Jorku umożliwił mu dotarcie do człowieka zajmującego się dostawami na statki w zarządzie portu w San Francisco i to naprawdę okazało się pomocne. Potężny, jowialny mężczyzna wysłuchał jego opowieści, po czym rzekł, iż nie ma żadnego dowodu na to, że coś złego się dzieje na pokładzie brytyjskiego
tankowca. Poza tym, że radiooperator pokładowy doniósł, iż dostali się w zasięg tajfunu, a tymczasem automatyczne urządzenie kontrolne Ephraim wykazało, że statek płynie po spokojnym oceanie...
- Jest tam tajfun i właśnie zmienił kierunek. Te urządzenia mechaniczne mogą się mylić, panie Sullivan - zauważył uprzejmie

zaopatrzeniowiec zapalając fajkę. - W moim banku jest taki komputer...
- Sprawdziłem to u Holendrów w Hadze - upierał się Sullivan.
- To naturalne, że oni wierzą w działanie swojego systemu... Holandia jest daleko od San Francisco. Ten zaopatrzeniowiec wyraźnie potrzebował czegoś więcej, by wywołać alarm.
- Niech pan mi powie o naprawdę nagłym wypadku, a zadziałam natychmiast - oświadczył. - Gdyby tak było, przekazałbym wiadomość wyżej.
- Jak wysoko?
Zaopatrzeniowiec policzył na palcach. - Najpierw OHara, mój szef. Następny krok to burmistrz. On mógłby skontaktować się z FBI.
Oczywiście, szybko ruszyłaby Straż Przybrzeżna. Gdyby wypadek był bardzo poważny, moglibyśmy się skontaktować z gubernatorem stanu Kalifornia. Jest nim Alex MacGowan. Wkrótce ma wrócić z urlopu, ze Szwajcarii.
Następnym krokiem, który uczynił Sullivan był telefon do FBI.
Ku jego zdziwieniu, za pół godziny wpadło do jego hotelu dwóch mężczyzn. Agent specjalny Foster - Sullivan nie zrozumiał nazwiska drugiego - był bardzo uprzejmy
i słuchał nie przerywając. Potem odezwał się niemal tak samo jak zaopatrzeniowiec: - Jeżeli mógłby nam pan dostarczyć jakiś dowód...
Była 4.00 po południu, gdy ludzie z FBI opuszczali hotel i Sullivan już wiedział, że nie zdoła poruszyć nikogo. A Challenger miał przybyć za szesnaście godzin.
Raporty wywiadowców z Bejrutu wskazują, że kraje Zatoki Perskiej są bliskie drastycznej redukcji dostaw ropy poniżej obecnych pięćdziesięciu procent. Raporty wychodzące ze źródła zbliżonego do szejka Gamala Tafaka mówią, iż decyzja ta zapadnie od dziś za tydzień...
Raport ten przedstawiono brytyjskiemu gabinetowi w poniedziałek 20 stycznia. - Potrzebujemy jeszcze czterech dni - skomentował minister obrony. - Jeśli nie wprowadzą tej decyzji w życie, to możemy zdążyć. Istnieje niebezpieczeństwo, że nie tylko zamkną szyby naftowe - mogą je też wysadzić w powietrze. Inny raport jest bardzo niepokojący...
Inny raport był wiadomością otrzymaną od brytyjskiego attache wojskowego w Ankarze: Wydaje się, że zbliża się nowy atak na Izrael. Syryjskie wojska pancerne zbliżyły się w nocy do Wzgórz Golan.

Prowadzone są intensywne rozmowy na łączach radiowych poza granicami Egiptu na Synaju...
Dla Izraelczyków był to czas ogromnego przygnębienia. Na ulicach Tel Awiwu, Hajfy
i Jerozolimy mężczyźni i kobiety publicznie zastanawiali się, ile im jeszcze zostało życia. Na wyższych szczeblach władz Izraela padały gorzkie wzajemne oskarżenia. "Nigdy nie powinniśmy byli wycofać się z granic istniejących w grudniu 1973 roku".
Ustępując pod naciskiem państw zachodnich, wojsko izraelskie znajdowało się daleko na wschód od Kanału Sueskiego. Wojsko egipskie natomiast, dowodzone przez fanatycznego generała Sherifa, znajdowało się stosunkowo blisko Tel Awiwu.
Podczas tajnego spotkania z generałem Sherifem i prezydentem Syrii w Damaszku Tafak oświadczył: - Dyplomatyczne posunięcia oddaliły Izraelczyków dostatecznie daleko, by dokonać ostatecznego uderzenia. Ale najpierw należy zagwarantować, że żadne posiłki nie dotrą do Izraela w chwili ostatecznego rozrachunku. Taką operację właśnie rozpocząłem. Izrael zostanie unicestwiony w Ameryce na Zachodnim Wybrzeżu... w San Francisco.

***

o 10.00 w poniedziałkowy wieczór potężne fale, zwiastuny tajfunu Tara, zbliżyły się do Challengera, okrążając go i uderzając o burty w regularnych odstępach. Właśnie to najbardziej niepokoiło Mackaya.
Jeśli potężne grzywacze jeszcze się zwiększą, może to być naprawdę bardzo niebezpieczne.
Kontratak brytyjskiej załogi miał nastąpić podczas największego nasilenia tajfunu. Mając nadzieję, że wcześniej czy później Mackay cofnie swoje weto wobec tego planu, Bennett drobiazgowo opracował szczegóły akcji, niemal tak starannie, jak Winter zaplanował uprowadzenie tankowca.
Załoga statku liczyła dwadzieścia osiem osób. Sześć z nich pełniło wachtę w maszynowni - nie licząc Mońka, trzy na mostku kapitańskim - Mackay; oficer pełniący wachtę oraz sternik - natomiast kucharz i steward niemal nieustannie byli zajęci w kuchni.
Tak więc jedenastu mężczyzn pełniło wachtę, podczas gdy pozostałych szesnastu - znów nie licząc Mońka - przebywało pod strażą w kajucie i kapitana. Właśnie tę rezerwę, tych szesnastu ludzi miał na uwadze Bennett.
- Najpierw pozbywamy się LeCata - zaproponował Mackayowi

podczas jednej z częstych wypraw do kabiny nawigacyjnej - potem Monk pomaga mi zająć się moim własnym strażnikiem, kiedy wracam do kajuty. Potem my dwaj bierzemy w obroty uzbrojonego strażnika przy kajucie kapitana...
Zaplanowali stopniowo narastające uwalnianie się. Bennett rozważył także problem dotyczący broni. Jeden pistolet zdobyliby, odbierając eskortującemu go strażnikowi; drugi dostałby się w ich ręce, kiedy wyeliminowaliby strażnika pilnującego kajuty kapitana.
Jeszcze inną broń można by sporządzić na poczekaniu z materiałów znajdujących się w schowku, gdzie nadal ukrywał się Monk. Liny na przykład można by szybko przekształcić w pętle do duszenia. Bennett potrafił być na swój sposób równie bezwzględny jak LeCat.
Ale wszystko zależało od wyeliminowania LeCata. Gdyby rozgorzała ostra walka
o przejęcie kontroli nad statkiem i Winter by, zginął, LeCat nie mógłby pozostać żywy, by tę kontrolę przejąć.
Gdyby LeCat przejął dowództwo, jego odwet byłby okrutny - obaj, Mackay i Bennett, zgadzali się co do tego. Najpierw trzeba się zająć, LeCatem.
Kapitan wysłuchał propozycji pierwszego oficera z pewną obawą nie znosił przemocy i nie dowierzał temu, że mieliby przewagę - biorąc pod uwagę fakt, że terroryści byli uzbrojeni.
Na razie wyraził swoją zgodę na to, by Monk spróbował pozbyć się LeCata, ale wstrzymywał się z oceną reszty planu Bennetta. Tak właśnie myślał Mackay, w chwili gdy tajfun Tara zaczynał zbliżać się do Challengera.
Już zaczęła się realizować kolejna część planu Bennetta - strażnicy zaczynali odczuwać skutki choroby morskiej. Właśnie dlatego zaplanował akcję na moment największego nasilenia tajfunu; wtedy mógł oczekiwać największych defektów w starannie obmyślonym systemie zabezpieczeń Wintera.
Wiatr zaczął wiać ze wzmożoną siłą. LeCatowi, który przyszedł na mostek do Bennetta i Mackaya, nie podobał się ten tajfun - był zbyt nieobliczalny. Stanął z przodu mostka, patrząc na spiętrzające się wody oceanu, tworzące góry i przewalające się dookoła statku.
W ciemności miało się wrażenie, że wszystko jest w nieustannym ruchu: tankowiec kołysał się i zanurzał, a mostek kapitański przechylał się tak, że LeCat musiał stanąć na rozstawionych nogach, by przeciwdziałać tym ruchom.

Za oknem mostka kapitańskiego, za które wyglądał LeCat, groźnie majaczyły grzbiety fal, wynurzające się niepokojąco i zwalające na statek jak kolejka górska w lunaparku. Wszystko było w ruchu. Osuwające się wody oceanu z niewyraźnie majaczącymi grzbietami fal wydawały się jeszcze bardziej przerażające. Mackay zaczął mówić tak głośno, by mógł go słyszeć francuski terrorysta - Tak naprawdę tajfun jeszcze do nas nie dotarł. W ciągu najbliższej godziny zobaczymy naszego olbrzyma kręcącego się w kółko jak łódź wiosłowa...
- A jednak poradzicie sobie z tym... - to był głos Wintera. Przyszedł po cichu na mostek, usłyszał tę uwagę i zauważył, że była przeznaczona dla LeCata. Mackay obrócił się i spojrzał na wysokiego Anglika.
- Winter, ma pan jakiekolwiek pojęcie o sile tajfunu na Pacyfiku? Przeżył pan to już kiedyś?
- Nie, ale pływałem po Morzu Egejskim.
- Morze Egejskie potrafi być lekko wzburzone - powiedział Mackay tonem do złudzenia imitującym ubolewanie - a to jest wielki ocean. Tutaj natura ma wolną przestrzeń i może zademonstrować swoją potęgę. Cała siła bomby atomowej jest jak płomyk zapałki przy tym, co możemy zobaczyć dziś w nocy...
Wzmianka o "łodzi wiosłowej" przestraszyła LeCata, a niedbałe napomknięcie
- bombie atomowej zwiększyło jeszcze jego niepokój.
Francuz popatrzył w stronę odległego pokładu dziobowego, pod którym znajdował się składzik stolarski. W tym niewielkim pomieszczeniu było ukryte coś, co być może miało jedynie część siły tajfunu, ale jednak świadomość, że może nie opakował tego dość bezpiecznie, że może to coś już miota się pomiędzy grodziami i uderza w nie pod wpływem narastającej burzy, sprawiła, że był cały mokry ze strachu.
A Mackay mówił, że będzie jeszcze gorzej.
- Za dwadzieścia cztery godziny opuścimy ten statek - ostrzegł Mackaya Winter.
- Będziemy tylko przykrym wspomnieniem, radzę więc stłumić w zarodku wszelkie szalone pomysły oporu, jakie mogą przyjść do głowy Bennettowi. Gra nie jest warta świeczki. Żeby ukryć swoje zdumienie, Mackay przeszedł na przód mostka pokonując lekką górkę, ponieważ statek się przechylił. Ińtuicja Wintera była z piekła rodem, jak gdyby domyślał się, co planuje pierwszy oficer, a to było przecież niemożliwe. Zupełnie bez związku z narastającą przed północą fu

riątajfunu, atmosfera na mostku kapitańskim stała się napięta.
Jeszcze raz Mackay spytał Wintera co będzie, kiedy statek dotrze do San Francisco
- jeszcze raz Anglik odmówił mu odpowiedzi. Poza tym wybuchła gwałtowna kłótnia na temat wygaszenia wszystkich świateł - włącznie z pozycyjnymi. - To zbrodnia, powiedział ostro Mackay - płynąć pośrodku oceanu bez świateł pozycyjnych.
Ale Winter nalegał i światła zostały wyłączone. Chodziło o to, że znajdowali się zaledwie kilka mil od kutra amerykańskiej służby meteorologicznej Champlain, który przez dwa tygodnie miał zajmować pozycję w tej części Pacyfiku. Winter nie chciał, żeby nawiązano jakąkolwiek łączność pomiędzy Challengerem a tamtym statkiem. Bez świateł istniała szansa, że przemkną niezauważeni. Chyba że nastąpiłoby zderzenie z kutrem w ciemności...
Burza, kolizja, wybuch, rozbicie statku to cztery niebezpieczeństwa, których obawiają się kapitanowie tankowców. Dwa z nich właśnie zagrażają Challengerowi, pomyślał ponuro Mackay, spoglądając w dół na główny pokład. Dostali się pod działanie tajfunu Tara
i jakby nie było dość, ten szaleniec, Winter zadbał o to, że istniało prawdopodobieństwo kolizji z kutrem Champlain. Bennett miał rację: trzeba dołożyć wszelkich starań i pozbyć się tych gangsterów.
Przy wyłączonych wszystkich światłach, poza oświetlającym koło sterowe i odblaskiem postumentu kompasu, Mackay miał wyjątkowo dobry widok tej nocy. Nieomal zdrętwiał, ale nie poruszył się, kiedy zobaczył tajemniczą postać poruszającą się po pomoście roboczym na głównym pokładzie, około osiemnastu metrów niżej. Natychmiast rozpoznał krępego, barczystego mężczyznę po zwinności, z jaką się poruszał. LeCat. Po co, u diabła, zmierzał w stronę pokładu dziobowego w takich warunkach?
Większość dnia Monk - marynarz, który uciekł z maszynowni, gdy Brady puścił do niej parę - przeżył jakoś niezauważony w dużym schowku ze środkami czystości, znajdującym się na pokładzie poniżej mostka kapitańskiego. Zbliżała się północ, kiedy Monk ostrożnie otworzył drzwi, ale tylko na tyle, by powstała szczelina. Zobaczył przez nią LeCata ginącego w czeluści korytarza.
Monk właśnie skończył spożywać żelazną porcję, jaką zabrał ze sobą do schowka: dwie butelki piwa i kanapki dostarczone przez Wrigleya zanim opuścił maszynownię. Otoczony przez cały zestaw szczotek i wiader, Monk zdrętwiał od wielogodzinnego przebywania w

niewygodnej pozycji. Musi na to zwrócić uwagę, gdyby miało dojść do konfrontacji z LeCatem. Dopływ powietrza nie stanowił problemu; w drzwiach wywiercono otwory wentylacyjne, by w schowku nie powstawał zaduch. Obłędne kołysanie się i zanurzanie statku nie było dla Mońka niczym nowym. Otworzył szerzej drzwi.
Korytarz był pusty, nie licząc znikającej postaci LeCata. Monk zaczekał, aż LeCat zniknie za rogiem, po czym opuścił schowek i zamknął za sobą drzwi. Korytarz przechylał się jakoś surrealistycznie i Monk poruszał się rozstawiając szeroko nogi, by przeciwstawić się kołysaniu. Gdzieś niedaleko przed nim szedł LeCat; Monk zbliżał się do załamania korytarza, zachowując ostrożność.
W prawej dłoni trzymał marszpikiel, najbardziej niebezpieczne narzędzie, jakie można znaleźć na pokładzie statku. Ubrany był tak, by wtopić się w ciemność: w ciepły brudnoszary pulower, szalik podobnego koloru i grube spodnie. Jego buty miały gumowe podeszwy.
W pobliżu załamania korytarza zatrzymał się nasłuchując.
Lampy nad głową świeciły przyćmionym światłem, w którym cienie poruszały się wraz z kołysaniem się statku; wyglądało to tak, jak gdyby za rogiem czaił się skulony człowiek. Statek skrzypiał i drżał pod náporem oceanu. Kiedy skręcił, drzwi zaczęły się zatrzaskiwać. Łup, łup, łup... Trzaskanie drzwi było spowodowane ruchami statku i podmuchem wiatru. Jeszcze kilka sekund wcześniej LeCat z pewnością stał w tym korytarzu, zanim wyszedł na zewnątrz i zszedł po drabinie na główny pokład. Monk był zaskoczony. Dokąd ten człowiek mógł iść w taką noc?
Poważną twarz Mońka rozjaśnił skąpy uśmiech. Nie mogło być lepiej: LeCat zszedł na odkryty pokład. Podczas tajfunu człowiek może zostać zmyty za burtę tylko dlatego, że przebywa w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej porze. Podkradł się do zatrzaskujących się drzwi i wiatr dmuchnął mu przez szparę prosto w twarz. Musiał mocno napierać ramieniem, by je przytrzymać.
Czekał obserwując rozwój tej nocnej wyprawy. Mając wyostrzony wzrok od wpatrywania się w drgania różnych urządzeń, mechanik obserwował niewyraźny kształt poniżej, na głównym pokładzie zalewanym przez wody oceanu. W ciemności dostrzegał raczej ruch, a nie zarys sylwetki Francuza wspinającego się na pomost roboczy. Z jakiegoś szalonego powodu LeCat oddalał się od mostka kapitańskiego, zmierzając w kierunku dalekiego pokładu dziobowego.

Monk mocniej ścisnął marszpikiel. Nie mogło być lepiej.
Zaczekał aż LeCat zniknie w oddali na pomoście roboczym, potem wyszedł, zamknął drzwi i zszedł błyskawicznie po chybocącej się drabinie. Dotarł na pokład, gdy lunęła nań fala, oplątując się wokół kolan. Ignorując to, trzymał się drabiny i patrzył na mostek. Żadnego światła - cały statek pogrążony był w ciemnościach. Nie przejmował się mostkiem kapitańskim - domyślał się, że strażnicy cierpią na chorobę morską i że ostatnią rzeczą, jaką chcieliby robić, byłoby wyglądanie na zewnątrz, na ocean. Nie ma znaczenia, gdyby zobaczył go Mackay. Brak świateł pozycyjnych zaintrygował Mońka, ale pomyślał, że nastąpiła jakaś chwilowa awaria w dopływie prądu. Udał się w kierunku pomostu roboczego. Woda opadła, wylewając się poza reling.
Zamiast iść za LeCatem po pomoście roboczym, Monk poruszał się wzdłuż zewnętrznego brzegu od strony lewej burty, pozostając na dole, na głównym pokładzie
i przytrzymując się dolnego relingu. Było bardzo ciemno. Monk, przemoczony do pasa, skradał się ku przodowi z największą ostrożnością, polegając wyłącznie na ostrości swego wzroku, by wypatrzyć Francuza. Niemożliwe byłoby usłyszenie go -łoskot fal
i wycie wiatru tłumiły wszelkie odgłosy. Niepokoiło Mońka to, że Francuz zniknął. Gdyby czekał wewnątrz jednej z zakrzywionych osłon rozmieszczonych w pewnych odstępach wzdłuż pomostu roboczego, mógł nie być widoczny.
Nadal posuwał się naprzód, wiatr dął mu w twarz, zapierając dech w piersiach. Był zupełnie przemoczony, włosy oblepiły mu czaszkę, ręce i stopy coraz bardziej drętwiały z zimna.
Marszpikiel wsadził za pasek, by móc obiema rękami przytrzymywać się relingu, ponieważ statek kołysał się i zanurzał z coraz większą gwałtownością. Nadal żadnego śladu LeCata. Właśnie minął jedną z osłon, gdy usłyszał za sobą jakiś odgłos. Odwrócił się, przytrzymując jedną ręką relingu, drugą chwytając marszpikiel. Znów usłyszał taki sam dźwięk - łoskot wody uderzającej o falochron, chroniący część rozdzielczą z przodu mostka.
Monk odczekał chwilę, klnąc pod nosem. Serce mu waliło. Nadal był zdecydowany odnaleźć LeCata, nie mając pojęcia, jak wiele to znaczy. Zgłosił się na ochotnika, żeby wykończyć tego Francuza, ale dopiero później - długo po tym, gdy Monk ukrył się w schowku -Bennett rozwinął swój plan. Kluczem do tego planu było wyeliminowanie

LeCata. Monk zbliżył się do pokładu dziobowego. Ten cholerny statek zdawał się wydłużać
- miał przecież prawie 230 metrów długości - i minęły całe wieki, zanim Monk minął ostatnią osłonę. Znalazł się przy pokładzie dziobowym, patrząc jak dziób statku wspina się na potężnego grzywacza, a cały pokład mknie w górę, jakby jakiś potężny podmorski stwór podnosił tankowiec z oceanu. Była to potworna fala. Żołądek Mońka ostrzegł go, iż dolina tej fali będzie piekielnie głęboka. Poszedł dalej, wpatrując się w pokład dziobowy. Wiatr targał jego ciałem, próbując oderwać ręce Mońka od relingu. Piana wymierzyła mu w twarz siarczysty policzek, jak smagnięcie biczem. Cały pokład nadal unosił się, podobnie do jadącej bez przerwy windy. Po tej fali będzie piekielnie wielki spadek... I wtedy zobaczył LeCata.
Monk gapił się oszołomiony. Ten Francuz musiał zupełnie postradać zmysły i pewnie nie wiedział niczego o morzu. Właśnie wyłonił się z luku prowadzącego w dół, do składziku stolarskiego, i sterczał na pokładzie dziobowym.
Pacyfik zrobi robotę za Mońka.
LeCat był odważny - jeżeli odwaga polega na robieniu czegoś, co pioruńsko cię przeraża. Czasami jedna obawa tłumi inną - bo chociaż LeCata przerażał tajfun, to jeszcze bardziej lękał się tego, że urządzenie nuklearne się obluzuje i będzie uderzać o grodzie.
Dotarł do pokładu dziobowego i wspiął się po drabinie. Był przemoknięty, a wiatr wył mu w uszach, grożąc, że oderwie go od drabiny i wyrzuci za burtę. Tu, na pokładzie dziobowym, był jeszcze bardziej wystawiony na jego działanie niż na dole, na pokładzie głównym. Otwarcie luku wymagało użycia dużej siły, wybrał więc moment, kiedy tankowiec wychodził z doliny fali, wspinając się po szklistej ścianie kolejnej. Otwarł luk i zszedł do środka po drabinie, zamykając pokrywę luku nad głową. Jego nozdrza wypełnił zapach drewnianych strużyn. Zapalił swoją potężną latarkę, Znajdował się wewnątrz sporego roboczego pomieszczenia. Stół stolarski był przymocowany do pokładu, strużyny zostały porządnie upakowane w drewnianej skrzyni, a łódź Zodiac przywiązana liną do kółka przy grodzi, obok silnika przyczepnego. Duże walizki, zawierające kombinezony do nurkowania i butle z powietrzem, były zaklinowane pomiędzy stołem a grodzią, związane razem i przywiązane do nóg stołu przymocowanych do podłoża. Pod stertą drewna znajdował się przedmiot podobny do walizki - urządzenie nuklearne.

Nic się tu nie poruszyło, wszystko było na miejscu.
Odetchnął z ulgą. Zasłużył na te swoje dwieście tysięcy dolarów. Czas wracać na pokład, na mostek kapitański. Poczucie braku stabilności było najgorsze na dziobie tankowca, wręcz przerażające. LeCat wspiął się z powrotem po drabinie i wyszedł na pokład.
Smagany przez oślepiające podmuchy wiatru i pianę fal LeCat zamknął luk i chwycił się relingu przy prawej burcie. Statek wznosił się stromo, unosząc coraz bardziej w górę pod tak ostrym kątem, że Francuz z trudem mógł utrzymać się na nogach. Jego morskie doświadczenie ostrzegło go, że to może być naprawdę bardzo wielka fala. Podniósł głowę i ujrzał za dziobem stromą ścianę wody - jedną wielką, drżącą masę wody, która zdawała się za chwilę runąć na niego. LeCat zamarł.
Właśnie to ujrzał Monk, kiedy spojrzał w górę: LeCat trzymał się relingu przy prawej burcie i wbijał wzrok przed siebie, odwrócony plecami do głównego pokładu. Monk zawahał się, ale zobaczył, że ma wyjątkową okazję i wspiął się po drabinie na pokład dziobowy.
Właśnie wtedy statek znalazł się na grzbiecie potężnej fali. LeCat nie usłyszał niczego. Zareagował instynktownie, ponieważ dotarło do niego, żejest zupełnie niezabezpieczony przed atakiem.
Monk niemal już uderzył na niego, uniósł w górę marszpikiel, kiedy LeCat się odwrócił. Jego prawa ręka odskoczyła, a palce zesztywniały.
Lewą trzymał się relingu. Monk się uchylił, też jedną ręką trzymał się relingu. Paznokcie zesztywniałych palców LeCata przejechały po oczach Mońka, oślepiając go. Francuz sięgnął po marszpikiel, którym zamierzył się Monk. Wykręcając mu rękę w nadgarstku, Francuz przycisnął Mońka do relingu. Marszpikiel wypadł za burtę, kiedy tankowiec wzniósł się na grzbiet fali, i runął w przepaść.
Każdy z nich trzymał się jedną ręką relingu, wiedząc, że jeśli go puści, to wypadnie za burtę. LeCat uwolnił zwichnięty nadgarstek Mońka i uniósł swoją szponiastą dłoń w górę, chwytając Mońka za gardło, ściskając i popychając marynarza do tyłu, podczas gdy statek ciągle opadał w dół. Monk próbował swą zwichniętą ręką wymacać oczy LeCata, sunął więc nią w górę po jego potężnej piersi. LeCat pochylił głowę i z wściekłością ugryzł Mońka w rękę. Gdy ten zaczął się krztusić, LeCat puścił jego gardło, schwycił za ubranie i uniósł marynarza w górę.
Dźwignąwszy go z pokładu, przełożył przez reling i pchnął mocno. Już było po Monku.

LeCat zdał sobie sprawę, w jaki sposób został oszukany.
Wróciwszy pomostem roboczym po zabiciu Mońka, poszedł do swojej kajuty, przebrał w suche ubranie, po czym udał się prosto do maszynowni i spędził w niej trochę czasu. Dokładnie przyjrzał się każdemu z osobna i na nowo przeliczył członków załogi. Tym razem Forley nie nabrał go na swą sztuczkę z szybkim przebraniem się; LeCat rozpoznał marynarza z nagim torsem, w zatłuszczonej czapce i okularach w rogowej oprawce.
Udał, że tego nie zauważył. - Sześć... siedem - policzył. - Ku wielkiej uldze Bradyego opuścił przedział maszynowy.
LeCat nie miał zamiaru donosić Winterowi o tym, co się stało; nie chciał mu nawet mówić, że jeden z zakładników zaginął. LeCat gwałtownie przeciwstawiał się metodom pilnowania więźniów stosowanym przez Wintera: jego zdaniem terror był najlepszą metodą panowania nad ludźmi, zachowywania nad nimi przewagi. A przypadek dał mu właśnie do ręki taką broń. Od tej pory brytyjska załoga będzie się zastanawiać, co się stało z tamtym marynarzem; niepewność targa ludzkie nerwy. Miał zamiar poszarpać ich nerwy na strzępy, tak by stali się ulegli, kiedy przejmie dowodzenie.
W zamkniętej na klucz kajucie - Winter trzymał klucz w kieszeni - Betty Cordell wcale nie spała. Leżała na koi; zupełnie ubrana, w spodniach i swetrze, słuchając złowieszczego skrzypienia drewnianych konstrukcji, przerażającego huczenia oceanu, drżenia grodzi i nieustannego wycia wiatru za okienkiem, który jakby czasem chciał rozbić szybę.
Wcześniej przekazała swój ostatni raport Mackayowi, podając dokładne rozmieszczenie wszystkich strażników na pokładzie. Odniosła wrażenie, że sprawdzali jej informacje z tymi, których dostarczał Wrigley, i że z jakiegoś powodu te informacje są dla nich cenne.
Podziękowali jej, ale nic nie powiedzieli.
Spojrzała na zegarek. Była 4.00 rano. Tajfun zdawał się nasilać -jej kajuta przechylała się pod niewyobrażalnymi kątami, podczas gdy statek nadal utrzymywał się na powierzchni. Hałas wiatru i oceanu był straszliwy, niemal ogłuszający, jakby znajdowała się na zewnątrz, na głównym pokładzie. Pocieszała ją myśl, że być może zdarzało się to często, że stojący na mostku Mackay uważa to niemal za normalkę w tej części Pacyfiku w styczniu...
Myliła się. Stojący na mostku Mackay uważał, że to wszystko jest

bardzo nienormalne. Poruszali się w pobliżu oka tego tajfunu, ale nie dotarli do niego - i Mackay zaczął się lękać o przetrwanie olbrzymiego tankowca.
o 4.00 rano była zmiana wachty i Bennett, który przedłużył swoją północną służbę, został ponownie pilnie wezwany na mostek, zwalniając drugiego oficera, Briana Walsha. Mackay podjął decyzję bez precedensu. - Przepraszam, że znowu stawiam pana na nogi, ale sytuacja daje mi wiele do myślenia.
Sytuacja daje mi wiele do myślenia... Dla Mackaya było to równoznaczne z zarządzeniem stanu atomowego. Bennett, który polegał na ocenie swego mistrza, również zaczął się zastanawiać, czy przeżyją tę noc.
Widok z okna mostka kapitańskiego był przerażający. Challenger kołysał się w świecie przemocy, był w nieustannym ruchu. Nie można było znieść tego tarzania się statku wśród dwudziestopięcio metrowych fal - to wysokość dziewięciopiętrowego
budynku - od ich grzbietów po doliny. Nie było księżyca ani nieba, tylko jedna wielka masa kipiącego oceanu, którego fale zwalały się na statek ze wszystkich stron. Mackay stał blisko okna, kiedy uderzyła fala.
Siła wiatru wynosiła teraz blisko 175 kilometrów na godzinę, czyli była taka, o jakiej Winter napisał wcześniej w notatce o wyimaginowanym tajfunie. Proroctwo Wintera potwierdziło się z nawiązką.
Przeraźliwy świst wiatru był teraz tak dziki, że zagłuszył huk i warkot pracującego silnika, mrożąc krew w żyłach strażników, którzy spoglądali na siebie z dwóch stron mostka. Nagle przeraźliwy gwizd ustał, a rozległ się inny dźwięk - straszliwy łomot potężnej fali uderzającej o lewą burtę.
Ogromny słup wody i piany uniósł się ponad mostkiem od lewej burty, po czym cała ta biała masa runęła, przesłaniając widoczność.
Statek aż zatrząsł się od tego uderzenia. Przez zmęczony umysł Mackaya przewinęła się myśl, że dostali się pomiędzy dwa potężne i przeciwstawne układy fal. Nastąpił kolejny łomot drugiej fali, która pojawiła się o wiele za szybko po poprzedniej. Rytm fal
zanikł, ocean rozszalał się, siła wiatru wzrosła do ponad 200 kilometrów na godzinę.
Mostek kapitański zanurzał się i przewracał, jak budynek zawalający się piętro po piętrze.
Podoficer zawiadujący sterownią nieomal wypuścił z rąk koło

sterowe, a krępy strażnik przy lewej burcie puścił reling i w jednej chwili został przerzucony przez mostek, pokrywając cały pokład wymiocinami i wypuszczając z dłoni pistolet. Drugi strażnik podniósł broń, która poleciała ślizgiem do jego nóg. Rozsadzający głowę łoskot, jak wystrzał z broni palnej, rozległ się na mostku kapitańskim.
Ale nie był to trzask pękających kości głowy strażnika. Kapitan wpatrywał się w zygzakowate pęknięcie, jakie zniekształciło okno, za którego zbrojoną szybą cofała się masa wody. Napierający z prędkością pocisku ocean dosięgnął szyby jak strzał. Twarz Walsha, który nadal pozostawał na mostku, by być w pobliżu swojego kapitana, wykrzywił grymas.
- Mój Boże, panie kapitanie - wysapał Walsh. - Nigdy nie widziałem czegoś podobnego...
- Niech się pan uspokoi, panie Walsh, to będzie niezła noc...
Winter przyszedł na mostek, kiedy Mackay to mówił. Krępy strażnik stanął jakoś na nogi i drżącą dłonią sięgnął po pistolet. - Ja go wezmę - powiedział oschle Winter - ty idź się umyć... - Zaczekał, aż przechylający się pokład ustawił się na chwilę w poziomie i podszedł do Mackaya, stając obok niego przy oknie.
Nie spodziewano się Wintera na mostku z tej prostej przyczyny, że nikt nie wiedział, gdzie się go należy spodziewać.
Niezmordowany wędrował po całym mostku kapitańskim, od jednego poziomu do drugiego - sprawdzając, sprawdzając i zawsze zaskakując ludzi swoim przybyciem
- zarówno terrorystów, jak brytyjską załogę.
Celowo nie przestrzegał żadnej rutyny, ponieważ to wyprowadzało ich z równowagi, a przewidywał, że właśnie tej tajfunowej nocy może zaistnieć największe niebezpieczeństwo. Gdyby załoga - dowodzona przez Bennetta oczywiście - próbowała się uwolnić, zrobiłaby to w momencie największego nasilenia sztormu, kiedy strażnicy na całym statku cierpieli na morską chorobę.
- Jak wygląda sytuacja? - spytał Winter.
- Będzie jeszcze gorzej - odparł monotonnym głosem Mackay. Prędkość wiatru wzrosła do prawie 210 kilometrów na godzinę - to było bez precedensu. Winter uczepił się relingu, obserwując Mackaya. Wiedział, że ten człowiek jest prawdziwym barometrem wskazującym skalę zagrożenia. Około osiemnastu metrów niżej rozlewało się morze - główny pokład zniknął pod falami oceanu, znalazł się pod powierzchnią wody. Pomost roboczy, falochron, rury i zawory -

wszystko to zniknęło. Tylko dwa żurawie masztowe i odległy fokmaszt widoczne były ponad rozszalałą powierzchnią oceanu.
Wyglądało jak gdyby statek poszedł pod wodę i został tylko mostek,, kapitański, unoszący się jak pozostałość po zatopionym statku.
Jeszcze przez dwie godziny Tara poniewierała Challengerem, a potem zawróciła, kierując się na południowy zachód, na rozległe przestrzenie Pacyfiku.
Gdy o 7.12 nastał świt, był to czas ulgi, a goryczy dla Bennetta: ulgi - że przeżyli, a goryczy - że stracili swą szansę. Monk już więcej się nie pokazał, po tym gdy Mackay widział go podążającego po głównym pokładzie za LeCatem. Francuski terrorysta pojawił się później ponownie w maszynowni, gdzie dokonał niespodziewanego sprawdzenia stanu załogi. Bennett był pewien, że już nie będzie drugiej takiej szansy.
Jeśli nie udało im się to w chwili największego nasilenia tajfunu, kiedy połowa strażników cierpiała na chorobę morską, to było mało prawdopodobne, że dadzą sobie radę w świetle dziennym. A Challenger, mimo iż miał spore opóźnienie i został zepchnięty przez tajfun z kursu, znajdował się teraz nieco więcej niż dwanaście godzin żeglugi od San Francisco.
Winter wygrał tę grę.
Challenger (t), brytyjski, Nikisiki, Harper Tankships, Oleum: - Dzisiaj przypływa.
Wzmianka zamieszczona w "San Francisco Chronicie" z 21 stycznia.
Ten pomysł przyszedł Sullivanowi do głowy, gdy wracał ze śniadania w kafejce przy Geary Street. Jechał do góry przeszkloną windą w hotelu St. Francis. Była ona jakby wyciągiem szybowym na zewnątrz budynku. Poniżej, bez żadnej osłony, był widoczny Union Square. Rozważając swój pomysł, prawie nie zwrócił uwagi na ten widok.
Pośpieszył do pokoju, zdjął płaszcz i rzucił go na łóżko. Miał zamiar zrobić coś, przed czym przestrzegał Harpera: miał zamiar skontaktować się z Challengerem, dopóki jeszcze znajdował się na wodach oceanu. To może być pouczające doświadczenie - jaką uzyska odpowiedź, jeżeli w ogóle jakąkolwiek uzyska.
Kilka minut zajęło mu pośpieszne sformułowanie tej wiadomości tak, by nie mogła wyrządzić żadnej szkody, jeśli na pokładzie tankowca dzieje się coś naprawdę złego. Wiadomości, która musi przejść przez ręce zastępczego radiooperatora Kinnairda. Gdy już zredagował całość ku swej satysfakcji, podniósł słuchawkę i porozmawiał z

telefonistką, która przekazywała wiadomości na statki znajdujące się na oceanie.
Wzmianka była krótka, ale wymagała odpowiedzi - jeśli wszystko przebiegało normalnie na pokładzie Challengera.
Przypuszcza się, że przemytnicy dostali się na pokład w Zatoce Cooka. Prawdopodobnie narkotyki. Proszę natychmiast potwierdzić, czy w Nikisiki dołączył w tym rejsie na statek nowy personel. Na natychmiastową odpowiedź oczekuje Sullivan, hotel St. Francis, San Francisco.
Powtarzam, oczekuje się natychmiastowej odpowiedzi.
Sullivan.
Gdy Challenger znajdował się o dwanaście godzin żeglugi od San Francisco, było to niemal dokładnie w rok po tym, gdy kraje Zatoki Perskiej - akcja kierowana przez szejka Gamala Tafaka - zredukowały dostawy ropy naftowej na Zachód o pięćdziesiąt procent. Rosja nie zareagowała w ogóle na to wydarzenie.
Rząd radziecki, który w przeszłości nakłaniał Arabów do użycia ich naftowej broni, był teraz przerażony bezmiarem potęgi arabskiej.
Zdał sobie nagle sprawę, że zrodził potwora. Złota Małpa paradowała teraz w całej okazałości po powierzchni ziemi i mogła zniszczyć potężną machinę przemysłową Zachodu, od której pomocy Rosja była uzależniona, by rozwijać własną gospodarkę.
Tak więc rząd radziecki zamortyzował wstrząs, dostrzegł potencjalne niebezpieczeństwo tej sytuacji i czekał. Gdy szejk Gamal Tafak nadal był przekonany, że ma wszystkie atuty w ręku, na północ od arabskich zagłębi naftowych rosyjski kolos majaczył niczym gigantyczny cień - cierpliwy, uważny, wyczekujący.
Zbliżając się coraz bardziej do San Francisco, Challenger wydostał się z trudem z objęć tajfunu Tara. Rankiem we wtorek 21 stycznia, gdy słońce wyjrzało zza grubej zasłony chmur, brytyjski tankowiec przedstawiał ponury widok.
Jego komin był zgięty pod dziwacznym kątem, chociaż nadal spełniał swoją funkcję. Żuraw masztowy przy lewej burcie był powykręcany, tworząc niesamowity kształt. Pokrywy luków zostały w nocy zerwane. Trzy okienka w lewej burcie z szybami grubości 2,5 centymetra zostały wbite do środka. Okna na mostku kapitańskim, którego trzask słyszał Mackay, już nie było - wepchnęła je do wewnątrz kolejna fala i tylko cudem ludzie przebywający w tym czasie na mostku nie zostali poranieni przez rozpryskujące się szkło.

Konstrukcja mostka była wykoślawiona. Challenger miał wygląd wraka, ale nadal płynął do Kalifornii z prędkością siedemnastu węzłów.
Winter spoglądał w górę na tę ruinę z głównego pokładu i odczuwał cichą satysfakcję. Przy tym stanie kolosa nie było żadnych wątpliwości, że władze portowe w San Francisco wydadzą zgodę na natychmiastowe wejście Challengera do Bay. Było to odczucie, którym - zachowując ostrożność - nie podzielił się z kapitanem Mackayem. Spojrzał w górę, ponieważ LeCat zawołał do niego ze sponiewieranego mostka kapitańskiego. - Właśnie nadeszła wiadomość z lądu...
Winter szybko wszedł na mostek i LeCat podał mu kartkę, którą właśnie odebrał Kinnaird. Czytając ją z obojętnym wyrazem twarzy, Winter przyglądał się krytycznie Mackayowi. Kapitan miał twarz szarą ze zmęczenia. Przez całą noc stał na mostku, kierując swym statkiem podczas najsilniejszego tajfunu w tym rejonie świata od trzydziestu lat.
- Słyszał pan kiedyś o człowieku nazwiskiem Sullivan? - spytał Winter.
Mackay spojrzał na Wintera z równie obojętnym wyrazem twarzy.
Jedyny Sullivan, jaki przychodził mu na myśl, to Larry Sullivan, człowiek pracujący dla firmy Lloyds, którego kiedyś zaprosił na pokład Challengera. Coś mu mówiło, żeby był ostrożny.
- Tak - odparł.
- Jest związany z Harper Tankships?
- Tak.
- Czym się zajmuje? I niech pan nie odpowiada monosylabami...
Mackay wpadł w furię. - Do cholery z wami! - wrzasnął.
-Przeprowadziłem mój statek przez istne piekło tajfunu. Zrobiłem to, mając was, bydlaków, na pokładzie. Staliście z tymi swoimi pukawkami w dłoniach i przeszkadzaliście mi jak jasna cholera, kiedy całą uwagę musiałem koncentrować na tym, by ocalić mój statek...
- Spokojnie...
- Wyskakujcie, cholera, za burtę! Mam was już dosyć, łajdaki.
Jeżeli jeszcze raz tak się do mnie odezwiesz na moim mostku, to wydam rozkaz ludziom w maszynowni, by zatrzymali statek i wtedy możecie robić co chcecie...
- Zamkniesz się... zaczął LeCat unosząc pistolet.
- Nie, ty się zamkniesz! - wrzeszczał Mackay. - Możecie wystrzelać wszystkich na pokładzie i co to wam da? Będziecie dryfować w kółko

po tym parszywym Pacyfiku, nie mogąc ani o milę zbliżyć się do San Francisco...
Winter popchnął w dół ramię LeCata z pistoletem i kazał mu się wynosić z mostka. Mackay był na granicy wytrzymałości i wykrzykiwał wszystkie swoje pretensje. - Zastrzelcie nas wszystkich...
- Winter nie zamierzał nikogo zabijać. - Powstrzymam się od komentarza -powiedział cicho. - Myślę, że za chwilę powinien pan opuścić mostek
i przespać się parę godzin. Ale najpierw - czy mógłby mi pan powiedzieć, kim jest ten Sullivan?
- Jednym z wyższych urzędników tej firmy.
Mackay, chociaż zmęczony, miał czas się zastanowić, kiedy wybuchnął wściekłością na Wintera. Żeby mógł się dowiedzieć, co było w tej wiadomości! Wyczuwał, że może to być szansą zawiadomienia lądu o groźnej sytuacji na pokładzie jego statku. Gdyby tylko mógł rzucić okiem na notatkę, zanim odpowie na pytanie Wintera!
- Czy Sullivan dużo podróżuje? - spytał Winter.
- Większość ludzi w tej branży to robi - od czasu do czasu...
- Więc nie zaskoczyłoby pana, gdyby pan usłyszał, że Sullivan znajduje się w tej chwili w San Francisco?
- Nieszczególnie - odparł Mackay, choć tak naprawdę był zdumiony.
Winter podał mu zanotowaną wiadomość.
- Co pan o tym sądzi?
Mackay nie śpieszył się z przyswojeniem sobie jej treści; Bennett przeczytał ją ponad jego ramieniem.
Po przeczytaniu notatki wyraz twarzy Mackaya nie zmienił się, ale nie mógł się skoncentrować. Przemyt? Nowy personel? Czy to możliwe, że Sullivan, który pojawił się w Kalifornii, ma jakieś podejrzenia, że dzieje się coś złego? Mackay czuł, jakby się przedzierał przez pole minowe.
- I co? - spytał Winter.
- Co znaczy co? - warknął Mackay.
- Dlaczego on nie wie, że Kinnaird jest zastępczym radiooperatorem? Dlaczego pyta
o to, czy na pokład wzięto jakiś nowy personel? Czyżby nie był w kontakcie ze swoim biurem? Nie powiedział pan Harperowi o Kinnairdzie?
- Wysłałem do Londynu wiadomość o Kinnairdzie jeszcze zanim wypłynęliśmy - odparł krótko Mackay.

- To dlaczego Sullivan o tym nie wie? Nie jest w ciągłym kontakcie ze swoim biurem?
- Skąd ja mam to wiedzieć? Sullivan dużo wędruje po świecie...
- A co z tą wzmianką o narkotykach? - spytał Winter.
- Nie mam pojęcia - chyba że chodzi o przemyt. Na pokładzie takiego statku jest wiele miejsc, w których można ukryć niedużą paczkę...
- Coś takiego zdarzyło się już kiedyś na Challengerze? - spytał od niechcenia Winter. Nie dał po sobie poznać, że było to podchwytliwe pytanie. Jeżeli Mackay powie, że tak, musi spytać jeszcze jakiegoś członka załogi, żeby sprawdzić, czy kapitan mówi prawdę.
- Nie w czasie, kiedy ja kierowałem tym statkiem - odparł Mackay.
- Chyba nie wyślę żadnej odpowiedzi - powiedział Winter.
- A róbcie, do cholery, co chcecie - Mackay wyprostował zmęczone plecy. - Panie Bennett, proszę przejąć dowodzenie na mostku - idę się przespać parę godzin. Proszę mnie zawołać, jeżeli będą jakiekolwiek kłopoty - dodał.
- Niech pan zaczeka chwilę - zirytował się Winter.
Miał dylemat. Jeżeli nie odpowietemu Sullivanowi, to na lądzie mogąpomyśleć, że coś jest nie tak. A jednak był podejrzliwy. Wydawało się dziwnym zbiegiem okoliczności, że w tym konkretnym rejsie ma miejsce jakiś nowy problem. A zresztą!
Mackay zdawał się nie przejmować tym, czy on wyśle odpowiedź, czy nie. Takie właśnie wrażenie starał się wywrzeć kapitan. A jeśli nie odpowie na tak usilną prośbę...
- Zmieniłem zdanie - powiedział nagle. - Odpowiemy...
Wypowiadając te słowa, uważnie obserwował obu oficerów. Mackay, znudzony, wyglądał za okno na mostku. Bennett wyjął papierosa i zapalił. - Sam sformułuję odpowiedź - kontynuował Winter. - Napiszę, że przeszukuje się statek i że poinformujecie o rezultatach tych poszukiwań, gdy zadokujemy w Oleum...
Mackayowi, który miał nadzieję, że sam będzie mógł sformułować odpowiedź, udało się ukryć gorzkie rozczarowanie. Zaczął schodzić z mostka.
- Chwileczkę - zawołał Winter. - Sullivan to dość popularne nazwisko. Chcę, żeby ta wiadomość dotarła do niego do hotelu St. Francis. Jak on ma na imię?
- Ephraim - odpowiedział szybko Mackay. - Ephraim Sullivan.
Wiadomość podpisana "Mackay" dotarła do Sullivana do hotelu St. Francis o 11.00 rano we wtorek - jedenaście godzin przed

planowanym dokowaniem Challengera w Oleum.
Wiadomość otrzymano i zrozumiano. Zarządzam generalne przeszukanie statku. Podam rezultaty po dotarciu do Oleum.
Sullivan wpatrywał się w tę wiadomość, którą otrzymał telefonicznie i pośpiesznie zanotował. Gapił się na adres. Ephraim Sullivan, hotel St. Francis... Wstał, czując zawrót głowy, jakby wróciły objawy po podróży samolotem. Miałem, cholera, rację, mówił sobie w duchu, cholerną rację od samego Bordeaux, a teraz mam zamiar coś z tym zrobić.
Po długich perswazjach został połączony z sekretarką burmistrza.
Sullivan szybko zdał sobie sprawę z tego, że ta kobieta świetnie się nadaje do ochrony burmistrza przed głupimi telefonami. On mówił bez przerwy, a ona była jak mur berliński. Wziął głęboki wdech i poszedł na całość.
- Próbuję go ostrzec o niebezpieczeństwie zagrażającym całemu San Francisco, bliskim niebezpieczeństwie - już od dziesiątej dziś wieczorem...
Burmistrz Aldo Peretti był czterdziestoletnim przystojnym mężczyzną. Uśmiechał się chętnie i często. Ciemnowłosy, o gładkiej skórze, wywindował się na szczeble kariery startując "od mniej niż zera" - jak lubił określać. Było to bliskie prawdy; jego ojciec zajmował się zbieraniem owoców w Salinas. Z powodu takiego pochodzenia, Peretti interesował się wszystkimi wytworami nowoczesnej techniki, wszystkim, co mogłoby zastąpić siłę ludzkich mięśni.
Szczególnie interesował się komputerami.
- Powtórzmy to, panie Sullivan - rzekł zza swojego biurka z miłym uśmiechem na twarzy. - Skontaktował się pan z ludźmi z Centrum Morskiego w Hadze i oni byli pewni, że raporty są prawidłowe, że gdyby coś się poplątało w obwodach Ephraima, to powstałby galimatias, a nie czytelny raport?
- Zgadza się...
- Właśnie tak rozumiem pracę komputerów-zainstalujemy je w tym roku w kolejnych kilku oddziałach w mieście. Szczerze mówiąc, jestem przekonany, że tym, co powinniście sprawdzić, jest Ephraim i użycie jego nazwy w wiadomości, jaką dostał pan ze statku. To niemal sugeruje, że ktoś - być może kapitan - próbuje nam " powiedzieć, że dzieje się coś złego. - Znów się uśmiechnął. - Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli sam skontaktuję się z Centrum Morskim w Hadze? Zanim rozpętam piekło, lepiej się upewnię, że mam pod

sobąjakąś wyrzutnię...
W San Francisco była 1.00 po południu, dziewięć godzin przed planowanym dokowaniem Challengera w Oleum.
Gdy zmaltretowany, zniszczony, nieszczęsny Challenger płynął spokoj nie z prędkością siedemnastu węzłów w kierunku San Francisco - zachował jednak pełną sprawność silników - na jego pokładzie powstało spore napięcie. Było to dziwne, bo można by się spodziewać, że morale załogi wzrośnie, gdyż zbliżali się do celu, który miał położyć kres udręce. Działo się jednak zupełnie inaczej.
Na brytyjską załogę i oficerów fatalny wpływ miało nie wyjaśnione zniknięcie Mońka, mechanika z maszynowni. Brady, starszy mechanik z przedziału maszynowego, próbował podtrzymywać na duchu swoich ludzi, sugerując, że Monk się gdzieś ukrywa.
Trzeba by czegoś więcej niż jednego z tych żabojadzich terrorystów, żeby wykończyć takiego człowieka jak Monk - pocieszał Lanky Millera. - Po prostu nie miał okazji dorwać LeCata i gdzieś się ukrył...
Mackay i Bennett przyjęli bardziej realistyczny pogląd na tę sprawę, gdy omawiali ją w kabinie nawigacyjnej jeszcze przed świtem. - Myślę, że ten facet go dorwał - powiedział Bennett. O LeCacie, którego najbardziej się obawiali, mówili "ten facet".
- Myślę, że chyba ma pan rację - odparł Mackay. - Nie rozumiem natomiast, dlaczego Winter w ogóle o tym nie wspomniał.
- I nie bardzo możemy go o to zapytać. Jak byśmy mieli to zrobić? - Panie Winter, wysłaliśmy jednego z naszych ludzi, żeby zabił pana zastępcę, i ten człowiek przepadł. Wie pan coś o tym?
- To szarpie ludziom nerwy. Zna pan marynarzy - jeśli człowiek ginie na morzu, powstają zabobony, ale jeśli człowiek znika, to dość, by ludzie zaczęli dostawać świra...
A więc, jak na ironię, metoda LeCata zadziałała. Wcześniej Winter panował nad załogą będąc stanowczym, ale nie brutalnym. W gruncie rzeczy z nawiązką uzasadnił pogląd szejka Gamala Tafaka, że trzeba Anglika, by zapanować nad brytyjską załogą. Teraz, bez niczyjej wiedzy - a zwłaszcza Wintera - zadziałała też "broń terroru" LeCata, rujnując morale załogi będącej zaledwie o kilka godzin żeglugi od San Francisco.
LeCat obserwował co się dzieje spod półprzymkniętych, jak zwykle, powiek i nie dawał po sobie poznać, że cokolwiek dostrzega. Wkrótce Winter opuści statek i on przejmie dowodzenie; tymczasem załoga powoli traciła zimną krew.

Rozdrażnienie na pokładzie nie było tylko udziałem więźniów; także strażnicy, dawni terroryści z OAS, wykazywali oznaki narastającego napięcia, gdy coraz bardziej zbliżali się do amerykańskiego lądu. Byli jeszcze srożsi, bardziej skłonni do irytacji i gróźb bronią.
Także Winter, przy całym swoim chłodzie i obojętności, nie był wolny od napięć. Nie tylko fakt, że dopływali do Kalifornii tak go rozdrażniał; im bardziej przybliżał się moment kulminacyjny, tym stawał się bardziej lodowaty. Nie wyjaśnione wydarzenia zaalarmowały jego szósty zmysł, mówiąc, że coś się dzieje. Znów nadeszła wiadomość z lądu, która dotarła o 2.00 po południu.
Należy pilnie potwierdzić, że wszystko jest w porządku na pokładzie statku. Proszę
o wyczerpującą odpowiedź. Niektóre z waszych wiadomości nie odpowiadają zwykłym praktykom. OHara. Zarząd portu w San Francisco.
Winter natychmiast pokazał tę wiadomość Mackayowi, który właśnie wrócił na mostek po czterech godzinach snu. - Chcę wiedzieć, co to znaczy - domagał się odpowiedzi Winter. - Zgodzi się pan z tym, że zazwyczaj nie otrzymuje pan takich wiadomości? Co wzbudziło podejrzenia OHary? - Wy, jak sądzę - odparł Mackay prosto z mostu.
- Co to znaczy?
- Przejęliście przecież kontrolę nad moim statkiem, wysyłaliście też wszystkie raporty radiowe. Gdzieś, jak się wydaje, popełniliście błąd.
- Więc jaką odpowiedź pan by wysłał?
- Nie będę dyktował odpowiedzi - powiedział zdecydowanie Mackay.
Odwrócił się plecami do Wintera i wyglądał przez rozbite okno na mostku kapitańskim. Betty Cordell stała obok niego, zwracając uwagę na wszystko, co się dzieje. Ponieważ na mostku zawsze było dwóch brytyjskich oficerów, spędzała tam teraz większość czasu. Na statku panowała atmosfera coraz większego napięcia i to ją niepokoiło.
Ocean był niewiarygodnie spokojny - popielata nieruchoma tafla pod szarym, spokojnym niebem. Tara pędziła teraz na południe, czyniąc spustoszenie na szlakach żeglugowych do Australii, a tymczasem Challenger dopływał od południowego zachodu do San Francisco. Trasa ta - normalnie tankowiec przybyłby z północnego zachodu - została wybrana pod naciskiem Wintera, który zaplanował nieoczekiwane pojawienie się u wejścia do kanału Golden Gate.
- Musicie sami wymyślić odpowiedź - powtórzył Mackay, kiedy zapytano go po raz drugi.

Winter dał spokój i postanowił nie zawracać sobie głowy Mackayem. Będąc kilka godzin żeglugi od celu, zamierzał bardzo uważać, by nie wywołać żadnych kłopotów. Sam zredagował odpowiedź i zaniósł ją do Kinnairda.
- Czy to znaczy, że oni coś wiedzą? - spytał nerwowo Kinnaird po przeczytaniu tej wiadomości. - Jesteśmy w kłopotach?
- Wyślij tę wiadomość - polecił mu Winter. - A ty myślałeś, że ta podróż do San Francisco to będzie spacerek?
Zamknął kabinę radiooperatora na klucz i podał go uzbrojonemu strażnikowi stojącemu na zewnątrz. Kinnaird zaczął nadawać.
Nie wszystkojestw porządku na moim statku. Między godzinąl.OOa 5.00 przeszliśmy przez oko tajfunu Tara. Konstrukcja mostka kapitańskiego bardzo uszkodzona, ale statek może płynąć. Maszynownia nie uszkodzona. Płyniemy kursem na Oleum po spokojnym oceanie z prędkością siedemnastu węzłów. Nie rozumiem waszej wzmianki o moich wiadomościach, które były nadawane jak zwykle, w regularnych odstępach.
Planowany termin przybycia do Oleum nadal godzina 10.00 wieczorem. Mackay.
Winter, który ucinał sobie krótkie drzemki w nocy, kiedy tajfun ustał, stał się teraz bardziej aktywny niż kiedykolwiek. Pojawiał się niespodziewanie w różnych częściach statku. Zauważył rozdrażnienie strażników, ale należało się tego spodziewać - zbliżali się przecież do kalifornijskiego wybrzeża, więc to zrozumiałe, że się bali, a poza tym większość z nich dochodziła do siebie po chorobie morskiej.
Zdumiewał go natomiast posępny nastrój brytyjskiej załogi. Mógł zrozumieć wrogość i spodziewał się jej, ale było coś zagadkowego w ich spojrzeniach. Gdy zszedł do maszynowni, zauważył, że panuje tam nastrój, którego nie obejmował swoim rozumem. Sprawdził czy któryś z mężczyzn nie został zraniony przez LeCata. Zagadnął też samego LeCata.
- Czy ty im groziłeś? - spytał, gdy zostali z Francuzem sami w kabinie.
- Na tym statku powstał jakiś nastrój, którego nie rozumiem...
- O co chodzi? - zapytał LeCat.
- To uczucie morderczej złości. Jeśli nie będziemy ostrożni, może dojść do wybuchu akurat w najmniej odpowiednim momencie...
- Uprzedzę strażników...
- Ja ich uprzedzę. Ty lepiej wracaj na mostek.
Chociaż Winter był bardzo zdenerwowany, to pamiętał, by wysłać

strażnika, który miał eskortować Betty Cordell w drodze z mostka do jej kajuty; teraz, kiedy na mostku przebywał LeCat, lepiej było usunąć tę dziennikarkę z jego oczu.
o trzeciej po południu miało miejsce kolejne wydarzenie - tankowiec znajdował się wtedy zaledwie czterdzieści mil od kalifornijskiego wybrzeża - coś znacznie bardziej niepokojącego niż nadejście kolejnej wiadomości.
Helikopter Straży Przybrzeżnej Stanów Zjednoczonych nadleciał dokładnie o godzinie
3.- po południu, zbliżając się do tankowca tak nisko nad oceanem, że tylko człowiek
- bystrych oczach LeCata mógł go tak szybko dostrzec. Zadzwonił do Wintera na mostek. Winter zareagował natychmiast, każąc przyprowadzić trzech marynarzy z kajuty kapitana.
- Wyjdziecie na główny pokład - powiedział do nich. - Weźmiecie środki czystości, które przyniósł strażnik, i udacie, że pracujecie.
Jeżeli w jakikolwiek sposób spróbujecie wzywać pomocy tego helikoptera, to trzech ludzi z kajuty kapitana zostanie zastrzelonych.
Ich życie jest w waszych rękach...
Mackay stojący z przodu mostka miał kwaśną minę. Ten Winter był wcielonym diabłem, Pomyślał o wszystkim. Do tej chwili opuszczony pokład wyglądał jakoś tak goło. Ale do czasu przybycia helikoptera już będzie wyglądał, jakby nie działo się tu nic
złego. - Żeby wszyscy mieli jasność tego, co się stanie - powiedział ponuro Winter, kiedy trzej marynarze zostali sprowadzeni z mostka. -Pan Mackay zostanie tam, gdzie stoi. Pan, Bennett, podejdzie do przodu i stanie obok niego. Gdy helikopter przeleci obok nas, to do niego pomachacie. Ja będę poza zasięgiem ich wzroku, z tyłu mostka,
- będę was obserwował...
Zmordowany Mackay rozpaczliwie próbował wymyślić jakiś sposób, by zawiadomić pilota helikoptera, co się tu naprawdę dzieje, ale ten problem przerastał możliwości kapitana. Maszyna była pierwszym przedstawicielem zewnętrznego świata od chwili pojawienia się terrorystów na pokładzie. Nerwy odmawiały mu posłuszeństwa. Winterowi także. Stał poza zasięgiem wzroku pilota, mając u boku LeCata. Niezależnie od tego, jak blisko podleciałby helikopter, nikt by z niego nie dostrzegł uzbrojonych strażników.
Zmierzał w kierunku dziobu statku. Przez otwarte okno słyszeli teraz - oprócz pracy silników tankowca - cichszy, szybszy warkot helikoptera.

Nie było wątpliwości: maszyna nadlatywała, by się im przyjrzeć. Może nawet zechce wylądować w miejscu, gdzie przed dwoma dniami Winter posadził sikorskyego. Nadlatujący helikopter wyglądał zupełnie tak samo.
Betty Cordell otworzyła okienko w kajucie. Jej szczególnie wyostrzony słuch - dzieciństwo spędziła na pustyni - odkrył maszynę, gdy była jeszcze daleko od statku. Betty pomyślała, że wraca helikopter terrorystów. Wystawiła głowę i zobaczyła błyszczący punkcik tuż nad wodą, ale zbliżał się ze wschodu, od strony lądu, Postanowiła zaryzykować.
Chwyciła z łazienki biały ręcznik i mazakiem wypisała na nim trzy wielkie litery. SOS. Wróciła do okienka i czekała. Maszyna była teraz bliżej - poznawała to po warkocie silnika. Żeby przeleciała od lewej burty, po tej stronie statku! Warkot silnika zmienił się w ostre, bębniące staccato. Znów wychyliła się za okno, ale nadal nie widziała helikoptera. Oblizała spierzchnięte usta, ścisnęła ręcznik w dłoniach i czekała.
Powietrze wpadające przez okienko zwiastowało ciepło; tankowiec znajdował się już znacznie bardziej na południu. Warkot silnika nadlatującego helikoptera przekształcił się w ryk, gdy drzwi za plecami Betty Cordell otworzyły się i do kajuty wpadł uzbrojony strażnik.
Przebiegł koło niej do okienka, zamknął je z trzaskiem, zasłonił zasłonkę i wyszarpnął ręcznik z dłoni dziewczyny. - Ty siadać na łóżko - powiedział łamaną angielszczyzną. Usiadła na brzegu koi i splotła przed sobą roztrzęsione dłonie.
- Ty niegrzeczna - powiedział, spoglądając na SOS na ręczniku. - LeCatowi nie będzie się to podobać...
- Powiedz Winterowi - powiedziała znużonym głosem. - Jemu też się to nie spodoba...
Marynarze, którzy nie pełnili wachty, leżeli w kajucie kapitana twarzą w dół. Trzech strażników stało przy ścianach, mierząc do nich z pistoletów. Okienka były szczelnie zasłonięte. To samo działo się w kuchni - Wrigley leżał na podłodze obok kucharza Batesa. Gdy Winter zobaczył zbliżający się helikopter, wydał rozkaz, żeby więźniowie powyżej poziomu maszynowni znajdowali się w pozycji uniemożliwiającej im dawanie sygnałów maszynie Straży Przybrzeżnej.
Sikorsky dotarł do dziobu, przelatując w odległości 15 metrów nad

wodą od lewej burty tankowca. - Machajcie! - krzyknął Winter z tyłu mostka. - Sternik zaraz dostanie kulę w plecy! - Bennett pomachał bez entuzjazmu i wtedy Mackay coś zauważył: pilot w hełmie z kopuły kabiny śmigłowca nie odwzajemnił tego gestu. Było to cholernie dziwne.
Maszyna minęła rufę i odleciała. Winter obserwował ją przez tylne okno. - Czy piloci nie mają zwyczaju odwzajemniać machania? - spytał. - Nie widziałem, żeby to zrobił...
- To się zdarza - skłamał Mackay. - Jak kończą patrol, myślą tylko o powrocie do domu...
- On wraca! - krzyknął LeCat.
Pół mili za rufą tankowca sikorsky zawrócił; potem pękata mała maszyna skierowała się znów wprost na tankowiec. Gdy się zbliżyła, Winter dał nowy rozkaz. - Nie machajcie tym razem, tylko go obserwujcie. Czy kiedykolwiek komunikują się z wami przez radio, gdy są tak blisko?
- Nieczęsto - obojętnie odrzekł Mackay. Był zupełnie zdezorientowany. Maszyna znów ich minęła, tym razem od prawej burty, nadal zaledwie 15 metrów nad wodą
- poniżej poziomu pokładu mostka kapitańskiego. Marynarz na głównym pokładzie polewał go wodą z węża, dwóch innych szorowało szczotkami. To był ich pomysł, by użyć węża do polewania. Jeden z nich wyraził właśnie obawę: - Nawet jeżeli helikopter wyląduje i będzie miał na pokładzie piechotę morską, to te typy zdążą zastrzelić naszych chłopaków, zanim oni ich dorwą...
Mackay, który obserwował tę scenę, nigdy nie widział cięższej pracujących marynarzy. I chyba wiedział dlaczego.
Chwilę później na mostek wpadł pobladły Kinnaird. Podał Winterowi komunikat. " - Postanowiłem, że przyniosę to tutaj... - Bo się bałeś, oszacował Winter, musiałeś zobaczyć, co się dzieje.
- Poprosili o pozwolenie na lądowanie...
Mackay obrócił się z posępną, lecz czujną miną. Ciekawe, jak sobie z tym poradzisz, łajdaku?
Winter znieruchomiał tylko na kilka sekund, obserwując sikorskyego kołującego w oddali, milę przed tankowcem, który płynął w jego kierunku. Zauważył wyraz twarzy Mackaya, uśmiechnął się niewyraźnie i polecił Kinnairdowi: - Przekaż odmowę lądowania.
Powiedz, że miejsce lądowania helikoptera zostało nadwerężone przez tajfun. Zawiadom też, że mamy dwóch rannych marynarzy na

pokładzie. Gdy tylko dotrzemy do Oleum, będą musieli być przewiezieni na badania do szpitala.
Sikorsky przeleciał nad nimi raz jeszcze, tym razem na wysokości około 30 metrów nad tankowcem, po czym zawrócił na wschód, znikając z pola widzenia.
- Skąd on mógł być? - spytał Winter., - Przypuszczam, że z jakiegoś kutra służb meteorologicznych -skłamał Mackay. - Skąd, u diabła, miałbym to wiedzieć?
A jednak wiedział. Było absolutnie niemożliwe, żeby jakikolwiek kuter służb meteorologicznych przebywał tak blisko wybrzeża Kalifornii. Poza tym maszyna odleciała przecież na wschód.
Helikopter wracał.
o 4.30 po południu we wtorek, pół godziny przed zapadnięciem zmroku, Winter wychylił się i obserwował błyszczący punkcik zbliżający się z południa od prawej burty
- sikorsky wracał z trawlera Pecheur.
Podczas największego nasilenia tajfunu Kinnaird wymieniał z Pecheurem częste raporty dotyczące ich położenia, obie strony wiedziały więc, gdzie się znajduje drugi statek. A ponieważ Pecheur płynął w nocy ponad sto mil na południe od tankowca, udało mu się uciec tajfunowi. Gdyby trawler miał przejść tylko czwartą część tego, co dotknęło tankowiec, to bez wątpienia sikorsky zostałby spłukany z jego pokładu i utonąłby w oceanie.
Winter celowo opóźniał wezwanie sikorskyego. Śmigłowiec znajdujący się na pokładzie Challengera to raczej niecodzienne wydarzenie, gdyby dostrzegł go jakiś samolot lub helikopter - chociażby ta maszyna z amerykańskiej Straży Przybrzeżnej, krążąca nad nimi trzykrotnie. Wintera nadal niepokoił ten incydent, podobnie jak ostatni komunikat, który nadszedł z zarządu portu w San Francisco.
Odwrócił się, ponieważ na mostek wkroczyła Betty Cordell.
- Kiedy dotrzemy do San Francisco? - spytała Mackaya.
- Będziemy przy kalifornijskim wybrzeżu za niecałą godzinę - odparł z kamienną twarzą. - Zgodnie z rozkładem mamy zadokować w Oleum o dziesiątej wieczorem. Ale niech pani na to nie liczy - ostrzegł kapitan.
- Bo co?
- Niech jego pani o to zapyta...
- Co z nami będzie? - spytała chłodno Wintera.

- Prawdopodobnie najdalej za czterdzieści osiem godzin znajdzie się pani na brzegu, w San Francisco, mając gotowy "reportaż pani życia" - rzucił urągliwie.
- Po co wam śmigłowiec?
- To część operacji...
Niebo zmieniło się w ciągu ostatnich kilku minut i gruba warstwa chmur nadciągała z północy. Tankowiec nadal płynął wprost do San Francisco. Winter zszedł z mostka, by powitać załogę helikoptera po wylądowaniu. Tajemniczy z natury, nie był skłonny odpowiadać na ostatnie pytanie Betty Cordell. Za niecałą godzinę miał odlecieć z tego tankowca, pozostawiając całe dowództwo w rękach LeCata.
- Zatrzymujemy go tam, gdzie się teraz znajduje - około dziesięciu mil od brzegu - oświadczył burmistrz Peretti. - Dajemy polecenie, by został tam, gdzie jest, i wysyłamy statek z piechotą morską na pokładzie. Zgoda, panowie?
Stół w biurze burmistrza był duży i wystarczyło przy nim miejsca dla wszystkich. Siedzący na prawo od Perettiego Sullivan rozglądał się wokół i nie mógł wyjść z podziwu. Co za zmiana w ciągu zaledwie kilku godzin! Zebrali się tu przedstawiciele
niemal wszystkich instytucji stojących na straży prawa. Był tu Karpis z FBI. Obok niego siedział Vince Bolan, komisarz policji, za nim pułkownik Liam Cassidy z Piechoty Morskiej, a dalej Garfield ze Straży Przybrzeżnej i OHara z zarządu portu. Funkcji jeszcze kilku innych Sullivan nie zapamiętał.
Helikopter Straży Przybrzeżnej, który trzy razy odbył lot nad Challengerem, wylądował. Filmy zrobione z pokładu śmigłowca pośpiesznie przekazano do laboratorium. Technicy natychmiast je wywołali. To właśnie powiększone odbitki zdjęć wykonanych techniką podczerwieni, która umożliwiała przeniknięcie zakamarków mostka tankowca, sprowadziły tych ludzi do biura burmistrza.
Pośpieszyli tu z całego miasta i nawet z Presidio. Na odbitkach widniały postacie ludzi z bronią. Stały w tyle mostka kapitańskiego, z pistoletami wycelowanymi w oficerów na przodzie.
Sullivan podążał tropem pogłoski od Bordeaux do Hamburga, następnie dotarł do Londynu, ale tam też nie natrafił na nic konkretnego. Podążył dalej - na Alaskę, a potem do Seattle i San Francisco.
- Jeżeli tylko mógłby nam pan dostarczyć jakiś dowód... powiedział niedawno Sul- livanowi agent FBI w hotelu St. Francis.

Dowody właśnie leżały rozrzucone na stole.
Trzech mężczyzn z bronią rysowało się niezwykle wyraźnie, choć oblicze wysokiego, szczupłego było zamazane. Czy to Winter?
-zachodził w głowę Sullivan. Twarz była zbyt niewyraźna, by porównywać ze zdjęciami, jakie Paul Hahnemann zrobił w Hamburgu swemu angielskiemu gościowi, Arnoldowi Rossowi. Pistolety trzymane przez mężczyzn były tak dobrze widoczne, że pułkownik Cassidy skojarzył, iż są to czeskie skorpiony. - To tylko przypuszczenie - dodał - ale, do diabła, to są na pewno pistolety...
Sformułowano komunikat. Kazano w nim Challengerowi zatrzymać się i pozostać na miejscu. Wiadomość kończyła się złowieszczą wzmianką: Zbliżanie się do kalifornijskiego wybrzeża będzie poczytane za wrogie działanie.
Nad Pacyfikiem zapadał zmierzch, gdy Challenger płynął w kierunku wybrzeża Kalifornii z prędkością siedemnastu węzłów. Otrzymano komunikat z lądu i Winter pokazał go Mackayowi. Po przeczytaniu wiadomości kapitan pozornie nie okazał specjalnego zainteresowania.
- Co teraz zrobicie? Przejrzeli waszą grę...
- Oczekiwałem tego wcześniej czy później - odrzekł chłodno Winter. - To wielki wyczyn, że dotarliśmy niezauważeni aż pod sam nos Ameryki. Proszę utrzymywać obecny kurs i prędkość, kapitanie Mackay...
- Jesteście szaleni. Niech to dotrze do pana, Winter. Cała ta farsa już się skończyła. Lada moment spodziewam się amerykańskiego niszczyciela przy dziobie mojego statku, od prawej burty...
- To jest absolutnie niemożliwe. Jak powiedziałem, poszło nam lepiej, niż przypuszczałem. Naprawdę sądzi pan, że nie przewidziałem takiej ewentualności?
Mackay zatrwożył się. Z tego dziwnego człowieka biła wprost niespotykana pewność siebie już od momentu pojawienia się na pokładzie. Betty Cordell, stojąc na przodzie mostka, domyśliła się treści komunikatu z ich komentarza. Obserwowała chłodny wyraz twarzy Wintera, żeby być niemym świadkiem jego druzgocącej klęski.
Nie mogła pojąć opanowania, obojętnej powściągliwości tego człowieka. Można by pomyśleć, że uważa, iż jego plan zadziałał...
Winter dał znak LeCatowi i wyszli na boczny pomost, gdzie mogli zostać sami. Zaczął pośpiesznie pisać odpowiedź dla Kinnairda, który z pobladłą twarzą czekał na mostku. - To powinno wystarczyć -powiedział Winter, pokazując odpowiedź LeCatowi.

- I żadnego podmorskiego śledzenia - zaproponował LeCat.
- Mogą spróbować nas obserwować z łodzi podwodnej...
Winter dokończył, podał odpowiedź LeCatowi, żeby zaniósł ją Kinnairdowi. Potem spojrzał ponad głównym pokładem na światełko oczekującego nań helikoptera.
Wiadomość powinna być jasna i znacząca dla ludzi na brzegu.
Przed dwoma dniami z bronią w ręku przejęliśmy kontrolę nad Challengerem. Zmierzamy do San Francisco Bay z prędkością siedemnastu węzłów. Członkowie brytyjskiej załogi są zakładnikami. Żądamy okupu w wysokości dwudziestu milionów dolarów za ich bezpieczne uwolnienie.
W przypadku jakiejkolwiek próby dotarcia do statku, dwudziestu ośmiu zakładników zostanie natychmiast rozstrzelanych. Żaden statek nawodny, podwodny czy powietrzny nie może się zbliżyć do tego tankowca. Brak współpracy będzie poczytany za wrogie działanie. "The Weathermen".
Przerażony Mackay opuścił mostek kapitański i co sił w nogach śpieszył na główny pokład. Biegł po pomoście roboczym, a uzbrojony strażnik krzycząc próbował go zatrzymać. Mackay wprawdzie nie chciał dostać kulki w plecy, ale jeszcze bardziej obawiał się tego, że Winter opuści statek. Zobaczył że Winter, stojąc tuż przy helikopterze, odwraca się i wydaje głośno rozkaz po francusku, skierowany do strażnika biegnącego za Mackayem. Najwidoczniej terrorysta celował do niego z pistoletu! Czy Winter krzyknął, by nie strzelał? Mackay nie przerywał biegu.
Winter czekał na niego na głównym pokładzie pod opuszczonymi łopatami śmigła helikoptera. Ściemniało się. Mglisty zmierzch zapowiadający rychłe nastanie nocy zapadał wokół tankowca. Ktoś zapalił światła na fokmaszcie - śmigłowiec najwidoczniej za chwilę będzie startować.
Mackay, zdziwiony tą nagłą iluminacją, zdyszany dotarł do maszyny.
- Czy to oznacza, że pan opuszcza statek?
- To, co pan zrobił, było cholernie głupie - mógł pan zostać zastrzelony - warknął Winter.
- Chyba pan nie opuszcza statku? - dalej niepokoił się Mackay.
Dziwna była ta relacja ofiara - terrorysta. Żadna wrogość nie brzmiała w głosie kapitana, jedynie przestrach i trwoga, jakby tracił odchodzącego na zawsze przyjaciela. Winter wyczuł ten odcień głosu kapitana i uśmiechnął się. - A już myślałem, że będzie pan

zadowolony, gdy będę odjeżdżał, a nawet będzie się pan modlić, by moja maszyna spadła do oceanu...
- Niech pan mu powie, żeby się stąd zmył - Mackay odwrócił się i spojrzał na strażnika. Winter wydał polecenie i strażnik oddalił się po pomoście roboczym. - Chyba pan nas nie zostawi z LeCatem? - domagał się odpowiedzi Mackay. - Nie z tym bydlakiem...
- Musimy wypełnić pewien plan. Częścią jego jest to, że opuszczam statek...
- Jest pan Brytyjczykiem - nalegał Mackay. - Okay, przejął pan mój statek, czego żaden kapitan nie wybaczy. Ale jest pan Anglikiem, a ja mam brytyjską załogę, którą muszę osłaniać. Jeżeli pan zostanie, to - gdyby sprawy ułożyły się dla pana niedobrze
- obiecuję solennie, że wtedy zabiorę głos i przemówię na pana korzyść.
Wydawało się, że Winter się waha - po raz pierwszy Mackay widział cień niezdecydowania na tej ascetycznej twarzy. Mackay przekonywał, gorączkowo uzasadniając swoją prośbę.
- Jest tu przecież amerykańska dziewczyna, wie pan, że w jej kajucie był już jeden incydent. Ostrzegam pana, Winter, że jeśli pan opuści ten statek, dojdzie do gwałtu, może nawet wielu...
- LeCat będzie musiał sobie to odpuścić. Zbyt wielego czeka w niedalekiej przyszłości. Odbyłem z nim rozmowę i wiem, że ma świadomość, iż potrzebuje współpracy pana
i pańskiej załogi.
- Nadal zmierzamy do Bay?
- Tak.
Winter przyglądał się wymizerowanej twarzy Mackaya.
- Proszę się nie gnębić, wszystko będzie w porządku. Są przewidziane negocjacje z władzami, a to zapewni bezpieczne uwolnienie pana załogi...
- Jest pan bardzo zarozumiały.
- Jestem pewnym siebie facetem - Winter wyszczerzył zęby.
-Zawsze nim byłem. - Odwrócił się, bo usłyszał odgłos szurania butów. LeCat stał blisko nosa helikoptera, z ręki zwisał mu pistolet.
Zszedł po cichu na dół z pokładu dziobowego, skradając się do maszyny, i teraz stał, będąc niemym świadkiem tej sceny.
Mackay był zdruzgotany. Czy Francuz usłyszał całą rozmowę? Winter wspiął się do śmigłowca i zamknął drzwi. To trzaśnięcie zabrzmiało jak wyrok śmierci. LeCat odesłał Mackaya z powrotem na mostek

kapitański w eskorcie uzbrojonego strażnika. Światła na fokmaszcie zostały wygaszone, kiedy tylko maszyna Wintera opuściła pokład. Było już prawie ciemno, gdy LeCat schodził samotnie do składziku stolarskiego, oświetlając latarką stertę walizek wepchniętych za stół. Kilka minut później był cały spocony, wchodząc po drabinie z dziewięćdziesięcio kilogramową walizką. Trzymał ją za wzmocnioną rączkę i transportował na główny pokład.

Otworzył pokrywę jednego z pustych zbiorników, których nie napełniono w Nikisiki, zszedł ostrożnie na dół po prawie pionowej drabince w głąb zbiornika. Odpoczął chwilę na stalowej platformie, po czym dalej schodził po następnej drabinie. Walizka zsunęła się i uderzyła o drabinę. Głuche echo zadudniło po ogromnym metalowym grobowcu. LeCat pocił się straszliwie, ale schodził dalej. Nieomal upuścił swój ciężar z około sześciu metrów na podłogę zbiornika.

Jako ekspert od różnych mechanizmów wiedział, że nic złego nie może się stać, że ten piekielny przedmiot nie może wybuchnąć, bo nie został uruchomiony mechanizm zegarowy. Miniaturowy odbiornik przy walizce był bezużyteczny, dopóki nie dotarły do niego sygnały radiowe. Nadal jednak okropnie się bał. Dotarł do dna, uniósł walizkę i przymocował ją magnetycznymi zaciskami do kadłuba statku.

Spędził jeszcze trochę czasu we wnętrzu zbiornika, przygotowując pułapkę zabezpieczającąprzed uniesieniem walizki. Elementy tej pułapki zostawiłjużtu wcześniej. Po powrocie na główny pokład zamknął pokrywę, spojrzał w stronę mostka i stwierdził, że nikt nie mógł go widzieć w tych ciemnościach.

Tylko jeden człowiek na pokładzie wiedział o jego tajemnicy - Andre Dupont, człowiek, który pomógł sprowadzić LeCatowi fizyka nuklearnego, Antoinea, do Kanady; człowiek, który pilnował Antoinea, gdy pracował w domu przy Dusquesne Street w Vancouver.

Urządzenie nuklearne znajdowało się we właściwym miejscu, gotowe, by uruchomić je w odpowiednim momencie.

Część trzecia

Wydarzenia w San Francisco

***

Nikt nie zwraca uwagi na listonosza.

Mieszkańcy kalifornijskiego wybrzeża są przyzwyczajeni do widoku helikoptera amerykańskiej Straży Przybrzeżnej. Maszyny te wykonują codziennie przybrzeżne patrole, często latając nisko nad plażami.

Komu więc pojawienie się sikorskyego, którym leciał Winter, mogłoby wydawać się dziwne?

Zapadł już zmierzch, gdy zbliżył się do wybrzeża w pobliżu Carmel - by - the - Sea. Na mapie rozpostartej na kolanach odnalazł Point Lobos i skręcił na północ. W dole jaśniały światła Carmel, Pacific Grove na półwyspie Monterey i miasta Monterey. Nagle wszystkie te światła zgasły. Kolejna przerwa w dopływie prądu. Naftowa broń szejka Gamala Tafaka dawała się mocno we znaki.

Helikopter wykonywał dalej swój lot ponad ciemnym, cichym oceanem, aż dziwne obłoki nadciągnęły nad oceaniczne wody. Mgła.

Wzeszedł księżyc i oświetlał przemieszczające się szare kłęby gęstej mgły, która sprawiała, że Winter czuł się jakby leciał odrzutowcem na wysokości ponad 9000 metrów nad ziemią, z prędkością ponad 800 kilometrów na godzinę z Heathrow do Anchorage. Było to zaledwie przed sześcioma dniami, a Winterowi wydawało się, jakby to było całe życie. Zobaczył przed sobą nagły błysk, który przebił się przez mgłę.

Milion dolarów... Czas przejść na emeryturę, wycofać się jak kierowca rajdowy, zanim świat błyśnie w twarz oślepiającym światłem wybuchu i otoczy kłębami czarnego dymu. Spojrzał na mapę.

Ten błysk to pewnie latarnia morska Mile Rocks, u wejścia do Golden Gate.

Minął latarnię po prawej stronie, a księżyc oświetlał sunącą powoli mgłę, która krążyła jak para w kotle i przesłaniała wejście do kanału.

Wkrótce Challenger będzie się poruszał w tym kotle. Na kilka sekund mgła w oddali uniosła się i wyłonił się spod niej szereg prawie nieruchomych świateł, po czym opary opadły znowu i widok ruchu ulicznego na moście Golden Gate zniknął.

Skręcił w kierunku lądu, oddalając się od oceanu i lecąc nad Stinson Beach nadal ponad trzysta metrów nad ziemią. Prawie stumetrowa mgła rozciągnęła się pod nim. Nad hrabstwem Marin -na północ od San Francisco - była jakby rzadsza. Leciał teraz jak

mógł najwolniej i patrzył w dół w ciemności nocy, czegoś poszukując.

Okrążył okolice na północ od Novato i wtedy dostrzegł światła - czerwone i białe błyski na przemian. Wytracił wysokość i światła ukazały się wśród niewyraźnych, ciemnych drzew i pokrytych zaroślami stoków. Walgren, Amerykanin, który śledził radiooperatora Swana w Anchorage nie zawiódł.
Zniżając się pionowo nad stokiem, zobaczył światła na trzech owalnych polankach
i jakiś mały cień, który był prawdopodobnie zaparkowanym samochodem. Maszyna wylądowała z hukiem na twardej ziemi, w gęstwinie leśnego runa. Silnik wyłączono, śmigła zwolniły obroty, by w końcu się zatrzymać. Była 6.30 wieczorem.
Winter otworzył drzwi i zeskoczył na stok. - Witam w Kalifornii -powiedział Walgren.
Winter przybył do Stanów Zjednoczonych.
Ukryli helikopter wśród drzew. Na wypadek gdyby odkryto maszynę, w kieszeni przy siedzeniu Winter umieścił rachunek z hotelu w Tijuanie i paczkę meksykańskich papierosów. Kazał Walgrenowi zdobyć niektóre z tych przedmiotów w czasie pobytu Amerykanina w San Francisco w listopadzie ubiegłego roku. Pomiędzy Meksykiem a Kalifornią kwitł przemyt, jeśli więc FBI zaczęłaby węszyć, wysnuto by wniosek, że helikopter przybył z Meksyku z transportem narkotyków.
Walgren, który zdobył wcześniej rachunek z hotelu i papierosy, rozsypał także odrobinę heroiny na podłodze kabiny pilota. Specjalny odkurzacz Brygady Narkotykowej wessałby te drobiny; zbadano by je w ich laboratorium. Winter zaplanował te nadzwyczajne środki ostrożności, ale równie dobrze helikopter mógłby stać tu nie odkryty przez wiele dni.
Za namową Wintera Walgren zawiózł go najpierw do Zatoki Richardsona, gdzie za kępką drzew na przylądku spoczywał na wodzie hydroplan przygotowany do ucieczki terrorystów. Mieli opuścić statek pod osłoną ciemności lub mgły, mknąc przez zatokę nadmuchiwanąłodziąZodiac z przyczepnym silnikiem. Winter celowo wybrał taki środek lokomocji. Była wykonana z gumy, więc niewidoczna na ekranie radaru.
Istniała taka ewentualność, że podczas pobytu tankowca w Zatoce San Francisco portowa policja mogłaby ustawić na brzegu radary.
Gdy nadejdzie pora, terroryści przesiądą się z Zodiaca na hydroplan, którym polecą albo na trawler Pecheur, albo do Kanady. Nawet gdyby zauważono hydroplan w tym ustronnym miejscu, Winter nie Sądził,

by zwrócił czyjąś uwagę. Kilka kilometrów od Zatoki Richardsona, w pobliżu miasta Marin, znajdowała się baza hydroplanów. Na pokładzie Challengera przygotowano też kombinezony do nurkowania, by w razie nagłego wypadku terroryści mogli w nich wyskoczyć z Zodiaca niedaleko od brzegu. Anglik miał nadzieję, że do tego nie dojdzie - prądy w zatoce mogły pochłonąć najsilniejszego pływaka.
- Teraz zawieź mnie do San Francisco - zdecydował Winter, gdy zszedł na brzeg po obejrzeniu hydroplanu. Niepokoił się głównie o zbiorniki paliwa, ale były napełnione.
- Nie masz żadnych kłopotów ze zdobywaniem benzyny do tego samochodu? - spytał Walgrena, gdy dojeżdżali do mostu Golden Gate.
- Same kłopoty - odparł Amerykanin. - Kosztuje mnie to dwa i pół dolara za galon, oczywiście na czarnym rynku. Mafia gwarantuje najwyższą jakość...
Winter kazał mu się zatrzymać na drugim, odległym końcu mostu Golden Gate; a sam wrócił chodnikiem. Oglądał most, pod którego ogromnym przęsłem za kilka godzin miał przepłynąć Challenger.
Pochylił się nad balustradą i spoglądał w dół na mgłę. Autostrada na moście zdawała się pływać w tej mgle, podobnie jak ponad dwustumetrowej wysokości wieże mostu, które w świetle księżyca wyglądały jak świątynie na chińskich malowidłach, oczywiście na czarnym rynku. Mafia Zgodnie z życzeniem, Walgren podrzucił Wintera do miejskiego terminalu autobusowego Trans - Bay. Winter wziął torbę, którą Walgren podał mu z tylnego siedzenia, pożegnał się i wszedł do budynku terminalu. Po dziesięciu minutach wybiegł, złapał taksówkę, która właśnie przywiozła pasażerów, i kazał się zawieźć do hotelu Clift przy Geary Street. Środki ostrożności... Winter nigdy nie przestawał ich podejmować.
Portierzy hotelowi słyną z dobrej pamięci i wygląda bardziej normalnie, gdy gość hotelowy przyjeżdża taksówką. Dał kierowcy zwyczajowe piętnaście procent napiwku, minął ciemnoskórego portiera i podążył za boyem hotelowym przez hall główny do recepcji. Trzymając się swoich zwyczajów, zatrzymał się w jednym z najdroższych hoteli w San Francisco.
- Zarezerwowano tu dla mnie pokój na tydzień. Stanley Grant z Australii...
Miał zamiar zostać tylko trzy dni, ale zapłacić za cały tydzień. Po trzech dniach planował powiedzieć, że wezwano go pilnie do Los

Angeles. Gdyby policja sprawdzała rejestr hotelowy, to rezerwacja zrobiona na cały tydzień świadczyłaby o braku pośpiechu,
- czymś, co zupełnie nie jest podejrzane. Podążył za boyem hotelowym do windy
1- pojechał na dziesiąte piętro. Gdy był już w swoim pokoju, sam się zdziwił. Był w Kalifornii...
Brak współpracy będzie poczytany za wrogie działanie. "The Weathermen".
Burmistrz Aldo Peretti miał poważną minę, gdy patrzył na ludzi zebranych przy stole w jego biurze. I znów Sullivan siedział po jego prawej stronie, dalej znajdowali się ci sami mężczyźni, którzy brali udział w poprzednim zebraniu. Nikt się nie uśmiechał. Od ponad godziny sprzeczali się na temat groźnie brzmiącej wiadomości, która nadeszła z Challengera. Była 6.30 wieczorem.
- Nie wierzę w to - powiedział Sullivan. - To znaczy w tę wzmiankę o "The Weathermen". To nie jest gang z amerykańskiego podziemia. Mają jakiś powód, by ukrywać przed nami swą prawdziwą tożsamość.
- W świecie przyczyn i skutków każdy zbieg okoliczności jest podejrzany - kontynuował. - Śledziłem Wintera do Hamburga.
Moje wiarygodne źródło we Francji twierdzi, że Winter zadaje się z LeCatem, który zwerbował grupę byłych terrorystów z OAS. Potem śledziłem Wintera aż na Alasce, tuż przed ponownym wypłynięciem Challengera. Myślę, że ta grupa francuskich terrorystów znajduje się na jego pokładzie i że są finansowani przez Arabów. Tak przynajmniej twierdzi mój informator z Francji...
- To wygląda na zwykłe żądanie okupu - zauważył Peretti. - W każdym razie w grę wchodzi życie dwudziestu ośmiu brytyjskich marynarzy i jednej amerykańskiej dziewczyny. Nie zamierzam narażać życia tych niewinnych ludzi.
- Mam nadzieję, że nie pozwolimy, żeby ten statek z terrorystami dostał się do Bay
- zaprotestował pułkownik Cassidy.
- W Bay moglibyśmy prowadzić z nimi negocjacje - powiedział stanowczo Peretti. - Gdy tylko przepłyną pod mostem Golden Gate, znajdą się w niekorzystnej sytuacji. Nie będą mogli wyjść znów z Bay, jeśli im na to nie pozwolimy - będą w pułapce...
- Nie podoba mi się to - warknął Cassidy.
- Mnie też nie za bardzo - zgodził się Karpis z FBI.
- A mnie się nie podoba ryzykowanie życia dwudziestu dziewięciu

ludzi - z naciskiem odparł Peretti.
Aldo Peretti był bardzo wielkodusznym człowiekiem; jego altruizm niewątpliwie zrobił wrażenie na licznym elektoracie podczas ostatniego głosowania, bo wybrano go na burmistrza San Francisco. Stanowił przyjemną odmianę w stosunku do brutalnego,
bezwzględnego gubernatora Kalifornii, Alexa MacGowana. Niedawny skandal w Grove Park, dotyczący korupcji na wysokim szczeblu, wbił ostatni gwóźdź do trumny politycznej kariery Alexa MacGowana.
Walka na argumenty przy stole trwała jeszcze godzinę: wpuścić czy nie wpuszczać statku z terrorystami do Bay. Gdyby poddać to pod głosowanie, myślał Peretti, to głosy rozłożyłyby się po połowie -humanitarni przeciw reszcie, jak sam to określił. Zamierzał już podjąć decyzję, gdy zadzwonił telefon. Posłuchał, zadał kilka pytań i odłożył słuchawkę z grobową miną.
- Nie rozumiem, co się dzieje, ale z tego się zrobiła sprawa polityczna. Z Challengera nadszedł najnowszy komunikat. Z jakiegoś powodu, który także nie jest mi znany, ludzie na pokładzie statku chcą osiągnąć jak największy rozgłos. Przesłali wiadomość przez radio do United Press. Za kilka godzin cały świat będzie o tym wiedział.
Teraz żądają dwustu milionów dolarów - tak, pułkowniku Cassidy: dwustu milionów, które mają zostać wpłacone na konto banku w Bejrucie.
Wiadomość podpisał Ruch Wolnej Palestyny. Sullivan miał rację -mamy do czynienia z Arabami, być może zdalnie sterowanym przez same Złote Małpy.
o 10.00 wieczorem Winter siedział przed kolorowym telewizorem w hotelu Clift ze szklaneczką szkockiej w dłoni. Czytał gazetę, nie słuchając thrillera o FBI ani go nie oglądając. Jego obecne zadanie polegało na przebywaniu w mieście w charakterze "konia trojańskiego", sprawdzaniu reakcji władz na żądania terrorystów i ewentualnym ostrzeżeniu LeCata, gdyby Winter doszedł do wniosku, że potrzebna jest zmiana taktyki.
Walgren zorganizował urządzenie do utrzymywania łączności z tankowcem; przenośny nadajnik umieszczono w ciężarówce, która była ukryta w pobliskim garażu. Gdyby Winter zechciał skontaktować się z LeCatem, musiałby tylko zadzwonić do Walgrena pod numer, który Amerykanin mu podał. Ciężarówka pojechałaby wtedy do odległej części hrabstwa Marin przez most Golden Gate, Winter nadałby swoje instrukcje, a ciężarówka by wróciła, zanim zostałaby

namierzona.
Wieści pojawiły się o 10.05 wieczorem. Terroryści uprowadzili brytyjski tankowiec przewożący ropę niedaleko San Francisco... żądają dwustu milionów dolarów za życie dwudziestu dziewięciu zakładników znajdujących się na pokładzie, w tym jednej amerykańskiej dziewczyny...
Winter napił się jeszcze trochę szkockiej i czekał na komentarz.
LeCat działał dokładnie, zgodnie z wcześniej obmyślanym planem -wyprowadzić Amerykanów z równowagi serią alarmujących i żenujących wiadomości. Prawdziwe żądanie miało się pojawić później, po dokonaniu kolejnego wybiegu, po tym gdy Amerykanie wpuszczą tankowiec do Bay...
Była 10.00 wieczorem w San Francisco, gdy Winter usłyszał te wieści.
W odległym o 4500 kilometrów Baalbeku wstawał nowy dzień. Była 7.00 rano. Szejk Gamal Tafak zapalił kolejnego amerykańskiego papierosa, wyłączył radio i podszedł do okratowanego okna, z którego roztaczał się widok na góry Liban. W styczniu ich szczyty pokrywał śnieg.
Wieści, których wysłuchał, mocno go poruszyły: Amerykanie nadal prowadzili dyskusje: wpuścić czy nie wpuszczać tankowca do Bay. Był to czas na następną zagrywkę LeCata. Powinien wyczuć odpowiednią porę, żeby uderzyć, zanim podejmą ostateczną decyzję. Mrużył oczy przypominając sobie, jak Ahmed Riad - który wkrótce wyląduje w San Francisco - osobiście udzielał wskazówek LeCatowi.
- Nie wpuszczą was od razu. Na pewno pojawi się jakieś opóźnienie, bo będą się zastanawiać. Ale to sentymentalny naród, ci Amerykanie. Wybierz więc odpowiedni moment i zagraj mocną kartą...
Tafak zapomniał już zupełnie, że to Winter przygotował tę mocną kartę: wypadek, który niejako zmusiłby Amerykanów, by wpuścili statek przez wąski przesmyk Golden Gate. Wyjmując papierosa z ust, Tafak spojrzał na swoją dłoń. Była wilgotna od potu. Wyjdzie i zaczerpnie świeżego porannego powietrza. Ale nie z powodu klimatu tak się pocił. Żeby doprowadzić do ostatecznej katastrofy, ważne było, by uzyskać od Amerykanów zezwolenie na wejście tankowca do Bay.
Gdy szejk Gamal Tafak stał we frontowych drzwiach, wdychając poranne powietrze, jego głowa i ramiona znalazły się w celowniku teleskopowym, w którym pionowa kreska przecinała go na pół, a pozioma gilotynowała mu głowę. Taki cel był widoczny z odległego o trzydzieści metrów miejsca, gdzie w pokoju na pierwszym piętrze, na

stole, leżał płasko wyciągnięty izraelski strzelec wyborowy.
Jego karabin był oparty na worku z piaskiem, a lufa wystawała przez otwarte okno. Strzelec wyborowy, Chaim Borgheim położył palec na spuście. Jedno naciśnięcie i będzie po Tafaku.
Albert Meyer, człowiek, który zbierał informacje od telefonistki, Lucille Fahmy w Bejrucie - siedział w głębi pokoju i trzymał na kolanach automatyczną broń. Zerwał się na równe nogi, kiedy zadzwoniłtelefon - mogłoby to przeszkodzićjego współtowarzyszowi w skupieniu się na celowniku. Zareagował bardzo szybko, chwytając słuchawkę telefonu.
- Tu Albert... - Słuchał, oczy mu zogromniały, powiedział "zrozumiano". Odłożył słuchawkę, po czym szybko i po cichu przemierzył pokój. Albert był cały mokry.
- Nie, Chaim... - Ostrożnie wyciągnął palec nad lufę karabinu, bardzo uważając, by nie dotknąć broni. Czuł jak pot zwilża mu plecy.
Chaim zdjął palec ze spustu i spojrzał w górę z obojętną miną.
- Miałem go... co się dzieje? Wyglądasz okropnie.
- Myślałem, że się spóźnię. Właśnie dzwonili. Powiedzieli, żebyjeszcze się wstrzymać.
- Prawie już to mieli z głowy, on zresztą też.
- Nastąpiło jakieś przesilenie w innej części świata.
Jeszcze nie mogą ocenić jego skutków. Musimy poczekać.
- Tak, to normalka - tu jakiś kryzys, tam jakiś przełom...
Ludzie z latarni morskiej Mile Rocks, u wejścia do kanału Golden Gate, zobaczyli przez mgłę, że Challenger się pali.
Było ciemno, mglisto, ale blask płomieni przedarł się przez ciemność i mgłę. Był to przerażający pożar, który widzieli tylko fragmentarycznie, ale i tak mroził im krew bardziej niż nocne powietrze wokół niczym nie osłoniętej budowli. Natychmiast zawiadomiono zarząd portu, który dał znać do biura burmistrza. Dotarła niemal w tym samym momencie, co wiadomość z tankowca.
Narada w biurze burmistrza właśnie się kończyła. Peretti wysłuchał wiadomości przez telefon i szybkim gestem zatrzymał mężczyzn opuszczających pokój: - Zaczekajcie! Jest coś nowego...
Czekali, gdy tymczasem Peretti zapisywał coś w notesie. Byli zmęczeni, wyczerpani przetargami i Cassidy całą siłą perswazji przekonał burmistrza, by zaczekał z ostateczną decyzją do rana: wpuścić czy nie wpuszczać statku z terrorystami do Bay. Nadeszły kolejne pogróżki ze statku, tym razem podpisane przez LeCata.

Peretti mocno przeżywał świadomość odpowiedzialności za życie lub śmierć tylu niewinnych ludzi. Z niechęcią ustąpił Cassidyemu.
Mimo niskiej temperatury w sali konferencyjnej - by zaoszczędzić paliwa, termostat nastawiono na siedemnaście stopni - Peretti czuł, że bardzo mu potrzebny prysznic. Tak było, zanim zadzwonił telefon.
Teraz znów się ożywił i patrzył na Cassidyego, słuchając swego rozmówcy. Odłożył słuchawkę i spojrzał na notatki.
- Wracajcie na swoje miejsca, panowie, jeszcze nie koniec z tą sprawą na dzisiejszy wieczór. To dopiero początek.
- Co znów się stało? - oschle spytał Cassidy.
- Kolejne dwie wiadomości - jedna z latarni morskiej Mile Rocks, druga z samego Challengera. Na pokładzie tankowca nastąpiła seria eksplozji, a potem wybuchł pożar. Dziewięcioro ludzi jest poważnie rannych - pięcioro z nich to zakładnicy, wśród nich panna Cordell. Proszą o zgodę na natychmiastowe wejście do Bay, żeby ofiarom można było udzielić pomocy. Cztery z nich to terroryści...
- To jest wiadomość z Challengera? - spytał Cassidy.
- Tak.
- To może być podstęp. Nie wierzę w to...
Peretti wybuchł. Jakież to typowe dla tego cholernego wojskowego!
- Może pan w to nie wierzyć albo nie chcieć wierzyć, ale dostałem potwierdzającą wiadomość z latarni morskiej Mile Rocks.
Widzieli tankowiec w płomieniach - wypalił zgrzytliwym głosem. -Pożar już ustał, dzięki Bogu. I zamierzam dać temu statkowi zezwolenie na wejście do Bay...
- Moglibyśmy odebrać rannych z helikoptera - zaproponował Garfield, szef Straży Przybrzeżnej.
- W tej wiadomości powtarza się poprzednia pogróżka: jeśli jakikolwiek statek nawodny, podwodny czy powietrzny zbliży się do tankowca, wszyscy zakładnicy zostaną natychmiast zabici...
- A jednak nie podoba mi się to - powiedział Cassidy.
- Pułkowniku, nikt od pana nie wymaga, żeby to się panu podobało - warknął Peretti. - Po prostu nie przemyślał pan tej sprawy do końca. Jeden niewłaściwy ruch z mojej strony i ci ludzie mogą zginąć. Muszę myśleć o załodze, bezbronnych ludziach, w których wycelowane są pistolety. Gdy odbierzemy rannych, będziemy mieli w ręku czterech terrorystów, których będziemy mogli przesłuchać.
Osobisty kontakt nawet z terrorystami jest lepszy niż...
W chwili gdy Peretti prowadził ten dyskurs, terroryści wciągali przy

boku kadłuba Challengera pozostałości po dwóch tratwach Carley, które były do niego przymocowane kablami. Tratwy te, wypełnione nasączonymi benzyną szmatami, zostały wcześniej spuszczone na wodę. Na pokładzie każdej z nich znajdowała się mała bomba termitową z mechanizmem zegarowym. Gdy odpłynęły dostatecznie daleko od tankowca, doszło do eksplozji i tratwy stanęły w płomieniach. Dwa słupy ognia dostrzeżono z latarni morskiej w Mile Rocks.... osobisty kontakt nawet z terrorystami jest lepszy niż nawiązywanie łączności za pomocą sygnałów radiowych - kontynuował Peretti. -Nie wszyscy z tych nieszczęsnych ludzi muszą być dzikimi bestiami...
- Mów do mnie jeszcze... - sarknął Cassidy, ale zaraz pożałował tej uwagi. Zabrzmiała ona cholernie niegrzecznie.
Peretti usiadł w samym końcu stołu i zabrał głos, nie czując najwidoczniej urazy.
- Jest pan żołnierzem, pułkowniku Cassidy. Pana zadaniem jest strzelać do wrogów. Czasami jest to nieodzowne, ale tu mamy do czynienia z zakładnikami z innego kraju
- i ich musimy mieć przede wszystkim na względzie. Nie poddaję tego pod głosowanie. Sam podjąłem tę decyzję. Tankowiec Challenger uzyska pozwolenie na wejście do Bay.
Zbliżała się północ, kiedy Boeing 707 gubernatora Alexa MacGowana zbliżał się do pasa startowego międzynarodowego lotniska w San Francisco. Lot był opóźniony i gubernator musiał czekać siedem godzin na lotnisku Heathrow w Londynie.

***

Dowództwo Armii Czerwonej jest zdania, że jeżeli kraje zachodnie spróbują rozluźnić arabski uścisk, który paraliżuje ich gospodarki, może powstać korzystna sytuacja, w której Związek Radziecki mógłby zdobyć dla siebie pewne zapasy ropy naftowej na wypadek przyszłej konfrontacji z Chińską Republiką Ludową...
Fragment poufnego raportu marszałka Simoniewa do pierwszego sekretarza Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, przekazany Kenowi Chapinowi z CIA przez radzieckiego dezertera, pułkownika Grigorienkę.
- Peretti to taki facet, który po nocy spędzonej ze swoją żoną, nad ranem nie może się pozbierać...
- Nie musisz być taki ordynarny, Alex - odezwała się cicho Miriam MacGowan.

- Zanim cała ta sprawa się skończy, zamierzam być dużo bardziej ordynarny - zapewnił gubernator żonę. Wyjrzał za okienko boeinga w ciemność. - Gdzież, do diabła, jest to lotnisko?
Boeing 707 gwałtownie tracił wysokość, zbliżając się z północnego wschodu do pasa startowego w San Francisco. Wszystkie samoloty zawrócono z ich zwykłego kierunku podchodzenia do lądowania ponad Pacyfikiem, by nie przelatywały nad tankowcem Challenger.
Tego momentu lotu Miriam MacGowan nie znosiła - szybkiego opuszczania się na twardy betonowy pas, znajdujący się poza zasięgiem wzroku. Podejście MacGowana było bardziej brutalne i fatalistyczne -albo opadniemy na pas i zaczniemy po nim kołować, albo spłoniemy.
Pilnował się, by ktoś nie wziął go za człowieka sentymentalnego.
MacGowan się wściekał. Pół godziny temu, kiedy samolot leciał nad San Luis Obispo, otrzymał przez radio wiadomość od adiutanta, z którym rozmawiał pułkownik Cassidy. Jest prawie regułą w Stanach Zjednoczonych, że jeśli wojskowy nie zgadza się z jakąś decyzją, przekazuje jej treść znajomemu politykowi, którego poglądy sązbliżone do jego własnych. MacGowan wiedział już, że statek z terrorystami, o którym słyszał w czasie przesiadki w Los Angeles, miał uzyskać pozwolenie na wejście do Bay. Była to, oczywiście, modelowa decyzja Perettiego. To kompletny mięczak! Zachowuje się jak tytułowy bohater z filmów dla dzieci.
Koła dotknęły pasa z hukiem i wstrząsem. Miriam przełknęła ślinę, czekając z niecierpliwością, aż to paskudztwo zwolni. Zawsze się jej wydawało, że zmierza prosto na budynki dworca lotniczego.
MacGowan odpiął pas, zanim zapaliło się zielone światełko. Stewardesa pochyliła się, żeby go zganić, ale ją ubiegł. - Pani też powinna siedzieć podczas lądowania i proszę nie zapomnieć, że ja pierwszy mam wysiąść z tego samolotu...
- Oczywiście, panie gubernatorze.
MacGowan był niskim, mocno zbudowanym mężczyzną z dużą głową, gęstymi włosami, takimiż brwiami i szerokimi ustami, skierowanymi łukiem w dół. Budową ciała niewiele się różnił od LeCata.
Zbiegł po ruchomych schodkach i minął grupę dziennikarzy. Wewnątrz samolotu Miriam przepraszała stewardesę. - On się strasznie denerwuje tą całą sytuacją...
MacGowan skorzystał z telefonu w biurze TWA na zapleczu.
Dziennikarze pobiegli za nim, zaintrygowani tym pośpiechem.

Najpierw zadzwonił do Perettiego. - Żądam, żeby zatrzymano ten statek. Nie wejdzie do Bay z armią terrorystów na pokładzie...
Niech się pan nie kłóci, Peretti, jeżeli będę musiał, wezwę Gwardię Narodową...
W krótkich odstępach czasu zadzwonił kolejno do generała Lepke z Presidio, Straży Przybrzeżnej Stanów Zjednoczonych, policji portowej i w końcu do komisarza policji Bolana. Nikt nie miał nawet szansy wyrażenia swojej opinii i nikt tak naprawdę tego nie próbował.
Wyjaśnił Bolanowi, o co mu chodzi, przykazując, żeby natychmiast zadzwonił do Perettiego. Miało to wywołać jeszcze większy nacisk na burmistrza.
- Chcę, żeby się wstrzymano, dopóki nie opanuję sytuacji. Statek ma zostać tam, gdzie jest. Powiedziałem Perettiemu, by zawiadomił tych łajdaków, iż nastąpiła kolizja, i że żaden statek nie może wejść ani wyjść przez Golden Gate, zanim kanał nie zostanie oczyszczony.
Mogą w to nie uwierzyć, ale nie będą mieli pewności. Wyprowadzi ich to z równowagi - najpierw dostają pozwolenie, a potem czasową odmowę. I wtedy ja wchodzę...
Było to modelowe zachowanie MacGowana - wściekać się, ale nadal zachowywać jasność umysłu, nie doprowadzić do wyjaśnienia sytuacji, jednocześnie wyprowadzając swych przeciwników z równowagi. - Wsadziłem głowę w pętlę polityki - powiedział do żony w drodze do miasta, ale nie dbam o to. Wiem, że postępuję właściwie....
- Peretti stanie ci kością w gardle, daj mu jakąś szansę - ostrzegła go żona.
- Zapomniałaś o tym, że polityka już mnie nie interesuje, i tak jestem skończony po tej sprawie z Grove Park. Teraz myślę wyłącznie kategoriami tych zakładników.
- Peretti też prawdopodobnie tak to czuje...
- Ale w niewłaściwy sposób, tak jak tylko on potrafi: usiądźmy wszyscy przy filiżance kawy i omówmy sprawy. Mam pewne przeczucie co do tej afery...
Przejeżdżali właśnie przez Brisbane, gdy zobaczył, że żona się w niego wpatruje. - Niewykluczone, że zabijemy wszystkich terrorystów na pokładzie tego tankowca...
Kilkanaście kilometrów przed nimi do San Francisco zmierzała taksówka z czterema obcymi sobie ludźmi. Na tylnym siedzeniu siedział jeden z pasażerów tego samego samolotu, którym przyleciał

MacGowan. Ale gdy MacGowan podróżował pierwszą klasą, on, by nie rzucać się w oczy, zajmował miejsce w klasie turystycznej.
Ahmed Riad siedział wyprostowany i spięty swoją pierwszą wizytą w Stanach Zjednoczonych.
Po przybyciu do głównego hallu hotelu St. Francis przy Union Square zarezerwował pokój na nazwisko Seebohm i pojechał w górę przeszkloną windą znajdującą się na zewnątrz budynku. Ta jazda przeraziła Riada, gdy spojrzał w dół na samochody wyglądające jak zabawki. Miał chorobliwy lęk wysokości. Ale w końcu zostawał w tym hotelu tylko jedną noc. Nad ranem miał poinformować Anglika o zmianie planu i powiedzieć mu, żeby złapał pierwszy powrotny samolot do Europy.
Na pokładzie Challengera LeCat czekał, aż Mackay uzyska zezwolenie na wejście do Bay. Spalone resztki tratw Carley wciągnięto na główny pokład. Zgoda nadeszła nieco później; kapitan przygotował się do wpłynięcia do kanału. Nagle następna wiadomość - odmowa wejścia - nadeszła tuż po północy. Dla Francuza ta wiadomość była jak grom z jasnego nieba. Z wściekłym wyrazem twarzy czekał na mostku, aż Mackay ją sobie przyswoi.
- Natychmiast wprowadzisz statek do Bay - rozkazał terrorysta.
- To niemożliwe. - Mackay oddał kartkę LeCatowi. - Nie mogę wpłynąć do Golden Gate, zanim nie oczyszczą kanału. Sam to czytałeś - była kolizja.
- Nie wierzę! To jest sztuczka, ci Amerykanie chcą mnie po prostu nabrać. Najpierw mówią "tak", potem znowu "nie". Nie mogą tak postępować z LeCatem...
Mackay przyjrzał mu się uważnie, bacząc, by nie pokazać rosnącego zdenerwowania. Wydawało się, że osobowość Francuza się zmienia, jak gdyby wychodził na jaw kompleks wyższości, kiedy nie stało stabilizującego go Wintera. Mackay spróbował spokojnie przemówić LeCatowi do rozsądku.
- Jak tylko wydadzą pozwolenie, wprowadzę statek przez Golden Gate. Gdybym to zrobił teraz - bez zgody - moglibyśmy gdzieś w kanale zderzyć się z innymi uszkodzonymi statkami... LeCat uniósł swego skorpiona i wycelował w Bennetta. - Jeżeli natychmiast nie wprowadzisz tankowca do Zatoki San Francisco zabiję trzech twoich ludzi...
- Jeżeli wprowadzę teraz ten statek i będzie następna kolizja, a, na miłość boską, to pewne przy tej mgle, Challenger może pójść na dno,

a wraz z nim ty i wszyscy twoi ludzie. My też pójdziemy na dno.
Więc możesz zabić wszystkich zakładników, jeśli chcesz, aleja nie zmienię decyzji.
Mackay odwrócił się plecami do terrorysty i podszedł do okna na mostku. Po raz drugi w ciągu zaledwie kilku godzin czuł, że mięśnie pleców napinają mu się jakby w oczekiwaniu kuli. Stojący za nim LeCat błysnął z wściekłością oczyma: kolizja unicestwiłaby całą operację. Opuścił mostek kapitański i wrócił do swojej kajuty, żeby przestać się wściekać, zaczął sączyć koniak.
LeCat stał w otwartych drzwiach kajuty Betty Cordell. Otworzył je po cichu i zobaczył dziewczynę wyciągniętą na koi, wyczerpaną, na wpół śpiącą. Gdy go zobaczyła, szybko przerzuciła nogi ponad brzegiem łóżka. - O co chodzi? - spytała.
Zamknął drzwi na klucz, podszedł szybko do koi i spojrzał na nią z góry. Próbowała wstać, ale oparł wyprostowane ramię na jej klatce piersiowej i mocno przycisnął. Opadła z powrotem na koję, uderzając głową o drewnianą konstrukcję - Jak Winter cię tu znajdzie... - I wtedy przypomniała sobie, że Wintera już nie ma, że opuścił statek. Usiłowała zachować spokój, ale w głowie jej huczało i uderzenie otumaniło ją. Z trudem dostrzegła nad sobą mocno zbudowaną sylwetkę.
- Wintera tu nie ma - przypomniał jej LeCat.
- Och, mój Boże...
- Tylko krzyknij, to cię pokroję...
Czubek noża dotknął policzka Betty i wtedy zdała sobie sprawę z grozy sytuacji. Niewyraźna sylwetka zbliżyła się, pochyliła i LeCat zaczął rozrywać bluzkę dziewczyny. Drapała go po oczach, ale odsunął głowę i znów przytknął nóż do jej policzka. - Okaleczę ci twoją piękną buźkę na całe życie - syknął ze złością. Opadła z powrotem na koję. LeCat nakrył ją swoim mocnym cielskiem.
Próbowała myśleć o czymś innym, o czymkolwiek - może jest w domu, a to tylko koszmar. Próbowała zaprzątnąć umysł wszystkim innym, tylko nie tym, co się działo. Nic nie pomagało - wiedziała, gdzie jest i co się dzieje. Ta cholerna broń... jest o wiele za daleko.
- Tylko krzyknij, to cię pokroję... - Kiedyś zapomni, udając nawet przed samą sobą, że to się nigdy nie zdarzyło, że wszystko było koszmarem... Och, tatusiu, gdy
o tym mówiłeś, wydawało się takie proste: uważaj na siebie...
To trwało całą wieczność.

LeCat zszedł wreszcie z koi. Betty leżała z zamkniętymi oczyma, próbując zapanować nad swoim oddechem. Zebrała w dłoni prześcieradło i koc, nakryła się nimi wciąż z zamkniętymi oczami. LeCat chodził po kajucie. Usłyszała brzęk karafki z wodą, a potem obrzydliwe żłopanie. Nadal miała bardzo mocno zaciśnięte powieki.
- Tylko powiedz Mackayowi... - LeCat mówił szeptem, zbliżywszy się nieco do niej.
- Jeśli powiesz Mackayowi, zabiję małego Foleya. Paskudnie do niego strzelę i będzie umierał powoli - jeśli powiesz Mackayowi...
Zimna stal noża znów dotknęła jej policzka. - Odpowiadaj, ty zimna dziwko. Słyszałaś, co powiedziałem?
- Odejdź. - Przełknęła ślinę, nie otwierając oczu. Oddałaby wszystko, żeby zostać sama. - Słyszałam cię. Teraz odejdź...
Drzwi kajuty zamknęły się. Nawet nie słyszała, kiedy je otworzył kluczem. Uchyliła powieki tylko trochę, bojąc się, że on ciągle tu jest.
Kajuta była pusta. Słyszała tylko niewyraźne uderzanie fal oceanu o kadłub statku, dziwnie spokojny dźwięk.
Długo leżała na koi, zanim wstała i poszła zrobić sobie zimny tusz.
Zrzuciła przemoczone ubranie, ścisnęła je w mały tobołek i wyrzuciła przez okienko. Wróciła pod prysznic i pozostała pod nim, aż zimna woda sprawiła, że zaczęła drżeć. Wycierając się jak automat, ostrożnie wybrała nowe ubranie i włożyła je. Świeża bielizna, spodnie, dwa swetry.
Nie powie Mackayowi, nie powie nikomu - postanowiła, gdy stała pod prysznicem. I niezupełnie z powodu biednego Foleya.
Podeszła do drzwi, ostrożnie nacisnęła klamkę, ale drzwi nie ustąpiły.
Przycisnęła ucho i nasłuchiwała. Żadnego odgłosu kroków strażnika.
Podeszła do swojej walizki, otworzyła ją i wyjęła karabin spod zapasowych ubrań.
Przez długi czas stała z nim w dłoniach, opierając się pokusie zmontowania go. W tym nagle ścieśnionym świecie, w którym przeszłość zdawała się już nic nie znaczyć, broń była jedynym przyjacielem. Przestrzeń życiowa zrobiła się taka wąziutka, stał
się niąjedynie statek i ludzie na jego pokładzie. Nie czuła żadnej paniki czy histerii, tylko miała niejasne wrażenie, że musi podjąć jakąś decyzję.
Nikt - jakkolwiek byłby sprytny - nie jest doskonały. Nie można być pewnym, co się dalej stanie, niezależnie od tego, co i jak by się planowało. W jakimś momencie LeCat zrobi błąd, który może trwać

nie więcej niż minutę, ale go zrobi, była tego pewna.
Musiała więc czekać, obserwować i wykorzystać całe swoje kobiece wyrafinowanie, by oszukać terrorystów, sprawić, żeby nie zwracali na nią uwagi. Żeby myśleli, iż ona
- z racji swojej płci - w ogóle im nie zagraża. To będzie jej chwila, zabije ich tylu, ilu będzie mogła.
o 9.00 rano w środę 22 stycznia Winter wziął do rąk "San Francisco Chronicie", którą dostarczono mu do pokoju wraz ze śniadaniem, i zaczął czytać. Tytuły krzyczały: TERRORYŚCI UPROWADZAJĄ BRYTYJSKI TANKOWIEC U WYBRZEŻY SAN FRANCISCO. Szczegółowy opis zdarzenia był przeinaczony, niedokładny, ale to nic dziwnego na tak wczesnym etapie. Winter z zainteresowaniem przeczytał, że gubernator Alex MacGowan przybył nagle do miasta o północy, odwołał zezwolenie burmistrza na wejście tankowca do Bay i urządził sztab dowodzenia w swoim biurze w Transamerica Pyramid. Fakt, że tankowiec nadal znajduje się poza Bay nie niepokoił go; był przygotowany na niepowodzenia i być może będzie wkrótce musiał przekazać LeCatowi przez radio nowe instrukcje.
Pół godziny wcześniej Winter odebrał telefon z hotelu St. Francis od pana Seebohma. Oczekiwał tego telefonu, ponieważ przed dwoma miesiącami uzgodniono, że Ahmed Riad przybędzie do San Francisco na tym etapie operacji, żeby na miejscu wysłuchać raportu o rozwoju sytuacji. Potem miał wrócić do Bejrutu. Winter podejrzewał, że Riad może chcieć przedłużyć swój pobyt, by wtrącać do akcji swoje trzy grosze i od razu postanowił, że jeżeli tak się stanie, to będzie musiał użyć całej siły perswazji, by go przekonać, żeby złapał najbliższy powrotny samolot do domu. Winter ciągle pił kawę i wertował dalsze strony gazety.
Wiadomość, która sprawiła, że zamarł z filiżanką uniesioną w połowie drogi do ust, była wydrukowana na samym dole. Skamieniał, a rysy jego twarzy stały się bardziej wyraziste, ściągnęły się w porannych promieniach słońca. Zastygł w bezruchu, ponownie czytając tę wzmiankę, po czym ostrożnie odstawił filiżankę z kawą na stół.
Siedział tak przez jakiś czas, patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem, a potem wstał i wyjrzał za okno. Okno to miało pewne zabezpieczenie - pozwalało na otwarcie go tylko na parę centymetrów, by zapobiec przypadkom samobójstw. Winter, który był amatorem dużej ilości świeżego powietrza, używał pewnego narzędzia, które pomagało mu odblokować to zabezpieczenie. Otworzył okno szeroko.

Dziesięć pięter niżej budziła się Geary Street. Przyglądał się tej dziwnej, mozaikowej panoramie San Francisco, zstępującego tarasami w dół w kierunku Nob Iill, na skomplikowaną konfigurację budynków różnej wysokości prawie przylepionych do siebie, tak że przypominały dziwaczną układankę. Potem wrócił do "Chronicie" i przeczytał wzmiankę po raz trzeci.
W odosobnionej szopie na obrzeżach miasta odnaleziono zamordowanych: Charlesa Swana, radiooperatora brytyjskiego statku, oraz jego żonę, Julie. Obie ofiary odkryła policja, miały poderżnięte gardła.
Anchorage, Alaska.
Usiadł znów, zapalił papierosa i spojrzał na zegarek. Ahmed Riad, podróżujący pod nazwiskiem Seebohm, miał tu przyjść za kilka minut.
Winter siedział w fotelu kwadrans, czekał paląc z zamkniętymi oczyma, próbując nie okazywać gotującej się w nim wściekłości. Zadzwonił telefon. Pan Seebohm czekał w głównym hallu. Winter powiedział, żeby pofatygował się na górę.
Anglik zamknął drzwi na klucz, a Riad, człowiek ostrożny, sprawdził łazienkę, wyszedł z niej i podszedł do okna. Spojrzał na, dziesięciopiętrową przepaść nad ulicą Geary, wzdrygnął się i odwrócił. - Te amerykańskie budynki są strasznie wysokie. Oni mają jakąś manię wysokości. Może to ma podłoże seksualne?
Winter wpatrywał się w Riada. - Dobrze się czujesz? - zapytał jakby grzecznościowo.
Ten Arab, który zawsze czuł się niepewnie w obecności Wintera, miał na nogach błyszczące buty z wydłużonymi noskami. Skrzypiały gdy chodził. Riad od razu wytworzył atmosferę dowodzenia. Przybył tu, żeby przekazać Anglikowi ostateczne instrukcje. - Nie mamy czasu do stracenia. Czy wszystko w porządku na pokładzie tankowca?
Czy LeCat reaguje właściwie? Spodziewam się, że statek jest już w Bay.
- Wszystko jest tak, jak chcieliście, jak to zaplanowaliście -cedząc słowa powiedział Winter.
Riad wsunął obie dłonie do kieszeni płaszcza przeciwdeszczowego - poruszały się nerwowo, jakby nie były pewne, do kogo należą.
Stał wyprostowany i mówił głosem, który w jego ocenie brzmiał despotycznie. Stopy, podobnie do dłoni, też jakby nie były pewne, gdzie się mają podziać.

- Nastąpiła zmiana planu, Winter. Już nie jesteś potrzebny w San Francisco. Złapiesz najbliższy samolot do Los Angeles i tam wsiądziesz na pokład samolotu do Paryża.
- Tak po prostu?
Winter usiadł, wyciągając niedbale nogi, i spojrzał w górę na Riada, trzymając papierosa w ustach. - Niby dlaczego?, - Nie przesłuchuj mnie...
- Wbiję te twoje lśniące ząbki do gardła, jeśli zechcę. I właściwie akurat mam na to ochotę.
Winter mówił tak łagodnym głosem, że przez chwilę Riad nie był pewien, czy dobrze go zrozumiał. Ruszył do przodu, gdy Winter uniósł stopę. Ruch był tak błyskawiczny, że Arab nie zdążył odskoczyć. Obcas prawego buta Wintera rozmiażdżył jeden z lśniących butów. Riad zawył z bólu. - Lubię ludzi, którzy zachowują się grzecznie - zauważył Winter. - Czytałeś dzisiejszą prasę? - zagiął gazetę przy wiadomości z Anchorage i cisnął nią w Araba. - Przeczytaj to! Ten kawałek na dole.
Riad czytał, a papier szeleścił w jego dłoniach, chociaż próbował go trzymać nieruchomo. Położył gazetę na stole, sięgnął po folder linii lotniczych i chciał go podać Winterowi. - To są twoje bilety - na nazwisko Stanley Grant...
- Nie skomentowałeś tej wzmianki. - Winter nadal siedział swobodnie rozparty w fotelu, ignorując wyciągniętą rękę Riada.
- Pewnie próbowali uciec - wymamrotał Arab. - Nie mam ochoty tego komentować...
- To, na co masz ochotę, już się nie liczy... - Winter wstał i podszedł do Riada, który się cofnął i nagle zdał sobie sprawę, że zbliża się do otwartego okna. - Nikt w Anchorage nie próbował uciekać - rzekł do niego Winter. - Swan by nie ryzykował ze względu na żonę. Co się więc stało?
- Mnie tam nie było... - Riad drżał, próbując ignorować obojętne spojrzenie Wintera. Wycofywał się w kierunku wnęki, w której stało biurko. - Muszę natychmiast jechać...
- Do konsulatu Zjednoczonej Republiki Arabskiej?
- Nie powiedziałem tego...
- Nie powiedziałeś też nic o tym plugawym wydarzeniu w Anchorage - ale wiedziałeś
o nim. Nie byłeś zaskoczony ani poruszony, gdy dałem ci do przeczytania gazetę. Przestraszyłeś się tylko, że się o tym

dowiedziałem.
- Nic nie wiem o Anchorage... - arogancja Riada jakby rozpłynęła się. Ten Anglik
o zimnych oczach zmusił go, by cofnął się do wnęki. Przeraził się. Złapał za kołnierzyk koszuli, który zdawał się być pętlą na jego szyi, nogi zaczęły mu drżeć i poczuł nagły ostry ból w piersi. Za nim była tylko ściana, nie mógł już się dalej cofać, a Winter napierał. - Nic nie wiem o Anchorage - powtórzył Arab. - Nic...
- Co ma się stać na pokładzie tego statku?
- Wysuną żądanie, a Amerykanie je przyjmą... - Krztusił się własnymi słowami, bo Winter schwycił go za gardło i ciągnął w kierunku otwartego okna. Riad natychmiast zrozumiał grozę sytuacji. - Nie! Nie! Proszę! Błagam cię... - Winter trzymał go teraz obiema rękami za gardło, ignorując wściekłe walenie pięści Riada i ciągnąc go coraz bliżej szeroko otwartego okna. Arab najwyraźniej miał lęk wysokości. Winter ustawił Riada tyłem do okna i przewiesił go wpół na zewnątrz, przyciskając swoimi nogami jego kolana. Górna połowa ciała Riada coraz bardziej zwisała ponad dziesięciopiętrową przepaścią, aż w końcu głowa Araba zwiotczała i oprócz łomotu pulsującej krwi miał teraz w uszach dźwięk klaksonów, dobiegający niewyraźnie ze znajdującej się trzydzieści metrów pod nim ulicy.
Zobaczył niebo, przechylone i jakby pijane, czuł rękę Wintera na gardle spychającą go coraz bardziej w dół. Poczuł żółć w ustach, straszliwy ból w klatce piersiowej i łomot w uszach. Potem poczuł, że Winter łapie go drugą ręką za pasek, unosi z podłogi i Riad wiedział, że zaraz spadnie w przepaść z dużej wysokości.
Winter jednak wciągnął go z powrotem do środka i potrząsnął jak dziecinną lalką, której z przerażenia ślina ciekła z ust. Wszystko wirowało wokół niego, był bliski omdlenia. Przez mgłę zasnuwającą mu oczy przezierała koścista twarz Wintera.
- Co się stanie na pokładzie tego statku? - zasyczał Anglik i potrząsnął nim z zimną bezwzględnością. - Co takiego ma się stać na pokładzie Challengera, o czym ja nie wiem?
Riad krztusił się, łapiąc powietrze jak człowiek tonący, a jego serce kołatało tak szybko i mocno, jakby miało za chwilę wyskoczyć.
Próbował mówić, powiedzieć Winterowi, żeby przestał nim potrząsać, i że będzie już mówił... Sapał i łapał powietrze z takim świstem gwałtownością, iż wydawało się, że za chwilę zemdleje. Przestał go maltretować. Arab spojrzał na Wintera w górę, a jego oczy miały

wzruszający wyraz oczu dziecka. Obaj byli istotami ludzkimi, uwikłanymi w intrygę o niewyobrażalnej gwałtowności, zaplanowanej przez kogoś, kto znajdował się w odległej części świata i był owładnięty obsesją uwolnienia świętego miasta Jerozolimy z rąk intruzów.
- Oni... chcą zabić... wszystkich zakładników...
- Niezależnie od rozwoju sytuacji?
- Chcą... ich... zabić...
Ciało Riada zwiotczało i osuwał się w uścisku Wintera, który nadal go trzymał i czuł w rękach większy ciężar, niż mógłby przypuszczać. Nic nie jest cięższe od martwego człowieka...
Ahmed Riad nie czuł się dobrze, odkąd wysiadł z samolotu w Los Angeles po, jedenastogodzinnym locie z Londynu, a napięta sytuacja w Ameryce też zrobiła swoje.
Udręka zwisania za oknem dopełniła dzieła - zabił go rozległy zawał. Nie zdążył nic powiedzieć o urządzeniu nuklearnym, które LeCat przemycił na pokład tankowca.
Myśląc, że Riad zemdlał, Winter pozostawił nieszczęsnego Araba na dywanie, a sam podniósł szybko słuchawkę. Telefonistka zgłosiła się natychmiast.
- Proszę mnie połączyć z budynkiem Transamerica. Chcę rozmawiać osobiście z gubernatorem Kalifornii... - powiedział Winter z wyrazem udręki, ocierając chusteczką pot z czoła.
Ahmed Riad zmarł o 9.30 rano. Winter bardzo krótko rozmawiał przez telefon. - Nie mam zamiaru tu czekać, aż pani sprawdzi to połączenie - powiedział do asystentki MacGowana. - Ma pani dokładnie czterdzieści pięć sekund na poproszenie do telefonu gubernatora, a potem przerywam rozmowę. Mogę mu powiedzieć wszystko o składzie grupy terrorystów na pokładzie tankowca znajdującego się przy Bay...
Mrukliwy głos MacGowana pojawił się w słuchawce po trzydziestu sekundach - Winter sprawdził to na zegarku.
Jego rozmowa z MacGowanem była krótka; Winter wiedział, że jeżeli ma ponieść ciężar odpowiedzialności, musi skontaktować się z gubernatorem jako wolny człowiek, zgłosić się do niego dobrowolnie.
Gdyby udało im się najpierw go zaaresztować, nie byłby wiarygodny.
Gdy zdał sobie sprawę z tego, że Riad nie żyje, Winter wywiesił na drzwiach ostrzeżenie "Nie przeszkadzać" i opuścił pokój. Paszport dyplomatyczny Riada - występował on jako przedstawiciel handlowy

nieokreślonego szejkanatu nad Zatoką Perską - znajdował się w kieszeni Wintera, który pobiegł wzdłuż Geary Street i złapał taksówkę. Przybywszy do gmachu Transamerica, budynku o dziwacznym kształcie, z którego roztaczał się widok na Bay - jeśli się było na odpowiednio wysokim piętrze - udał się prosto do biura gubernatora. Znajdowało się ono na tyle wysoko, by był zeń widok na zatokę. Czekali już tam detektywi w cywilnych ubraniach.
Winter zdał się na osobowość MacGowana - miał o nim trochę informacji. Liczył na to, że ten Amerykanin o niezależnym umyśle zechce się z nim zobaczyć. MacGowan wszedł do pokoju, kiedy go jeszcze przeszukiwano, sprawdzając, czy nie ma broni. Oczywiście niczego przy nim nie znaleźli; Winter rzucił skorpiona wraz z kaburą z mostu Golden Gate, gdy Walgren czekał w samochodzie. Ktoś, kto zatrzymuje się w eleganckim hotelu, nie przybywa do niego z bronią.
MacGowan obserwował Wintera, kiedy go rewidowano. Wprowadził Anglika do prywatnego gabinetu, usuwając policję. - Do diabła, zrewidowaliście go przecież. Dam sobie radę... - powiedział.
Rozmawiali za zamkniętymi drzwiami godzinę - dostatecznie długo dla tych dwu bystrych i konkretnych mężczyzn, którzy w mig przeszli do sedna sprawy. MacGowan, były adwokat, część tego czasu poświęcił na wyciągnięcie zeznań od Anglika. Gdy ta godzina zbliżała się ku końcowi, MacGowan był przekonany o prawdomówności Wintera. Kiedy zwołał zebranie całego sztabu dowodzenia, jego uczestnicy nie dali się jednak tak łatwo przekonać. Szczególnie sceptycznie nastawiony był Peretti, a popierał go pułkownik Cassidy.
- Musimy być pewni, że na pokładzie tego statku nie ma żadnych materiałów wybuchowych - nalegał. - Winter powinien zostać poddany badaniu przy użyciu wykrywacza kłamstw...
- To cholerna strata czasu - warknął MacGowan. - To naukowa zabawka wymyślona ku uciesze idiotów. Dwadzieścia lat praktyki związanej z przesłuchiwaniem przestępców nauczyło mnie, że należy oceniać człowieka w bezpośrednim kontakcie. Myśli pan, Peretti, że coś, co warczy i błyska, może być odpowiedzią na ludzkie problemy?
Poddali Wintera działaniu wykrywacza kłamstw i wszyscy wzięli go w krzyżowy ogień pytań. Karpis z FBI, komisarz policji Bolan, Garfield ze Straży Przybrzeżnej, pułkownik Cassidy... I właśnie wtedy, gdy siedział na krześle z elektrodami podłączonymi do ramion i odpowiadał na pytania, jego hipnotyzująca osobowość zaczęła oddziaływać na Amerykanów. Sullivan, który rozmawiał z nim

wcześniej na prośbę MacGowana i zgadzał się z tym, że Winter mówi prawdę, uczestniczył w tym przesłuchaniu wielce zafascynowany.
- Jak się pan nazywa?
- Winter...
Maszyna zarejestrowała: kłamstwo.
- Trzeba czegoś innego, żeby sprawdzić to wasze magiczne pudełeczko - zauważył Winter.
- Ilu terrorystów jest na pokładzie tego statku?
-Trzynastu: prawda.
- Czy zamierzał się pan poddać, gdy przybył pan do San Francisco?
- Oczywiście, że nie: prawda.
- Czy Ahmed Riad powiedział panu przed śmiercią, że wszyscy zakładnicy zostaną zastrzeleni niezależnie od tego, co się stanie?
- Tak: prawda.
Po piętnastu minutach Cassidy zadał pytanie, które wisiało na ustach wszystkich.
- Winter, pan kierował uprowadzeniem tego statku, a teraz LeCat przejął dowodzenie. Czy są jakieś materiały wybuchowe na pokładzie tego statku?
- Nie: prawda.
Chociaż nikt o tym nie wiedział, ukazywało to ograniczenie "prawdomówności" wykrywacza kłamstw. Może on wskazywać, kiedy ktoś mówi prawdę, a kiedy kłamie, ale nie jest w stanie określić, czy ktoś podaje odpowiedź, która jest kłamstwem, chociaż ten ktoś wierzy, że jest to prawda. Nie było to oczywiste w tym momencie, ale prawdopodobnie ów test sprawił, że stało się nieuniknione, iż Challenger otrzyma zezwolenie na wejście do Bay, mając na pokładzie zakładników, których los był przesądzony, oraz urządzenie nuklearne.
Do 3.00 po południu nie znaleźli nawet w połowie bezpiecznego sposobu przejęcia siłą tankowca. Rozważyli wszystkie możliwe wyjścia, ale za każdym razem przegrywali z warunkami, jakie narzucił LeCat.
I mieli coraz mniej czasu. Do tej pory MacGowanowi udawało się trzymać LeCata na dystans przy pomocy serii opóźniających wejście do Bay komunikatów.
- To nie potrwa długo - ostrzegał gubernator. - Z tego, co mówił Winter, LeCat straci cierpliwość i zacznie zabijać zakładników, żebyśmy zaczęli go poważnie traktować.
MacGowan, po cichu i bardzo dokładnie, zaplanował swoją

interwencję. To, co zamierzał zaproponować, było tak oburzające, że sztab od razu by to odrzucił - chyba że sytuacja osiągnie najwyższy stan zagrożenia i będzie się trzeba chwycić ostatniej deski ratunku.
Nawet gdyby to była deska Wintera.
Gubernator był teraz przekonany o prawdomówności Wintera. Powiedział to prywatnie Cassidyemu. - To znaczy, uważa pan, że on się pokajał, że żałuje tego, co zrobił?
- zawahał się sceptycznie pułkownik.
- Nie! On chce krwi. Po pierwsze, został oszukany, a takiego człowieka nie można nabierać bezkarnie. Po drugie, on nie jest mordercą. Śmierć tej pary na Alasce mocno nim wstrząsnęła, chociaż nie mówi o tym zbyt wiele.
Zaistniały też pewne niezbite fakty, które wzmocniły przekonanie MacGowana. Winter wręczył gubernatorowi paszport dyplomatyczny Riada, ostrzegając go, że może wybuchnąć piekielny skandal międzynarodowy z powodu nie wyjaśnionej śmierci arabskiego dyplomaty.
Winter zaproponował proste rozwiązanie tego problemu: trzeba "zgubić" ten paszport. Nadal leżał zamknięty w szufladzie MacGowana, który nie poinformował jeszcze Waszyngtonu o jego istnieniu.
Co więcej, natychmiast, w pośpiechu, przeprowadzono sekcję zwłok Ahmeda Riada.
Zadrapania na szyi i wygląd ciała potwierdzały opowieść Wintera o wypadku w hotelu Clift. Riad zmarł wskutek rozległego zawału serca.
Była 5.00 po południu, gdy MacGowan postanowił pójść na całość.
- Nie możemy niczego uzgodnić - oświadczył - a ja nie mogę już dłużej utrzymywać LeCata w niepewności. Myślę, że czas rozważyć plan dostania się na pokład tego statku
- plan Wintera.
Poczekał, aż protesty ucichną, i zaczął mówić z naciskiem, nie pozwalając sobie przerywać i spoglądając na audytorium ponuro spod gęstych brwi. Zauważył, że po wielu godzinach dyskusji nie uzgodnili nawet cienia planu rozwiązania sytuacji.
Jedynym człowiekiem, który wie, co naprawdę dzieje się na pokładzie tego statku, jest Winter; jedynym człowiekiem, który wie, jak mogą zareagować terroryści, jest Winter i... - tu zaczął mówić głośniej - jedynym człowiekiem, który może sobie poradzić z tą grupą napastników na pokładzie Challengera, jest Winter, czy się wam to

podoba, czy nie. W gruncie rzeczy guzik mnie obchodzi, co wam się podoba - chcę wreszcie rezultatów...
- Po rozmowie z nim - wtrącił Sullivan - sądzę, że gubernator ma rację. Winterowi udało się uprowadzić ten statek, doprowadzić go do wybrzeży Kalifornii. Został oszukany, jest więc gotów z równą energią i potęgą umysłu zrobić coś wręcz przeciwnego - odzyskać ten statek. - Spojrzał na twarze dwudziestu niezdecydowanych ludzi siedzących przy stole i uśmiechnął się blado. - Czyż nie najlepiej, panowie, nawraca ten, który sam zgrzeszył? Winter występujący w całkiem innej roli może być naprawdę groźny...
Winter został doprowadzony na to zebranie przez porucznika policji, który stał się jego stałym strażnikiem. Nie przejawiał żadnej pokory, co zauważył Cassidy, gdy Anglik usiadł po prawej stronie MacGowana. Miał równie zimny i nieobecny wyraz twarzy jak wtedy, gdy poddawano go testowi z wykrywaczem kłamstw. Popatrzył krytycznie na ludzi siedzących przy stole, jak gdyby oceniał każdego, zastanawiając się, co sobą przedstawia. To kawał zimnego drania, pomyślał Cassidy, z takim dobrze by było iść walczyć w dżungli. Ale na razie pułkownik piechoty morskiej wyraził swoją dezaprobatę.
- Proponuję, żeby go stąd odesłano w eskorcie uzbrojonego strażnika - warknął Peretti. Siedział naprzeciwko Wintera, który przyglądał mu się z zainteresowaniem. - Jest pan facetem, który nas w to wrobił - kontynuował Peretti. - Nie zgadzam się nawet na to, by przebywał pan z nami w jednym pokoju...
- Chcecie, żeby wszyscy - włącznie z tą amerykańską dziewczyną - zginęli? - spytał Winter. - Bo jestem pewien, że LeCat zabije wszystkich zakładników na tym statku...
- Wiedział pan o tym, zaczynając tę akcję? - spytał pułkownik Cassidy, badając jego reakcję. - Bo jeżeli tak, to głosuję za tym, żeby zamknąć pana w celi i wyrzucić klucz...
- Zamknij się - skomentował jego wypowiedź Winter.
- Coś takiego...
- Zamknij się i słuchaj. Znam tych terrorystów bardziej niż wy.
Gdy leciałem nad hrabstwem Marin, przyszedł mi do głowy pomysł, jak przetransportować ludzi na statek - próbowałem wtedy spojrzeć na to z drugiej strony, żeby zobaczyć, jak można by nas powstrzymać. Musicie spaść na ten tankowiec z powietrza....
- To beznadziejne - Cassidy zdawał się być rozczarowany.
-Myśleliśmy o tym i odrzuciliśmy ten projekt. Śmigłowiec musiałby

wylądować na głównym pokładzie. Rozwaliliby go na kawałki z mostka kapitańskiego łącznie z wszystkimi, którzy by z niego wysiedli...
- Nie użyjemy śmigłowca - wyjaśnił Winter. - Mała grupka uzbrojonych po zęby ludzi czeka na moście Golden Gate. Dajemy LeCatowi zezwolenie na wejście do Bay
- żeby przepłynął pod mostem w nocy. Kiedy tankowiec przechodzi pod Golden Gate, grupa szturmowa spada w ciemności na jego pokład. Jeżeli utrzyma się mgła, szanse
powodzenia będą jeszcze większe.
- Mgła się przerzedziła dziś rano - przerwał MacGowan - ale może jeszcze wrócić wieczorem.
- To szalony pomysł - sprzeciwił się komisarz Bolan. - Ten tankowiec będzie płynął...
- Bardzo powoli, jeśli to sprytnie załatwimy - powiedział Winter. - Rozumiem, że wczesnym rankiem będzie silny odpływ. Czy ktoś może mi powiedzieć, jaka będzie prędkość tej fali odpływu?
- Siedem i pół węzła aż do dziesiątej rano - odparł szybko Garfield, szef Straży Przybrzeżnej.
- Więc powiemy przez radio Mackayowi, żeby wpłynął z prędkością ośmiu węzłów, co oznacza, że płynąc przeciwnie do fali odpływu, będzie się tak naprawdę poruszał z szybkością zaledwie pół węzła.
- To jest myśl - powiedział powoli Cassidy. - No dalej, słucham...
- Podstawowym problemem jest zrzucenie trzech czy czterech uzbrojonych po zęby ludzi z przęsła mostu - z poziomu autostrady - na dół, na pokład statku, kiedy będzie przepływał pod mostem. Musimy ich opuścić niżej wcześniej, zanim pojawi się tankowiec...
- Może na ruchomym rusztowaniu? - zaproponował Sullivan.
- Nie, na siatce sznurowej - przerwał Cassidy.
- Dokładnie tak - zgodził się Winter. - Albo na siatce ładunkowej - cokolwiek uda się nam zdobyć. Na czymś, czego ci ludzie mogliby się trzymać podczas długiego opuszczania w dół.
- Popatrzył na siedzących przy stole. - Jak to jest wysoko z poziomu autostrady?
- Około sześćdziesięciu metrów... - odparł niepewnie OHara, szef zarządu portu.
- Można to wykonać - rzekł z naciskiem Winter. - Do opuszczenia siatki potrzebny jest nam ruchomy dźwig z licznikiem wysokości...
- Z czym? - ktoś zapytał., - Z licznikiem wysokości - powtórzył

Cassidy. Szeptał coś do adiutanta siedzącego przy nim i robiącego notatki. - Facet obsługujący ten dźwig musi wiedzieć, jak nisko opuścił ludzi, tak by mógł przytrzymać ich tuż nad poziomem pokładu, gdy pojawi się tankowiec...
- I ze wskaźnikiem ciężaru - dodał Winter.
- Żeby wiedział, kiedy ci ludzie zeskoczą - wyjaśnił Cassidy. - Trzech ludzi po jakieś siedemdziesiąt kilo każdy - to razem dwieście dziesięć kilogramów. Gdy wskaźnik wykaże zmniejszenie się ciężaru o tę wartość, operator dźwigu będzie wiedział, że zeskoczyli, i wciągnie siatkę z powrotem, by nie było jej widać. W ten sposób, jeśli dostaną się nie zauważeni we mgle na pokład, będą mieli czas zebrać się na pokładzie dziobowym i zbadać teren, zanim przejdą do ataku.
MacGowan, niezwykle milczący, siedział podparłszy policzek dłonią. Przezornie nic nie mówił, kiedy opracowywano techniczną stronę akcji. Wcześniej, prywatnie, Winter naszkicował ten plan gubernatorowi, który uznał go za możliwy do wykonania, jeżeli mgła będzie dostatecznie gęsta. Był to szalony, zuchwały projekt, podobny do poprzedniego planu Wintera, dotyczącego uprowadzenia Challengera. Powiódł się, ponieważ się go zupełnie nie spodziewano. Teraz też było mało prawdopodobne, że LeCat i pozostali terroryści przewidzą, że jacyś ludzie spuszczą się na nich jak pająki na pajęczynach.
Wielką zaletą tego planu, według MacGowana, było to, iż omijał warunek LeCata, by żaden statek powietrzny, nawodny czy podwodny nie zbliżył się do tankowca pod groźbą zastrzelenia zakładników.
Tankowiec sam podpłynie do miejsca desantu. Nie było żadnego innego planu możliwego do wykonania - Bóg jeden wie, że wałkowali ten temat dostatecznie długo.
MacGowan z zafascynowaniem obserwował, gdy w miarę dyskusji Winter stopniowo zaczyna dominować w tym zgromadzeniu. To rzadko spotykana osobowość - stwierdził. Ten człowiek zniewalał otoczenie, a wszyscy, chcąc nie chcąc, ulegali jego nieodpartemu urokowi. MacGowan znał już kiedyś podobnego człowieka. Przed wielu laty, gdy był jeszcze prokuratorem stanowym, znał człowieka, który z pewnością był winny stawianych mu zarzutów.
MacGowan przegrał tę. Sprawę - oskarżonego wypuszczono na wolność, bo swą chłodną, cyniczną osobowością zdołał wywieść w pole ławę przysięgłych.
- Skąd będziemy wiedzieć, gdzie umieścić ten ruchomy dźwig?

-spytał w końcu gubernator. - Trzeba go ustawić dokładnie pod pokładem tankowca jeszcze przed jego dotarciem do mostu.
- Radar - odparł Winter. - Musimy ustawić na moście ruchomy radar, który namierzy zbliżającego się Challengera. Gdy Mackay ustali jakiś kurs, to się go trzyma, nie będzie się przecież pałętał po tym kanale...
MacGowan pochylił się do przodu, chwytając dłońmi stół. - Skoro to omówiliśmy, powinniśmy zacząć przygotowania. Nie możemy w nieskończoność liczyć na wytrzymałość psychiczną LeCata.
...kanał Golden Gate zostanie udostępniony za kilka godzin.
Proszę czekać na następną wiadomość z pozwoleniem na wejście do San Francisco Bay. Ustalono już sposób odebrania rannych.
Była to piąta wiadomość, jaką otrzymał LeCat, podpisana przez MacGowana, gubernatora stanu Kalifornia. To trochę złagodziło jego irytację. Kiedy nastał nowy dzień, środa 22 stycznia, a słońce rozproszyło mgłę w kanale, LeCat pogodził się - acz niechętnie -z faktem, że miała miejsce kolizja.
Około trzech mil od miejsca, gdzie u wybrzeża stał tankowiec, niedaleko mostu Golden Gate, pośrodku kanału znajdowały się dwa statki transportowe w pozycji niby
- kolizji. Obok nich był jeszcze jeden statek z dźwigiem. MacGowan kazał przygotować ten happening jeszcze przed nastaniem świtu, a OHara z zarządu portu go zorganizował. Wszelkie wątpliwości co do autentyczności tej sceny, jakie mógłby mieć LeCat, rozwiały się, kiedy poprosił Kinnairda o wiadomości radiowe z lądu.
Peretti wydał oświadczenie o kolizji, które podano do serwisu wiadomości na całym świecie wraz ze wzmiankami o uprowadzeniu. Dla LeCata był to dzień pełen satysfakcji - otrzymywał wiadomości od gubernatora Kalifornii i słuchał dzienników z odległego Londynu.
W Anglii mówiono o tym najwięcej. Po raz pierwszy w życiu Jean - Julesa LeCata jego dokonania były światowym dziennikarskim hitem.
- Myślę, że teraz traktują mnie w końcu poważnie - powiedział do Mackaya po tej piątej z kolei wiadomości. - Jeżeli jednak nie zaczniemy wkrótce płynąć, to zastrzelę dwóch z twoich ludzi i wyrzucę ich ciała za burtę. Czy to jasne?
- Jasne jest tylko to, że nastąpiła kolizja, którą możesz zobaczyć na własne oczy...
- Mackay wyjrzał przez rozbite okno na mostku kapitańskim. Wyglądało, że mgła już nie wróci tego wieczora, i bardzo dobrze, jeśli dziś w nocy ma przeprowadzać swój statek przez Golden Gate.

o godzinie 6.00 w San Francisco panowały ciemności. W biurze MacGowana było bardzo chłodno. Ustalono, że grupa szturmowa, która zostanie zrzucona z mostu, będzie liczyła trzy osoby.
Zaakceptował to zarówno Winter, jak i Cassidy. - Jeśli się wyśle więcej ludzi na ten pokryty mgłą pokład, to zaczną wzajemnie do siebie strzelać -ostrzegł Cassidy.
Szczegółowo omówili sprawę wyposażenia w broń. - Broń o dużej precyzji rażenia
- nalegał Winter. - Terroryści na pokładzie tego statku muszą zostać wyeliminowani jeden po drugim, w kolejności, w jakiej zostaną odnalezieni. I cicha broń. Idealny byłby karabin DeLisle, ale nie macie go tutaj... - Karpis z FBI odnalazł trzy takie karabiny, sprawdziwszy w Oddziale Alkoholu i Podatków, który nie gdzie indziej niż w Hollywood zarejestrował cztery takie sztuki. Firma dostarczająca broń do filmów i telewizji miała je w swoim magazynie. MacGowan zadzwonił do szefa policji w Los Angeles, samochód patrolowy pomknął do firmy znajdującej się przy Hollywood Boulevard, i po godzinie karabiny leciały już samolotem do San Francisco.
A przy Fort Baker, po drugiej stronie mostu Golden Gate, był już w drodze ruchomy dźwig - w odpowiedzi na telefon od adiutanta Cassidyego. Ludzie ze Straży Przybrzeżnej dostarczyli radar, a dwie sznurowe siatki zostały schowane w pobliżu mostu. Komisarz Bolan uprzedził wielu kierowców radiowozów, że będą potrzebni dziś wieczorem, a oddział piechoty morskiej odbywał ostatnie ćwiczenia w strzelaniu. O 6.15 Cassidy rozejrzał się po twarzach siedzących przy stole i zadał to najważniejsze pytanie.
- Kto się wybiera w tę podróż w jedną stronę?
Przez chwilę zapanowała cisza, a potem Cassidy znów zabrał głos: - Ja się wybieram. Potrzebuję jeszcze dwóch ludzi, którzy znają ten statek - bo ja go nie znam.
- Ja idę - zdecydował cicho Sullivan. - Przebyłem całą tę drogę aż od Bordeaux, żeby wziąć udział w tym zebraniu. Ale chciałbym trochę poćwiczyć z karabinem DeLisle, jak go przywiozą.
- Były wywiad marynarki wojennej - powiedział Cassidy.
-Nadaje się pan. Jeszcze tylko jeden ochotnik...
Winter tym razem się nie odzywał. Wyczuwał, że go odrzucą, jeśli sam się zgłosi. Zapalił papierosa i patrzył na pułkownika z piechoty morskiej z obojętną twarzą. Cassidy uśmiechnął się sarkastycznie i

zwrócił się do Wintera: - Pan to zaczął, więc od pana zależy, czy pomoże pan to dokończyć...
- Na to nie pozwolę - zaprotestował gwałtownie Peretti. - Może on nadal chce nas wykiwać...
- Jak, na miłość boską? - wybuchnął MacGowan. - A może chcecie jeszcze jednej sesji z tym waszym cholernym wykrywaczem kłamstw? To robota dla kogoś, kto dobrze zna ten statek. Na rany Chrystusa, Peretti, my nie zejdziemy po linie we mgle...
- Nie ma żadnej mgły - zauważył burmistrz. - Czy oni zejdą, jeśli będzie pogodna noc, jeśli księżyc będzie ich oświetlał jak reflektor?
- Już to postanowiliśmy - warknął Cassidy. - Jeśli nie będzie mgły,. To nam się nie uda. Ale musimy już wkrótce wysłać wiadomość z zezwoleniem na wejście tankowca do Bay - zajmie mu to całe godziny, żeby tu dotrzeć, bo będzie płynął z prędkością zaledwie pół węzła. - Spojrzał na Wintera. - Tak jak mówiłem, od pana zależy, czy pomoże nam pan zakończyć tę sprawę. Ma pan jakieś zastrzeżenia?
- Tak - odparł Winter. - Tracimy czas. Chcę wyjść i lepiej się rozejrzeć po tym moście Golden Gate...
Mgła pojawiła się o 8.00 wieczorem.
Nadciągnęła potężnąfalą, opuszczając się nad kanałem przy moście Golden Gate jak machina oblężnicza, wyciągając długie paluchy szarej pary nad spokojną powierzchnię oceanu. Te przybyłe znad Pacyfiku opary owinęły się wokół latarni morskiej Mile Rocks, zasłoniłyją i wystrzeliły w stronę mostu. Stojąc na chodniku mostu przy sześciopasmowej autostradzie, Winter widział tę nadciągającą mgłę w świetle księżyca. Dotarła do mostu, przewaliła się pod Winterem i rozszerzyła na północ wzdłuż wybrzeża hrabstwa Marin, a na południe w kierunku miasta. To była rzeczywiście bardzo gęsta mgła.
Po raz pierwszy od otwarcia tego potężnego mostu w 1937 roku nie było na nim żadnego ruchu - został zamknięty z obu stron.
W pobliżu miejsca, gdzie stał Winter, prawie na środku mostu, ustawiono ruchomy dźwig. Parę metrów dalej dostrzegł operatora radaru. Utworzono połączenie telefoniczne pomiędzy operatorem radaru a kierowcądźwigu. Sam dźwig, zwyklejasnopomarańczowy, " został przemalowany szybko schnącą farbą na nie rzucający się w oczy szary kolor.
- Usatysfakcjonowany? - spytał MacGowan zza pleców Wintera.
- Przygotowaliście ten pozorowany ruch uliczny?
- Czekają - w obu końcach.

Na moście musiał być jakiś ruch uliczny, kiedy zbliży się do niego tankowiec - opustoszały most mógłby się wydać LeCatowi podejrzany. Gdyby go zobaczył poprzez mgłę, nie mogło się tam dziać nic, co by przykuło jego uwagę. Winter podszedł do dźwigu i pochylił się nad balustradą przy chodniku. Duża sznurowa siatka zwisała z dźwigu nad niewidoczną przepaścią. W dole była jedynie mgła. Ten środek transportu miał ich przenieść około 54 metrów niżej, aż zawisną tuż nad pokładem Challengera.
- Jeśli ten tankowiec będzie się tak wlókł - powiedział MacGowan - to powinien się pojawić w tym miejscu około pierwszej w nocy.
- Zdaje pan sobie sprawę - ostrzegł Winter - że gdy wylądujemy na pokładzie dziobowym, być może będziemy się musieli ukrywać przez jakiś czas i czekać na odpowiedni moment, by zaatakować mostek?
- Modlę się tylko, żeby to nie trwało zbyt długo - skomentował gubernator. - Im dłużej, tym więcej będzie czasu na to, żeby coś poszło nie po naszej myśli.
W takim samym wojskowym ubraniu roboczym, jak Winter i Cassidy, Sullivan nadbiegł szybkim truchtem od strony tego końca mostu, który otwierał się na hrabstwo Marin. Chcąc rozruszać mięśnie po sztywnym siedzeniu na tylu zebraniach, miał tu dużo miejsca na trening - most od końca do końca ma 2600 metrów długości.
Pochylił się nad balustradą i spojrzał, gdzie będzie się opuszczał.
- Gęsta jak grochówka - zauważył. - Miejmy ufność w Bogu, że ta mgła się utrzyma.
Przez ponad pół godziny Winter kręcił się gorączkowo wraz z Cassidym, sprawdzając wszystko, zadając pytania i powtarzając przedstawienie, jakie odegrał, kiedy dostawał się na pokład Pecheura w porcie Victoria w Kanadzie. Pecheur, czekający na Pacyfiku, wkrótce miał się znaleźć pod obserwacją łodzi podwodnej, która została już wysłana z San Diego. Hydroplan zakotwiczony w Zatoce Richardsona także był obserwowany przez ukryty oddział piechoty morskiej i wycelowano w niego niewielkie działko. Wszystkie drogi ucieczki, które mógłby wykorzystać LeCat i inni, zostały zablokowane.
- Z pewnością coś pójdzie niezupełnie tak - zauważył w pewnym momencie Winter, zwracając się do Cassidyego. - Zawsze zdarza się coś takiego, czego się nie przewidziało, niezależnie od tego jak starannie zaplanowałoby się operację...
- Wtedy szybko zmienimy zdanie - może nawet, gdy będziemy wisieć w powietrzu.

Rzeczywiście zaplanowali to starannie. Dwa samochody z wyłączonymi światłami
stały zaparkowane niedaleko dźwigu, a wewnątrz nich znajdowało się sześciu żołnierzy piechoty morskiej, strzelców wyborowych z karabinami, które osobiście wybrał Cassidy. MacGowan nalegał na ten środek ostrożności: gdyby mgła nagle się rozwiała, gdy tankowiec będzie już w pobliżu mostu, ludzie na sznurowej siatce zawieszeni w powietrzu staliby się łatwym celem dla uzbrojonych terrorystów znajdujących się na głównym pokładzie. Gdyby to się zdarzyło, żołnierze piechoty morskiej wyskoczyliby z samochodów, pochyliliby się nad balustradą i zastrzelili tylu terrorystów, ilu tylko by mogli.
Przy każdym końcu mostu czekał człowiek z kamerą filmową wyposażoną w teleobiektyw. Gdyby mgła się rozwiała choćby na moment, zrobiliby zdjęcia tankowca - zawsze może się zdarzyć coś ciekawego. Jeszcze inni ludzie wjechali windami poruszającymi się przy wieżach mostu i sterczeli teraz na stu pięćdziesięciu metrach nad autostradą, tuż pod latarniami kierunkowymi dla samolotów. Byli wyposażeni w silne noktowizory i radiotelefony, przez które mogli się porozumieć z OBrienem, kierownikiem mostu. Zrobili wszystko - jak stwierdził Winter pod koniec swojej inspekcji - co tylko było możliwe. Aby do pierwszej...
Cała ta sprawa może się obrócić przeciwko nam, jeżeli York i Chester nie dotrądo Zatoki Perskiej na czas... I nie podoba mi się też to przebywanie brytyjskiego tankowca Challenger u wybrzeży San Francisco. Nasi analitycy wojskowi uważają, iż może istnieć powiązanie między gromadzeniem się wojsk syryjskich i egipskich a wygórowanymi żądaniami terrorystów na pokładzie tego tankowca...
Fragment komentarza ministra obrony wygłoszonego w brytyjskim gabinecie w środę 22 stycznia.
Dziewięć godzin lotu od miejsca, gdzie Winter i Cassidy właśnie zakończyli inspekcję mostu, szejk Gamal Tafak przechadzał się niespokojnie po pokoju, który zaczynał uważać za swoje więzienie.
Miał podkrążone oczy, ponieważ całą noc nie spał, słuchając wiadomości i czekając na doniesienie o zezwoleniu na wpłynięcie tankowca do Bay.
Zamiast tego ci z San Francisco anulowali pozwolenie, mówiąc coś o kolizji, w co Tafak ani przez moment nie wierzył. Nie otrzymał też potwierdzającej wiadomości od Ahm- eda Riada, że Winter jest w drodze do Paryża, gdzie ktoś inny miał go poinstruować, żeby udał się

do Bejrutu. Cierpliwości, mówił sam do siebie, wkrótce nadejdą dobre wiadomości...

Wzmianki o uprowadzeniu brytyjskiego tankowca stanowiły żer dla dzienników na całym świecie. Od Waszyngtonu po Tokio stanowiły ich najważniejszą część. PIERWSZE GROŹNE UPROWADZENIE STATKU... W Izraelu przeszło to bez echa, ale szefowie wojska podejrzewali, iż ma to jakiś związek ze zniknięciem z widoku publicznego szejka Gamala Tafaka.

Wszyscy wszędzie na coś wyczekiwali.

Otoczyła ich wilgotna, zimna mgła, tak gęsta, że z trudem wzajemnie się widzieli, trzymając dużej sznurowej siatki jak ludzie wspinający się ramię w ramię po murze. Ich stopy balansowały na szczeblach z liny, dłonie ściskały siatkę ponad głowami, karabiny DeLisle zwisały im z ramion. Colty czterdziestki piątki mieli wetknięte w kabury na ramieniu, a noże za paski. Winter miał także przymocowany do paska pistolet z pociskiem dymnym. Kiedy zostali opuszczeni w tę mgłę, zrobiło się zimno, a siatka zaczęła się kołysać. Nie widzieli niczego nad, pod ani przed sobą - nic oprócz gęstego, szarego tumanu.

Przed sobą mieli siatkę przyciśniętą do piersi, a z tyłu tylko przestrzeń, mgłę i daleko w dole ocean. Operator dźwigu opuszczał ich z prędkością 30 centymetrów na sekundę, czyli 18 metrów na minutę.

Musiał ich zawiesić w powietrzu dokładnie 6 metrów nad powierzchnią oceanu, co by znaczyło, że ominęliby forpik statku, którego nie mogli widzieć ani słyszeć. Powiedziano operatorowi dźwigu, że jeżeli by się pomylił zaledwie nieco ponad metr i zawiesił ich, powiedzmy, niecałe pięć metrów nad wodą, to zbliżający się stalowy dziób uderzyłby w nich jak pociąg ekspresowy - nie z taką szybkością, ale z taką siłą.

Zostaliby zmasakrowani, oderwani od siatki i rzuceni do wody, a pięćdziesięcio tysięcznik przepłynąłby nad nimi.

Nadal się opuszczali. Miało to trwać dokładnie trzy minuty, zakładając, że operator dźwigu zrobi to precyzyjnie. Uczepiony siatki Winter, któremu skroplona mgła spływała po twarzy, próbował dostrzec świecącą wskazówkę minutową na swoim zegarku.

Jeszcze dwie minuty.

Opuszczano ich wciąż w tej straszliwej mgle, kurczowo trzymali się zdrętwiałymi palcami siatki. Wydawało się, że strasznie szybko się zniżają, kierując ku oceanowi, jakby mechanizm dźwigu wymknął się

spod kontroli, coraz niżej, niżej, niżej... I siatka okropnie się kołysała, bardziej niż Winter przewidywał. Ponad nimi, przy haku przytrzymującym siatkę, znajdował się ołowiany ciężarek, który miał zminimalizować kołysanie. Byli jak na huśtawce, balansując powoli w tył i w przód - w próżni i mając pustkowie pod sobą.
W okolicy ust Wintera do siatki przymocowano radiotelefon, który był bezpośrednio połączony z operatorem dźwigu, znajdującym się teraz wysoko nad nimi, gdzieś w białych obłokach. Gdyby Winter stwierdził, że coś idzie nie po ich myśli, mógł mieć czas, by krzyknąć krótkie ostrzeżenie, które dotarłoby do operatora dźwigu zanim będzie za późno. Maksymalna dokładność urządzenia radarowego, żeglarska umiejętność Mackaya utrzymywania stałego kursu oraz trzydziestometrowa szerokość tankowca praktycznie gwarantowały, że znajdą się nad kolosem, gdy będzie pod nimi przepływał. Ale kiedy, do diabła, skończy się to opuszczanie? Winter zerknął na zegarek na przegubie dłoni. Zostało jeszcze dziesięć sekund, a oni nadal zjeżdżali w dół jak winda. Czyżby coś się stało z licznikiem wysokości Nadal się opuszczali.
LeCat podjął dwa rodzaje środków ostrożności, o których ludzie na moście Golden Gate nie mogli nic wiedzieć. Wysłał jednego człowieka z radiotelefonem na wierzchołek fokmasztu. Drugi uzbrojony strażnik stał przy forpiku tankowca. Obaj mężczyźni wpatrywali się we mgłę, gdy Challenger zbliżał się do mostu.
Wewnątrz sterowni nie było cieplej niż na szczycie fokmasztu - przez okno rozbite podczas tajfunu dostawała się do środka mgła.
LeCat stał przy oknie, trzymając w ręku radiotelefon, i wszystko go irytowało: przepisowe wycie syren co dwie minuty, stanowiące ostrzeżenie we mgle, a także niewiarygodnie powolne poruszanie się statku. - Przestrzegając instrukcji MacGowana - której kapitan nie rozumiał -Mackay przeprowadzał statek przez kanał z prędkością ośmiu węzłów, co oznaczało, że względem dna poruszali się z szybkością pół węzła. - Prawie wcale nie płyniemy - warknął LeCat. - Nadal nie rozumiem, dlaczego musimy się wlec jak ślimak... - Mgła. - Ta odpowiedź nie uspokoiła terrorysty. Przypuszczał, że znajdowali się już blisko miejsca kolizji dwóch statków transportowych. Zastanawiał się nawet, czy ci piekielni Amerykanie nie pozostawili tych 6 statków w kanale, tak by tankowiec uderzył w nie, poszedł na dno i wtedy oni wszyscy zginęliby w wypadku. Problem rozwiązałby się sam. LeCat niepotrzebnie się przejmował: o zmierzchu wszystkie

trzy statki biorące udział w pseudokolizji zostały usunięte do wschodniej części Bay.
Mackay odwrócił się plecami do LeCata i stanął przy sterniku.
Sterowanie było ręczne, warkot silnika powolny i regularny, a z tego, co widzieli, równie dobrze mogli się znajdować pośrodku Pacyfiku.
Mackay podszedł do ekranu radaru i spojrzał na jego wskazania, a LeCat wezwał przez radiotelefon człowieka znajdującego się na fokmaszcie.
- Andre, widzisz już zarys mostu?
- Nic, tylko mgłę - jego głos brzmiał posępnie. - Zaczekaj chwilę, widzę, że coś się porusza...
Wysoko, po lewej stronie, mgła się uniosła i powstał otwór w jej szarej kurtynie. Andre mocno przycisnął do oczu lornetkę. Opary się przerzedziły, a otwór powiększył. Noktowizor coś wychwycił, coś poruszającego się: niewyraźny obraz świateł, reflektorów pojazdów.
Podregulował ostrość i ujrzał sylwetkę samochodu.
- Widzę most! - Andre był podekscytowany. - Widzę most! Jesteśmy już blisko....
- Jak blisko? - spytał LeCat.
- Jakieś dziewięćdziesiąt metrów... - Mackay odpowiedział na to pytanie, odchodząc od ekranu radaru. - Powinniśmy przepłynąć pod mostem za kilka minut...
A na moście odbywał się spokojny, dwukierunkowy ruch, utworzony przez radiowozy prowadzone przez policjantów w cywilnych ubraniach. Poruszali się po wydłużonej elipsie, zjeżdżając z mostu na obu jego wylotach, zawracając i wracając na most. Od czasu do czasu pojawiał się nawet Greyhound pełen pasażerów, którymi byli żołnierze piechoty morskiej ubrani po cywilnemu, a ich karabiny leżały na podłodze. Poruszali się po czterech wewnętrznych pasach autostrady, pozostawiając dwa zewnętrzne samochodom z wyłączonymi światłami, zaparkowanymi przy chodnikach.
Burmistrz Peretti, okutany w palto, pochylił się ponad balustradą, próbując usilnie dostrzec zarys płynącego gdzieś tam w dole potężnego tankowca. Światło księżyca oświetlało przewalającą się na dole mgłę, przez którą nie mógł niczego dostrzec poza liną zwieszającą się z dźwigu.
Jeden z żołnierzy piechoty morskiej energicznie otworzył drzwi zaparkowanego samochodu i podbiegł do miejsca, w którym - niedaleko dźwigu - stał MacGowan. - Facet z wieży mostu od strony

Marin właśnie skontaktował się przez radio. Mgła się rozwiała
i on uważa, że na fokmaszcie tego statku jest wystawiona czujka...
MacGowan wspiął się do kabiny operatora dźwigu. - Ostrzeż ich - krzyknął. -
Na czubku fokmasztu jest czujka...
Pięćdziesiąt jeden metrów... pięćdziesiąt dwa i pół metra. Operator usłyszał MacGowana, ale nie odpowiedział, bo patrzył na licznik wysokości, instrument, który pokazywał mu jak nisko opuszczona jest siatka. Pięćdziesiąt cztery metry. Zakończył opuszczanie i odezwał się przez radiotelefon. - Winter, jesteście sześć metrów nad oceanem. Od tej chwili będę nasłuchiwał, czekając na ewentualne instrukcje, żeby opuścić was niżej. Aha, Winter, właśnie mnie poinformowano, że oni mają czujkę na fokmasz- cie...
Operator przełączył swój radiotelefon na odbiór. Miał do wykonania jeszcze jedną ważną operację. Siedział w kabinie, patrząc na wskaźnik ciężaru. Gdy wykaże stratę około 210 kilogramów, co mniej więcej równało się ciężarowi trzech ludzi, on wciągnie z powrotem siatkę na górę. To będzie znaczyło, że grupa szturmowa opadła na pokład. Albo do oceanu.
-... mają czujkę na fokmaszcie.
Winter pomyślał ponuro, że tego nie przewidział. Był zawieszony w powietrzu, mając Cassidyego po prawej i Sullivana po lewej.
Wszyscy trzej byli ściśnięci, ramię przy ramieniu, jak ludzie rozpięci na wieloosobowym kole tortur. Siatka zawieszona w powietrzu kołysała się lekko i była przesłonięta mgłą gęstą jak owsianka, tak że nie mogli dostrzec niczego, nawet oceanu znajdującego się sześć metrów pod nimi. Odwrócili się powoli. Odległe zawodzenie rogu mgłowego było jedynym dźwiękiem, jaki słyszeli. Nie czuli żadnego podmuchu wiatru, tylko przenikliwy chłód mgły i zimny pot ze strachu.
- Mają czujkę na fokmaszcie - szepnął Winter do Cassidyego.
- A to cholernie blisko miejsca, w którym mieliśmy wygodnie wylądować...
- Nie możemy go zastrzelić - odparł Cassidy. - To by zaalarmowało tych na mostku, zanim byśmy się do niego zbliżyli choć trochę... - głos Cassidyego był jakiś napięty
i nienaturalny w tej mgle. Winter z trudem mógł go dostrzec. Jak, u diabła, w ogóle mógłby zobaczyć forpik tego statku, kiedy będzie przepływał pod nimi?

- Składzik stolarski - powiedział Winter. - Możemy tam trochę poczekać - jest na pokładzie dziobowym. Słyszałeś, Sullivan?
- Aż za dobrze - odparł bez entuzjazmu Sullivan. Winter zerknął na zegarek. To cho lerstwo powinno nadpłynąć lada moment - 50000 ton przesuwających się po wodzie jak ruchomy stalowy mur...
Był spięty i nic nie mógł na to poradzić. Ostrzeżenie nagłe, długie wycie syreny, świdrowało nieustannie jego bębenki.
Spojrzał w dół. Owsianka, nic tylko owsianka. Jeszcze sekundy i poczują ten statek
- jak w nich walnie. Był już tak blisko, drogi Boże - syrena statku nadal go ogłuszała. Gdzie, do diabła, jest ten cholerny tankowiec?..
- Skacz! Teraz!
Mgła nie była tak gęsta, jak się wydawało. Niecałe dwa metry pod nimi zaczęła się przesuwać szara, ledwo widoczna platforma.
Winterowi zdawało się, że dostrzegł jakiegoś człowieka, a potem już go nie było.
Wintera także już nie było. Spadał. Razem z innymi. Sześćdziesiąt metrów wyżej, wskazówka wskaźnika ciężaru cofnęła się o blisko 205 kilogramów. Poszli! Operator nacisnął dźwignię. Pełna szybkość. Siatka sznurowa została wciągnięta do góry, znikając z pola widzenia.
- Poszli! - krzyknął do MacGowana.
Winter spadł na pokład jak spadochroniarz, potoczył się po nim, przyjmując uderzenie na barki. Walnął o reling przy lewej burcie.
Stanął na nogi z nożem w dłoni. Niewyraźna postać w kurtce z kapturem wyłoniła się z mgły. Terrorysta... Postać zatrzymała się, a głowa odchyliła się do tyłu. Stojący z tyłu Cassidy złapał ją, zakrywając dłonią usta. Winter wbił nóż w górną część klatki piersiowej walczącego człowieka. Nadal trzymając nóż, poczuł ostatni konwulsyjny paroksyzm, po czym mężczyzna osunął się w ramiona Cassidyego. Sullivan pomógł
Amerykaninowi przenieść ciało do relingu, gdzie przerzucili je za burtę. Nie usłyszeli żadnego plusku, tylko równomierny warkot silników tankowca zbliżającego się do Bay pod mostem Golden Gate. Winter pozostawił skorpiona terrorysty w pobliżu relingu, co stwarzało wrażenie, że człowiek wypadł za burtę.
- Idźcie za mną - wyszeptał - i trzymajcie się blisko mnie. Mgła już się przerzedziła...
- Jest już za rzadka, żeby ryzykować przechodzenie obok fokmasztu - zgodził się Cassidy - a ta czujka może mieć połączenie radiowe z

mostkiem...
Winter odnalazł luk i zaczął go otwierać, podczas gdy Cassidy rozglądał się wokół, obserwując z niepokojem fokmaszt. Mgła się dalej przerzedzała, co często miało miejsce na wschód od Golden Gate.
Zaklął pod nosem, bo widział tylko dolną część fokmasztu, a górna nadal była poza zasięgiem wzroku. Z czym, do diabła, ten Winter tak się bawi?
Anglik otwierał luk bardzo ostrożnie, uważając, by nie robić hałasu. Dzięki Bogu był dobrze naoliwiony, ale przecież to brytyjski tankowiec, a nie jedno z tych liberyjskich arcydzieł. Otworzył luk i pozwolił najpierw zejść innym. Podążył za nimi, zatrzymując się, gdy pokrywa była już prawie zamknięta, i wyjrzał przez, dwucentymetrową szczelinę. Mgła nadal była zbyt gęsta, by dostrzec falochron, nie mówiąc o mostku, ale rozwiała się przy wierzchołku fokmasztu.
Winter, wyglądając przez tę wąską szczelinę, wyraźnie widział czujkę -mężczyznę z noktowizorem spoglądającego na południe. Winter bardzo powoli zamknął pokrywę luku.
Na mostku kapitańskim Mackay kłócił się gwałtownie z LeCatem, podczas gdy statek zbliżał się do wyspy Alcatraz, którą radar wyraźnie wskazywał.
- LeCat, ja nie podprowadzę tego statku w pobliże San Francisco.
Mamy płynąć do Oleum - to jest w pobliżu Richmond, we wschodniej części Bay...
- W takim razie zastrzelimy Bennetta na twoich oczach, na tym mostku. - Drugi oficer, Brian Walsh przełknął głośno ślinę, kiedy LeCat wydał po francusku rozkaz jednemu ze strażników, żeby przyprowadził Bennetta. Potem powiedział strażnikowi, żeby zaczekał, ponieważ kapitan zaprotestował. - Nie możecie tak po prostu zamordować człowieka. To nieludzkie...
- To ty zabijesz Bennetta - w twojej mocy leży ocalenie go. Chodź ze mną do kabiny nawigacyjnej.
LeCat poszedł pierwszy. W kabinie nawigacyjnej wskazał na mapę leżącą na stole.
- Podprowadzisz statek do tej pozycji, tu, gdzie jest krzyżyk...
Wskazywał na znak, który wykonał Winter, zanim opuścił statek.
- Zanim się zgodzę, muszę wiedzieć, po co to robimy - odparł ponuro Mackay.

- Trzeba być dość blisko, by nawiązać łączność między statkiem a wybrzeżem w celu przeprowadzenia negocjacji z władzami. Jeśli zgodzą się na moje żądania, wysiądziemy na brzeg przy tym pirsie.
Wejdziemy do autobusu, który nam dostarczą, i pojedziemy na lotnisko, gdzie będzie czekał samolot do Damaszku.
Chyba, pomyślał LeCat obserwując twarz Mackaya, wyraziłem to dość przekonująco.
- Teraz wiesz, co się stanie - kontynuował LeCat - więc przystępuj do dzieła. Nie pragnę nikogo zabijać - to by tylko skomplikowało sprawy.
- Do tego miejsca? - Mackay przyłożył palec do krzyżyka na mapie, który wskazał LeCat. - To zaledwie niecały kilometr od nabrzeża San Francisco.
- Zgadza się. A teraz zrobisz, co mówię, czy mam kazać przyprowadzić Bennetta na mostek? Czas mi nie sprzyja, więc nie mam już cierpliwości...
Mackay bez słowa wrócił na mostek kapitański i osobiście wydał instrukcje sternikowi. Potem poszedł na przód mostka i stał tam z rękami założonymi do tyłu, spoglądając na główny pokład. Mgła się już przerzedziła, widział więc odległy pokład dziobowy. Nie odrywał od niego wzroku, ani przez chwilę nie myśląc o składziku stolarskim pod pokładem dziobowym.
O 3.00 rano Challenger, który zwiększył prędkość w Bay, stał już zakotwiczony niecały kilometr od pirsu numer 31 na nabrzeżu San Francisco. W biurze MacGowana ustawiono sprzęt służący utrzymywaniu łączności pomiędzy statkiem a wybrzeżem - w odpowiedzi na sygnał od LeCata, że chce mieć bezpośredni kontakt z gubernatorem Kalifornii. Przewidując, że sztab dowodzenia akcją będzie miał przed sobą długie godziny działania, MacGowan kazał sprowadzić łóżka, które stały teraz w przyległych pokojach. Wydawało się, że ta trzyosobowa grupa szturmowa poszła na dno, przed czym ostrzegał Winter.
Obserwatorzy usytuowani wzdłuż nabrzeża i wysoko na moście Bay, spinającym San Francisco z Oakland, badali stojący statek przez silne noktowizory. Nie było żadnych świateł na pokładzie statku ani nigdzie żadnego ruchu. - Pewnie rzednąca mgła ich powstrzymała - powiedział MacGowan do generała Matthew Lepkea z Presidio. - Nie ryzykowaliby szturmu na mostek, jeśli nie byłoby zasłony z mgły -pomiędzy pokładem dziobowym a mostkiem przy rufie jest przecież ponad sto osiemdziesiąt metrów odkrytego pokładu. Wszyscy

zakładnicy zostaliby zamordowani, zanim oni by tam dotarli. Sami też prawdopodobnie zostaliby zastrzeleni, zanim w ogóle dotarliby do konstrukcji mostka kapitańskiego...
Pięćdziesięcioletni generał Lepke, o którym powiadano, że zmierza do Pentagonu po trupach pięćdziesięciu innych generałów, był szczupłym, muskularnym mężczyzną z ptasią twarzą i niespokojnymi oczyma. - Cassidy będzie wiedział, co ma robić - zauważył. - Problem w tym, że może będzie musiał czekać aż do wieczora - kolejne szesnaście godzin - zanim, być może, pojawi się następna mgła.
Będziecie musieli przedłużyć negocjacje z tym szefem terrorystów....
- Tyle że możemy być właściwie pewni, iż w pewnym momencie on i tak zabije zakładników - skomentował MacGowan.
Pierwsze połączenie odbyło się po kilku minutach. Francuz, którego głos rozległ się w głośniku, wydawał się pewny siebie i zdecydowany.
Powtórzył swoje ostrzeżenie.
- Wszystkich dwudziestu dziewięciu zakładników - włącznie z tą amerykańską dziewczyną - natychmiast zastrzelimy, jeżeli do Challengera zbliży się jakikolwiek statek powietrzny, nawodny lub podwodny...
- A co z rannymi? - domagał się odpowiedzi MacGowan. -W waszej wcześniejszej wiadomości wspominaliście o dziewięciu rannych na pokładzie statku - włącznie z panną Cordell...
- Jeszcze nie ma żadnych rannych - krzyknął Francuz. - To była pomyłka. A teraz już mi nie przerywajcie. Nie będę powtarzał tego, co powiem...
LeCat mówił dalej, że jego ostateczne żądanie zostanie wysunięte we właściwym czasie. Tymczasem na międzynarodowym lotnisku w San Francisco ma zostać przygotowany Boeing 747 ze zbiornikami pełnymi paliwa; trzeba też załatwić autobus Grey- hounda, którego okna mają być zamalowane na czarno i który musi podjechać pod pirs numer 31; dwieście milionów dolarów musi zostać złożone w Bank of America w ciągu pięciu godzin.
- Zostaniecie poinformowani, co dalej zrobić z tymi pieniędzmi -zakończył LeCat.
MacGowan próbował protestować, ale zdał sobie sprawę, że LeCat przerwał
połączenie statek - wybrzeże. Próbował coś wtrącić jeszcze kiedy LeCat mówił, ale Francuz nie dał mu dojść do słowa.
Kiedy będę chciał, żebyście mówili, to was o tym poinformuję.

A teraz, to wy posłuchajcie! Jeżeli jeszcze raz mi przerwiecie, to zastrzelę pierwszego oficera, Bennetta.
Potem nastąpiła straszna chwila. Rozległ się pojedynczy wystrzał.
MacGowan spojrzał na siedzącego przy nim Lepkea. Usta generała zacisnęły się. LeCat znów się połączył. - Ta kula wyszła przez okno.
Następna trafi w Bennetta...
- To łajdak - powiedział MacGowan, kiedy wyłączono głośniki.
- Coś tu się nie zgadza. Czy on naprawdę chce negocjacji?
Mówił tak, żeby zabrzmiało to cholernie przekonująco - to żądanie odrzutowca, autobusu...
- Zastanawiam się - powiedział ponuro Lepke - jakie będzie to jego ostateczne żądanie. Co trzyma w zanadrzu?
MacGowan natychmiast usiadł do telefonu i zaczął załatwiać sprawy związane z autobusem, odrzutowcem i pieniędzmi. Ważne było, by sprawiać wrażenie, że współpracują z LeCatem, i utrzymywać go w tym przekonaniu. To da czas grupie szturmowej na pokładzie statku, by mogła rozpocząć akcję. Nadal nie był przekonany o prawdziwości żądań wysuwanych przez LeCata i obawiał się, że Winter się myli.
Winter powoli uniósł pokrywę luku, przytrzymał ją tak, by powstała kilkucentymetrowa szczelina, i spojrzał na główny pokład. Statek zatrzymał się. Zegar pokazywał 3.00 rano, nad pokładem dziobowym unosiła się przezroczysta smuga mgły, ale główny pokład był wyraźnie widoczny. Anglik miał dobry widok - wyłączył światło w składziku stolarskim kilka minut wcześniej, by jego oczy przywykły do ciemności.
Fokmaszt widać było doskonale.
Coś się poruszyło na okrągłej platformie przy wierzchołku fokmasztu; powoli chodził po niej mężczyzna, który przez chwilę był odwrócony do Wintera plecami. Anglik pomyślał, że chyba poznaje go po ruchach - to prawdopodobnie Andre Dupont. Przycisnął do oczu miniaturową lornetkę i jedną ręką nastawił ostrość. Człowiek na fokmaszcie trzymał w ręku przedmiot o kształcie pudełeczka, prawdopodobnie radiotelefon. Cassidy miał rację: istniała łączność pomiędzy Dupontem a odległym mostkiem kapitańskim.
Zamknął luk, kiedy człowiek na fokmaszcie odwrócony był w drugąstronę, po omacku zszedł w ciemności po drabinie i zapalił światło.
Siedzący na podłodze z plecami opartymi o gródź Sullivan i Cassidy spojrzeli na niego w górę nerwowo i pytająco. - Niedobrze -

powiedział Winter. - Nad pokładem prawie nie ma mgły, a na fokmaszcie jest ciągle ten człowiek czujka. Ma radiotelefon.
Doniesie o naszej obecności, zanim zejdziemy z pokładu dziobowego. Wszyscy zakładnicy będąjuż martwi, zanim znajdziemy się w połowie drogi do mostka...
- Gdzie jesteśmy? - spytał Sullivan. - Gdzie oni się zatrzymali?
- Nie jestem pewien - brzeg jest przesłonięty pasem gęstej mgły, co oznacza, że ludzie na lądzie nie będą mogli zobaczyć tankowca.
Przypuszczam, że LeCat zatrzymał się tam, gdzie mu kazałem - niecały kilometr od pirsu numer 31.
- Jezu! - Cassidy wyprostował nogę, która mu już zesztywniała. - Wygląda na to, że będziemy tu siedzieć całymi godzinami. -Rozejrzał się po ich ciasnej siedzibie. - Mówisz, że ta aparatura ratunkowa była tutaj?
- Była... - Ale łodzi Zodiac już tu nie było. Zniknął też silnik przyczepny. Nie było też walizek z kombinezonami do nurkowania.
Wszystko wskazywało na to, że LeCat rozpoczął przygotowania do ucieczki. To także komplikowało początkowy plan Wintera: chciał czekać w składziku, aż któryś z terrorystów, może nawet dwóch, przyjdzie tu po sprzęt. Mogliby po cichu wyeliminować tych ludzi, zabrać ich wierzchnie ubrania, a potem jawnie poruszać się w ciemności po głównym pokładzie. Teraz musieli czekać. Była to denerwująca perspektywa i w małym pomieszczeniu już zaczęło narastać napięcie.
Stojący na mostku LeCat pozwolił Mackayowi przysłuchiwać się jego rozmowie z MacGowanem. Teraz on tu dowodził i Francuzowi wydało się ważne, by uspokoić brytyjską załogę, zwłaszcza jej kapitana.
Gdy skończył swój dyktatorski monolog, przerwał połączenie i zdawało mu się, że ujrzał wyraz ulgi na twarzy Mackaya, gdy wspomniał o dostarczeniu autobusu i samolotu. Spojrzał na zegarek, by sprawdzić, kiedy znów będzie musiał zadzwonić do MacGowana.
Wcześniej, kiedy przepływali koło wyspy Alcatraz, Dupont doniósł LeCatowi, że człowiek czujka na forpiku zaginął. LeCat pośpieszył na pokład dziobowy, ponieważ mgła się rozwiewała. Znalazł pistolet Skorpion leżący przy relingu, a obok pustą butelkę po winie. Klnąc na tego człowieka, że pił na służbie, doszedł do wniosku, że ten idiota pewnie się przewrócił i wypadł za burtę. Szybko zapomniał o tym incydencie, idąc do swojej kajuty po miniaturowy nadajnik z wysuwaną antenką.

Odtąd ten instrument miał mu wszędzie towarzyszyć. Do urządzenia nuklearnego, które znajdowało się teraz głęboko we wnętrzu pustego zbiornika na ropę, przymocowany był mechanizm zegarowy, a także miniaturowy odbiornik, jakiego używają konstruktorzy modeli latających. Odbiornik ten włączał mechanizm zegarowy i mógł być uruchomiony jedynie wtedy, jeśli dotarłby do niego sygnał radiowy. Ten sygnał miał pochodzić właśnie z miniaturowego nadajnika LeCata. Jedno naciśnięcie guzika i nic na tym padole nie mogłoby powstrzymać zdetonowania urządzenia nuklearnego o ustalonej porze.
Napięcie panowało także w Paryżu, odległym ponad 8000 kilometrów od San Francisco. Była tam jedenasta rano i w Pałacu Elizejskim zwołano właśnie nadzwyczajne posiedzenie rządu. Wcześniej Karpis z FBI, po uzyskaniu zgody Waszyngtonu, zadzwonił bezpośrednio do Paryża, prosząc o informacje na temat Jeana - Julesa LeCata. Prośba ta - biorąc pod uwagę światowe dzienniki - podziałała jak elektrowstrząs na wyższych urzędników we francuskim rządzie.
Początkowo ministrowie rozważali czy nie powiedzieć Karpisowi, że musiała zajść jakaś pomyłka, że LeCat nadal przebywa w więzieniu Sante, a terrorysta w San Francisco jest najwyraźniej jakimś oszustem.
Logika Francuzów jednak zwyciężyła - to była za poważna sprawa, żeby ryzykować okłamywanie FBI. Trwały spory - dokumenty wykazują, że to posiedzenie trwało ponad dwie godziny - i w końcu podjęto realistyczną decyzję.
Przekazano inspektorowi Karpisowi szczegółowy techniczny raport o działalności przestępczej LeCata - jej strona polityczna została pominięta. Zapoznawszy się z tym raportem w San Francisco, Karpis uznał, że jest pouczający, ale ani trochę go nie przeraził. Osobnik, z którym mieli do czynienia, nie był zwykłym zbirem; był człowiekiem, który miał ogromne doświadczenie w brutalnych działaniach, najwyraźniej też dysponował talentem organizatorskim i kiedyś mieszkał już w Stanach. Pracownik FBI pominął niektóre dane techniczne, w tym momencie nie dostrzegł więc jakiegoś szczególnego znaczenia końcowej wzmianki: "... także ekspert od zdalnie sterowanych materiałów wybuchowych, to znaczy od detonowania ładunków przy pomocy sygnałów radiowych".
Następne połączenie z LeCatem za pomocą specjalnego urządzenia do łączności statek - wybrzeże miało miejsce o 4.00 rano. I znów

ostrzeżono MacGowana, żeby nie przerywał. - Uprzedzicie amerykańskiego ambasadora w ONZ, żeby czekał przy telefonie na wiadomość, jaką mu później przekażecie. Będziecie mieli określony czas na podjęcie decyzji, czy zgadzacie się, czy nie na moje żądanie. Jeżeli się nie, zgodzicie, wszyscy zakładnicy zostaną zastrzeleni po upływie tego, czasu...
Gdy LeCat mówił, w biurze gubernatora zebrał się cały sztab. Obserwowali MacGowana siedzącego z ponurą miną przed głośnikiem.
Wiedział, że po prostu musi tak siedzieć i słuchać, gdy tymczasem ten francuski terrorysta urządza wykład, narzucając gubernatorowi, co ma robić i że nie wolno mu przerywać.
MacGowan jednak mu przerwał.
- Jeżeli zastrzelicie ich teraz, to nie będziecie mieli żadnego mięsa armatniego na ten swój wyznaczony czas - powiedział brutalnie. - Ja cię słuchałem - teraz ty, do cholery, posłuchaj mnie. Dostarczam ci autobus...
Peretti wykrzywił twarz w przekonaniu, że to nie jest odpowiedni sposób załatwiania sprawy, że dojdzie do nieszczęścia, a MacGowan całkiem źle to rozgrywa.
LeCat wybuchnął głosem pełnym jadu.
- Przestań gadać i posłuchaj, jakie mam żądanie...
- Tak, jak powiedziałem - przerwał znów MacGowan - dostarczono środek transportu do waszej ucieczki. Czy w ogóle pozwolimy wam z niego skorzystać, całkowicie zależy od tego, co zaproponujecie i czy się na to zgodzimy. A teraz mów, co chciałeś powiedzieć...
- Zabiję dwóch zakładników - wrzasnął LeCat.
- Natychmiast wejdziemy na pokład. I nie będę dłużej z tobą rozmawiać, jeżeli nie dasz mi jakiegoś dowodu, że w tym momencie wszyscy zakładnicy żyją i mają się dobrze. Niech do mikrofonu podejdzie kapitan Mackay, jeżeli chcesz, żebym dalej z tobą rozmawiał...
Głos MacGowana to był właściwie ryk, Peretti był blady ze strachu. Pozostali pochylili się na krzesłach do przodu z wyrazem napięcia na twarzach. Generał Lepke przechylił głowę na bok jak ptak, przysłuchując się i obserwując MacGowana. Spodziewali się usłyszeć wystrzały.
Po drugiej stronie tego łącza, na mostku kapitańskim Challengera, stojącego niecały kilometr od pirsu numer 31, zaległa cisza. Tylko

jakieś trzaski zakłóceń i poplątane dźwięki. MacGowan opuścił głowę, wpatrując się spod gęstych brwi w głośnik, jak gdyby widział swego przeciwnika, jakby przed nim, na ławie, znajdował się wrogi mu świadek. Słychać było tykanie
zegara odmierzającego sekundy. Napięcie w pokoju było wprost nie do zniesienia. Wszyscy nadal czekali na dźwięk strzałów, a ich ciała napięły się, jakby to oni mieli stanowić cel.
- Kapitan Mackay przy telefonie...
Zdecydowany, spokojny, bez emocji - taki był Mackay, gdy po raz pierwszy od czterech dni nawiązał kontakt ze światem zewnętrznym.
To nadzwyczajne - pomyślał MacGowan.
- Czy cała pana załoga żyje i ma się dobrze, panie kapitanie? -spytał. - Chcę wiedzieć, jaka jest sytuacja na pokładzie statku...
- Wszyscy żyjemy i wszyscy mamy się dobrze. To dotyczy też naszej amerykańskiej pasażerki, panny Betty Cordell.
- Zrobimy wszystko, co będziemy mogli, żebyście zostali bezpiecznie uwolnieni - powoli i z namysłem powiedział MacGowan.
- Będziemy w tym celu prowadzić negocjacje - kontynuował, wiedząc, że LeCat przysłuchuje się tej rozmowie. - Ale nikomu nie może stać się krzywda, w przeciwnym razie natychmiast przerwę wszelkie pertraktacje...
Po drugiej stronie rozległy się nerwowe chrząkania i zapanowało poruszenie, które wyczuwali wszyscy ludzie zgromadzeni w pokoju.
Potem LeCat powtórzył swoje rutynowe instrukcje i nagle przerwał połączenie. Ktoś w pokoju głęboko westchnął, a potem wszyscy zaczęli się niespokojnie kręcić, wstając
i przechadzając się w kółko, by rozluźnić napięte mięśnie.
- Nie sądzę, że pan dobrze to rozgrywa - powiedział Peretti.
- Bo w odróżnieniu ode mnie nigdy pan nie był adwokatem w sądzie. Człowiek na mostku Challengera to skrajny egotysta - zaczynam to poznawać i wyczuwać w jego głosie. Po raz pierwszy w swoim życiu ma ogromną publiczność - o wszystkim, co robi mówi cały świat. On wie o tym i to mu się podoba. Jego jedynym atutem jest fakt, że ma w swym ręku życie zakładników... - MacGowan pochylił się nad swoim biurkiem.
- Nie wyzbywa się go... na razie. Główne żądanie nie zostało jeszcze wysunięte - on nie zabije nikogo, zanim nie wysunie tego żądania. Założę się, że mamy jeszcze kilka godzin...
- Zakłada się pan o życie dwudziestu dziewięciu ludzi - warknął

Peretti. - Ja nie jestem aż takim hazardzistą.
Generał Lepke patrzył przed siebie nieobecnymi oczyma, jak gdyby właśnie coś mu przyszło do głowy.
- Czy on zawsze wspominał o tym, żeby do tankowca nie zbliżała się żadna łódź podwodna? - spytał. - Chciałbym zobaczyć zapisy wszystkich rozmów, jakie dotychczas z nim przeprowadzono, a także wiadomości, jakie wysyłał przez radio?
- Coś przyszło panu do głowy?
- Tak, pomyślałem o czymś niezwykłym, a może nawet przerażającym...
Generał Lepke bardzo szybko opuścił pokój. Wiedział, że ma tylko nieco ponad
godzinę, żeby zadziałać, bo tuż po siódmej miał nastąpić wschód słońca. Z innego biura wykonał telefon do bazy piechoty morskiej. Delfiny, które przywieziono z San Diego na szkolenie w Bay, zostały sprowadzone po kilku minutach od jego telefonu.
o 6.25 delfin Mac zsunął się z szalupy należącej do piechoty morskiej, zakotwiczonej przy brzegu, i szybko płynął w głąb zatoki.
Jo, drugi delfin, podążył za nim prawie natychmiast. Płynęły na głębokości trzech metrów pod powierzchnią wody, zmierzając ku jedynemu statkowi w zasięgu około kilometra, tankowcowi Challenger.
Na przodzie płynął Mac. W regularnych odstępach wypływał na powierzchnię, by nabrać powietrza. Było to stworzenie pełne wdzięku, ogromnie przywiązane do swojego trenera, sierżanta z piechoty morskiej, Grumanna. O tej porze nad powierzchnią wody było ciemno, parno i mgliście, więc z ulgą znów się zanurzał, czując się w wodzie jak w domu i coraz bardziej przybliżając do nieruchomego statku.
Do jego nosa przymocowano krążek przypominający ssawkę czy raczej kompas na gumowej podstawie. Już się przyzwyczaił do tego, że do jego ciała przyczepia się ten przyrząd; przez ostatnie dni sierżant Grumann zabierał go do Bay, wypuszczał i "kazał" mu płynąć w określonym kierunku. A on doskonale wiedział, co ma robić, i bardzo lubił tę "pracę"; jeszcze bardziej lubił wracać do szalupy, gdzie Grumann nagradzał go rybą. Płynął dalej - groźny kształt poruszający się w wodzie z siłą i pewnością, jakiej nie zdołałby naśladować żaden pływak olimpijczyk. Pod wodą przed nim widniał drgający kadłub tankowca.

Zwalniając podpłynął do tego kadłuba. Prawie w bezruchu dotarł do celu i delikatnie przycisnął doń swój pysk. Pole magnetyczne wewnątrz licznika Geigera zrobiło resztę, przyczepiając go do stalowego kadłuba. Plum! Ssawka była przymocowana. Delfin zatrzymał się, bo poczuł, jak jego potężnym ciałem szarpnęła fala. Ale zatrzymał się jedynie na kilka sekund, po czym mocno uderzył pyskiem o kadłub.
Pole magnetyczne zostało zneutralizowane na trzydzieści sekund.
Odczepiwszy się od kadłuba, Mac zawrócił szerokim łukiem, a jego ogon smagnął ten nieruchomy stalowy kształt. Potem znów szybko popłynął, pozostawiając za sobą tankowiec i poruszając się w ciemnej wodzie jak pocisk. Mknął z powrotem ku szalupie Grumanna, zakotwiczonej tuż przy nabrzeżu. Już po paru minutach połykał rybę.
Grumann sprawdzał licznikGeigera, kiedy dotarłdo niego drugi delfin.
Ręka sierżanta drżała, gdy podnosił słuchawkę telefonu zapewniającego mu łączność z brzegiem.
Zbliżał się wschód słońca, kiedy generał Lepke odebrał w biurze telefon. Słuchał, po czym zapytał: - Jesteś absolutnie pewien? -Odłożywszy słuchawkę, Lepke nieśpiesznie udał się do biura gubernatora, gdzie z kuchni przylegającej do głównej sali konferencyjnej właśnie podano sztabowi wczesne śniadanie. Aromaty bekonu, jajek i mocnej kawy nie sprawiły jednak, że Lepke poczuł głód. Bardzo cicho powiedział coś Mac- Gowanowi, by nikt inny go nie usłyszał.
Natychmiast obaj mężczyźni przeszli do biura Lepkea, które właśnie opuścił,
i zamknęli za sobą drzwi. Gubernator zadał niemal takie samo pytanie, jakie Lepke zadał wcześniej w rozmowie telefonicznej z Grumannem. - Jest pan pewien?
- Wykazał to licznik Geigera. Oni mają na pokładzie tego tankowca jakieś urządzenie nuklearne.
Czwartek 23 stycznia był jednym wielkim koszmarem dla MacGowana. Usilnie próbował opanować całą tę okropną sytuację.
Mnóstwo ludzi, nie mając dostatecznego rozeznania, próbowało wywrzeć na niego wpływ i skierować działania gubernatora w innym kierunku. Dwóch urzędników z Departamentu Stanu przybyło z Waszyngtonu. Jednym z nich był George Stark. Skrupulatny człowiek o szczupłej twarzy, który nalegał, by MacGowan "prowadził negocjacje w sposób elastyczny..." Chodziło o następstwa w skali

międzynarodowej - gdyby doszło do katastrofy, po całej Ameryce mogłaby się przetoczyć fala antyarabskich nastrojów. A już chodzą słuchy, że Złote Małpy rozważają ewentualność dalszego ograniczenia dostaw ropy naftowej na Zachód... Eksperci z Komisji Energii Atomowej przyjechali bez rozgłosu do miasta o 10.00 rano, by ocenić rozmiar zagrożenia, jakie stwarzało miastu urządzenie nuklearne znajdujące się na pokładzie tankowca.
"Operacja Apokalipsa".
Doktor Reisel z Komisji Energii Atomowej przyleciał z Los Angeles, gdzie eksperci tegoż ciała brali udział w posiedzeniu poświęconym przyszłości elektrowni jądrowych. Stał teraz na czele grupy, która miała zagrać w ponurą grę strategiczną pod nazwą "Operacja Apokalipsa". Przygotowano pokój w budynku Trans america, piętro niżej niż biuro MacGowana, i specjalna grupa natychmiast przystąpiła do obrad.
W zespole tym znajdowali się eksperci z Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, Instytutu Meteorologii, służb Straży Przybrzeżnej, Wydziału Planowania Pentagonu, Marynarki Wojennej oraz, przede wszystkim, specjaliści od promieniowania. Na pokładzie samolotu Boeing 707, lecącego z Los Angeles, jeszcze będąc w powietrzu zaczęli dyskusję. Doktor Reisel nieustannie podkreślał jedno:
- Panowie, nie wolno nam zaniżyć rozmiarów tej katastrofy. Na podstawie raportu, który przygotowujemy, władze podejmą określone środki zapobiegawcze, wśród których może być także masowa ewakuacja ludności. Jeżeli zawęzimy obszar, który może zostać dotknięty katastrofą, możemy na zawsze opuścić ten kraj. Ludzie nigdy by nam tego nie wybaczyli. Całe piekło tej sytuacji polega na tym, że musimy wysnuć pewne przypuszczenia - chociażby co do wielkości tego urządzenia nuklearnego na pokładzie tankowca. Ja osobiście mam pewne przypuszczenia: to urządzenie skonstruowano przy użyciu pięciu kilogramów plutonu uprowadzonego w Morris, w stanie Illinois, przed dziesięcioma miesiącami...
Karpis z FBI już wcześniej wskazał źródło, z którego mógł pochodzić materiał użyty do skonstruowania tego urządzenia. O 7.30 zatelefonował do Waszyngtonu; odpowiedź przyszła po trzydziestu minutach. W ostatnim roku zanotowano tylko jeden przypadek zaginięcia większej ilości plutonu: brutalnie uprowadzono ciężarówkę służb bezpieczeństwa GEC w Illinois dziesięć miesięcy temu. Skradziono wtedy pojemnik z pięcioma kilogramami plutonu.

Grupę zaangażowaną do "Operacji Apokalipsa" szybko przewieziono z lotniska specjalnym autobusem, w eskorcie motocykli policyjnych i radiowozu z wyjącą syreną. Peretti poinformował prasę, że do miasta przybyła grupa ekspertów od technik walki z terrorystami.
Przybywszy do budynku Transamerica, pojechali na górę do przygotowanego dla nich pokoju i od razu zabrali się do swoich makabrycznych zajęć.
- Algier.
LeCat znów połączył się za pomocą specjalnego urządzenia do łączności statek
- wybrzeże o 10.00 rano, kiedy zespół biorący udział w "Operacji Apokalipsa" już obradował. Wydawał się bardzo pewny siebie, gdy rozmawiał z MacGowanem, który siedział w samej koszuli mimo porannego chłodu.
- Co "Algier"? - spytał MacGowan.
- Odrzutowiec czekający na lotnisku będzie musiał nas zabrać do Algieru. Poinformujcie pilota, żeby mógł przygotować plan lotu...
Zapytaj o coś tego łajdaka, powiedział sobie w duchu MacGowan, i spraw, żeby to zabrzmiało jakbyś mu wierzył, na miłość boską.
Odczuwał napięcie i zmęczenie. Był na nogach całą noc. Przełknął ślinę. - Musimy wiedzieć, co się stanie z zakładnikami...
LeCat zdawał się zdziwiony i zniecierpliwiony. - Pójdą razem z nami do autobusu na pirsie numer 31, oczywiście...
- A potem?
- Zostaną uwolnieni na lotnisku, gdy już bezpiecznie dotrzemy na pokład samolotu. Wszyscy, z wyjątkiem jednego człowieka - ten poleci z nami do Algieru.
- Którego człowieka?
- O tym dowiecie się później. - LeCat był już bardzo zniecierpliwiony.
- Natychmiast dajcie znać na lotnisko...
Przerwał połączenie, zanim MacGowan zdążył odpowiedzieć. Gubernator rozejrzał się po pokoju. Podejmując rozpaczliwą próbę utrzymania tajemnicy, że na pokładzie statku znajduje się urządzenie nuklearne, skład osobowy sztabu dowodzenia akcją ograniczono do sześciu ludzi: MacGowana, Perettiego, Karpisa, komisarza Bolana, generała Lepkea oraz Starka z Departamentu Stanu.
- Żebyśmy tylko nie zaczęli nie doceniać naszego przeciwnika - ostrzegł gubernator. - Ten LeCat jest sprytny. Gdybym nie wiedział o istnieniu urządzenia nuklearnego, to prawie mógłbym mu uwierzyć

-jest drobiazgowy i ciągle sprawdza szczegóły.
- W ogóle nie wspomniał o tym swoim ostatecznym żądaniu - zauważył Stark - a pan go nie zapytał...
- Celowo. On trzyma to w zanadrzu, żebyśmy się denerwowali. Niech sobie tak myśli.
Raport grupy ekspertów "Operacji Apokalipsa" był gotów po dwóch godzinach. Normalnie trwałoby to dwa dni, ale podczas tych obrad niejedna para oczu spoglądała w stronę okna, z którego rozpościerał się widok na Bay, skąd miało nadejść zagrożenie. Ta bliskość powodowała, że doskonale się skoncentrowali. MacGowan zszedł w południe, żeby się z nimi zobaczyć.
- Nie jest to tak precyzyjne, jak bym sobie życzył - ostrzegł Reisel - ale założyłem, że analiza katastrofy, jaka nam grozi, jest lepsza od szczegółowego raportu po...
-... tym, co rozwali nas na kawałki - dokończył za niego MacGowan. Wiedział, że jest źle, gdy tylko wszedł do pokoju; jedno spojrzenie na grobowe miny powiedziało gubernatorowi najgorsze.
Przynajmniej tak mu się wydawało.
Reisel wskazał mapę rozpostartą na stole. - To powie panu lepiej, niż ja bym to zrobił - ten okrąg....
- Och, mój Boże... - MacGowan szybko się otrząsnął. - To znaczy, że obejmie prawie wszystkie miasta nad zatoką - Oakland, Richmond, Vallejo, Berkeley, a nawet San Mateo?
- Obawiam się, że tak...
- Ten okrąg - czy to granice promieniowania?
- Boże, nie! - Reisel zdawał się być zszokowany. - To jedynie obszar totalnych zniszczeń wskutek fali uderzeniowej... MacGowan usiadł na krześle zwolnionym przez Reisela i spojrzał na grobowe miny ludzi zebranych przy stole. Nie podobała mu się ta atmosfera. - A San Francisco? - spytał cicho.
- Niech pan zapomni - już go nie ma. - Człowiek, który mu odpowiedział był podobny do gnoma. Siedział naprzeciwko MacGowana i spokojnie pykał fajkę. Jego wygląd też się nie podobał MacGowanowi: był zbyt obojętny i pewny siebie.
- To Francis Hooker - szepnął Reisel. - On ogłasza raport mniejszości. Jednoosobowej - dodał zjadliwie.
MacGowan spojrzał na Hookera, który obserwował go przez okulary bez oprawek, jak gdyby uważał gubernatora za niesłychanie zabawną osobę. Gubernator słyszał o Hook- erze, naukowcu o wyjątkowej

sławie, jedynym człowieku, który ostrzegł Waszyngton o zagrożeniu w elektrowni jądrowej w San Clemente tuż przed tym, gdy jej działanie niemal wymknęło się spod kontroli.
- W sprawie tego pana raportu mniejszości, Hooker - powiedział. - Nie zgadza się pan z oceną większości? Uważa pan, że zawyżyli rozmiary grożącej katastrofy?
- Wprost przeciwnie. Zaniżyli, i to bardzo. Uważam, że fala uderzeniowa z łatwością zniszczy San Jose, które znajduje się wiele kilometrów poza tym okręgiem...
- A promieniowanie?
- Promieniowanie jest oczywiście zależne od wiatru. Oceniam, że jeżeli wiałby wiatr typowy o tej porze roku - no i urządzenie zostałoby zdetonowane - to zagrożona byłaby połowa Kalifornii.
- A więc teraz wiemy....
- Jeszcze nie... - Hooker był przy głosie, tworząc atmosferę coraz większego rozdrażnienia. - Rzeźba terenu w centralnej Kalifornii sprzyja maksymalizacji skutków katastrofy. Widzicie, mamy długą dolinę - San Joaquin - wzdłuż której rozmieszczone są skupiska ludności, aż do Bakersfield. Przy wietrze wiejącym w "odpowiednim" kierunku, promieniowanie zostanie skierowane do doliny jak do lejka, musimy więc brać pod uwagę Fresno i Bakersfield...
- To ponad czterysta kilometrów dalej...
- Ofiary śmiertelne mogą być aż w Los Angeles. Z drugiej strony, jeśli wiatr odwróci się od Pacyfiku, możemy przypuszczać, że w kłopotach znajdzie się Reno - kontynuował Hooker. - Przypuszczam, że Salt Lake City będzie bezpieczne...
- To ponad osiemset kilometrów stąd...
- Lepiej, żeby tak było - odparł Hooker. - Wysnuwam przypuszczenia tylko na podstawie rozmiarów tego urządzenia, ale mógłbym powiedzieć więcej, gdybym wiedział, kto je wykonał. Stopień kompetencji jest tu bardzo ważnym czynnikiem.
- Może mógłbym w tym panu pomóc - powiedział powoli MacGowan - nawet gdyby to się wydawało bardzo mało prawdopodobne. Wcześniej tego ranka Karpis z FBI zadzwonił do Paryża w celu zasięgnięcia informacji o LeCacie. Wydaje mi się, że wywołał tym panikę w tamtejszych kołach rządowych. Pół godziny temu zadzwonił do niego Francois Messmer z francuskiego kontrwywiadu.
Przed kilkoma dniami Messmer w jakiś sposób powiązał LeCata z zaginionym francuskim fizykiem nuklearnym, Jeanem - Phillipem

Antoineem...
- Znam prace Antoinea - powiedział Hooker. - Spotkałem się z nim kiedyś na posiedzeniu Komisji Energii Atomowej w Wiedniu.
Myślałem, że on nie żyje. Był wynalazcą. Jeżeli Antoine był twórcą tego urządzenia, musimy być przygotowani na bardzo szczególny rodzaj zagłady...
o 1.00 po południu w czwartek 23 stycznia MacGowan polecił zamknąć most Golden Gate. O 1.30 zamknięto most Bay łączący go z Oakland. Pół godziny później zamknął BART, czyli metro. Do 2.00 po południu San Francisco, które leży na półwyspie, zostało
zupełnie odcięte. Można było podróżować wyłącznie drogami prowadzącymi na południe przez Palo Alto, w kierunku San Jose i dalej wzdłuż wybrzeża.
Oficjalną przyczyną podjęcia tych bezprecedensowych kroków było rzekome przebywanie w mieście terrorystów powiązanych z ludźmi znajdującymi się na pokładzie Challengera. Aby poprzeć te wyjaśnienia, policja zablokowała wszystkie drogi prowadzące na południe i sprawdzała wszystkie pojazdy. Przynajmniej ten jeden środek został jednomyślnie poparty przez uczestników "Operacji Apokalipsa". Nawet niezależny Hooker tym razem się nie wyłamał.
- Jeśli to urządzenie zostanie zdetonowane - powiedział Hooker -nie pozostanie śladu po obu mostach. Lepiej nie myśleć, co by się stało, gdyby to nastąpiło w godzinie
komunikacyjnego szczytu...
Zgodzili się również co do tego, że potężna fala uderzeniowa wywołana detonacją zburzy także pięć innych mostów przewieszonych nad Bay. - Cała łączność ulegnie destrukcji - dowodził Hooker.
-Cokolwiek zostanie z obszarów nad zatoką, będzie całkowicie odcięte od interioru...
MacGowan zauważył, że ci ponuracy w okularach traktują katastrofę jak coś nieuchronnego. Zaczęli tak się wyrażać po tym, gdy Karpis wspomniał o francuskim raporcie na temat LeCata, co miało miejsce tuż po debacie dotyczącej ewentualnego przejęcia szturmem tankowca przez piechotę morską.
- Nie mogę tego poprzeć - stwierdził autorytatywnie Karpis.
-Paryski raport stwierdza, że LeCat to "ekspert od zdalnie sterowanych urządzeń wybuchowych, czyli od detonacji przy pomocy sygnałów radiowych". Przypuszczam, że w tej chwili LeCat znajduje

się na mostku tankowca i ma przy sobie jakiś mechanizm mogący przesyłać sygnały radiowe do urządzenia nuklearnego. Wystarczy, że naciśnie guzik...
Do tej pory, dzięki ograniczeniu liczby poinformowanych ludzi do sześciu, MacGowanowi udało się utrzymać w tajemnicy tę przerażającą wiadomość. Wcześniej czy później nastąpi przeciek informacji. Jeśli dotrą do LeCata przez radio, zrobi natychmiastowy użytek z detonatora. Gdyby można było przewidzieć, jak daleko posunięty jest jego fanatyzm! Bóg jeden wie, co może stać się wtedy z miastem!
MacGowan, choć niespożyty fizycznie i od porny psychicznie, zaczynał powoli odczuwać znużenie i wyczerpanie z powodu ciążącego na nim brzemienia odpowiedzialności. Próbował nie dawać tego po sobie poznać. Nieustannie w debatach przewijał się wątek: próbować czy nie przejąć statek szturmem. Za każdym razem MacGowan sprzeciwiał się tej propozycji.
- Mamyjuż swojągrupę na pokładzie - nawet jeżeli nadal ukrywa się gdzieś na dziobie. Gdy dziś wieczorem pojawi się mgła, będą mieli swoją szansę...
- Jeżeli dziś wieczorem San Francisco jeszcze będzie istniało na mapie świata - warknął Peretti.
Nieustającym debatom podlegała ewentualna ewakuacja ludności.
Uczestnicy "Operacji Apokalipsa" znów jednomyślnie podjęli decyzję, że ludzie nie zwlekając powinni zacząć opuszczać miasto.
- Jeżeli to zrobicie - zauważył MacGowan - natychmiast włączą się w to środki przekazu, a dzienników radiowych LeCat słucha z pewnością. I będzie wiedział, że my wiemy
- tym, co ma na pokładzie. Wtedy może nie czekać i nacisnąć guzik...
Nadeszło więcej niepokojących wieści na temat charakteru LeCata i jego mentalności. Winter już wcześniej powiedział ludziom ze sztabu, że Francuz mieszkał kiedyś w Kanadzie i w Stanach Zjednoczonych, zaczęto więc o niego wypytywać. W tym samym czasie, kiedy MacGowan polecił zamknąć ruch na moście, nadszedł raport z Quebecu. Pewna kobieta twierdziła, że wynajmowała kiedyś temu człowiekowi pokój; jeżeli to rzeczywiście on, to często wyrażał antyamerykańskie poglądy.
Obie decyzje odłożono więc na później; i tę o szturmowaniu statku, i o ewakuowaniu mieszkańców. O 3.00 po południu LeCat wznowił połączenie statek - wybrzeże

1- wysunął swoje ostateczne żądanie.
Warunki w składziku stolarskim na pokładzie dziobowym Challengera były fatalne. Wszyscy trzej siedzieli pod pokładem od czternastu godzin, wytrzymując jedynie dzięki witaminowym pigułkom i zapasowi wody, który się zastraszająco zmniejszał. Wprawdzie przewidywali, że będątu siedzieć kilka godzin, ale tak długi pobyt nie wchodził w rachubę. Już nawet się sobie znudzili.
Tak naprawdę mgła nigdy nie usunęła się całkowicie znad zatoki, a słońce nie przebiło grubej zasłony chmur. Ale nie było żadnych możliwości, by opuścić tę "celę"
i zbliżyć się do mostka.
Na wierzchołek fokmasztu właśnie wspiął się nowy człowiek czujka. Odkąd weszli na pokład, dwa razy już się zmieniali strażnicy na fokmaszcie. Za każdym razem Winter ostrożnie unosił pokrywę luku o kilka centymetrów, ale zawsze widział to samo: odsłonięty pokład, przezroczyste powietrze bez mgły i człowieka czujkę z radiotelefonem na fokmaszcie.
- To pomieszczenie jest bardziej ciasne, niż okop lisia jama w Korei - zauważył Cassidy, gdy Winter zszedł z powrotem po drabinie. Pułkownik piechoty morskiej wykonywał ruchy biodrami, by zmniejszyć sztywność swych kończyn. - Wcześniej czy później musimy zaatakować - zastrzelić czujkę na fokmaszcie i pobiec na mostek...
- Zaczekajmy aż się ściemni - poradził znużonym głosem Sullivan. - To jeszcze tylko dwie godziny. Jeszcze dwie godziny...
Jezu Chryste...
Wykorzystali do swych potrzeb wiadro, które znaleźli w kącie.
Przykryli je kawałkiem płótna, ale stęchły odór latryny przenikał tę duszną atmosferę. Jedyna ulga następowała wtedy, gdy Winter trzymał przez kilka minut uchyloną pokrywę luku.
Zgodzili się z koniecznością - czekania: człowiek czujka doniósłby o ich obecności po paru sekundach od wyłonienia się. Terroryści zastrzeliliby wszystkich zakładników, zanim oni pokonaliby połowę drogi do mostka. Ustalili, że zaczekają do zmroku, aż pojawi się mgła. Jeśli w ogóle się pojawi.
- Jeżeli amerykański ambasador w ONZ nie wyda jutro o godzinie szóstej oświadczenia, że rząd amerykański nie wyśle żadnej broni - ani jednego czołgu, pistoletu czy samolotu do państwa Izrael przez następne sześć miesięcy, to znaczy do dwudziestego trzeciego lipca,

wszyscy zakładnicy na pokładzie tego statku zostaną straceni...
Było to ostateczne żądanie LeCata. I była dokładnie godzina trzecia.
Francuz wymawiał słowa monotonnym głosem, jakby czytał jakiś tekst.
W biurze MacGowana zapanowała grobowa cisza. Sześciu mężczyzn wiedziało, że właściwie było to ultimatum niemożliwe do zaakceptowania. Stark z Departamentu Stanu napisał coś na kartce i położył przed gubernatorem. Ten odsunął ją na bok nawet nie spojrzawszy. Tak się złożyło, że jego pytanie było zbieżne z pytaniem Starka.
- A co z pieniędzmi - dwustoma milionami dolarów?
- Uznaliśmy to żądanie za zbędne. Nie interesują nas pieniądze.
Czy autobus jest już na miejscu?
- Czeka. Na pirsie numer 31...
- A Boeing 747?
- W międzynarodowym porcie lotniczym San Francisco...
- Ze zbiornikami pełnymi paliwa?
- LeCat, jeżeli choć jeden zakładnik zostanie zastrzelony, natychmiast wejdziemy na pokład tankowca...
Przytłumione: "Och, Boże..." - To Peretti.
- Jeżeli chociaż jeden zakładnik zostanie zastrzelony - powtórzył MacGowan - nie przekażę dalej twojego ostatecznego żądania...
Rozległ się odgłos wystrzału. Mężczyźni w pokoju zamarli; MacGowan zacisnął pięści na stole. Generał Lepke cicho podniósł słuchawkę telefonu, który miał teraz bezpośrednie połączenie z Presidio.
Z daleka przez otwarte okno niósł się dźwięk rogu mgłowego. Karpis sprawdził na swoim zegarku dokładny czas. W głośniku zatrzeszczało.
- Jeszcze jedna groźba - huknął LeCat - a zginie człowiek. Histeryczny ton jego głosu wstrząsnął ludźmi znajdującymi się w pokoju. LeCat po raz drugi wykręcił taki numer z równie druzgocącym skutkiem. MacGowan formułował zdania spokojnym
i napastliwym głosem, ani na cal nie ustępując.
- Teraz chcę jeszcze raz porozmawiać z Mackayem, zanim w ogóle rozpocznę jakieś działania. A z pewnością zanim pomyślę o przekazaniu twojego żądania.
- Człowiekiem, który zostanie zabity - dalej krzyczał LeCat jest mechanik z maszynowni, Donald Foley, który mieszka w Newcastle, w Anglii. Przekażcie to jego rodzicom, żonie...
MacGowan usilnie starał się panować nad sobą - rysy jego twarzy

zaostrzyły się w dzikiej wściekłości, a usta zacisnęły.
Milczał przez chwilę, podczas gdy wszyscy się w niego wpatrywali, a potem bardzo cicho powiedział: - Czekam...
- Mackay przy telefonie... - Głos był oschły, stanowczy. Robi wrażenie, jakby się przespał, od chwili, gdy ostatnio rozmawialiśmy - zastanawiał się MacGowan. -... Ta kula to strzał przez okno. Panna Cordell żyje i dobrze się czuje... - Kapitan mówił szybko, jakby się spodziewał, że w każdej chwili połączenie zostanie przerwane. - Cała moja załoga żyje i ma się dobrze. Mamy nadzieję, że... - Nie udało im się usłyszeć, na co Mackay miał nadzieję, bo usłyszeli głos LeCata. - Już dość...
W mieście wrzało odkąd o 1.00 po południu zamknięto pierwszy most. Ludzie mieszkający w hrabstwie Marin wiedzieli, że nie wrócą tej nocy do domu; musieliby okrążyć zatokę, a przecież nie mieli benzyny. Potem zamknięto most Bay i linie metra. Przewidując, co wkrótce nastąpi, MacGowan ustanowił stanowisko dyspozytora ruchu ulicznego. Objął je człowiek o nazwisku Lipsky. Ci, którzy zdołali, wyjechali już wcześniej do swoich domów albo do przyjaciół mieszkających na południe od miasta.
o 2.30, kiedy Lipsky przekazywał MacGowanowi raport z ulic miasta, w całym San Francisco panował duży ruch.
- Nigdy bym w to nie uwierzył - powiedział do Lipskyego.
- I nie uwierzyłby pan, że samochody również przyjeżdżają do miasta....
- Przyjeżdżają?
- Na autostradach numer 1 oraz 101 ciągle narasta liczba pojazdów zmierzających na północ. Chyba zużywają resztki swojej benzyny...
Ruch wzmagał się przez całe popołudnie. Ale wkrótce stało się jasne, że mimo tych wyjazdów i przyjazdów większość mieszkańców pozostała w mieście, chcąc uniknąć tego całego tłoku. Potem zaczęły się wędrówki w kierunku nabrzeża - ciekawscy chcieli koniecznie obejrzeć statek z terrorystami. MacGowan wraz z burmistrzem zareagowali błyskawicznie. Wzdłuż nabrzeża ustawiono potężny kordon policji, ciągnący się przez wierzchołek Nob Hill wzdłuż całej California Street. Utworzono zapory z radiowozów policyjnych. Zatrzymano kolejkę "cable cars".
Zamknięto Van Ness Avenue. Dworzec autobusowy obsługiwał jedynie pojazdy wyjeżdżające z miasta i miały one polecenie, że mogą się zatrzymywać po tej stronie Dały City.

Kierunek tej wędrówki ludów zmienił się: przypomniano sobie o wysokościowcach. Wszyscy zgodnie śpieszyli do budynków, które miały więcej niż dziesięć pięter i z których rozciągał się widok na nabrzeże. Tłoczono się w windach, jadąc na najwyższe piętra. MacGowan wydał nowe polecenie, które cała chmara telefonistek przekazała w różne punkty miasta.
- Zamknąć wieżowce, ustawić strażników przy wejściach z ulicy... zamknąć wieżowce...
Pomysłowość istot ludzkich, które są zdecydowane gdzieś dotrzeć, nie ma granic. Bogatsi postanowili wynająć pokoje hotelowe. "Pod warunkiem, że będzie widok na Bay... tak wysoko, jak tylko można..."
- W potężnych gmaszyskach na Nob Hill wyprzedano miejsca w piętnaście minut. Pragnienie ujrzenia na własne oczy tego statku terroru zwiększyło się znacznie, gdy podano do publicznej wiadomości ostatnie żądanie porywaczy. LeCat przekazał je drogą radiową do United Press.
MacGowan zaczynał mieć coraz bardziej ponurą minę, kiedy te rewelacje zaczęły się masowo rozprzestrzeniać. Miał nadzieję, że ludzie opuszczą miasto po zamknięciu mostów, tymCzasem tłumnie przybywali do San Francisco. Znów ze względu na LeCata nie śmiał wystąpić w środkach przekazu i zaapelować do ludzi, by trzymali się z daleka.
LeCat domyśliłby się powodu tego apelu i MacGowan wolał nie domyślać się, co mogłoby się zdarzyć.
W odległości blisko 13000 kilometrów od San Francisco dwa brytyjskie super- tankowce, York i Chester, przepływały przez cieśninę Ormuz. Zostawiły za sobą Zatokę Omańską i skierowały się do samego środka Zatoki Perskiej - ku wybrzeżu Arabii Saudyjskiej.
Potężne skrzynie, które tak zaintrygowały amerykańskich specjalistów analizujących fotografie, nadal znajdowały się na ich pokładach. W tej wyraźnie niewinnej wyprawie tylko jedno się nie zgadzało: wbrew wszelkim przepisom, płynęły z prędkością siedemnastu węzłów, z wyłączonymi w ciemności światłami pozycyjnymi.
Po godzinie od wysunięcia przez LeCata ostatecznego żądania szejk Gamal Tafak odebrał te wiadomości w Baalbeku. Była 1.00 po północy. Natychmiast zatelefonował, zapoczątkowując serię komunikatów zwołujących wszystkich ministrów do spraw ropy z krajów Bliskiego Wschodu na nadzwyczajną sesję OAPEC.

o 5.10 po południu w czwartek 23 stycznia w San Francisco było już ciemno. O tej właśnie porze przy wierzchołku fokmasztu na głównym pokładzie Challengera zapalono wiązkę świateł, rozjaśniając przednią część statku. Obserwatorzy wyposażeni w silne noktowizory przekazali MacGowanowi tę wiadomość po kilku minutach. Poinformował
o tym generała Lepkea.
- Oznacza to, że grupa szturmowa nie może się przedostać z pokładu dziobowego na mostek po głównym pokładzie w obawie przed ujawnieniem, chyba że opadnie bardzo gęsta mgła.
Instytut Meteorologii dostarczył im fachową prognozę. Mgła tak, ale obszar nad zatoką przez całą noc może nie dostać się pod jej zasięg.
- Nie stawiacie na żadnego konia? - rzucił brutalnie MacGowan. - Cieszę się tylko, że Ike nie miał was w swojej Godzinie Zero.
MacGowan był w fatalnym nastroju. Stark, który nieustannie mu wisiał nad głową, przebywał teraz w innym pokoju i rozmawiał z Waszyngtonem. Wkrótce wróci z kolejnymi natarczywymi radami, jak gdyby gubernator nie mógł się bez nich obejść. A MacGowan właśnie odbył trzecią nasiadówkę z majorem Peterem Russellem, brytyjskim attache wojskowym w Waszyngtonie, który rozgościł się na dobre w budynku Transam- erica. Było coś dziwnego w zachowaniu Russella.
Russell pełnił rolę łącznika z ambasadorem brytyjskim w Waszyngtonie. Przypadkiem znalazł się na Zachodnim Wybrzeżu, kiedy Challenger wpłynął do Bay. Próbował wybadać, co zamierza MacGowan.
- Sądzę - powiedział Russell - że podstawą pańskiej polityki jest jak najdłuższe przeciąganie negocjacji w nadziei, że sytuacja rozwinie się po pana myśli.
- Robimy wszystko, co w naszej mocy, by ocalić życie tych Zakładników - odparł gubernator.
- Głęboko cenię pańskie dokonania. - Attache przerwał spoglądając na generała Lepkea. - Przypuszczam, że to potrwa jeszcze wiele dni. Ale czy nie istnieje ewentualność, że to wypali nam w nos powiedzmy dziś wieczorem?
- Nie można przewidzieć skutków...
Wypali nam w nos? MacGowan zdołał zachować pokerową twarz; Russell, oczywiście, nie miał pojęcia o tym, że niecały kilometr od jego fotela znajduje się urządzenie nuklearne. MacGowan nie mógł się pozbyć wrażenia, że Russell, niepokojąc się o życie dwudziestu ośmiu

Brytyjczyków z pokładu tankowca, jeszcze bardziej denerwuje się tym, że negocjacje mogą się przedłużać. To było co najmniej dziwne.
o 7.00 wieczorem MacGowan, którego dobowa racja snu składała się zaledwie z kilku drzemek, usłyszał, że głęboko strzeżona tajemnica wydostała się na zewnątrz: po mieście szerzyła się pogłoska, że na pokładzie tankowca stojącego niecały kilometr od pirsu numer 31 znajduje się urządzenie nuklearne.
Pewna telefonistka, która przysłuchiwała się wieczornym rozmowom, zaalarmowała MacGowana. Udając, że ma na linii kogoś, kto może udzielić istotnych informacji wyłącznie gubernatorowi, została połączona z MacGowanem.
- To nie znaczy, że się przysłuchuję rozmowom telefonicznym - wyjaśniła - ale właśnie się dowiedziałam...
- Do rzeczy - warknął MacGowan.
- Powinien pan wiedzieć, że niezwykle dużo się w mieście dzieje, jest więcej rozmów niż kiedykolwiek o tej porze... - Głęboko odetchnęła. - Wszyscy mówią, że na pokładzie tego brytyjskiego tankowca stojącego w Bay jest bomba atomowa...
- Wszyscy - Przysłuchiwałam się rozmowom, odkąd po raz pierwszy to usłyszałam...
MacGowan podziękował jej i powiedział, że to śmieszna plotka.
Właśnie wtedy wparował komisarz policji Bolan. Z całego miasta donoszono o exo dusie ludności; na razie dotyczy to tylko niektórych dzielnic, ale rozszerza się...
Najpierw zaczęli opuszczać miasto ludzie z Telegraph Hill, gdzie bogacze płacili fortunę za domy z widokiem na Bay. Zaczynało to wyglądać na kiepską inwestycję, bo właśnie z Telegraph Hill roztaczał się teraz widok na brytyjski tankowiec zakotwiczony niedaleko brzegu.
To stąd rozpoczynał się ten cichy exodus. Wziąwszy ze sobą wszelkie precjoza i to, co mogli unieść, ludzie wsiadali do samochodów i jechali w górę Nob Hill, gdzie były ustawione zapory wzdłuż California Street., Wypuszczano ich, ale nikomu nie pozwalano wracać. Jakaś kobieta, która zabrała z sobą pudełko ze sztuczną biżuterią zamiast z klejnotami,, zaczęła histeryzować, wykrzykując do gliniarza Irlandczyka: panie oficerze, ja muszę wrócić - zostawiłam fortunę w swojej sypialni...
- Proszę pani, ten tankowiec znajduje się niecały kilometr od miejsca, w którym stoimy. Jak by się pani sobie podobała w rubinach w

kostnicy?
Niektórzy ludzie bardzo precyzyjnie wykorzystywali tę sytuację. Na przykład ciężarówka z benzyną. Do tej pory stała zaparkowana w garażu. Gdy ustawiono zapory na California Street, grasowała w dole Russian Hill, a w jej kabinie siedziało trzech uzbrojonych mężczyzn.
Wypatrywali drogich samochodów zaparkowanych przy krawężniku.
Właśnie znaleźli nową ofiarę. Stała przy cadillaku z zabytkowym wazonem w dłoniach
i ładowała bagaż do samochodu. Kierowca zatrzymał ciężarówkę i opuścił szybę. - Potrzebujesz benzyny, koleś?
- Mam tylko galon. Ale jak macie przewód...
- Mamy przewód, który będzie pasować do twojego samochodu - rzucił gburowato kierowca. - W dobrym gatunku.
- Ile?
- Pięćdziesiąt dolarów za galon. Słyszałeś o tej bombie atomowej?
- A jak myślicie, do jasnej cholery, dlaczego wyjeżdżam? Zapłacę dwadzieścia pięć...
Kierowca zaklął, zwolnił hamulec i miał zamiar odjechać, gdy człowiek podbiegł do kabiny krzycząc histerycznie: - Okay, okay, pięćdziesiąt pasuje...
Jeśli wiesz, że zostało ci tylko kilka godzin życia, to co robisz z tymi godzinami? Arthur Snyder, zajmujący się ubezpieczeniami, wiedział, że w żaden sposób nie wydostanie się z miasta: jego samochód, rozebrany na części, znajdował się w warsztacie około półtora kilometra stąd. Jego żona, megiera, którą zdążył znienawidzić przez te wszystkie lata, siedziała na górze w sypialni i ciągle na niego wrzeszczała: -Zrób coś, ty próżniaku, zrób coś... - Zatrzasnął frontowe drzwi i zaczął schodzić ze wzgórza. Wygodnie było mieć przyjaciółkę na tej samej ulicy; może uratuje mu to teraz życie. Dotarł do właściwych drzwi, nacisnął palcem przycisk dzwonka i przytrzymał go, dopóki Linda, w piżamie i szlafroku, nie otworzyła drzwi z łańcucha.
- Kto tam...
- To ja, Art. Wpuść mnie, szybko. Mildred poszła do Letty... Domyślił się, że nic nie słyszała o bombie nuklearnej. Gdyby było inaczej, już by o niej wspomniała. Prawdopodobnie, najgłupiej w świecie, zadzwoniłaby do niego do domu. Wszedł do mrocznego korytarza, zamknął za sobą drzwi i...
- Art -... praktycznie zgwałcił ją w korytarzu. Wciśnięta w ścianę

dyszała najpierw z przerażenia, a potem z rozkoszy. Snyder obmyślił sobie ten manewr, gdy zbliżał się pośpiesznie do drzwi mieszkania Lindy. Mógłby jej się nie spodobać ten pomysł, gdyby wcześniej usłyszała najnowsze wiadomości. Jak to mówią... "Najpierw miłość, potem pieniądze..." Wyprowadzali się też ludzie z Haight - Ashbury i Western Addition.
Haight - Ashbury jest tym w San Francisco, czym East End w Londynie, i tutaj objawy paniki były bardziej brutalne. Wciąż działał ten sam instynkt samozachowawczy, który zapanował w Telegraph Hill, tylko po prostu inaczej się przejawiał. Greyhound pełen ludzi został zablokowany przez ciężarówki, którym zabrakło benzyny i stanęły pośrodku drogi. Kierowca zsiadł ze swojego siedzenia, otworzył drzwi i spojrzał na mężczyznę z coltem 0.45.
- Wysiadaj - nakazał mężczyzna. Kierowca zaprotestował. Mężczyzna strzelił mu w brzuch i odskoczył, a kierowca upadł na chodnik. Napastnik wszedł do środka autobusu wymachując coltem.
- Potrzebujemy tego pojazdu, żeby się stąd zmyć. Wysiadajcie z tego cholernego autobusu - wszyscy. Jak ktoś zostanie, wyprujemy mu flaki, jak temu kierowcy...
Pasażerowie jęli się tłoczyć do wyjścia, ale na chodniku czekała ich jeszcze cięższa próba. Zebrała się tam spora grupa młodych ludzi wyglądających na złoczyńców, którzy pozostawili tylko wąskie przejście dla pasażerów. Ręce łobuzów wyciągały się po ich torby, zegarki. -Na rany Chrystusa... - zaprotestował jeden z pasażerów. Metalowa, rura ugodziła go w głowę, wyszarpnięto mu torbę, a ciało zawleczono gdzieś usuwając z widoku. Ktoś na nie napluł.
Do biura MacGowana ciągle napływały nowe raporty, a on sam przewodniczył zebraniu sztabu, po raz pierwszy dopuszczając innych do głosu, podczas gdy sam obmyślał decyzję. W drugim końcu pokoju Karpis oglądał telewizję, na wypadek gdyby pojawiło się w niej coś o czym powinni się dowiedzieć. Jeszcze raz kamery telewizyjne pokazały oświetlonego Boeinga 747 czekającego na międzynarodowym lotnisku w San Francisco. "To jest samolot, którym mają uciec terroryści..." - - Potem pokazali nabrzeże
i autobus Greyhounda z pomalowanymi na czarno oknami, czekający na opustoszałym pirsie. "To ten autobus czeka na terrorystów..." W końcu zaprezentowano dużą szalupę policyjną zakotwiczoną w ciemności przy końcu pirsu. Dla MacGowana wyglądała na szalupę do transportowania zwłok.

Podjął decyzję po kilku minutach - bo była tąjednąjedyną. Licząc się z najgorszym, poczynili takie przygotowania, jakby San Francisco znajdowało się w stanie oblężenia. Już od wielu godzin wszystkie statki zmierzające do tego portu, nawet z dalekiej Australii, były kierowane do innych portów - do Kanady, Seattle, Los Angeles. W San Francisco nie lądowały już żadne samoloty.
Zatrzymano wszystkie pociągi pasażerskie i towarowe AMTRAK na wschód od Bay.
Sprawa była równie prosta jak wielka. Gdyby dotarło do uszu LeCata, że władze San Francisco wiedzą o urządzeniu nuklearnym, mógłby natychmiast nacisnąć guzik. Czasem zdarza się, że środki przekazu nie dowiadują się o czymś ważnym natychmiast, MacGowan zadzwonił więc osobiście do lokalnych stacji radiowych i telewizyjnych z prośbą, by nie podnosiły tego tematu. Ale nie było pewności, że ktoś nie zrobi o tym audycji, jeżeli tylko będzie miał takie możliwości.
- Podjąłem decyzję, panowie - powiedział nagle MacGowan.
- To może wywołać panikę - zauważył Peretti.
- Ona już ma miejsce. Musimy wykupić każdą minutę czasu antenowego, jaką tylko zdołamy - mając nadzieję, że grupie szturmowej Cassidyego się powiedzie...
MacGowan wydał polecenie. Wyłączył prąd w połowie centralnej Kalifornii i odciął wszelką łączność.
Właśnie doniesiono, że w całej Rumunii lądują rosyjskie wojska powietrzno - desantowe...
Wiadomość Reutera z ostatniej chwili przed zgaśnięciem wszystkich ekranów telewizyjnych.
Negocjacje pomiędzy LeCatem a władzami amerykańskimi załamią się... będą doniesienia o tym, że amerykańska piechota morska próbuje wziąć szturmem statek... zakładnicy... wszyscy zostaną zabici.
Uwagi wypowiedziane przez szejka Gamala Tafaka podczas spotkania z przywódcami arabskich terrorystów, 15 stycznia.
- Natychmiast zawróćcie łódź piechoty morskiej, która zbliża się do statku, w przeciwnym razie zastrzelimy wszystkich zakładników.
Powiadam ci, MacGowan, zastrzelę ich wszystkich i zrzucę ciała twoim ludziom... Słyszysz? Słyszysz mnie? Słyszysz?
Był to głos człowieka, który wpadł w szał - wściekły wrzask, który dochodził z głośnika urządzenia do łączności statek - wybrzeże i wypełniał ten cichy dotąd pokój. MacGowan zdrętwiał i przeszył go

dreszcz. Zaczęło się to od razu, kiedy LeCat ponownie się połączył. Żadnych wstępów, żadnych żądań, tylko ta wściekłość szaleńca...
Gdy tylko generał Lepke usłyszał o łodzi i piechocie morskiej, wyszedł do drugiego pokoju i zatelefonował. Rzeczywiście istniały łodzie - pełne żołnierzy piechoty morskiej, ukryte w strategicznych miejscach za wyspą Alcatraz i dalej wzdłuż nabrzeża, ale bardzo daleko od tankowca.
W ogóle nie wchodziło w rachubę, żeby któraś z nich mogła zostać dostrzeżona, żadna z nich nie mogła wypłynąć na wody Bay.
Lepke był zszokowany i ogromnie zbulwersowany, gdy rozmawiał z Presidio i mówił im, żeby natychmiast to sprawdzili. Będzie czekał przy telefonie.
Wrócił do sztabu po niecałych dwóch minutach i zdążył usłyszeć odgłos wystrzału, który dobiegł z głośnika. Ten sadystyczny łajdak po raz trzeci robił ten sam numer. MacGowan, ze zgarbionymi plecami, siedział wpatrując się w głośnik. Dał znak ręką Lep- keemu, by nic nie mówił. W głośniku usłyszano czyjś głos. Był to głos Mackaya, bardzo ściszony - głos człowieka, który doznał szoku.
- Oni właśnie zastrzelili Foleya...
Lepke napisał coś na kartce i położył ją przed MacGowanem, który spojrzał na nią, a potem znów na głośnik. Żadna łódź piechoty morskiej nie oddaliła się od brzegu. Z całą pewnością. To niemożliwe, że LeCat zobaczył taką łódź.
Mackay znów się odezwał - takim samym nieprzytomnym głosem.
- Wyrzucają jego ciało przez okno na mostku... właśnie spadło... - Głos kapitana się zmienił, stając się czymś pomiędzy charkotem duszonego człowieka a jękiem bólu. - Nie! Na miłość boską, nie znowu... - Odgłosy, mogące być odgłosami walki, a potem cicho słyszalny głos LeCata. - Zostań, tam gdzie jesteś, Bennett, albo zastrzelimy Mackaya... - Kolejny strzał, ogłuszający, bardzo blisko słuchawki, potem jeszcze jeden dziwny, nieco młodszy głos.
- Zastrzelili Wrigleya... stewarda... skurwiele. Na rany Chrystusa, MacGowan, szturmujcie statek zanim będzie za późno... - nagle, mruknięcie, jęk, jak gdyby uderzono tego człowieka po głowie. Potem nastąpiła strzelanina, jakby opróżniono cały magazynek. Lepke napisał na kartce kolejną, lecz krótszą notatkę. Szturmować statek! MacGowan pokręcił głową. Umiał liczyć. Dwóch ludzi nie żyje, ale dwudziestu siedmiu zakładników nadal jest przy życiu, chyba że ta strzelanina...

LeCat połączył się ponownie.
- Te trzy ostatnie kule wyszły przez okno. Mackay!
W głośniku znów rozległ się głos Mackaya. - Zastrzelili Foleya i Wrigleya... - Jego głos był już mocniejszy. - Trzy inne kule wyszły przez okno. Nadal dwadzieścia siedem osób żyje. LeCat mówi, że już nie będzie strzelał...
- Na razie! - to znów LeCat. - Łódź piechoty morskiej zawróciła. Jeżeli nie wróci, to zakładnicy są bezpieczni. Ostrzegałem cię, MacGowan, bez przerwy cię ostrzegałem...
- Żadna łódź piechoty morskiej nie zbliżyła się do Challengera - powiedział MacGowan spokojnym, monotonnym głosem, starając się, by nie było w nim wściekłości. Być może LeCat jest o krok od postradania zmysłów. - W zatoce w ogóle nie ma żadnych łodzi.
Zarząd portu nie dopuściłby, by jakakolwiek łódź opuściła swoje miejsce...
- Kłamiesz! Sprawdzaliście mnie! Gdybym nie zastrzelił tych ludzi, to piechota morska próbowałaby wziąć szturmem ten statek! To ty zabiłeś tych ludzi...
MacGowan siedział bez ruchu, jego twarz była także nieruchoma, gdy słuchał wrzasków LeCata. Nie mówił on jak ktoś niepoczytalny, tylko jak barbarzyńca, terrorysta, człowiek, który pochodził ze świata, jakiego prawi ludzie nie mogli zaakceptować. A więc miał przewagę.
- Górował brutalnością. LeCat jak gdyby nagle się uspokoił.
Już samo niespodziewane przejście do rozsądnego rozumowania było denerwujące.
- Dlaczego zgasły światła wokół całej zatoki?
- Przerwa w dopływie prądu na masową skalę...
- Czy autobus czeka na nas na pirsie numer 31?
MacGowan zacisnął pięść, wbijając sobie paznokcie w kciuk.
-Jest tam już od wielu godzin - powiedział tym samym, monotonnym głosem.
- A samolot? Jest na lotnisku?
- Czeka, tak jak autobus...
- A co Waszyngton na moje żądanie?
- W tej chwili prezydent jest na specjalnym posiedzeniu rządu...
"Uspokój go, zagraj na jego zwiększonym poczuciu własnej wartości, odwróć uwagę ku czemuś innemu, gdy dwudziestu siedmiu zakładników jeszcze żyje". LeCat po cichu przerwał połączenie, ale nawet to było denerwujące.

W napięciu - tym gorszym, że niczego nie widzieli, jedynie słyszeli przez metalowy, obojętny głośnik - nikt nie zauważył, że sekretarka MacGowana, która poprzysięgła zachować tajemnicę, wślizgnęła się do pokoju i przekazała raport o pogodzie.
To, o co wszyscy się modlili, właśnie następowało. Powracała potężna machina oblężnicza. Mgła minęła latarnię morską Mile Rocks, z której wysłano ten raport, napełniła kanał Golden Gate, dotarła do mostu, przepłynęła pod nim, by rozszerzyć się ponad Bay wzdłuż wybrzeża Marin na północ, potem na południe i wschód. Zmierzała ku Alcatraz, gdzie niecały kilometr od pirsu numer 31 stał zakotwiczony Challenger. Biorąc pod uwagę kierunek, z którego mgła się rozprzestrzeniała, najpierw powinna przesłonić pokład dziobowy.
Winter, oblepiony brudem, zarośnięty, akurat uchylił na kilka centymetrów pokrywę luku, kiedy usłyszał pierwszy wystrzał. Jego słuch był wyjątkowo wyostrzony. Wydawało mu się, że chwilę później usłyszał daleki głuchy odgłos, jakby ciało zrzucone z wysokości uderzyło o główny pokład. Pomyślał, że mu się wydaje, gdy usłyszał drugi strzał, a potem całą kanonadę, dużo głośniejszą niż poprzednie odgłosy, tak głośną, że instynktownie się uchylił. Zaczekał i poczuł rękę Cassidyego niecierpliwie szarpiącą go za udo. Zaczekał jeszcze trochę, po czym zamknął luk i zszedł z powrotem po drabinie.
- Jeszcze nie...
- Co, u diabła, się dzieje? Czy oni zabijają zakładników?
-domagał się odpowiedzi Amerykanin. - Na Boga, lepiej się ruszmy...
- Jeszcze nie - powtórzył Winter. - Światła na fokmaszcie nadal sązapalone, na jego czubku jest czujka, a jeszcze nie ma takiej, mgły, która by nas przesłoniła...
- Zgadzam się z Cassidym - powiedział Sullivan. - Nie podoba mi się to...
- Nie podoba ci się to! - wybuchnął Winter. - Uważasz, że mnie się to podoba? Myślę, że właśnie zastrzelili dwóch zakładników, by pokazać MacGowanowi, że mówią poważnie. Aleja potrafię liczyć.
To znaczy, że dwudziestu siedmiu ludzi nadal żyje...
- Była strzelanina... - warknął Cassidy.
-... która oznacza, że kule z całego magazynka poszły przez okno, jestem tego pewien. Była znacznie głośniejsza niż dwa poprzednie wystrzały. Słuchajcie, jest nas tylko trzech.
Nieważne, co się stanie z którymkolwiek z nas, ale musimy zrobić tę robotę za pierwszym razem albo zginiemy - tak jak i wszyscy

zakładnicy. Siedzieliśmy wciśnięci w tę śmierdzącą dziurę ponad osiemnaście godzin - możemy posiedzieć jeszcze trochę....
Rzeczywiście w składziku stolarskim już śmierdziało. Stęchły odór latryny z kwaśnym odorem potu tworzył nieznośną mieszaninę.
Wszyscy trzej mężczyźni byli brudni, spragnieni i niemiłosiernie wyczerpani. Cokolwiek ich czeka, z przyjemnością wydostaną się z tej kloaki. Winter wyjrzał przez szczelinę pięć minut później i wrócił na dół po drabinie kręcąc głową, ale Sullivan dostrzegł zmianę w wyrazie jego twarzy. - Czy coś się dzieje?
- Jeszcze parę minut....
- Natychmiast wracaj na mostek, Andre...!
Odwoławszy czujkę z fokmasztu, LeCat położył radiotelefon na stole, który przyniósł na mostek. Teraz jadł tutaj wszystkie posiłki i mieszkał w sterowni. Odkąd Challenger wpłynął do Bay, Francuz spał nie więcej niż MacGowan i podobnie jak gubernator miał worki pod oczami, a na jego twarzy malowało się napięcie. Oczy były nadal czujne.
Mieli opuścić ten statek w najbliższej godzinie. LeCat spojrzał na miniaturowy nadajnik leżący na stole obok radiotelefonu. To będzie jego ostatnie zadanie przed opuszczeniem statku - naciśnięcie guzika, co uruchomi mechanizm zegarowy. Również czekał na to, aż gęsta mgła zasłoni statek; pod tą ochronną zasłoną odpłyną na łodzi Zodiak z doczepionym silnikiem, która czeka na głównym pokładzie.
Większość ludzi z jego grupy, podobnie jak sam LeCat, przebrała się w kombinezony do nurkowania. Kilku z nich stało na mostku -groźne ciemne postacie - jedynie światełko postumentu kompasu rozjaśniało nieco mrok, inaczej mostek byłby zupełnie pogrążony w ciemności. LeCat był pewien, że jego plan zadziałał. Dwóch zakładników zostało zastrzelonych, co powstrzyma MacGowana od wszelkiego ataku, bo nadal musi myśleć o pozostałych. Było ich dwudziestu sześciu; a nie dwudziestu siedmiu, ale tylko LeCat wiedział o Monku, którego wypchnął za burtę.
Piętnaście minut zajmie dotarcie do hydroplanu czekającego w Zatoce Richardsona. Ale najpierw reszta załogi musi się znaleźć w kajucie kapitana. Tam właśnie to się stanie. Rozejrzał się po mostku.
Mackay stał przy oknie z rękami założonymi do tyłu i obserwował przetaczającą się mgłę. Bennett, człowiek, który ostrzegł przez telefon MacGowana, że Wrigley został zastrzelony, leżał w pobliżu koła sterowego nadal nieprzytomny. LeCat spojrzał właśnie na zegarek,

gdy na mostek wszedł Andre Dupont, człowiek czujka z fokmasztu.
Betty Cordell była gotowa. Rozpięła z przodu koszulę, ukazując biust. Pośpiesz się, mówiła do siebie, nie zastanawiaj się, bo zabraknie ci odwagi. Podeszła do drzwi kajuty
i zaczęła gwałtownie poruszać klamką.
- Chodź szybko! Proszę! Chodź tu szybko! Na miłość boską, otwórz drzwi....
Zachowywała się histerycznie i była przerażona, a przynajmniej tak to odebrał
strażnik w korytarzu. Pogrzebał w kieszeni, szukając klucza, i odkrzyknął jej coś po francusku, czego ona nie zrozumiała.
Dalej krzyczała, błagając żeby otworzył drzwi. Przeszło mu przez myśl, że w kajucie wybuchł pożar.
Otworzył drzwi i pistolet zawisnął mu w dłoni. To przecież tylko kobieta - dobra do gotowania, do łóżka, więc wcale się jej nie bał.
Wszedł i zatrzymał się, wpatrując się w jej rozpiętą bluzkę, ale za chwilę jego umysł przestał wszystko rejestrować. Cisnęła terroryście w twarz pojemnik z papryką, którą podano jej do obiadu, i oczy miał już zasypane ostrym proszkiem. Upuścił pistolet, przyciskając obie dłonie do piekących oczu i krzyczał przestępując z nogi na nogę. Betty Cordell złapała butelkę wina, którą zostawił LeCat - teraz była to śmiertelna broń. Uchwyciła butelkę za szyjkę i bez chwili wahania roztrzaskała ją o tył głowy strażnika. Uderzyła tak mocno, że rozbiła mu czaszkę.
Upadł na podłogę, a wino spływało po nim jak krew, mieszając się z jego własną. Spojrzała na niego bez żadnej litości, tylko po to, by się upewnić, że już się nie porusza. Potem zaciągnęła ciało głębiej do kajuty jak worek śmieci, zostawiła w łazience i wróciła szybko, by zamknąć drzwi. To strzelanina zmobilizowała Betty do działania.
Tylko parę sekund zajęło jej zapięcie koszuli, włożenie płaszcza i chwycenie uprzednio już złożonego karabinu spod bielizny. Odsunęła kopnięciem roztrzaskaną butelkę
i ponownie otworzyła drzwi. Korytarz świecił pustkami, klucz nadal tkwił od zewnętrznej strony drzwi.
Wcale o tym nie wiedząc, wybrała idealną porę na swą morderczą wyprawę - właśnie LeCat wezwał prawie wszystkich strażników na mostek. Zamknęła drzwi na klucz, włożyła go do kieszeni i powoli zaczęła sunąć korytarzem nasłuchując. Obiema dłońmi trzymała na wysokości pasa karabin Armalite. Zmierzała na mostek. LeCat z

pewnością tam się znajduje.
Winter oddalił się nieco od pokrywy luku, dwaj pozostali mężczyźni wyszli za nim. Mgła była teraz gęsta, opatulała ich jak koc. Gęsiego, ostrożnie zeszli z pokładu dziobowego: Cassidy za Winterem, Sullivan za pułkownikiem piechoty morskiej. Ich karabiny były w pogotowiu, Winter miał zatknięty za pasek pistolet z pociskiem dymnym. Zeszli na główny pokład.
Winter unikał pomostu roboczego, trzymając się lewej burty potężnego tankowca, bo tam nie było tyle rur i zaworów. Poruszał się blisko relingu przy lewej burcie. Panowała mglista, cicha ciemność. -Mgła spowijała ich twarze, a jedynym słyszalnym dźwiękiem było uderzanie fal o kadłub statku. Tam właśnie dwa delfiny, Mac i Jo, przyciskały nieco wcześniej swoje pyski do stalowej blachy.
Winter szedł dalej, skradając się do przodu w swych butach na gumowych podeszwach, czujny na każdy dźwięk, który mógłby mu zdradzić, co się dzieje około osiemnastu metrów wyżej, na poziomie mostka kapitańskiego. Wtedy coś wyłoniło się z mgły.
Był to żuraw masztowy, co oznaczało, że są już blisko mostka.
Zaczekał aż Cassidy dorówna mu kroku, zarzucił karabin na ramię i wyciągnął zza paska pistolet z pociskiem dymnym. Mgła nieco się przerzedziła, ale ich twarze i ręce zmarzły już od dotyku zimnej wilgoci. Mostek kapitański majaczył przed nimi jak niesamowity cień.
Znajdowali się około sześciu metrów od pięcio kondygnacyjnego mostka i te sześć metrów było śmiertelną pułapką. Przy rzednącej mgle każdy terrorysta, który wyjrzałby przez okno, mógłby ich z łatwością zastrzelić, ponieważ poruszali się po otwartej przestrzeni.
A tam, na górze czekała na nich cała zgraja terrorystów.
Może nawet sam LeCat. Nagle Cassidy szarpnął Wintera za ramię, wskazując na bezwładne ciało leżące kilkadziesiąt centymetrów od nich, u podstawy mostka. Ciało Foleya.
Winter, nie śpiesząc się, uniósł lewe ramię, wykorzystując je jako podpórkę pod pistolet z pociskiem dymnym. Ostrożnie wycelował, kierując lufę pistoletu ku środkowi mostka, daleko od rozbitego okna.
Mostek widać było niewyraźnie, znajdował się wysoko, no i celował pod bardzo ostrym kątem. Przypomniał sobie, jak spoglądał na dach rezydencji Cosgrove ze schodków na dole - tak wiele kilometrów stąd, bardzo dawno... Obrał cel. Wypalił.
Pocisk dymny pomknął w górę, zniknął z pola widzenia, zaginął w kłębach mgły.

Winter usłyszał, że uderza o mostek. Posunął się dwa kroki do przodu i zobaczył, że pojawił się czarny dym, tworzący zasłonę przesłaniającą okna mostka. Cassidy wybiegł na otwartą przestrzeń. Trzy razy strzelił w głowy dwóch mężczyzn, którzy pojawili się na skraju bocznego pomostu przy lewej burcie. Jeden z nich opadł do przodu
i wylądował niemal u stóp Amerykanina. Zaczekał z karabinem wycelowanym w górę. Drugi mężczyzna pojawił się ponownie.
Cassidy wiedział, że ten cholerny idiota to zrobi. Wystrzelił znów i mężczyzna opadł do tyłu, znikając z pola widzenia.
Wszystko działo się tak szybko, jak na przyśpieszonym filmie.
Niewyraźne, zamazane obrazy. Sullivan wspinający się szybko w górę. Dym przesłaniający trzy kondygnacje mostka. Cassidy wchodzący i znikający w dymie. Powtarzające się wystrzały, ciągła strzelanina, statek nagle zaczął tętnić życiem. Winter zniknął już dawno, wspinając się po innym trapie. W korytarzu zobaczył strażnika, który ujrzawszy Wintera podniósł ręce do góry w geście poddania. Ale Winter strzelił Dwa razy w jego pierś. Polecenia MacGowana były wyraźne: żadnych więźniów, żadnych pozorowanych sądów i użalania się nad łotrami.
Zabić, ilu się da... - Winter pobiegł korytarzem, zmierzając do wybranego celu: kajuty kapitana, gdzie więziono marynarzy. Za rogiem ujrzał drzwi. Jeden z terrorystów, chyba Lomel, właśnie je otworzył kopnięciem i stał z wycelowanym skorpionem, gotów zastrzelić nieuzbrojonych strażników znajdujących się wewnątrz.
Winter strzelił do niego dwa razy. Ugodzenie kuląkalibru 0.45 stwarza takie wrażenie, jakby człowiek się zderzył z szarżującym nosorożcem. Lomel dostał taką właśnie kulę. Zatoczył się i osunął na podłogę. Winter wciąż biegł, przeszedł po zwłokach i biegł dalej...
Betty Cordell poruszała się z wielką ostrożnością, jak myśliwy polujący na dzikie zwierzę, które czai się w ukryciu. Wsłuchiwała się w najlżejsze dźwięki i krok po kroku wchodziła coraz wyżej. Na statku panowała wszechogarniająca cisza, korytarze były opustoszałe, tankowiec stwarzał wrażenie statku widma. Długo trwało dotarcie na mostek od bocznego pomostu przy prawej burcie.
Karabin, który był dla niej psychicznym wsparciem, Armalite 0.22, miał magazynek z dziesięcioma nabojami. Amunicją były osiągające dużą szybkość pociski "hollowpoint". Z karabinu można było oddawać pojedyncze strzały po dwóch naciśnięciach na spust. Betty Cordell miała też w kieszeni płaszcza dwa dodatkowe magazynki.

Gdy dotarła do wierzchołka zejściówki, rozpostarła się przed nią kolejna pusta przestrzeń korytarza. Brak strażników był niepokojący.
Pewnie natknie się na kogoś w najmniej oczekiwanym momencie. Mocniej zacisnęła dłonie na broni. I wtedy usłyszała strzały karabinowe, nieregularną strzelaninę. Zaczęła biec...
Gdy stojący na mostku LeCat ujrzał czarny dym, od razu pojął, że zbliża się atak. Wydał rozkaz, by strażnicy strzelali przez dym w podstawę mostka. Zaklął głośno, gdy nikt tego nie zrobił. Ludzie przy oknie krztusili się, usiłując wypluwać gryzący czarny dym.
Zachowywali się jak pijane marionetki - zataczali się i wywracali gałki oczu.
- Głupcy! - wrzeszczał dalej LeCat. - Do okna, strzelajcie w dół...
Strażnicy stojący z tyłu mostka ruszyli do przodu, pochylili się i zaczęli strzelać na oślep przez dym. LeCat przyłączył się do nich.
Odgłosy wystrzałów i opary kordytu wypełniły mostek. Wtedy właśnie LeCat przypomniał sobie o Mackayu. Odwrócił się, gdy kapitan się do niego zbliżał.
Betty Cordell pojawiła się na mostku od prawej burty.
Trzymała karabin na poziomie biodra w sposób, w jaki nauczył ją ojciec. "W razie nagłego wypadku strzelaj z takiej pozycji - trzymaj lufę prosto i strzelaj..." Weszła na mostek i zobaczyła terrorystów skupionych razem na przedzie mostka. Dostrzegła LeCata. I LeCat zobaczył ją.
Terrorysta zdrętwiał. Kobieta. Z karabinem. Jego refleks, skądinąd szybszy niż u większości mężczyzn, zawiódł tym razem o jedną fatalną sekundę. Betty Cordell trzymała karabin mocno oparty o biodro Palec był na spuście. I ani ułamka sekundy wahania. Strzelała bez przerwy, palec poruszał się nieprzerwanie kula po kuli, po raz pierwszy w jej życiu trafiając żywe cele. Opróżniła cały magazynek, wodząc lufą po lekkim łuku, od prawej do lewej, strzelając, strzelając i jeszcze raz strzelając... Trzy kule dosięgły LeCata. Czterech innych terrorystów zginęło natychmiast. Lufę skierowała nieco w górę. Jeden terrorysta, nie trafiony, w półobrocie od okna uniósł swój pistolet, lecz został podcięty przez upadające ciało. Betty Cordell załadowała drugi magazynek
i znów zaczęła strzelać. Uprzednio nie postrzelony terrorysta, ten, który uniósł pistolet, został ugodzony dwiema kulami Zakręciła młynka karabinem.
Mackay wpatrywał się w dziewczynę zdumiony i przerażony, wyrazem

jej twarzy. Bez cienia obawy stała, jakby nie zdając sobie sprawy z zagrożenia i powagi sytuacji. Nie przejmowała się tym, czy zostanie zabita. Patrzyła zimnymi oczyma, przymrużonymi od dymu.
LeCat sunął chwiejnym krokiem w stronę stołu, gdzie leżał detonator radiowy.
i znów strzeliła mu w plecy - dostał kolejne dwie kule.
Potem karabin zaterkotał - magazynek był pusty. LeCat upadł na stół, sięgając po detonator.
LeCat, żołnierz weteran, terrorysta weteran, był teraz nafaszerowany pięcioma kulami. Ale zdarzały się już przypadki, że człowiek poruszał się z jeszcze większą liczbą kul w ciele. Jego dłoń posuwała się ciągle do przodu, wczepiając się w stół jak szczypce kraba, bo nie mógł już zrobić użytku ze stawu barkowego. Jak przez mgłę docierał do niego dym, odgłos zamieszania, krzyk śmiertelnie rannego strażnika i tupot czyichś nóg.
Winter pojawił się na mostku i dostrzegł to, czego nie mogli dostrzec inni - groźne "szczypce kraba" tuż nad detonatorem radiowym. W mgnieniu oka domyślił się przeznaczenia tego przedmiotu, ale nie rozumiał dlaczego się tu znajduje. Uniósł broń i strzelił dwukrotnie. Dwie śmiercionośne kule kalibru 0.45 dosięgły rozpłaszczonego na stole terrorysty. Jego ciało podskoczyło jak porażone prądem elektrycznym i, być może, odruchowo wskazujący palec nacisnął przycisk.
Winter złapał go z tyłu za włosy, uniósł głowę LeCata i spojrzał na niego z góry. - Skąd tu się wziął detonator? - Oczy Francuza były wciąż otwarte. Winter potrząsnął nim brutalnie. - Dlaczego detonator? Coś ty zrobił? - Wydawało się, że LeCat z trudem rozpoznaje nieogoloną, brudną i osmaloną dymem twarz Anglika. Winter nadal potrząsał konającym terrorystą. - Coś ty, do diabła, zrobił?
- Urządzenie nuklearne... dziesięć minut... i po San Francisco. -LeCat wykrzywił twarz w czymś, co miało być rodzajem ohydnego uśmiechu, znieruchomiały mu źrenice, a głowa wydała głuchy odgłos padając na stół.
Dziesięć minut. Urządzenie nuklearne zostało uruchomione.

***

- Gdzie jest urządzenie do łączności statek - wybrzeże? - Winter odwrócił się
i spojrzał na Mackaya. Przy oknie mostka kapitańskiego znajdowała

się przerażająca masa resztek ludzkich i krwi. Andre Dupont zgięty wpół charczał i dyszał trzymając się za żołądek. Nikt nie zwracał na niego żadnej uwagi. Betty Cordell zasłabła i Sullivan ją podtrzymywał, odbierając delikatnie karabin.
- Kabina nawigacyjna... - Mackay poszedł przodem i włączył urządzenie.
- MacGowan przygotował helikopter - powiedział Winter -z mnóstwem medyków
i żołnierzy piechoty morskiej. Czy pan wiedział o tym urządzeniu nuklearnym? Może on blefował?
Urządzenie do łączności statek - wybrzeże zatrzeszczało. Znajomy, zmęczony, ale
wciąż spokojny głos zachrypiał w kabinie nawigacyjnej. - MacGowan przy telefonie...
- Mówi Winter. Przejęliśmy statek. LeCat nie żyje. Zanim skonał, powiedział coś o urządzeniu nuklearnym...
- Wiemy. Żyjemy z tą świadomością od wielu godzin...
- Uruchomił je, zanim umarł, przy pomocy detonatora radiowego.
Potrzebny nam oddział saperów...
- Oddział saperów jest na pokładzie śmigłowca, który już do was leci. - MacGowan przerwał. - Jesteście pewni, że on je uruchomił?
- Z całą pewnością. Widziałem, gdy to robił. - Winter przerwał słysząc warkot helikoptera w dali. - Powiedział, że zostało nam dziesięć minut. Nie wierzę mu - potrzebowałby więcej czasu, żeby się dostatecznie stąd oddalić.
- Jak dużo czasu? - głos MacGowana był napięty i oschły.
- Przypuszczam, tylko przypuszczam, że może około dwóch godzin. Mówiłem już, że przygotowaliśmy samolot, którym mieliśmy uciec, w razie gdyby nie wypaliła sprawa z hydroplanem. Walgren zawiózłby LeCata na wybrzeże w pobliżu Stinson Beach. Musiałby tam dotrzeć, skontaktować się przez radio z Pecheurem, i czekać, aż zabierze go śmigłowiec. Nie chciałby być na lądzie, gdy nastąpi, eksplozja. Nadal uważam, że chodzi o dwie godziny...
- Wiecie, gdzie jest to urządzenie?
- Nikt tego nie wie. Pozostaje nam tylko spróbować wypłynąć tankowcem na Pacyfik, zanim to wybuchnie...
- Nie będzie żadnych przeszkód. Przewidzieliśmy taką ewentualność. - MacGowan był już spokojniejszy. - Na pokładzie śmigłowca jest kapitan Bronson, który przejmie obowiązki Mackaya. To on

wyprowadzi statek, jeżeli w ogóle ktoś to potrafi zrobić...
Zakładając, że ta ocena czasu jest właściwa...
- Nie daję żadnej gwarancji - warknął Winter. - Ale potrzebowaliby czasu, żeby się oddalić. Ale LeCat umierał, kiedy mówił o tych dziesięciu minutach. Co mówi umierający człowiek?
- Bóg z wami - z nami wszystkimi - powiedział MacGowan. -Ja się wycofuję, wy będziecie mieli co robić...
Mackay opuścił kabinę nawigacyjną i już był przy telefonie rozmawiając z maszynownią. LeCat zatrzymał starszego mechanika na jego stanowisku i kazał mu utrzymywać ciśnienie w kotle, na wypadek gdyby - z jakiejś nieprzewidzianej przyczyny - chciał zmienić miejsce postoju statku w zatoce. Mackay odłożył; słuchawkę, ponieważ Winter wszedł na mostek. - Brady ruszy, gdy tylko będzie mógł.
- Na pokładzie nadlatującego helikoptera znajduje się jakiś amerykański kapitan - ostrzegł Mackaya Winter. - MacGowan sądzi, że pan może być wyczerpany i przydałoby się zastępstwo...
- MacGowan nie przejmie tego statku - warknął Mackay.
-Jeżeli ma to być jego ostatnia podróż, ja go wyprowadzę. Mówił pan coś o oddziale saperów?
- Nie będą w stanie niczemu przeciwdziałać, jestem tego pewien.
Lecat był ekspertem i na pewno przygotował odpowiednią pułapkę przy tym urządzeniu. - Winter się odwrócił, bo usłyszał, że ktoś mówi coś po francusku.
Cassidy pochylał się nad rannym terrorystą, który teraz siedział i coś mamrotał. Spojrzał na Wintera. - On próbuje nam coś powiedzieć jak sądzę - ale nie znam tego języka...
Winter kucnął przy Duponcie, objął go ramieniem i szepnął po francusku: - Wolniej, Andre - przetransportujemy cię do szpitala na brzeg... Co nam próbujesz powiedzieć?
Pochylił się nad twarzą Andre, mówiąc mu, żeby powtórzył powoli, a potem spojrzał na Mackaya. - Urządzenie jest na dnie pustego zbiornika na ropę. LeCat rzeczywiście przygotował pułapkę zapobiegającą unoszeniu mechanizmu. Oddział saperów z pewnością potwierdzi, że nie można tego ruszyć.
- To oznacza - powiedział cicho Cassidy - że będziemy wypływać na unoszącym się na wodzie wulkanie, ale musimy wyprowadzić statek jak najdalej od miasta - jeżeli nam się to uda...
Helikopter wylądował parę minut później i Mackay poprowadził

oddział saperów do pustych bocznych zbiorników.
Zabitych terrorystów zabrano z mostka i umieszczono w policyjnej szalupie, która nadpłynęła od strony pirsu 31. Zgodnie z sugestią Wintera - że nie ma czasu do stracenia - zwłoki znajdujące się na mostku zrzucano przez okno na główny pokład.
Duponta przeniesiono na noszach do helikoptera, ale zmarł w drodze do San Francisco. Śmigłowiec zabrał też Betty Cordell, która była w stanie szoku, a także ciała Foleya i Wrigleya. Kinnaird, radiooperator, był jedynym terrorystą, który przeżył; słysząc strzelaninę, rozsądnie zamknął na klucz drzwi kabiny od wewnątrz i wyszedł dopiero wtedy, gdy Winter mu to nakazał. Zabrano go do helikoptera pod strażą żołnierzy piechoty morskiej. Po dziesięciu minutach od wejścia na pokład dowódca oddziału saperów, kapitan Grisby, złożył meldunek Cassidyemu: - Jest tak źle, że nie może być gorzej. Nie mamy odwagi nawet oddychać nad tym. Urządzenie ma prostokątny kształt, sześćdziesiąt centymetrów długości, trzydzieści szerokości i jest przymocowane do dna kadłuba za pomocą magnetycznych zacisków. Ma dwa odrębne mechanizmy uniemożliwiające podniesienie, których nie możemy w żaden sposób unieszkodliwić. A więc gdy będziecie ruszać, przymocujemy tu nasze własne materiały wybuchowe...
- Wasze co?...
Grisby przedstawił zarys planu, który obmyślił jeszcze przed wejściem na pokład. Przewidział istnienie pułapki uniemożliwiającej przemieszczenie urządzenia, gdy przeczytał raport o mistrzostwie LeCata tej dziedzinie, który Karpis otrzymał z Paryża. Jeżeli nie można przemieścić urządzenia, trzeba przetransportować statek tak daleko na wody Pacyfiku, jak tylko się da. Potem postarano by się spowodować podwodną eksplozję urządzenia. Tak więc należało jak najszybciej zatopić tankowiec. Ten jedyny sposób stwarzał oczywiście niebezpieczeństwo, ale MacGowan i generał Lepke zgodzili się, że warto spróbować wszystkiego, co może zminimalizować ryzyko napromieniowania San Francisco i innych większych skupisk ludności. Grisby zamierzał przymocować do kadłuba statku ładunki wybuchowe o ogromnej mocy; chciał spowodować eksplozję statku tak, by przednia jego część, ta w której znajdowało się urządzenie - zatonęła najpierw i jak najszybciej.
- Ładunki zostaną zdetonowane przez tak ustawione mechanizmy zegarowe, by detonacja nastąpiła po opuszczeniu przez nas statku.

Przywieźliśmy z sobą helikopterem taką ilość materiałów wybuchowych, jaka wystarczyłaby do wysadzenia w powietrze Presidio.
Problem w tym - Grisbi, wyjaśnił z niewesołym uśmiechem - że te ładunki mogą zdetonować urządzenie nuklearne, ale przecież i tak nie mamy nic do stracenia...
Opuścił Cassidyego, by dołączyć do zespołu, który już przystąpił do wykonywania swojego przerażającego zadania. Kapitan Bronson, mocny, nieustępliwy czterdziestolatek z San Diego, który przybył na pokład, by przejąć dowodzenie statkiem, zmienił zdanie po rozmowie z Mackayem. - On jest zmizerowany, zmęczony, ma nerwy napięte jak postronki - poinformował MacGowana przez urządzenie do łączności statek
- wybrzeże - ale przewyższa mnie rutyną i ma dwa razy tyle umiejętności co ja, by wyprowadzić swój statek na ocean. Lepiej także będzie mógł wykorzystać załogę. Zostaję na pokładzie wyłącznie jako pasażer, dzięki uprzejmości kapitana Mackaya... - Na lądzie nadal nie było widać żadnych świateł, kiedy Challenger rozpoczął swą ostatnią podróż. Późnym wieczorem stacje radiowe i telewizyjne w całych Stanach doniosły
o gigantycznym zaciemnieniu, które rozciągało się od Yuba City na północy do Santa Barbara na południu, od San Francisco do granicy z Nevadą. Ta skala zaciemnienia była wyjątkowa, ale Ameryka zdążyła się już przyzwyczaić do przerw w dostawie prądu. Wieści o urządzeniu nuklearnym jeszcze nie przeciekły do agencji telewizyjnych i radiowych. Challenger płynął we mgle i mroku nabierając prędkości. Jak zauważył Grisby, to także było ryzyko nie do zmierzenia ani określenia. Istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że narastające drgania silników uruchomią urządzenie. Odpowiedź Mackaya była stanowcza: będzie płynął przez Golden Gate z maksymalną prędkością. A wewnątrz stalowego grobowca, w którym znajdowało się urządzenie, mechanizm zegarowy LeCata wskazywał wciąż zmniejszające się cyfry. Zmierzali w ciemnościach do mostu Golden Gate, który nadal był zamknięty dla ruchu. Kolejny koszmar MacGowana. Wyobrażał sobie Statek oddalający się od tego najbardziej malowniczego miasta Ameryki, skazanego przez szejka Gamala Tafaka na całkowitą zagładę.
MacGowan, siedząc w swoim biurze oświetlonym dzięki awaryjnemu generatorowi, wiedział, że jest prawdopodobne, iż urządzenie

wybuchnie, gdy tankowiec będzie przepływał pod potężnym mostem. Czekał teraz na wiadomości od amerykańskiego radiooperatora, Petersena, który poleciał na statek razem z Bronsonem i zastąpił Kinnairda.

Statek znajdował się o dwie minuty żeglugi od mostu. Co dwie minuty rozlegał się długi sygnał syreny, ledwo słyszalny poprzez mgłę. Zanim wypłynęli, Mackay przemówił przez megafon, zezwalając wszystkim członkom załogi, którzy tego sobie życzą, opuścić statek helikopterem. Nikt nie wsiadł na pokład maszyny. Ostatni komentarz Mackaya zanim się wyłączył brzmiał przerażająco: - To jest wasz pogrzeb...

Mgła przerzedziła się na tyle, by stało się widoczne ogromne przęsło mostu, do którego statek się zbliżał. - Lada moment - pomyślał Bronson - nadejdzie chwila detonacji urządzenia... - Stał dwa kroki za Mackayem, z wilgotnymi dłońmi w kieszeniach.

Winter stał blisko okna na mostku, pomiędzy Sullivanem a Bennettem, który miał obandażowaną głowę; pierwszy oficer nadal nie doszedł do siebie po uderzeniu. Winter próbował dostrzec śmigłowce., Challenger wypływał z Bay samotnie, ale niebo nie było puste.

Grupka amerykańskich śmigłowców, gotowych, by odebrać załogę, eskortowała statek, lecąc, według opinii Mackaya, o wiele za blisko. Gdyby coś się wydarzyło, też by nie ocalały.

Challenger przemknął pod mostem i już płynął w kanale.

Winter, jak zwykle niespokojny i chcący wszystko zobaczyć na własne oczy, przemieszczał się po całym statku. Panowała tu bardzo dziwna atmosfera, członkowie załogi zachowywali się niezwykle cicho, skupiając uwagę na rutynowych czynnościach. Zerkali na niego z zaciekawieniem - Mackay ogłosił krótko przez megafon, czego Winter dokonał, ale nie sądził, by to jego obecność była powodem tej niezwykłej ciszy. Każdemu człowiekowi biorącemu udział w ostatnim rejsie tego statku warkot silnika

zdawał się głośniejszy niż kiedykolwiek.

Wszystkim się wydawało, że odgłos silnika pochodzi z miejsca, gdzie znajduje się ów stalowy grobowiec z tą straszną skrzynką.

Mackay przerażony tym, że tankowiec z bombą na pokładzie może być odpowiedzialny za wprost niewyobrażalne zniszczenia i ofiary na lądzie, nalegał na odpłynięcie jak najdalej i z pełną prędkością.

Wyprowadził statek około 10 mil, do miejsca, w którym głębokość wynosiła 36 metrów, zanim dał polecenie opuszczenia statku.

Petersen, radiooperator, który ciągle kontaktował się z maszynami w powietrzu, dał znak helikopterom. Opuszczano statek z nerwowym, ale kontrolowanym pośpiechem. Załoga zeszła z mostka i wyszła z maszynowni.
Mackay pozostał na mostku kapitańskim razem z Winterem. - Niech pan do nich dołączy, panie Winter - zdecydował kategorycznie. - Ja zaraz zejdę...
- Ponieważ ja ponoszę za to odpowiedzialność - odparł chłodno Winter - opuścimy mostek razem. Nie śpieszy mi się.
Załoga zebrała się w miejscu awaryjnie wyznaczonym na lądowanie helikoptera
- przy lewej burcie na głównym pokładzie. Dotychczasowe lądowisko znajdowało się niebezpiecznie blisko pustego bocznego zbiornika. Sikorsky schodził w dół w rzadkiej mgle, z warkotem i świstem śmigła. Bennett spojrzał na zegarek. - Ile zostało czasu? - spytał Grisbyego, dowódcy oddziału saperów. - Mniej niż można przypuszczać...
Sikorsky wylądował uderzająco pokład, jeden z członków załogi helikoptera otworzył drzwi i oczekujący ludzie wtłoczyli się do środka.
Bennett policzył wszystkich, włączając Cassidy livana. Rachunek się zgadzał. Czekali tylko na Mackaya i Wintera, których spodziewano się lada moment.
Pierwszy ładunek rozrywający wybuchł przedwcześnie - blisko mostka kapitańskiego. Ładunek rozerwał boczny zbiornik poniżej części rozdzielczej, za falochronem przy prawej burcie. Eksplozja była ogłuszająca, jakby pociąg ekspresowy przejechał po statku. Pokład się załamał i wybuch spowodował w nim potężną, okrągłą dziurę. Trysnął w górę strumień ropy, tworząc łagodny łuk we mgle. Wybuch nastąpił dość daleko od helikoptera, niemniej maszyna zadrżała. Znajdujący się wewnątrz mężczyźni zamarli ze strachu: pomyśleli, że to urządzenie nuklearne.
Na mostku kapitańskim Mackay poczuł wstrząs wybuchu. Podmuch eksplozji rzucił nim, tak że uderzył o postument kompasu.
Podniósł się na drżących nogach, z jego czoła sączyła się krew. Patrzył oszołomiony, nie bardzo zdając sobie sprawę, co się stało. Winter nie odczuł tak wstrząsu, chociaż stał niecały metr od kapitana, chwycił więc Mackaya i sprowadził go z mostka. Niósł półprzytomnego kapitana po zejściówce jak strażak i kiedy dotarł na główny pokład, wszyscy znajdowali się już na pokładzie sikorskyego. Bennett począł

schodzić, by mu pomóc.
- Mam go - wrzasnął Winter. - Wracaj do tej cholernej maszyny! - Z trudem posuwał się po pokładzie.
Niosąc Mackaya uszkodził sobie kręgosłup i teraz musiał dokonać ogromnego wysiłku, żeby się wyprostować i dźwignąć kapitana w górę ku wyciągającym się po niego ramionom. Głęboko odetchnął, szarpnął swym ciałem w górę i odniósł wrażenie, że kręgosłup łamie mu się na pół. Zdjęto mu ciężar z pleców i wciągnięto Mackaya do kabiny.
Winter złapał oddech, garbiąc się i zginając w pałąk, jakby nadstawiał się komuś, kto chce mu skoczyć przez plecy. Głowę miał uniesioną, patrząc na maszynę. Dał znać pilotowi: - Następny śmigłowiec! -Pilot go nie usłyszał, ale zobaczył wyprostowany w górę palec Wintera, wskazujący helikopter, który właśnie przelatywał nad statkiem.
Cassidy nadal protestował w swym żołnierskim języku, ale pilot poderwał już maszynę.
Garfield, szef Straży Przybrzeżnej kierujący operacją leciał trzydzieści metrów nad statkiem. Doskonale widział Wintera na pokładzie w świetle padającym z mostka i z reflektorów przy lewej burcie, które nadal funkcjonowały. Ta maleńka postać w dole zdawała się utykać, kiedy drugi sikorsky opuszczał się, by ją wziąć na pokład. Garfield podregulował swój noktowizor, ale kadłub helikoptera zasłonił Wintera, gdy był około trzech metrów od pokładu. Wtedy wybuchł drugi ładunek rozrywający. Garfield zobaczył w noktowizorze oślepiający blask, usłyszał huk, a jego maszyna zadrżała tak, że pilot z trudem mógł nad nią zapanować. Kiedy spojrzał ponownie na statek, zobaczył jedynie potężną dziurę w pokładzie i wypływającą z niej ropę; w miejscu gdzie przedtem stał Winter. Helikoptera ratunkowego także nie było.
Garfield odesłał wszystkie maszyny oprócz swojej na ląd. Rufa Challengera ginęła w kłębach czarnego, tłustego dymu, ale dziób nadal wystawał. Przednia część statku jeszcze pływała, urządzenie nuklearne znajdowało się ciągle ponad powierzchnią wody. Polecił niechętnemu pilotowi, by dalej krążył nad statkiem. Teraz równocześnie wybuchły trzy ładunki. Błysk i huk były tak przeraźliwe, że Garfield sądził, iż ma miejsce nuklearna eksplozja. Wydał polecenie pilotowi, by się stąd niezwłocznie wynosił. Gdy maszyna zawracała, zobaczył, że tonie przednia część statku, dziób unosi się jak pysk rekina, zawisa w powietrzu i zagłębia w wodę. Sejsmografy

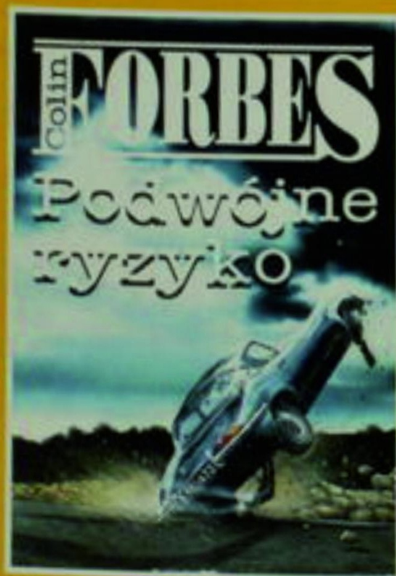
odnotowały podwodną eksplozję nuklearną dziesięć minut później. Głębokość wody, kierunek wybuchu - głównie na południe - oraz mgła zminimalizowały promieniowanie, jakie dotarło do lądu, ale ocean został skażony. Ropa z Challengera zalała wybrzeże w Carmel-By-the-Sea, gdzie piaszczyste wydmy oddzielają miasto od oceanu.
Przez sześć miesięcy jedynymi ludźmi, jakich widziano na plażach Kalifornii od San Francisco po San Diego, byli mężczyźni w białych uniformach, w hełmach i z licznikami Geigera. Przez pięć lat nie widziano tu białego wieloryba, który zwykł płynąć na południe wzdłuż wybrzeża, zmierzając do swego miejsca rozrodu u wybrzeży Dolnej Kaliforni.
Piętnaście minut przed nastaniem świtu w czwartek 23 stycznia dwa brytyjskie su- pertankowce York i Chester płynęły powoli w niewielkiej odległości na północ od wybrzeży Arabii Saudyjskiej. Zdjęto płócienne osłony. Szkielety konstrukcji, pozorujące kształty skrzyń, zostały usunięte. Na pokładzie Yorka stały rzędem samoloty szturmowe z pilotami w kokpitach. Na pokładzie Chestera znajdowały się helikoptery Sea King z wojskami powietrzno - desantowymi. Atrapy rur i pomostów roboczych już usunięto z pokładu, pozostawiając na nim naturalne pasy startowe.
Na mostku kapitańskim Yorka generał Villiers, szef Sztabu Generalnego, stał obok generała brygady Harryego Gatehousea, dowódcy wojsk powietrzno - desantowych. Było bardzo ciemno, piętnaście minut przed nastaniem świtu...
Wokół delty Dunaju w Rumunii wszystkie lotniska wojskowe zamknięto dla ruchu. Radzieccy eksperci od łączności przejęli centrale telefoniczne w pobliskich miastach. Rosyjskie wojska powietrzno desantowe znajdowały się już na pokładach samolotów. Każdy pilot miał swój plan lotu, który kończył się w Iraku, niedaleko pól naftowych Mosul i Kirkuk w pobliżu Bagdadu. Radziecki dowódca palił papierosy w jednym z budynków lotniska, czekając na sygnał z Moskwy...
Brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych twierdziło, że zaplanowało wszystko właściwie. Swego czasu, gdy ekspedycja angielsko francuska wylądowała w Su- ezie, Rosjanie wykorzystali tę sposobność, by podbić Węgry. Jeśli okaże się konieczne zajęcie pól naftowych Arabii Saudyjskiej, by zagwarantować interesy Zachodu, Rosjanie wykorzystają tę okazję, by zdobyć Irak, i arabska potęga zostanie wzięta w dwa ognie. Jeśli to okaże się konieczne...

Wieści błyskawicznie rozniosły się po świecie. Wszyscy terroryści zostali zabici, a brytyjski tankowiec Challenger wypływa z Bay.
Wiadomość dotarła do Baalbeku, gdzie szejk Gamal Tafak wysłuchał aż dwóch różnych dzienników radiowych, zanim uwierzył. Dotarło to też do Tel Awiwu.
O dziewiątej rano w Baalbeku niejaki Albert Meyer podniósł telefon w kilka sekund, po tym, gdy sam gdzieś zadzwonił. Słuchał, powiedział, że zrozumiał, po czym odłożył słuchawkę.
- Możemy zaczynać - powiedział do Chaima.
- Chyba będzie wychodził - jakiś mercedes zatrzymuje się przed domem...
Chaim leżał rozciągnięty na stole. Albert otworzył okno i wycofał się z pola ostrzału. Zamknięte drzwi, które pojawiły się w celowniku teleskopowym, były prawie na wyciągnięcie ręki. Albert gdzieś w tyle pokoju pakował do płóciennej torby piecyk. Kiedy stąd wyjdą, nie będzie żadnych śladów ich obecności.
Czarny mercedes zawrócił na ulicy, parkując około dziesięciu metrów od domu. Teraz znajdował się przodem do kierunku, z którego nadjechał. Chaim czekał z karabinem opartym na worku z piaskiem, który także miał zostać stąd zabrany. Drzwi się otworzyły, ukazując zacienione wnętrze, z którego wyłonił się szejk Gamal Tafak. Drzwi zamknęły się.
Jego głowa i ramiona pojawiły się w celowniku. W arabskim stroju trudno było w nim poznać ministra do spraw ropy Arabii Saudyjskiej; do wszystkich zdjęć w gazetach pozował w ubraniu europejskim. Ale to był Tafak: powiększenie w celowniku było dostatecznie duże, by Chaim mógł go rozpoznać. Przyjrzał się wszystkim fotografiom tego Araba, jakie tylko udało mu się znaleźć. Tafak właśnie robił pierwszy krok, by zejść po schodkach, gdy Chaim nacisnął spust.
Powiększony wizerunek rozmazał się. Chaim strzelił ponownie...
Głowa Gamala Tafaka rozpadła się na kawałki. Odrzucone do tyłu przylepiły się do zamkniętych drzwi jako bezładna masa zmiażdżonych kości, mózgu, ciała i krwi. Na górnej połowie drzwi widniała teraz czerwonawa plama. Ciało Araba runęło w dół schodów i potoczyło się po drodze. Mercedes odjechał z dużą prędkością, znikając w chmurze pyłu, który grubą warstwą pokrywał drogę.
Tak zakończył się Rok Złotej Małpy.

KONIEC

Rok Złotej Małpy

Grupa terrorystów opanowuje wielki tankowiec „Challenger" i wprowadza go do portu San Francisco.
Jeśli władze amerykańskie nie spełnią ich żądań, na pokładzie „Challengera" zostanie zdetonowana bomba atomowa.
Zniszczenie San Francisco jest, być może, tylko jednym z elementów groźniejszego planu...



Podwójne ryzyko

Nad Jeziorem Bodeńskim zostaje zamordowany agent brytyjskiego wywiadu. Wszystko wskazuje na to, że zbrodnia wiąże się z mającymi niebawem nastąpić ważnymi wydarzeniami: spotkaniem na szczycie przywódców zachodnich i sowieckiego sekretarza generalnego KPZR oraz z wyborami w Bawarii. Tweed i jego współpracownik, agent Martel, muszą zapobiec zamachowi, w którym ma zginąć jedna z czołowych politycznych osobistości. Przeciwnikami w tej niebezpiecznej rozgrywce są neonazistowska partia DELTA i as wschodnioniemieckiej służby wywiadowczej. Na rozszyfrowanie ich morderczych planów Tweed i Martel mają siedem dni...

Ali-Baba

Cena det. zł 54 000,-

AMBER

ISBN 83-7082-293-2